TWÓRCZOŚĆ

U. I. C. C.
NOV 30 1978
LIBRARY

8

SIERPIEŃ

ROK VIII 1952

Zakłady Graficzne i Wydawnicze Dom Słowa Polskiego, Warszawa
Zamówienie 2530 z dn. 1.7.52 r. Nakład 6.230 Druk ukończono 2.8.52. 3-B-21417

NAGRODY PAŃSTWOWE

W dziale literatury i sztuki za rok 1952

NAGRODY I STOPNIA

Jarosław Iwaszkiewicz — za wybitne zasługi twórcze w literaturze pol-
iej.
Igor Newerly — za powieść pt. „Pamiątka z Celulozy".
Julian Stryjkowski — za powieść pt. „Bieg do Fragala".
Ludomir Różycki — za całokształt działalności kompozytorskiej.
Zbigniew Drzewiecki — za wybitne osiągnięcia pianistyczne, pedagogicz-
i propagandę muzyki polskiej zagranicą.
Ewa Bandrowska-Turska — za wybitne osiągnięcia artystyczne w dziedzi-
e śpiewu operowego oraz za propagandę muzyki i wokalistyki polskiej za-
anicą.
Halina Czerny-Stefańska — za wybitne osiągnięcia w dziedzinie pianistyki,
wykonanie utworów fortepianowych w ilustracji muzycznej filmu „Mło-
ść Chopina" oraz za propagandę muzyki i pianistyki polskiej zagranicą
Tadeusz Kulisiewicz — za wybitne osiągnięcia artystyczne w dziedzinie
afiki, w szczególności za cykle rysunków: „Bojownicy o Wolność i Demo-
rację" (1951—1952) oraz „Podróże po Czechosłowacji" (1951—1952) wysta-
ionych na zbiorowej wystawie prac artysty w marcu 1952 r.
Karol Frycz — za wybitne osiągnięcia w dziedzinie pracy scenicznej, szcze-
lnie w dziedzinie scenografii ze specjalnym uwzględnieniem scenografii
sztuki R. Brandstaettera „Król i aktor", wystawionej w Państwowym
eatrze im. J. Słowackiego w Krakowie oraz do baletu Gliera „Czerwony
ak" w Państwowej Operze we Wrocławiu.
Jan Kurnakowicz — za wybitne osiągnięcia artystyczne w roli Horodni-
ego w sztuce Gogola pt. „Rewizor" w Państwowym Teatrze Narodowym
Warszawie.
Nagroda zespołowa: Aleksander Ford — za scenariusz i realizację filmu pt.
Młodość Chopina"; Jarosław Tuzar (Czechosłowacja) — za zdjęcia do tego
lmu.
Nagroda zespołowa: Zespół realizatorów M.D.M. w osobach: inż. Józef Si-
lin, inż. Zygmunt Stępiński, inż. Jan Knothe, inż. Stanisław Jankowski —
projekt i realizację pierwszego zespołu centrum Warszawy — M.D.M.
Prof. inż. arch. Bohdan Pniewski — za wybitne projekty architektonicz-
i osiągnięcia w dziedzinie wykonawstwa.

NAGRODY II STOPNIA

Tadeusz Breza — za powieść pt. „Uczta Baltazara".
Bogdan Czeszko — za powieść pt. „Pokolenie".
Nagroda zespołowa: Zygmunt Latoszewski i Wiktor Bregy — za wybitne
alizacje artystyczne w Bałtyckim Studio Operowym.
Witold Lutosławski — za kompozycje „Tryptyk śląski", utwory dziecięce
pieśni masowe.

Grażyna Bacewiczówna — za kompozycje IV kwartet, IV Sonata Skrzypcowa i IV Koncert Skrzypcowy.

Andrzej Panufnik — za ilustrację muzyczną do filmu „Wit Stwosz" („Koncert Gotycki").

Barbara Bittnerówna — za osiągnięcia w dziedzinie tańca artystycznego w Państwowej Operze Śląskiej w Bytomiu.

Marian Wnuk — za rzeźbę pt. „Lenin" wystawioną na II Ogólnopolskiej Wystawie Plastyki.

Jacek Puget — za rzeźbę pt. „Stefan Jaracz" wystawioną na II Ogólnopolskiej Wystawie Plastyki.

Renato Guttuso (Włochy) za ilustracje do książki Juliana Stryjkowskiego pt. „Bieg do Fragala".

Jan Marcin Szancer — za ilustracje książkowe.

Jakub Rotbaum — za inscenizację i reżyserię sztuki Pogodina pt. „Człowiek z karabinem" w Państwowym Teatrze Polskim we Wrocławiu.

Feliks Żukowski — za rolę Lenina w sztuce Pogodina pt. „Człowiek z karabinem" w Państwowym Teatrze Polskim we Wrocławiu.

Ludwik Benoit — za rolę Szadrina w sztuce Pogodina pt „Człowiek z karabinem" w Państwowym Teatrze Polskim we Wrocławiu.

Janusz Warnecki — za inscenizację sztuki Brandstaettera „Król i aktor" w Państwowym Teatrze Kameralnym w Warszawie oraz za rolę Millera w sztuce F. Schillera pt. „Intryga i miłość" w Państwowym Teatrze Polskim w Warszawie.

Aleksander Dzwonkowski — za rolę Podkolesina w sztuce Gogola pt. „Ożenek" w Państwowym Teatrze Polskim w Warszawie.

Czesław Wołłejko — za rolę Chopina w filmie pt. „Młodość Chopina".

Kazimierz Serocki — za ilustrację muzyczną do filmu pt. „Młodość Chopina".

Jan Rybkowski — za reżyserię filmu pt. „Pierwsze dni".

Jan Ciecierski — za rolę Plewy w filmie pt. „Pierwsze dni".

Inż. arch. Karol Siciński — za odbudowę i twórczą rekonstrukcję architektury Kazimierza n/Wisłą.

NAGRODY III STOPNIA

Albin Bobruk — za książkę pt. „Matka i syn".

Kazimierz Koźniewski — za powieść pt. „Piątka z ulicy Barskiej".

Alfred Gradstein — za kantatę „Słowo o Stalinie" do tekstu Broniewskiego

Zygmunt Mycielski — za obrazy symfoniczne „Symfonia Polska".

Artur Malawski — za balet Pontominę „Wierchy".

Mieczysław Mierzejewski — za wybitną działalność dyrygencką w kraju i zagranicą, a w szczególności za wykonanie oper: Moniuszki „Hrabina" „Straszny Dwór" oraz Szymanowskiego „Król Roger".

Nagroda zespołowa: Krystyna Łada-Studnicka, Teresa Pągowska, Juliusz Studnicki, Stanisław Teisseyre, Józefa Wnukowa, Jan Wodyński, Hanna Żuławska, Jacek Żuławski — za obraz pt. „Pierwszomajowa manifestacja w roku 1905" wystawiony na Ogólnopolskiej Wystawie Plastyki.

Wojciech Fangor — za obrazy: pt. „Matka Koreanka" i „Lenin w Poronie" wystawione na II Ogólnopolskiej Wystawie Plastyki.

Karol Ferster („Charlie") — za aktualne karykatury polityczne.

Jan Kosiński — za projekt i wykonanie w roku 1951 i 1952 dekoracji teatralnych do sztuk: Stefana Żeromskiego „Sułkowski" w Państwowym Teatrze Narodowym im. Wojska Polskiego w Warszawie i Fryderyka Schillera „Intryga i miłość" w Państwowym Teatrze Polskim w Warszawie.

Nagroda zespołowa: Helena Gałkowska, Stefan Gałkowski — za gobeliny pt. „Teatr", „Hutnicy" i „Porwanie Europy".

Zdzisław Mrożewski — za rolę Wielikatowa w sztuce A. Ostrowskiego „Talenty i Wielbiciele" w Państwowym Teatrze im. J. Słowackiego w Krakowie.

Roman Zawistowski — za reżyserię sztuki: Lutowskiego „Wzgórze 35", Gorbatowa „Młodość ojców" i Fredry „Dożywocie" w Państwowym Teatrze im. Wyspiańskiego w Katowicach.

Lidia Zamkow — za osiągnięcia w realizacji sztuk współczesnycn w szczególności za reżyserię sztuki K. Gruszczyńskiego pt. „Pociąg do Marsylii" w Państwowym Teatrze Starym w Krakowie.

Gustaw Holoubek — za role: Łatki w „Dożywociu" Fredry, Fullera w „30 srebrnikach Fasta i Gen. de Marinis w sztuce Lutowskiego „Wzgórze 35" w Państwowym Teatrze im. Wyspiańskiego w Katowicach.

Kazimiera Richterówna — za zasługi w krzewieniu sztuki recytatorskiej.

Kazimierz Rudzki — za realizację programu satyrycznego „To się pokaże" w Państwowym Teatrze „Syrena" w Warszawie.

Adolf Dymsza — za udział aktorski w realizacji satyrycznego programu „To się pokaże" w Państwowym Teatrze „Syrena" w Warszawie.

Kazimierz Pawłowski — za udział aktorski w realizacji satyrycznego programu pt. „Objeżdżalnia Społeczna" w Teatrze Satyryków w Warszawie.

Inż. arch. Wacław Rembiszewski — za projekt i realizację budynku Prezydium Rady Narodowej w Pruszczu Gdańskim oraz za projekt i realizację gmachu „Czytelnika" w Gdańsku.

Inż. arch. Bruno Zborowski — za twórczą odbudowę b. pałacu Branickich w Białymstoku z przeznaczeniem na Akademię Medyczną.

Orędzie Światowej Rady Pokoju

BERLIN (PAP). Światowa Rada Pokoju uchwaliła następujące orędzie do rządów czterech wielkich mocarstw i do wszystkich narodów.

Mimo upływu siedmiu lat od chwili rozgromienia reżimu hitlerowskiego traktat pokojowy z Niemcami nie został jeszcze zawarty.

Światowa Rada Pokoju, wyrażając nadzieję milionów kobiet i mężczyzn całego świata, zwraca się do rządów czterech wielkich mocarstw — Stanów Zjednoczonych, Francji, Wielkiej Brytanii i Związku Radzieckiego — które zgodnie z porozumieniem poczdamskim wzięły na siebie szczególną odpowiedzialność w sprawie pokojowego uregulowania problemu niemieckiego.

Światowa Rada Pokoju oświadcza tym rządom, że nadszedł czas, aby w całej pełni i wspólnie odpowiedzialność tę na siebie wzięły. Separatystyczne układy zawarte w Bonn i w Paryżu 26 i 27 maja br., całkowicie sprzeczne z tym obowiązkiem, doprowadziły do jednostronnego uregulowania tego problemu. Układy te prowadzą do odrodzenia militaryzmu i faszyzmu, pogłębiają rozbicie Niemiec i Europy oraz przeszkadzają wszelkim skutecznym wysiłkom, zmierzającym do przeprowadzenia powszechnego rozbrojenia.

Narody zdają sobie dobrze sprawę, że jeśli nie ma niezłomnego postanowienia osiągnięcia porozumienia drogą rokowań, to powstaje niebezpieczeństwo wojny.

Światowa Rada Pokoju uważa za najlepsze rozwiązanie natychmiastowe zwołanie konferencji czterech mocarstw w celu powzięcia wszelkich decyzji, zmierzających do pokojowego uregulowania problemu niemieckiego.

Światowa Rada Pokoju uważa za najlepsze rozstrzygnięcie, aby naród niemiecki w drodze wolnych wyborów przywrócił swą jedność i utworzył własny rząd, który zawrze traktat pokojowy ze wszystkimi państwami, z którymi Niemcy hitlerowskie prowadziły wojnę.

Traktat ten będzie musiał przyznać zjednoczonym, demokratycznym, niezależnym i pokojowym Niemcom przysługujące im prawo do suwerenności.

Traktat ten, na mocy którego Niemcy zobowiążą się, że nie przystąpią do żadnej koalicji wojennej, określi warunki oraz terminy wycofania obcych wojsk okupacyjnych. Traktat ten przyczyni się również do tego, że narody Europy same decydować będą o swym dalszym losie w warunkach bezpieczeństwa, współpracy i poszanowania ich niezależności.

Zwracając się do rządów czterech wielkich mocarstw, Światowa Rada Pokoju zwraca się jednocześnie do narodów wszystkich krajów.

Rada wita z uznaniem wielki ruch opinii publicznej i różne akcje, które rozwijają się niezależnie od granic oraz różnic przekonań lub wyznań, przeciwko niebezpieczeństwu, jakie pociągnęłyby za sobą ratyfikacja i wprowadzenie w życie układów zawartych w Bonn i w Paryżu.

Światowa Rada Pokoju zapewnia o swym poparciu wszystkie kobiety i wszystkich mężczyzn, wszystkich czujnych i odważnych ludzi, wyrażających we wszystkich krajach, a zwłaszcza w Niemczech, wolę zjednoczenia swych wysiłków w celu odparcia tego niebezpieczeństwa, domagających się

aby zdali im sprawę ich władcy, ich przywódcy lub członkowie parlamentów, którzy biorą na siebie odpowiedzialność za wprowadzenie w życie tych układów.

Światowa Rada Pokoju oświadcza uroczyście, że współpraca wszystkich ludzi jest konieczna, aby bezzwłocznie mogła rozwijać się skuteczna akcja.

Światowa Rada Pokoju zwraca się do związków zawodowych, do partii, do organizacji i do kościołów, zwłaszcza w Niemczech, w Anglii, we Francji, we Włoszech, w krajach skandynawskich i we wszystkich krajach sąsiadujących z Niemcami.

Światowa Rada Pokoju zwraca się do dorastającego pokolenia, którego przyszłość byłaby w razie wojny na zawsze zaprzepaszczona. Zwraca się ona do wszystkich tych, którzy zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie zawisło nad ogniskami domowymi wszystkich ludzi na całym świecie, do wszystkich tych, którzy uważają, że katastrofa nie jest nieuchronna i że powaga chwili wymaga największej wiary w zdolność narodów do osiągnięcia porozumienia i znalezienia form wspólnego działania.

Jeśli narody zjednoczą wszystkie swe siły, to zdołają w najbliższych miesiącach przeszkodzić ratyfikowaniu separatystycznych układów i doprowadzić do zwołania konferencji czterech wielkich mocarstw oraz do tego, aby konferencja ta zakończyła się pokojowym rozstrzygnięciem problemu niemieckiego, co odpowiada zarówno wymogom bezpieczeństwa tych narodów, jak i interesom narodu niemieckiego.

HENRYK HUBERT

LENINO

I

Przed bitwą

Czerwonym blaskiem knot się jarzy
w otworze łuski przypłaszczonej
i w głębi chaty zadymionej
mrok nocy płoszy. Płomień gwarzy
i liże ściany, cienie rzuca,
a w piecu węgle żarem tlące,
cichutkim sykiem pękające,
żołnierskich suszą rząd onucy.

Na rozsypanych wiązkach słomy
rzuconych na podłogę chaty
śpią twardym snem zwiadowcy — chwaty.
Jak pod ojczystą strzechą domu,
jakby po dnia rzetelnym trudzie,
o duszach czystych, sercach hardych
przed dnia nowego znojem twardym
w czas sianokosów spali ludzie.

I jakaś błogość serce stapia
w tę moją pierwszą noc frontową,
że wspólnie szynel mam pod głową,
że wspólnie odczytana mapa.
Tak jak rycerskie pasowanie
otwiera mi żołnierską drogę,
że czapka z orłem tkwi nad progiem
obok tych z gwiazdą czap na ścianie.

Ciszę frontowej wsi Puziki
kaemu seria czasem zmąca
z oddali, jakby ktoś z niechcąca
akord bitewnej wziął muzyki.
Skręt machorkowy parzy palce,
gdzieś tam harmonia tęskni nutą,
pewnie nadejdzie wkrótce pluton.
I wkrótce czas nadejdzie walce.

Narasta szum za chaty ścianą,
nadchodzi widać pułk piechoty
miętosząc białoruskie błoto,
drogę kołami rozoraną.

Chlapiące końskich nóg klaskanie
przeciąga w chrzęście zbrojnych jaszczy,
by na pozycjach armat paszcze
stanęły zanim świt nastanie.

Ten gwar żołnierski, taki swojski,
I wzrusza i za serce chwyta,
Pierwszego boju dzień zaświta
dla pułków 1-ej Kościuszkowskiej.
I jakoś mocno serce bije
ojczystych dziejów nową kartą:
że brzask poranka wita wartą.
Że „nie zginęła", że jest! Żyje.

Wtem przez otwarte drzwi chłód powiał
zatańczył ognia cień na ścianie
i krótki raport, powitanie.
Cisną się chłopcy w światła owal.
Gwar głosów w szept się zmienia, milknie,
by uszanować spokój śpiących.
Stół, w kręgu lampy migającej
wnet pokrywają mapy, cyrkle.

Napięty karton na planszecie,
pocięty iksów kratownicą,
nim zagadały w głos haubice
i zanim poszła wieść po świecie
zadrżał jak ziemia pod wybuchem,
gdy gryfel w topografa palcach
wyznaczał działom cele w walce
wprawnym i mądrym dłoni ruchem.

Półgłosem biegną słów szeregi
działa i gniazda, iks i ygrek.
Nowe współrzędne, cyfry, cyfry
haftują karton drobnym ściegiem.
Kreski, kółeczka, kropki, kreski
jutro się zmienią w gruz ruiny,
w miażdżących czołgów koleiny —
dziś przyszłej walki tworzą freski.

Czerwonym blaskiem knot się jarzy
w otworze łuski przypłaszczonej
i w głębi chaty zadymionej
mrok nocy płoszy. Płomień gwarzy
i cienie rzuca, ściany liże,
sen z rozpalonych spędza powiek.
By wolnym był w ojczyźnie człowiek
basem przemówią jutro spiże.

Zahuczą działobitnie chórem
posłuszne spracowanej dłoni.
„Agoń!“ A w ślad już „Ognia!“ goni.
Ładunek, cel, szarpnięcie sznurem.
Z uralskiej rudy cięte lufy
twarde, jak syberyjscy drwale,
biją dokładnie, cal po calu
w rękach żołnierzy z Łodzi, z Ufy.

Za ogniowego wału ścianą
ruszą do szturmu bataliony
i czołgi pójdą zapylone
stalową bryłą, jak taranem...
Biegiem w dolinę. Już przeprawa...
Wbród przez Mierei dno bagniste...
Do wzgórzy metrów pięćset... trzysta.
I ogniem wesprze „sąsiad z prawa“.

Pod górę pójdzie tyraliera...
kaemy warkną długo, długo...
rakieta błyśnie żółtą smugą
i „sąsiad z lewa“ ogniem wspiera.
Sucho zaklaszcze rój moździerzy
i miny zryją bojowisko
i gradem sypną się pociski
i za „Urraa!“ — „Hurraa!“ pobieży...

Dziś topografów trud skończony,
już cień znurzenia okrył twarze,
już knot się jakoś bladziej jarzy.
Czekają sztaby w dywizjonach.
Radosny błysk żołnierskich źrenic
to znak, że rozkaz wypełniony.
Czas na spoczynek zasłużony
nim ranek pocznie się rumienić.

Jak dobrze jest przez chwilę poczuć,
że w tym, co nowy dzień obwieści,
i mój niewielki wkład się mieści,
by mógł się bój zwycięsko toczyć.
Wnet do baterii ruszą gońcy
dowódcy chciwie chwycą dane.
Zadanie będzie wykonane,
gdy świt rozwieje mroki nocy.

* * *

Czerwonym blaskiem knot się jarzy
w otworze łuski przypłaszczonej

i w głębi chaty zadymionej
mrok nocy płoszy. Płomień gwarzy.
Na rozsypanych wiązkach słomy
bratersko głowy śpiących wsparte
i „starszyny“ i tuż sierżanta,
wspólnego losu znak widomy.
Księżyc gdzieś za chmurami zginął.
Przed snem machorki haust ostatni.
Na białoruskiej ziemi bratniej
łuna płonęła nad Lenino...

Bitwa

Świt szedł i w rosie i mgle —
Zziębnięty, październikowy.

Niewyspane i złe
Dymiły kuchnie polowe.

W sztabowej ziemiance chłód
garbił się nad telefonem.

Kogoś po kątach rozstawiał
Szef sztabu dywizjonu.

W centrali dyżurni łączności
Zatabaczeni, ochrypli
Powtarzali bez końca:
Słyszysz mnie? „Kontrol linii“.

Biegły po drutach rozkazy.
Sprawdźcie, jak tam „Ogniowa“,
„Wisła“. Co u was? Gotowe?
Zamelduj — bateria gotowa.

A na pozycjach działa
Rozkraczone i nieme
Tęgo wparły się w lepką
I rozkopaną ziemię.

Chłodny jest dotyk metalu
W szorstkiej ręki uścisku.
Pieszczotliwie pogładził
Żołnierz głowicę pocisku.

II

Ogniostrzelną nawałnicą
Rozpędzone, rozdudnione
Biją działa, działa biją
Rozpętane, rozwścieczone.

Ogniem, który piersi dusił,
Lata całe serca spalał
A w październik rewolucji
Świat wyklętych z pęt wyzwalał,
Ogniem z krzywdy buchającym
Z chłopskiej i fabrycznej nędzy
Z barykady konającej
Z pieśni co powstała w męce
Za przelane strugi łez
Polskiej i radzieckiej krwi
Płonie pod Lenino front!

Na wzgórzach za doliną
Biegł czarnych rowów rząd,
Na wzgórzach za doliną
Był faszystowski front.

Przez dolinę, przez wzgórza,
Przez białoruskie błota
Do Kraju wiodła droga
Żołnierskiej krwi i potu.

Najeżony szyk piechoty
Szedł w dolinę groźną ławą
Równaj szereg! Przyśpiesz kroku!
Naprzód chłopcy! Za Warszawę!

Gęsto w dół po rżysku
Wali tyraliera
Zamigoce polski bagnet
Jak w ojcowych dziejach.

Choć na pewno niejednego
Z ewidencji szef wykreśli...
Popróbują naszej stali —
To już nie we wrześniu!

Tam gdzie ciągną się szańce
Tam gdzie wrogie transzeje
Chmarą rwą się pociski
Za bagnistą Miereją.

Lawą ognia płoną wzgórza
Faszystowskie pęka brzemię
Wrogom już niedługo deptać
Ciebie, białoruska ziemio!
Stalinowskim pójdą marszem
Z gwardyjskimi polskie wojska
Już niedługo Twojej męki
Z ziem najmilsza — Ziemio polska!

Wszystko zmiata na swej drodze
Niewstrzymany grąd stalowy
To najmilszy druh piechura
Wał ogniowy.
A tuż za nim rwą pod górę
Skok za skokiem bataliony
Już opada deszczem ziemia
Gardło gryzie dym skłębiony.

Nic to, że śmiercią bluznęły strzelnice
Nic to, że kule już szczerbią szeregi
Naprzód chłopcy!
Biegom! Riebiata!
Biegiem!

Dopadli zziajani
Pot oczy zalewa
W rozryte transzeje
Wybuchów zarzewia...
Pobiegli wzdłuż rowów
Torując swą drogę,
Bagnetem i kolbą
W pogoni za wrogiem.
W piach butem wdeptali
Mitraliez złe pyski
Krew z twarzy otarli
Zranionej odpryskiem.

Znów zwinął się szereg
Jak kłąb sprężynowy
By znów na znak szturmu
Na szańce biec nowe,
I w takt rozszalałych
Seriami kaemów
Znów naprzód pobiegli
Zraszając krwią ziemię
Pod deszczem świszczącym
Palącej, złej stali
Za wałem ognistym!
Dalej!

III

Przez dymiące zgliszcza
W opłotkach Trygubowej
Żyły kabla rozwijał
Telefonista sztabowy.
Rozkaz brzmiał krótko i prosto:

Dać łączność naszej piechocie.
Więc ciągnął kabel przez wiorsty
Pod ogniem, w wodzie i błocie.

Szedł, padał, znów biegł naprzód
Choć nieraz szrapnel wybuchał,
Szarpnęło połę odłamkiem,
Kula gwizdnęła nad uchem.
Biły kaemy nad głową.
Bęben na plecach ciążył,
Na pierwsze zadanie bojowe
Szedł telefonista Książek.

Swoi byli daleko —
Trzaskały serie na wzgórzach
W błocie bagnistej rzeki
Rozbity czołg się nurzał...
Przycichły nasze baterie
Nowych szukając celów
Gdy niebo zasnuły roje
Warczących wściekle „messerów".

Sępi krąg zakołował,
Zawisł na chwilę bez ruchu,
Zakrakał śmiercią nad głową
Gruchnął setkami wybuchów.
Przywarła do ziemi piechota
W glinę wtulając kaski
Zawzięte działka p-lotu
Ujadały w lasku.

Mocno tętniły skronie,
Coś w gardle jakby dławiło.
Wtem wybuch miny! Koniec?
Nie! Naprzód! Było nie było!
Wiruje wściekłe żelastwo —
Śmierć tylko w Książka mierzy —
Czy szkoda życia? Szkoda!
Czy naprzód? Naprzód żołnierzu!

Ciężko stąpają nogi
Dźwigając gliny pół puda.
Czy dojdzie Książek do swoich?
Dojdzie! Musi się udać!
Droga każda sekunda
Droga każda minuta
Walka wre w Trygubowej
Bojowym dymem zasnutej.

Odpiera kontrnatarcia
pod nalotami „messerów“
Krwawiąca i uparta
Kompania fizylierów.

Mnożą się wraże ataki
Pociski kończą się w dyskach
Dowódca ręką zranioną
Niemą słuchawkę przyciska...

Przyśpiesza Książek kroku
Bęben kabel rozwija
Śmiałego bagnet nie bierze
Śmiałego kula omija.

Serie kaemów,
Bieg
Skok
Przypadł do ziemi
W rów
W bok
I naprzód
I naprzód
I prędzej
I prędzej
Mocno uderza
Żołnierskie serce.....

Dotarł w rozgwarze
wrzawy bitewnej
Przewody w ręce
Szybkie i pewne.....

Ożyła linia,
Pobiegły słowa —
Dajcie mi ognia!
Dajcie mi ognia!
„Ogniowa!“
„Ogniowa!“
„Ogniowa!“

Znów przemówiły baterie,
Nowe padają rozkazy.
Salwami, salwami ognia!
Razem!!

Szybko zmierzch zapadał.
Jeńców długi szereg
Wlókł się polną drogą
Pod strażą fizylierek.

Znikły korsarskie eskadry —
Cisza w bateriach ukrytych —
Okopywał się piechur
Na pozycjach ciężko zdobytych.

IV

Noc pochmurna i mglista
Wpełzała pod płaszcz — pałatki
Przywarły czujki w okopach
Do kolb zziębniętych i gładkich.
Grzały się ręce zgrabiałe
Nad termosami z jadłem,
Gwarzyło się o boju,
O towarzyszach, co padli.

Ten kto zgięty kark wyprostował
Pod kołchozowym niebem
Kto godność ludzką odnalazł
W radzieckiej soli i chlebie
Komu pieśń o Ojczyźnie
Piersi prężyła dumnie
Kto karabin miał w garści
Ten już karku nie ugnie.

„Towarzyszu Dowódco Frontu"
Szef Sztabu, jak zawsze rzeczowy,
Składał specjalny meldunek,
Specjalny meldunek bojowy:
„Pierwsza Polska Dywizja
Przy artylerii wsparciu
Złamała obronę n-pla
Na całym odcinku natarcia"...

Na wielkiej mapie frontu
maleńki napis — „Lenino"...
— Mówi Kreml:
Łączę z Towarzyszem Stalinem...

Henryk Hubert

WIKTOR WOROSZYLSKI

MIASTO W NOCY

Nieruchoma ciemność wokoło —
ale krew tętni w żyłach miasta.
Tak pod drzewa chropawą korą
w nocy sokiem nabrzmiewa miazga.

W każdym z domów milczących — ciżba
spraw jutrzejszych, zgiełkliwych zdarzeń.
Tylko progów ich strzeże cisza,
cisza tak ogromna, że zda się —

nawet ziemi — pękatej dyni —
jednostajne słychać obroty.
Takim snem może spać jedynie
po dniu pracy miasto-robotnik.

Łódź 1952

Wiktor Woroszylski

WANDA KARCZEWSKA

LIST Z ŁODZI

O, drodzy moi, z wami dziś rozmawiam,
bracie Józefie, matko Bronisławo,
gdy ludzie wyszli na ulice miasta,
a dzień lipcowy wezbrawszy potokiem
sztandarów, w rzekę łopocącą wzrasta,
i śpiew podpływa do najwyższych okien.

Ja teraz mieszkam w zadymionej Łodzi,
ale o zmroku wąziutką uliczką,
kiedy na niebo bezchmurne wychodzi
księżyca jasne i młodziutkie liczko,
chodzę do parku; jak u nas nad Prosną
od mokrej kory powiewa goryczką,
cienie wysokie od księżyca rosną,
czasem gdzieś w matki ramionach zapłacze
dziecko uśpione, a w alejach młodzi
kryją swe pierwsze, miłosne rozpacze.
Tu robotnica na wieczorną zmianę
spiesząca, chwilę oddycha zielenią
i twarz jej tylko jasna w mroku świeci,
gdy z miłym swoim szepce pod kasztanem,
a chód maszyny z fabryki naprzeciw
pulsuje równo jak krwi uderzenia.

U nas, w Kaliszu, przy domu w ogrodzie
ojciec posadził śliwy i czereśnie,
zmilkł tylko odgłos, co nas budził co dzień:
młoty bijące za ogrodem w kuźni.
I ojciec z krzykiem nie zrywa się we śnie,
imion umarłych nie wzywa na próżno.

Kochani moi — i wy byście miarom
i kształtom dawnym umieli zaprzeczyć,
gdybyście mogli ojca piękną starość
dzisiaj zobaczyć. Jak bardzo człowieczym
stał się ten, który mówił wciąż „ja", „moje",
a nagle, wielką uniesiony falą,
zebrał swe skarby — młoty i maszyny
i z nimi razem oddał serce swoje
rzeczom publicznym. One w nim zbudziły
jemu samemu wpierw siły nieznane
i umiejętność dały przewodzenia
ludziom i sprawom, myśl obywatelską.

On jest jak z tamtej epoki żaglowiec,
co na spoczynek odchodząc po bitwach
nagle zawraca, wszystkie płótna wznosi,
i w naszej walce razem z nami wytrwa.

I mnie, co dobrze gorycz samotności
poznałam — życie dało wdowi grosik:
umiem być pośród przyjaciół szczęśliwa.
Tylko mi nieraz tak szkoda ogromnie,
gdy jasność wielka na niebo wypływa,
że was tu nie ma w tej chwili koło mnie,
że wyście marli z rozpaczą w ciemności,
bracie Józefie, matko Bronisławo,
których wchłonęła otchłań oświęcimska
za rzecz wolności i — za moją sprawą:
za zamilczenie przed lufą Gestapo
mego nazwiska.

Wanda Karczewska

STANISŁAW ZIELIŃSKI

RODACY

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wprost z dworca skierował się ku rzece. Był wysoki i nosił czarny skórzany płaszcz. Szedł krokiem typowym dla tych wszystkich rosłych blondynów, którzy przez wiele lat spędzali przechodniów z chodników europejskich miast.

Minął średniowieczny ratusz z zegarem wskazującym godzinę ostatniego nalotu i zanurzył się w cień krętej uliczki. Dwupiętrowe bliźniacze domy. Szare mury rozjaśnione strzałami zbiegającymi się przy otworach piwnic-schronów. W otwartych oknach poduszki i pierzyny w kraciastych, koszarowych powłoczkach. Wyblakły szyld: — OWOCE — WARZYWA — POŁUDNIOWE OWOCE. W pustym sklepie zadumany sprzedawca. Przy drzwiach emaliowane tablice: — MASŁO — SER — JAJKA — CHLEB — BOCZEK — KIEŁBASY — PIWO (tylko w butelkach!) — KARTOFLE — RYBY. Solidne nagrobki sprzedawanych niegdyś towarów. Cmentarz dobrobytu. Natchnienie wspomnień zaczynających się od słów „przed wojną..."

Cisza. Z daleka dolatuje głuche wang-wang-wang. To pociąg oddala się na północ i dudni po żelaznym moście. Ani ludzi, ani głosów. Senne południe. Dopiero na rogu gromadka ciemno ubranych kobiet. W pośpiechu ustawiają się przed czarną deską z napisem: — MAISGRIES eingetroffen! Sklepikarz rozdaje ulotki pouczające, jak z amerykańskiej kukurydzy przyrządzić włoską potrawę „polenta". Z niedomkniętych kuchen snuje się zapach kapusty.

— Obrzydliwe... — mruczy mężczyzna w skórzanym płaszczu. — Wpędzili nas w nędzę.

Z okna wychyliła się dziewczyna w czerwonym szlafroku. Zatrzymał się.

— Nie zdąży pan przejść przez most. Statek nadpływa. Trzeba zaczekać z pół godziny.

Ruszała szczękami jakby przeżuwała leniwie wypowiedziane słowa.

— O, znów... — Urywanie odezwała się syrena holownika. Dziewczyna przyglądała się spod opuszczonych rzęs stojącemu pod oknem mężczyźnie. Teczka ze świńskiej skóry świadczyła, że w nowych warunkach radzi sobie nienajgorzej. — No?

— Zaczekam.

— Gdzie? — uśmiechnęła się.

— Na brzegu — odburknął. — Skąd tyle paskudztwa? — mruczał odchodząc. Nie znosił brunetek o białej cerze. — Po Francuzach?

Dwaj robotnicy rozsunęli już pontonowy most, by przepuścić holownik ciągnący barki. Mężczyzna oparł się o kamienną balustradę. Rzeka płynęła ospale w korycie kamiennych brzegów. W ciemnej, połyskującej smarami wodzie odbijały się wypalone mury zbombardowanej fabryki. Ocalał szyld w kształcie kokardy. „Światowej sławy wytwórnia zabawek. Lalki z drzewa, szkła, skóry, masy papierowej, porcelany i odpadków".

— Już w czternastym wieku wyrabiano tu zabawki? — Zdziwił się mężczyzna. — Nadzwyczajne!

Zdjął kapelusz. Wiosna tkwiła jeszcze w nierozwiniętych pąkach drzew, lecz słońce przygrzewało mile. Nadpłynął z szumem holownik. Fala spłoszyła obraz ruin. Zachrobotały rozkołysane pontony. Na wodzie kładł się gęsty dym.

Na barce, tuż koło uchylonych drzwi kabiny, młoda kobieta obierała kartofle. Jej bielizna suszyła się na sznurze. Pod niebieską koszulką siedział alzacki owczarek. Mężczyzna mimo woli gwizdnął. Pies podniósł głowę i nastawił uszy.

— Podobny do mojego.

W chwilę później złączono kładkę i mężczyzna przeszedł na drugi brzeg. Tu pustka była jeszcze przeraźliwsza. Przez otwory okienne przeświwitywało niebo i tylko szelest zsypującego się gruzu towarzyszył szybkim krokom.

Mężczyzna szedł coraz prędzej. Uliczka zwęziła się do ścieżki wśród usypiska pokruszonych ścian. Wieża kościelna sterczała nad ruinami, podobna do uschłego drzewa, które wichura odarła z gałęzi. Właśnie ku niej zmierzał. Wreszcie szyny tramwajowe. Skręcił w lewo. Tuż za rogiem siwy człowiek zbierał kartofle w melonik. Mruczał:

— I tu jeden, a tam drugi. O, jest i trzeci! Gdzie krótko, tam się rwie.

Zapytany o drogę, pokiwał głową.

— O, wiem, wiem. To niezbyt daleko, choć poza miastem. Dawniej można było dojechać tramwajem lub autobusem. Szczęście, że pańscy znajomi nie mieszkali tutaj. — Powiódł ręką po ruinach. — Czy to nie jest dziwne? Niechże pan sam powie!

— Brak komunikacji? — Przybysz roześmiał się głośno. — No, no!

— Nie. Zburzono całą dzielnicę po to tylko, by trafić fabrykę zabawek. A tymczasem, tamte zakłady ocalały.

— Jakie zakłady?

— No, te za miastem. — Spokojnie wyjaśnił staruszek. — O, zlatują się gołębie. Czas! Chodźmy.

W głębi ulicy stał dwukołowy wózek. Staruszek wrzucił kartofle do worka i nałożył melonik.

— Zaopatruję „Echternkeller". Jedyna zresztą restauracja w tej części miasta. Dziś będzie na obiad... — Zastanowił się marszcząc brwi. — Aha! Zupa jarzynowa albo grochówka. Niemiecki befsztyk z kartoflami, kawa oraz 50 gramów chleba. Sześćset kalorii za jedną markę! Można napić się piwa, lecz to osobny rachunek.

— Nie jestem głodny. Chętnie ogoliłbym się. Czy jest tu fryzjer?

— Oczywiście. Następny dom za restauracją. Nie jest pan głodny? A mnie już kiszki trąbią na kolację! He, he! Nie, praca nie ciężka. Wystarczy ręką pchnąć i wózek toczy się sam, lecz trudno o smar do kół. Bieda z tłuszczem, *Saperment!*

Kapusta spadła z wózka. Przystanęli. Mężczyzna w płaszczu spytał:

— Co robiliście przedtem?

— Przedtem? To bardzo trafne określenie! Przedtem — robiłem szelki. Pan się śmieje? Naprawdę! Proszę pokazać swoje. Ocenię w mig, ile warte i z jakiej wyszły pracowni.

— Zamieniliście szelki na wózek? Zabawne. — Mężczyzna w płaszczu poczuł nagły wstręt do rozmownego staruszka. „Czy ten zidiociały popychacz wózka nie odczepi się nigdy?" Najprościej byłoby przyśpieszyć kroku, ale człowiek w meloniku działał jak samotne drzewo na początkującego cyklistę. Nie sposób ominąć. Więc rozmowa toczyła się dalej.

— Przy fabryce zabawek wyrabiano również szelki. Skoro spaliła się fabryka, cóż po człowieku, który w niej pracował? Poza tym nie miałem gdzie mieszkać, kiedy powróciłem. Właściciel restauracji pozwolił nocować u siebie, więc po namyśle zgodziłem się i przyjąłem posadę. Pchanie wózka nie wymaga ani dyplomu, ani prawa jazdy. Mieszkania żal, ale czy to takie ważne?

— Spaliło się?

— Nie. Nawet meble ocalały, kiedy wróciłem nie brakowało jednego garnka. To bardzo porządny dom. Grube mury, wysokie pokoje, a na schodach ręcznie rzeźbione poręcze! Od strony rzeki, może pan zwrócił uwagę, jest tablica wmurowana ku czci Goethego. Głowa poety otoczona wieńcem wawrzynu, a pod nią byk pasący się na trawie. Zapewne zna pan tę historię? Otóż podczas oblężenia Moguncji Goethe chciał wypróbować swoją odwagę. Pojechał więc na pole bitwy, gdzie gęsto padały pociski. Francuzi zamknięci w twierdzy razili celnym ogniem oble-

gające wojska. Granaty rozrywały się wokół. Goethe wstrzymał konia, popatrzył i — zawrócił. Nagle dostrzegł na łące byka, który najspokojniej w świecie szczypał trawę, jakby nie było wojny, huku, dymu ani ognia. W jakiś czas potem Goethe zatrzymał się w naszym mieście i właśnie w tym domu nad rzeką opowiedział swoim przyjaciołom całą przygodę. Dla jej upamiętnienia ufundowano tablicę. Historyjka znana. Przed wojną każde dziecko umiało ją na pamięć. Uczono w szkole. Dziś koło domu jest most pontonowy.

— Człowieku! — krzyknął mężczyzna z teczką. — Co to ma wspólnego z twoim mieszkaniem?!

— Jakto co! Przecież w tym domu mieszka córka! Otóż, gdy wróciłem, córka zastawiła stół jadłem, zagrzała wody do kąpieli i pozwoliła zmienić bieliznę. Siedziałem i myślałem, jak to dobrze mieć własny kąt, córkę i wełniane skarpetki. Nagle powiedziała do mnie: „Chodź, *Vati*, musisz już iść". Wzięła mnie za rękę i wyprowadziła na ulicę. „Idź już, idź" — oparła rękę na ramieniu i lekko popchnęła w stronę rzeki. Nim oprzytomniałem zawróciła się na pięcie i zniknęła na schodach. Rozwścieczony waliłem pięścią w drzwi i kopałem nogą. Odpowiedziała spokojnie. „Niczego się nie nauczyłeś staruszku. Przecież dasz sobie radę. Coś wymyślisz!" Wybiegłem na ulicę i złorzeczyłem, ile starczyło tchu. Otworzyła okno. „Czyż nie rozumiesz? Potrzebna mi jest sypialnia i salonik. Trudno, ale nie mogę pozwolić, żebyś siedział w kuchni i wypłaszał moich gości niezdrowym pokaszliwaniem". Istotnie byłem wówczas zaziębiony.

— Nie mieliście sił, by zrobić porządek z tym pomiotłem? — roześmiał się idący obok wózka mężczyzna. Był szczerze ubawiony.

— Bałem się. Zagroziła, że oskarży mnie przed Amerykanami. Pochwaliła się znajomością z komendantem miasta, który odwiedzał ją samochodem. Odszedłem.

— Idiotyzm! Trzeba było poszukać tłumacza i całą sprawę przedstawić Amerykaninowi.

— To nie takie proste, jakby się wydawało na pierwszy rzut oka. Cóż wart tłumacz wobec młodej kobiety w czerwonym szlafroku? Niechże pan sam powie! Zresztą powiedziała wyraźnie: „Nie pokazuj się więcej, bo zamelduję, żeś siedział za komunizm!" Moja córka nie rzuca słów na wiatr.

— A więc to tak...

— Wczuwa się pan w moje położenie! Wszyscy wiedzieli, że spędziłem dziesięć lat w obozie. Może pan słyszał? Dachau.

— Za co umieszczono was w obozie? No!

Staruszek zatrzymał wózek. Patrzył na mężczyznę w płaszczu i marszczył brwi. Powiedział:

— Głos jakby znajomy, ale twarz obca. Widzę pana pierwszy raz w życiu, ale głos?

— Słyszeliście? Pytam, za co zamknięto was w Dachau!

Ruszyli w dalszą drogę. Staruszek uśmiechnął się.

— Słyszałem, oczywiście, lecz zastanawiam się nad odpowiedzią. Mówią ludzie: szewc bez butów chodzi. I mają dużo słuszności. Uszyłem tysiące szelek a nie pomyślałem o własnych! Wkrótce po wprowadzeniu nowej flagi ze swastyką przyjechał do nas Hitler na poświęcenie fabryki gazów trujących. To właśnie te zakłady za miastem, o których panu wspomniałem. Wspaniałe zgotowano wodzowi przyjęcie. Miasto — jedna czerwień! Chorągwie, transparenty, girlandy ze świerków, wojsko, policja, młodzież, partia! Wszyscy w gali, wszystkie okna zamknięte, psy na smyczy i w kagańcach. Uroczyście i porządnie. My, szelkarze staliśmy tuż obok młodzieży, za kordonem miejscowych SA. Huknęły fanfary, słychać komendy, ludzie podnoszą ręce, dzieci z przedszkola wołają: „Jedzie, jedzie wujek Adolf!" Nagle czuję, jak spodnie minęły kolana i oparły się dopiero na kostkach! Schyliłem się prędko, ale starego majstra zawsze ciekawi, co też takiego się stało? Czy guma sparciała do reszty, czy może pot nici przeżarł? Co u licha? Nie namyślając się długo odwróciłem się i zbieram z chodnika kawałki szelek. „W domu dojdę przyczyny" — postanowiłem. Gdy wyprostowałem się mijały nas samochody eskorty jadącej za wodzem. Razem z komendą „spocznij" dopadli mnie dwaj policjanci. Wepchnęli do samochodu i powieźli do siebie. „Dawno mieliśmy cię na oku, ty bezpartyjna świnio!" — powitał mnie szef. Tłumaczę, że mojej winy nie ma, bo szelki... Zaczęli bić. Ech, tak bili, że... — staruszek westchnął i pokręcił głową — wstyd się przyznać, umazałem się cały...

Mężczyzna parsknął śmiechem.

— Mów dalej, stary durniu, to przecież opera komiczna!

— A tak. Oni też zaśmiewali się do łez i tłukli mnie, ile wlazło. „Wybawimy cię z kłopotów! — powiedział pewnego dnia szef. — Zapomnisz o szelkach!" Podleczyli i odesłali do obozu.

— Na dziesięć lat? Niemożliwe.

— Próbowałem uciekać... Złapali.

Gdzieś poza miastem odezwała się syrena. Przeraźliwy, zawodzący ryk powtórzył się trzykrotnie i ucichł. Wózek zatrzymał się przed wejściem do piwnicy, nad którym widniał napis „Echternkeller". Staruszek zdjął worek i uśmiechając się do swych wspomnień mówił:

— Dziś mnie to bawi. Jak sobie przypomnę, też nie mogę powstrzymać uśmiechu. Hitler jedzie, bębny warczą, piszczałki uszy przewierają, a ja, jeden jedyny, wypinam tyłek i świecę kalesonami z trykotu. Gdzież pan ucieka? Fryzjer siedzi w restauracji! Przecież huczała syrena! Przerwa obiadowa, święto ludzi pracy!

Mężczyzna w czarnym płaszczu zatrzymał się. Rzeczywiście, zamknięte. Zawrócił. Staruszek jadł chleb z marmoladą.

— Ubawiłeś mnie dziadziu! Dawno tak się nie śmiałem! — poklepał staruszka po ramieniu i zeszedł do piwnicy. Spojrzał na kartę i krzyknął na kelnera: „Piwa!"

Z kuflem przyczłapał właściciel.

— Czy szanowny pan każe również obiadek podać? Nie? Polecam kartoflaną sałatkę! Też nie? Mogą być grzaneczki z chleba? O, serdeczne dzięki! — wyłuskał zręcznie papierosa. — Tak, tak, czasy. Dawniej więcej zostawało na talerzach, niż teraz podaje się do stołu. Ach, *Gott!* Ja nie tracę nadziei, że powrócą dobre czasy i każdy Żyd będzie znał swoje miejsce! — dodał ciszej.

Mężczyzna w płaszczu kiwnął głową. Podsunął znów amerykańskie papierosy. Zapytał:

— Kto to jest ten staruszek, który przywozi panu żywność?

— Staruszek? Szanowny panie! Jestem od niego co najmniej dziesięć lat starszy, a jeszcze nie pozwalam siebie staruszkiem nazywać, he-he, nie, nie! Ma najwyżej czterdzieści pięć lat, może trochę więcej, koło pięćdziesiątki... Tani pracownik, więc nie wglądam w jego przeszłość. Różnie o tym mówią. Ja panu powiem tylko jedno: jak tam było, tak tam było, ale bez powodu nie trzymaliby go dziesięć lat w obozie. Coś musiało być. Teraz prowadzi się przyzwoicie, nie można powiedzieć inaczej. Co tam takiego? Przepraszam pana najmocniej!

Po drugiej stronie sali, pod piwnicznym bielonym sklepieniem, siedziało trzech robotników nad talerzami z grochówką. Czwartym przy stoliku był młody blondyn o dziecinnej twarzy bez cienia zarostu. Metalowe kule stały pod ścianą. Prawa nogawka zeszyta wysoko, widać nogę amputowano powyżej kolana. Pochylony kelner przesuwał palcem rozłożone na stole miedziaki.

— Raz jeszcze mówię, brakuje piętnaście fenigów!

— Była cała marka! Musi być! Zaraz... — blondyn zanurzył rękę w kieszeni. Raptem poczerwieniał. Z dziurawej marynarki wysunęło się pudełko zapałek, a za nim — palec. — Kasa oszczędności, do diabła! *Sacra!*

— No, przyjacielu, kto miał rację? — Odezwał się triumfująco właściciel. — Co ci podać chłopcze?

— *Also*, zupa i podwójna porcja chleba.

Mężczyzna w płaszczu sięgnął odruchowo do kieszeni, lecz rozmyślił się i przywołał właściciela. Zapytał półgłosem:

— Żołnierz?

— Oczywiście. Jedna noga prawie do biodra, u drugiej palce. Generał Mróz!

Rosły blondyn odsunął kufel. Przymrużył oczy. Obraz rosyjskiej zimy pojawił mu się przed oczami. Scena za sceną, jak film puszczony w wariackim tempie... Drogi w głębokich wykopach, przestrzeń ziejąca lodowatym powiewem, siny odblask śniegów i wielkie tablice strzegące wyludnionych wiosek. *Partisanen Gebiet*. Wzdrygnął się. Otworzył oczy. Rumiany właściciel jadłodajlni uśmiechał się niepewnie.

— Co pan każe?

— Chciałbym opłacić obiady dla tego inwalidy. Powiedzmy za jeden miesiąc... Kolega... Jestem w lepszym położeniu od niego.

— Ależ oczywiście! Jak najchętniej! Razem z rachunkiem? Rozumiem, dyskretnie, tak, oczywiście... Rozkaz panie... — utknął bezradnie — panie szanowny... — dokończył smętnie. Ci zdrowi ludzie w cywilnych przebraniach zwykli dopowiadać chełpliwie stopień i odznaczenia. Ten jednak milczał. Więc pomyślał „SS" i odszedł.

Inwalida mówił do siedzącego naprzeciw robotnika:

— Postaraj się o kawał drutu. Muszę zrobić sobie przyrząd do podnoszenia węgla. Zanim przykucnę i wpakuję do plecaka jeden kawałek, to dzieci wyzbierają do czysta wszystko, co tylko spadło z wagonów. Dziś ledwie pół plecaka... A zamówień mam na 100 kilo co najmniej!

— Powinieneś plecak powiesić na brzuchu, a węgiel zbierać taką siatką, jaką się ryby wyjmuje z basenu. To będzie dobre, nie?

— Ach, człowieku! Żeby to wszystko raz już diabli wzięli! Żyć nie można i zdychać nie dają. Wyrobił nam Hitler emerytury! Gotów jestem uwierzyć w piekło, bylebym mógł zobaczyć tego pokurcza podpiekanego na wolnym ogniu! I żeby go Żyd smalił w mordę co trzy minuty! No, tej zupy też dają coraz mniej...

Gdy ucichł śmiech, odezwał się mężczyzna w płaszczu.

— Kolego, nie ty jeden straciłeś nogę. Rozumiem, że przeklinasz kalectwo, ale pamiętaj, Niemcy ci nogi nie zabrały! Wróg ją zabrał! Ale przyjdzie jeszcze czas, że będą musieli płacić za wszystko! I za twoje kalectwo też! Cierpliwości tylko...

Pogróżka nie zrobiła takiego wrażenia, jakiego się mężczyzna w czarnym płaszczu spodziewał. Inwalida uśmiechnął się drwiąco.

— Ładnie powiedziane. Z mojego rocznika co trzeci zabity albo okaleczony tak jak i ja. Pięć i pół miliona kosztowało nas takie gadanie. Liczę tylko zabitych. W tamtej wojnie prawie dwa miliony. Dla mnie wystarczy, a dla was?

Robotnicy roześmieli się. Mężczyzna zapalił papierosa. Powiedział spokojnie:

— Znałem kaprala, któremu amputowano nogę i rękę. Gdy leżał w szpitalu, odwiedził go generał i spytał, czego żałuje więcej: nogi czy ręki. Kapral tak odpowiedział: „To nie jest najgorsze. Inna rzecz mnie trapi. Dowodziłem plutonem saperów. Nie wrócę do nich. Kto tam teraz jest z nimi?" To jest prawdziwy duch naszej armii! Zapamiętaj jeszcze jedno, gdyby nie klęska, żyłbyś wygodnie otoczony szacunkiem narodu!

— A to już na pewno prawda! Powiedzcie, panie kolego, gdzie podziali się wszyscy poparzeni miotaczami płomieni? Hę? W szpitalach leżeli osobno. Żandarmi pilnowali drzwi. A potem znikli. Ani jednego nie spotkałem. Dlaczego? Bo Hitler się nimi zaopiekował! Szpryca i *ab*!

— Musicie zrozumieć...

— *Kein Mensch müss müssen!* Gdybym swej dupy nie szanował, to bym ci zaraz pokazał, gdzie mam Hitlera i jego kuzynów!

Mężczyzna wstał. Poprawił szybko płaszcz i zapłacił za piwo.

— A z tymi obiadami, to jak, proszę szanownego pana...?

Właściciel restauracji zacierał ręce i z niepokojem wpatrywał się w pociemniałą twarz nieznajomego gościa. — Bo w rachunku poleciłem umieścić...

— Precz! — syknął nieznajomy.

— Opuszczasz nas, ozdobo armii? — krzyknął inwalida.

Mężczyzna zatrzymał się na schodach. Robotnicy zbierali się do odejścia. Patrzyli w milczeniu na nieznajomego. Wreszcie jeden wyciągnął z kieszeni dłuto. Przybysz trzasnął drzwiami na pożegnanie. Restaurator podbiegł do inwalidy.

— Przychodź na obiad, chłopcze! Jakby ci jutro znów brakło parę fenigów nie przejmuj się. Ja poczekam! Patrzcie panowie, co za świnia! Myśli, że tu esesmańskie kasyno! A tfu! — krzyknął upewniwszy się, że nieznajomy zamknął drzwi. — Dziękuję ci, Gundlach, popędziłeś łobuza. Bałem się, że bez awantury nie obejdzie się... No, no...

Przed knajpą, oparty o pusty wózek, drzemał staruszek. Obudzony łoskotem zamykanych drzwi ocknął się i zagadnął uprzejmie:

— No i jakże, drogi panie? Smakował obiadek? Niebardzo? A to dlaczego? Zwykle karmią tu bardzo dobrze. Pan bardzo wybredny. Czy pan jadł ludzkie mięso?

— Milcz!

— Tak jest! — zapiał staruszek. Zerwał melonik i wyprężył się na baczność. Nieznajomy, z którym tak mile rozmawiało się przed południem, stał ciężko dysząc. Staruszek przymknął oczy. Zamiast uderzenia — posłyszał szybko oddalające się kroki. Wtedy otworzył oczy i zwolnił naprężone mięśnie. Mężczyzna w czarnym płaszczu wszedł do fryzjera.

Nieco później pojawił się znowu. Pachniał kminkiem i amerykańskim talkiem. Na ulicy nie było już staruszka z wózkiem. Znikły pierzyny z okien, robotnicy powrócili nad rzekę, a inwalida pokuśtykał na poszukiwanie węgla. Słońce stało wysoko, dymy wznosiły się prosto. Na niebieskim niebie tkwiły nieruchome obłoki, podobne do kłaczków waty rzuconych niedbale na miednicę z farbką.

— A ja proszę pana pozwolę sobie zauważyć... — terkotał fryzjer — że generałowie popełnili niewybaczalną omyłkę. Przegrali wojnę! Gdyby nie to, wszystko w porządeczku. Bez zarzutu! Polecam się łaskawej pamięci! Do widzenia, moje uszanowanie...

Gdy nieznajomy oddalił się, fryzjer mruknął:

— Ojciec, świętej pamięci, wymigał się od pierwszej, ja od drugiej, a ty synu, jeśli cię fantazja poniesie, utnij gościowi ucho. Lepszy kryminał od koszar i wojny! Słyszałeś?

— Tak, ojcze — odpowiedział dziesięcioletni piegus zajęty zamiataniem zakładu.

— Czy nie potrafisz zachować się przyzwoicie wobec ojca? Ściągnij pięty i nie wypinaj brzucha, jakbyś tam schował trzy kotlety! Szczotkę przełóż do prawej ręki. Teraz dobrze. Czy dostałeś na piwo od gościa? A więc włóż pieniądze do szufladki i przekręć klucz. Postawny to był człowiek, ale miękki w mózgu. Zresztą, może mu Bóg przebaczy. Zapamiętaj, synu, my fryzjerzy jesteśmy przeciwko wojnie i manewrom. Strzyżenie głów do gołej skóry nazywam największą hańbą naszych czasów. Inny jest punkt widzenia fabrykanta armat, inny mój. Może powstanie taka armia, w której trwała ondulacja nakazana będzie regulaminem? Generałowie w perukach, strzelcy z lokami... Wtedy być może zmienię zdanie. A teraz chodź, uściskam cię, mój synu.

Fryzjer poklepał piegusa po ramieniu, sprawdził zamknięcie szufladki, schował klucz do kieszeni i wyszedł przez zakład. Nieznajomy oddalił się znacznie. „Mniej domów, mniej ludzi, mniejsze zarobki, choć ceny

przedwojenne..“ — myślał fryzjer. Po czym zabrał się do pucowania mosiężnych krążków wiszących nad drzwiami.

Mężczyzna w czarnym płaszczu minął już przejazd kolejowy. Ulica zamieniła się w szosę i łagodnym łukiem wiodła do schludnych domków osiedla.

— Stopień oficerski i wyższe wykształcenie nie zwalniają z obowiązku myślenia. Zanotowałem dziś pewne fakty — rozważał mężczyzna mimo woli przyśpieszając kroku — które wydają się świadczyć, że ludzie odwrócili się od prawdziwej wiary i ulegają wrogim podszeptom. Ale to tylko pozory! Ludzie są rozgoryczeni klęską. Nęka ich brak jedzenia. Przytłaczają ich gruzy, w których mieszkają. Oto przyczyny słabości! Czyż mogli już zapomnieć dobrodziejstwa narodowego socjalizmu? My im daliśmy pracę, odpoczynek po pracy i możność kupienia samochodu na dogodne spłaty. Obiecaliśmy wygodne życie na kierowniczych stanowiskach, oczywiście, po zwycięstwie... Zatem mój pogląd jest prawdziwym odbiciem nastrojów. Ja czuję po niemiecku i po niemiecku pojmuję rzeczywistość. A tamci... Et, ułomne, okaleczone niedobitki wielkiego narodu. Zresztą, gdy znów poczują „*Gott mit uns!*“ na pępku, staną się ludźmi, jakich nam potrzeba. Inaczej... — nie dokończył myśli.

Stał przed furtką. Czerwono-dache domki niewiele różniły się między sobą. Sprawdził numer i wszedł do ogródka. Zbliżając się do drzwi powiedział prawie głośno:

— Tak, inaczej być nie może! A teraz, przekonamy się, co o tym wszystkim sądzi pan Standartenführer, Daumme.

Siwa pani w czarnej sukni patrzyła wyczekująco na rosłego blondyna stojącego za progiem. Nie zatrzasnęła drzwi, ale do środka też nie prosiła. Wydawało się, że ani jedno słowo nie dotarło do jej świadomości.

— Chcę mówić z panem Daumme. Widziałem go ostatnio w styczniu ostatniego roku wojny. Jestem Gustaw Beckmann.

Kobieta cofnęła się. Gość nie bawiąc się w ceregiele wepchnął się do przedpokoju.

ROZDZIAŁ DRUGI

Wieszając okrycie obok oficerskiego płaszcza gospodarza, Beckmann zastanawiał się, co należy powiedzieć na powitanie. „Jakże się cieszę, jak miło, że widzę pana znowu, drogi panie Daumme...“ Właśnie coś

w tym rodzaju... Stary pies powinien odczuć, że dawniej, to d a w n i e j, a teraz... Kto wie?

Zanim zdążył poprawić krawat, pani Daumme otworzyła drzwi.

— Mąż prosi.

Daumme siedział w fotelu na tle firanek w jaskrawe kwiaty. Twarz jakby opuchnięta, zaczerwieniona. „Odzywają się dawne odmrożenia. Normalna rzecz na wiosnę. Kawa. Cygara. Aha. Bardziej łysy". Nagle Beckman przestał myśleć. Stanął na baczność i zameldował się tak jak należy, z trzaskiem cywilnych bucików.

— Ależ poznaję, poznaję...! — Daumme wstał i obszedł stolik z niedopitą filiżanką kawy. — Mój drogi Beckmann!

Gospodarz zrobił nieznaczny ruch, jakby chciał uściskać stojącego nieruchomo gościa.

— Przed godziną myślałem o tobie! Tak, słychać było właśnie syreny fabryczne. Potrzymaj. — Oddał żonie cygaro i wyciągnął ramiona. — Tyle czasu... Jakże się cieszę! Doprawdy.

Gdy usiedli, uśmiechnięty gospodarz rzekł do żony:

— Patrz. Oto jeden z najdzielniejszych moich podkomendnych! Daj nam wina, wiesz jakiego...

Pani Daumme odpowiedziała uśmiechem i cicho wysunęła się z pokoju. Mężczyźni milczeli. Z cygara snuła się smużka niebieskiego dymu. Gospodarz podniósł głowę.

— I cóż, przyszedłeś jednak odwiedzić biednego jeńca wojennego. — Dotknął munduru odartego z odznaczeń i hitlerowskich błyskotek. — Rozczuliłeś mnie swoją pełną godności postawą. Równie dobrze mogłeś wejść i powiedzieć: „Jak się masz, stary pierniku!"

Beckmann zaprzeczył gorliwie i niezdarnie. Nadomiar złego wydało mu się, że Daumme dostrzega zmieszanie i lekko mruży oko.

— Zanim opowiesz swoje przygody, napijemy się. Oto wino. Jedna z ostatnich pamiątek pobytu we Francji. — Dotknął butelki. — O jakości wina nie decyduje tylko wiek. Pogoda podczas winobrania gra tu wielką rolę.

— Słońce. Tak, oczywiście — bąknął Beckmann.

— Nie tylko. Chmury! Kombinacja chmur i słońca czyni cuda w winnym gronie. Mocne nasłonecznienie, ale nie spiekota, potrzebne jest winnicom. Wtedy jagody pęcznieją sokiem, właściciele zacierają ręce, a my otrzymujemy dobry trunek.

Daumme wstał. — Pamiętając o przeszłości, za przyszłość!

— Cygaro? Nie? Zatem sięgnij po papierosy. A więc fakt, wydostałeś się z piwnicy, dotarłeś do kraju, żyjesz. To bardzo dużo. Pamiętam... —

aumme podniósł kieliszek. Zapytał gwałtownie. — Tam musiało być ardzo podle? Na tyłach nieprzyjaciela, z paroma zaledwie ludźmi... woje meldunki przydały się bardzo. Gdy radiostacja ucichła domyśli-em się, że sprawy zły przybrały obrót. O przeciwuderzeniu nie było awet co marzyć! Nasi ludzie trzymali się jeszcze, ale Wehrmacht, zczególnie starsze roczniki, to już był gnój, nie wojsko. Odchodziliśmy a zachód i to dość szybko. A tamci?

— Zabici i ranni. Zapewne w niewoli.

— Tak. Jakaś kobieta posyłała wam żywność?

— Tak jest. Przez psa. Prawdopodobnie też nie żyje.

— Kto wie? Kobiecie łatwiej uniknąć prześladowców.

— Miałem na myśli psa. Szczerze mi go żal. Wyjątkowy pies.

— Nie zmieniłeś się wiele. — Daumme podniósł kieliszek. — *Prosit!* óż dalej?

— Wydostałem się zapasowym wejściem. Dopomógł mi nalot. Nieco óźniej udało mi się zdobyć mundur polskiego żołnierza. Goniłem front ż do Czechosłowacji. W Rzeszy odszukałem znajomych. Ułatwili mi rzeczekanie pierwszych, najtrudniejszych miesięcy. Gdy dowiedzia-em się o zwolnieniu pana, uważałem za swój obowiązek przyjechać zameldować się.

— Zrób nam kawy — polecił Daumme żonie — Amerykańska. trzymałem zaopatrzenie na cały miesiąc urlopu. Przyjechałem na ślub ostrzenicy.

— Zaopatrzenie jest bardzo dobre — odezwała się pani Daumme. — awa, czekolada, soki owocowe, marmolada, tłuszcz, bardzo dużo tłu-czu. I mięso!

— To jest zupełnie zrozumiałe! Musieli dać, przecież nie otrzymuję artek żywnościowych!

— Sądzę, że nie będzie pan śpieszył się z powrotem do obozu — uważył Beckmann. — Wydaje się, że wystarczy przesłać zaświad-enie o złym stanie zdrowia. A potem, sprawy jakoś się ułożą. Kwestia aru miesięcy. Może nawet tygodni.

Daumme zajęty obcinaniem cygara roześmiał się.

— Tak sądzisz? Cóż, nie jestem zachwycony pobytem w obozie. Przy-aję, że pierwsze tygodnie w Dachau były przykre. Nie przeżyłeś, więc e wiesz. Trudno wyobrazić sobie bardziej zaświniony teren. Brud, echlujstwo, trupy... Musieliśmy to wszystko uprzątnąć własnymi rę-mi. Rozumiesz? Rękami! Całe szczęście, że przybyłem dość późno, e mogę sobie wyobrazić, jak to wyglądało zaraz po wojnie. Nie chcia-m wierzyć, że jestem w Niemczech! Tyle brudu! Tak, Amerykanie

dokuczali nam w pierwszych dniach. Były wypadki bicia starszych oficerów! Pędzano nas jak rekrutów. Do łaźni przez cały plac musiałem biec nago! Nawet bez butów. Wytrzymaliśmy. Hołota, z którą mieliśmy do czynienia znikła pewnego dnia. Pojawili się inni Amerykanie, kulturalni i rzeczowi. Zwrócili uwagę na wspaniałą naszą organizację i pomysłowość. Jak smakuje ci kawa? Prawda, że wcale nie gorsza od holenderskiej. Kilku kolegów zbudowało doskonały zegar. Znów mówię o Dachau. Wyobraź sobie bez gwoździa czy śrubki. Wszystko z drzewa! Chodził dokładniej od złotego zegarka komendanta obozu. Zabrali zegar na wystawę do Nowego Jorku. Niech podziwiają! Ale nie zapominajmy o winie!

— Czytasz ich pisma? — zapytał po chwili Daumme. — To bardzo rozsądnie z twojej strony. Oto masz... — sięgnął po tygodnik, który odłożył przy wejściu Beckmanna. — Szkoła dla naszych kolegów jeńców w Fort Getty. Poznają tam zasady demokracji amerykańskiej i styl życia panujący za oceanem.

Beckmann rozśmieszony napuszonym tonem zwierzchnika roześmiał się hałaśliwie.

— No, no, mój chłopcze! Ja poważnie... A tu masz skrzypka, który wraca z niewoli obdarowany przez farmera z Arkansas. Tak dzieje się wszędzie. To obrazek z Anglii. Przeczytaj sobie! Kobiety z pękami róż i tulipanów... Wzruszające przemówienie naczelnika stacji... Widzisz tego cudaka na stopniach wagonu? To wielebny pastor Grawell wręcza naszym kumplom fotografie kościoła na pamiątkę. Napijmy się zatem. Żono, pomyśl o następnej butelce.

— Więc pan uważa, *Herr Standartenführer*...

— Tak, uważam! — Huknął nagle Daumme. — Dokończymy dzieła, od którego musieliśmy odejść! Bo, widzisz... — ciągnął uspokoiwszy się — pokrewieństwo kulturalne ułatwia wzajemne zrozumienie. Myślę o anglosasach, bo o francuskich pokurczach nawet mówić szkoda. Będą musieli dorównać kroku Europie, albo... — Daumme popatrzył na dymek unoszący się z cygara i przymrużył oko — albo posadzimy na nich kapustę. Naturalnie trzeba działać rozsądnie. Przesłuchiwano nas wiele razy w obozie. Twierdziliśmy zgodnie, że do SS brano ludzi pod przymusem. Czy Amerykanie uwierzyli? Nadzwyczaj chętnie! Takie postawienie sprawy ułatwia współpracę. Wejdź do oficerskiego klubu i krzyknij: Dajcie broń! Pójdziemy razem! Spłacimy długi zaciągnięte na Wschodzie! — Dostaniesz kijem przez plecy i uznają cię za wariata. Jeżeli zaś powiesz spokojnie tym samym ludziom, że Niemcy żyją w nędzy i muszą mieć możność pracy, by zarobić na chleb, każdy ci przyzna

słuszność. Patrz! — Daumme szarpnął firankę odsłaniając okno. Daleko nad lasem dymiły kominy. — Widzisz? Pracujemy! Ta fabryka produkuje dziś glyssantynę, środek dobrze ci znany, przeciwko zamarzaniu chłodnic samochodowych. Ale — Daumme usiadł w fotelu — wystarczy glyssantynę poddać jeszcze jednemu działaniu chemicznemu. Otrzymamy wtedy iperyt. Nie przeceniam znaczenia gazów bojowych w przyszłej wojnie, ale daję ci przykład, jak postępować należy. Fabryki potrzebują dużo węgla. To przypomina o utraconych zagłębiach na wschodzie. Kultura i praca! To nas łączy z zachodem. Inne zaś sprawy wynikają z tej duchowej wspólnoty. Jeżeli kiedyś pójdziemy razem na wschód, to nie dlatego, by odzyskać odebrane ziemie, ale w imię obrony zachodniej kultury.

— A więc, armia?

— Tak należy przypuszczać. Chyba że Amerykanie ciężarem podzielą się z Anglikami. A my będziemy siedzieć w domu i czytać komunikaty z nowego frontu wschodniego. Albo, albo.

— Rozumiem, ale przyznam się otwarcie, że nie podzielam opinii tak optymistycznych. Żyjemy pod znakiem drakońskiego prawa nr 8. Nasi rodacy pocą się nad płachtami poniżającego Fragebogen. Najwybitniejsi uczeni niemieccy odpływają do Ameryki. Okradają nas z patentów. Na amerykańskich poligonach próbuje się V-2. Dziewczęta o nieskazitelnej przeszłości rasowej wałęsają się z Murzynami. *Herr Standartenführer!* Nie czuję się współwłaścicielem bomby atomowej!

— Czasy są straszne. — Odezwała się niespodziewanie pani Daumme. — Dziś rano widziałam na ulicy Żyda. Papież o nas pamięta, ale Bóg zapomniał.

— Murzyni, Murzyni... — mruknął Daumme. Wino dolane do porannego koniaku szumiało w głowie. — Murzyni... Świństwo! To świństwo! Słyszysz, Beckmann? Kto mówił o Żydzie? Pytam, kto odważył się w mojej obecności powiedzieć — Żyd!

Daumme sięgnął po filiżankę. Wypił duszkiem kawę i oparł głowę na pięści. Beckmann wyprostował się. Czekał, aż Daumme zachrapie. Wtedy pożegna milczącą kobietę i wyjdzie. Zamelduje komu należy: Daumme rozpił się. Parę kieliszków wina ścina go z nóg. Może być komendantem kacetu na prowincji, ale do delikatnej roboty za słaba już głowa.

W przedpokoju rozległ się dzwonek. Pani Daumme poszła otworzyć.

— Kto tam? — burknął Daumme.

— Węgiel. Tylko dziesięć brykietów dzisiaj. — Odpowiedziała żona siadając na brzeżku krzesła. — Mało.

— Czy to był inwalida? — Zapytał Beckmann i podszedł do okna. — Tak, to on. Ten człowiek miał odwagę powiedzieć... — Beckmann podniósł głos i nagle urwał. Daumme stał tuż za nim. — Rozmawiałem z nim rano... Otóż on...

— Słucham. — Daumme zapalił zgasłe cygaro. — Mów.

Beckmann opowiedział. Daumme stał patrząc na człowieka, który kołysząc się na kulach oddalał się w stronę zrujnowanego przedmieścia.

— Niemiec, który nie kochał führera... — powiedział Daumme. — Nie kochał partii... Nie kochał SS... Człowiek bez ojczyzny! Czy zrozumiałaś mnie?

Pani Daumme skinęła głową. Szepnęła: — Węgiel był zapłacony z góry.

Mężczyźni powrócili do stołu. Znów zasiedli naprzeciw siebie.

— Myślałeś, że mam dość? Tak źle jeszcze nie jest.

Beckmann ujął kieliszek.

— Zatem pańskie zdrowie! — „Stary pies przejrzał mnie na wylot. A może jego myśli są bardzo podobne do moich?" — zaniepokoił się Beckmann i by ukryć zmieszanie zapalił papierosa.

— A więc denerwują cię wywiezione patenty i fraternizujące się dziewczyny. O tym mówiliśmy ostatnio?

— Tak jest!

— Odpowiem ci anegdotką. Cierpki to dla nas żart, ale nie pozbawiony politycznej myśli. *Volkswagen* nie przechylił zwycięstwa na naszą stronę, ale *Kinderwagen* uchroni nas od klęski! Gdybym dawniej posłyszał taki dowcip, potrafiłbym znaleźć żartownisia. Dość! Potrzebna jest nam armia. Bez niej porządku nie będzie w Europie. Musimy odtworzyć listy poborowych. Odtworzyć kartoteki zasobów ludzkich. Wtedy pomyślimy, ile dywizji i w jaki sprzęt wyposażone. Bądź pewien, tym razem nie wrócimy z odmrożoną łapą. Nie smakuje ci wino? Nie pijesz?

— A jednak, pomimo tej oczywistej zbieżności interesów, znane są przykłady wyraźnej nielojalności wobec bliskich nam osób. Nie chcę być brutalny, ale muszę przypomnieć los, jaki zgotowano pańskiemu bratu.

— Wiem. Okrzyczano go zbrodniarzem wojennym i wydano Polakom. Biedny Maks! Niestety nie można tych spraw tylko sercem roztrząsać. Zarówno Anglicy jak i Amerykanie muszą wciąż liczyć się z Rosjanami. Gdyby nie front wschodni, widzieliby inwazję! Gdyby nie uderzenie w plecy, Rundstedt dotarłby do morza. A teraz trzeba za to płacić. Oczywiście z cudzej kieszeni. Głowami naszych braci! Posłuchaj Beckmann! Może ci się przydać! Maks zginął, inaczej już o nim

nie myślę. A wiesz dlaczego? Bo u nas wszystko pisze się z tysiącem kopii. Kazano Maksowi zrobić porządek w jakiejś wiosce pod Warszawą. Wykonał rozkaz i nie ma o czym mówić. Nawet nie pamiętam nazwy tej miejscowości.

— Wawer.

— Świetną masz pamięć. Wojna jest wojną. Kto by dziś wyciągał drobny incydent wojenny! Ale raporty przetrwały. Zawaliły się domy i bunkry, ocalały kancelarie. Za to właśnie mój brat zapłaci wieloletnią poniewierką lub nawet głową.

— A jednak... — zaczął Beckmann, ale Daumme nie dał mu dokończyć.

— Cóż ty ciągle z tym „a jednak"! Z takiego biadolenia nie wyrośnie nowa armia! Chciałeś pewnie powiedzieć, że z Polakami trzeba się dogadać? Śmiało, Beckmann, odważnie!

— Przynajmniej z niektórymi. — Beckmann pobladł. Jeszcze słowo a byłby wstał. Gotów był słuchać podpitego standartenführer'a wyprężony jak rekrut.

— Mówiono o tym w obozie na odprawach dla wyższych dowódców. Z początku nikt słuchać nie chciał, ale potem zgodzili się wszyscy. Fakt musi pozostać faktem do czasu. Sąsiadujemy ze Słowianami. Nie z naszej winy była to granica płonąca! Miejmy nadzieję, że taka nie będzie w przyszłości. Przypuszczam, że znajdą się Polacy, którzy będą chcieli powrócić i rządzić Polską bez Wrocławia, Szczecina, Gdańska, Opola, Katowic. Zawsze to lepsze, niż wycieranie foteli w przedpokojach angielskich ministrów. Każdy rozsądny człowiek zgodzi się z moim poglądem.

Beckmann milczał. Daumme palił cygaro i z trudem przezwyciężał senność. Pani Daumme znikła. W sąsiednim pokoju pobrzękiwały ustawiane talerze.

— Ciężar pracy zwalił się na nas. W strefie wschodniej dzieją się rzeczy, o których, ja, Niemiec czystej krwi, nawet myśleć spokojnie nie mogę! Nieraz budzę się w nocy i pytam sam siebie: Daumme! Czy to sen, czy prawda?! Nie znajduję odpowiedzi. Mówią, że prawda...

Obydwaj zwiesili głowy. Pani Daumme wyjrzała z jadalnego, ale odpędzona machnięciem ręki przymknęła cicho drzwi.

— Przypomnę słowa wodza. Oto co nam powiedział w swoim testamencie.

„Teraz zacznie marszczyć brwi. Potem, podrapie się po karku. Wreszcie powie trzy razy „gówno" i zaklnie jak za dawnych lat" — my-

ślał Beckmann — „Nie przypomni sobie ani jednego słowa. Chyba, że ma pod ręką Hitler-Worte w kieszonkowym wydaniu".

Daumme zaklął, a potem wyrzucił jednym tchem:

— Po sześcioletniej walce, która kiedyś w historii mimo wszystkich niepowodzeń zostanie zapisana jako najchwalebniejsza i najdzielniejsza manifestacja jednego narodu, z ofiary naszych żołnierzy i z mojej z nimi łączności aż po śmierć, wzejdzie w niemieckiej historii ziarno promienistego odrodzenia narodowo-socjalistycznego ruchu, a tym samym urzeczywistnienie prawdziwej wspólnoty narodowej. Niechaj stanie się punktem honoru oficerów niemieckich dawać wspaniały przykład przez najwierniejsze wypełnianie obowiązków aż do śmierci... Rozumiesz, Beckmann? Aż do śmierci!

Daumme patrzył ponad głową Beckmanna w zasnuty cieniem kąt. Wiosenne ciepło, koniak i niedopite wino plątały język i mąciły myśl. Dawniej przegnałby gościa jednym słowem i do wieczora drzemałby w fotelu. Lecz pobyt w Dachau nie poszedł na marne. Daumme zrozumiał, że nie sposób iść dalej przez życie wrzeszcząc *„Heil Hitler!"* i *„Sieg Heil!"* Wtłoczono mu do głowy wiadomości nieporównanie ciekawsze od tych, którymi w forcie Getty zmieniano zawodowych nazioficerów w spokojnych kupców, stolarzy i podwórzowych muzykantów.

Rosyjska wichura porwała w strzępy sztandar „tysiącletniej Rzeszy". Salwy „katiusz" strzaskały drzewce. Granaty pokruszyły granitowe pomniki. Bagnetami wyskrobano swastykę... Klęska! Lecz nowa chorągiew już łopocze nad głową! Po prostu chce się zawołać: *Die Fahnen hoch! Die Reihen fest geschlossen.* Kto nie chce wojny? Kto przeciw armii?

— Zapamiętaj sobie, jeśli my wyciągamy rękę po karabin, to znaczy: z woli całego narodu powstanie nowy Wehrmacht!

Pochwaliłem twą pamięć, ale moja też nie zawodzi. Usuwam z głowy rupiecie. Kogo ciekawi dziś nazwa podwarszawskiej wioski? Kto pamięta obozy? Znikły krematoria, znikają już groby, czas wyczesze wspomnienia. Codzienne troski przysypią zapomnieniem nasze wojenne pomyłki... Nie Beckmann, nie zapisałem się do bosych karmelitów i nie mam zamiaru poprawiać świata stojąc na słupie z podkurczoną nogą! Po prostu, uzbrajam głowę w nowoczesny sprzęt.

— Im więcej myślę o przyszłości, tym tkliwiej wspominam czasy studenckie... — wtrącił Beckmann. — Jak mądrze przygotowano młodzież do życia. Prawdy głoszone przez Oswalda Banse przetrwały aż do dziś. Uczył, że czekająca nas walka będzie toczyć się nie o wygrana wojnę, lecz o istnienie narodu. Trzeba więc stosować wszystkie dostępne

środki. Tępić ludność bagnetem i trucizną wrzuconą do studni. Przeciwnika wprowadzić w błąd usypiającą propagandą. Uderzać całą siłą... Słuszność każdego prawa opiera się na zwycięstwie. Przegraliśmy drugą wojnę i dlatego prawa nasze stały się łupem szyderców.

— Głupie to nie jest, ale... — Daumme machnął ręką. — Nie trzeba chodzić na uniwersytet, żeby się podobnych mądrości nałykać. Najgłupszy esesman wiedział, co zrobić z wałęsającym się poza murami Żydem. A Banse, nawet profesorem nie był! — huknął Daumme. — Führer kazał wykładać, więc gadał. Profesor uniwersytetu, to generał! Nie syp tytułami, bo tego nie lubię.

— Pozwolę sobie powtórzyć, że Banse wydał książkę i wykładał czas dłuższy. *Venia legendi* miał.

— Miał, czy nie miał, nikt dziś nie będzie latał od studni do studni.

— Ale zasada...

— Najlepsza zasada diabła warta bez nowoczesnych środków walki. Bomba atomowa, latające bomby i wirusy hodowane na Borneo. Wspaniała broń bakteriologiczna. Zarazek, który byka powala na ziemię. Mówił nam amerykański pułkownik. Wybitny fachowiec. Przyjechał z Francji.

— Co tam?

Pani Daumme otworzyła drzwi do jadalnego. Widać było stół nakryty białym obrusem. Nad wazą unosiła się para.

Usiedli. Zapijali amerykańskie konserwy francuskim winem. Chwalili ananas, ganili Goeringa i za zdrowie Bormanna mruczeli „*es lebe*". Pani Daumme cicho krążyła między stołem i kuchnią. Posypywała solą rozlane wino. Poprawiała jemiołę w kryształowym wazonie i z nieruchomym uśmiechem podnosiła przewrócone kieliszki.

— A pamiętasz mowę Hitlera w Monachium? Niemcy znów będą wielkie i potężne... Dwudziesty trzeci rok... Widzisz, moje wspomnienia sięgają początków ruchu. A ty? Phi, ty jesteś zupełnie mały kołek w naszym płocie. Wielki Beckmann od małych spraw! Pij, bo cię tak urządzę...! Nie, te sprawy są już *aus*, koniec z przeszłością. Listy poborowych i dziesięć, dwanaście dywizji...

Zmierzch nadciągał od lasu i na ciemniejącym niebie rozmazywały się dymy, a oni wciąż raczyli się cytatami hitlerowskich ideologów, jak pokłóceni mnisi z konkurencyjnych klasztorów. Wygrzebywali z pamięci cudze słowa, by dowieść, że pozostali wierni na przekór klęsce.

Jakby tęcza zawisła nad stołem! Barwy brunatne i żółte, zielone, złote i czarne! Odcienie wszystkich mundurów partyjnych! Smagnięta alkoholem wyobraźnia tworzyła coraz ponętniejsze wizje. Mężczyźni

milkli i nasłuchiwali. Czy nie skowyczą już piszczałki? Czy to nie werble trzeszczą na ulicy? Kiedyż wśród, zrujnowanych domów zadudni znów paradny marsz? Lecz poza domem — cisza. Wieczór wydłużał cienie świerków. Chłód przeciskał się przez okna. Piekły zabliźnione odmrożenia przypominając wschodnią zimę. Wzdrygnęli się obydwaj i jednocześnie sięgnęli po kieliszki. Dobrze marzy się nad białym obrusem! Znów partia będzie wszystkim. Naród? Naród w partii! A tych opornych rozgniecie się buciorami SS na drobny żwir, którym będzie się posypywać ścieżki wiodące pod pomniki nowych hitlerów. Dwadzieścia cztery stopnie hierarchii wojskowej obejmą wszystkich. Zamiatacz ulic będzie znów gefrajtrem, profesor-generałem. Spali się niepotrzebne książki i zbytecznych ludzi.

Na razie m a ł a praca.

— Ty, Beckman, śpij spokojnie. Znajdzie się dla ciebie praca. Ja też próżnować nie myślę. Odchodzisz? Rozumiem, służba... — Daumme przymrużył oko. — A jak tam Mayer? Podobno zdolny człowiek. Nie długo poznamy się bliżej.

Gdy Beckmann ruszył w powrotną drogę zabłysły pierwsze światła. Daumme wyciągnął się w fotelu. Oparł nogi na niskim stołeczku. Podbiegła żona, by ściągnąć buty. Wsunąwszy stopy w filcowe pantofle, standartenführer otulił się pledem.

W pokoju było prawie ciemno. Za oknem migotały nieliczne światełka podobne do świętojańskich robaczków usadowionych na gruzach odległego przedmieścia.

— Daleka droga... — powiedział zamyślony Daumme.

— *Ach, nicht so weit!* — uspokoiła pośpiesznie pani Daumme.

— Barani łeb! Nie wiesz, o czym myślę... Cóż, śmieszny jest nasz przyjaciel Beckmann. Wróci do Mayera i powie, że Daumme stwardniał jeszcze bardziej. A ja zamelduję generałowi, co wart Beckmann. Nadaje się, ale trzeba przy pysku krótko trzymać. Ani obejrzy się, jak pojedzie prostować polskie ścieżki. Oto przykład dobrej organizacji. On mnie, ja jego, a potem we dwójkę weźmiemy pod światło innych...

ROZDZIAŁ TRZECI

Był to parszywy, odrapany pociąg, zatrzymujący się na każdym przystanku. Ruszał szarpiąc jak dychawiczna szkapa i ledwo nabrał rozpędu już hamował z piskliwym zgrzytem. Ani jednego wagonu ze światłem. Amerykanie jeździli pośpiesznym, który o dobrą godzinę wyprzedzał osobowego kuternogę.

Beckmann, wtulony w kąt pod oknem, na poły drzemał, na poły słu-
nał chichotliwego szeptu siedzących naprzeciw dziewczyn. Jak pensjo-
arki objęły się za szyję i opowiadały wrażenia z wycieczki na lotnisko.
śmielone milczeniem towarzysza podróży mówiły coraz głośniej.

— Zuzi pracuje w sztabie. Ile dostaje pięknych podarunków!
a k i e pudła czekolady! Przestała cerować pończochy. Ponosi trochę
chowa do walizki. Pozwoliła mi wziąć dwie pary. Ma pięć gatunków
remu i dwadzieścia jeden szminek. Tylko trzech brakuje do kompletu.

— Co oni widzą w Zuzi? Miała najgorszy biust ze wszystkich dziew-
ząt naszego *Mädelschaft*. Sama wołałam za nią koza! Ja bym jej nie
ała nawet gumy do żucia. Ty co innego, ale ona!

— Oh, nie mów o niej źle! W życiu nie widziałam takiej bielizny.
u koronka, tam koronka, a tutaj nic! Zupełnie nic! Dotychczas nie
ozumiem, jak to się trzyma. Ubłagałam ją i już miałam przymierzyć,
le nadeszli chłopcy. A potem nie było czasu. O, Zuzia nie jest głupia.
otrafi zachować się jak urodzona paryżanka. A śmieje się jak Ame-
ykanka!

— Zawsze była sprytna. Przegęgała całą wojnę. Uczyła się angiel-
kiego, jakby naprawdę wierzyła w okupację Anglii. Chytry lizus. Taka
ciuła w rok więcej niż my razem przez dziesięć lat. Szkoda, że nie
dążyłam powiedzieć jej paru słów do słuchu. Zasiedziałam się w Nickel-
ar i ledwie zdążyłam na pociąg. Bardzo ładny lokal. Po drugiej stronie
tniska.

— U Murzynów?! Truda! Ty masz rozum? To gorzej niż Żydzi.

— Nie wierz tej idiotce Zuzi ani słowa! Powiem szczerze, z początku
ałam się strasznie, ale potem było tak zabawnie, że jak tylko odprze-
am kakao, to znowu jadę do czarniutkich. *Aus schwarz weiss machen.*
ak, Eli.

Z każdym słowem rozmawiały swobodniej, aż rozbudziły Beckmanna
a dobre. Daumme, Mayer, „tysiącletnia Rzesza" i nowe dywizje, wszyst-
o to znikło z ekranu marzeń. Zmrok sprzyja wyobraźni. „Eli? Pewnie
ondynka z zadartym noskiem... Dawniej nosiła bluzkę z krótkimi rę-
awami i chustkę spiętą plecioną ze skóry obrączką... Ciemna spódnicz-
a i białe skarpetki... Ładne, wierne dziewczęta... A teraz, pończoszka
dwabna..."

Pierwszą niespodzianką był spokojny głos Trudy.

— Eli?! Nie znoszę tego. O, to ty gamoniu... Co za bezczelność! Eli,
odsłuchiwał.

Drugą — kopnięcie tak wprawne, że Beckmann z głośnym przekleń-
wem potoczył się w swój kąt. Eli piszczała przestraszona.

— Oh, coś podobnego! Byłam pewna, że niemowa! Truda, uderz go moim pantoflem! Mam wyższy obcas!

— Amant z trzeciej klasy! — urągała Truda. — Ty palczasta świnio!

Po drugim uderzeniu w ucho Beckmann oprzytomniał. Zerwał się na nogi. Nie jedną kobietę uspokoił w życiu.

— Ja cię nauczę... Wolisz Murzyna od niemieckiego oficera? — Chwycił Trudę za włosy, lecz puścił od razu, bo dziewczyny kopały celnie jakby radar miały w pantoflach.

— Oficer! Wielka figura! Gdzie ty masz swój *Waffenrock*! Pogubiłeś klamoty na wojnie? Jeszcze mu się łapy pocą ze strachu! Bohater z odmrożonym tyłkiem!

— Stul pysk! Dostanę cię w swoje ręce! Ty... murzyńska żono.

— Tak, tak, będziesz mnie miał! Zapiszę cię na kolejkę po ostatnim Murzynie. Proś, żebym się nie rozmyśliła. Prawdę mówią, im chłop wyższy, tym głupszy.

Beckmann odnalazł teczkę i wyszedł na korytarz. Dziewczęta śmiały się ubawione serdecznie. Pociąg zwalniał, huczały hamulce, w oknie pojawiły się światełka stacyjne. Beckmann zapalił papierosa.

— I cóż, panie oficerze, już koniec z miłością? — „Czy ta przeklęta dziewka nie odczepi się nigdy?!" Beckmann mruknął:

— Milcz, bo znajdę na ciebie sposób. Przekonasz się. Zalepią ci pysk smołą i utytłają w pieprzu. Odechce się romansów z czarnymi. Będziesz latała z ogolonym łbem.

— Fiu! — Truda pociągnęła nosem — Amerykański dymek! Może dostałeś paczkę od wujcia Schickelgrubera? Przyznaj się. Sama widziałam *Liebesgaben* wysłane przez „A. Hitler. U. S.". Mówią też ludzie, że *führer* ujeżdża strusie w Patagonii.

Beckmann zacisnął pięści, ale milczał. Dziewczyna paplała niestrudzenie jak agitatorka Armii Zbawienia.

— Nie odezwiesz się już ani słówkiem? Mam właśnie chętkę na kwadransik miłości. Czemu mruczysz tak brzydko? Nie przyjdziesz do nas? Znam wszystkich żandarmów na tej linii. Poproszę któregoś, to da ci lekcję flirtu kolejowego. Na drugi raz będziesz zręczniejszy. O, już staje!

Pociąg zatrzymał się pod oszklonym dachem, z którego podmuch bomby powytrząsał szyby zamalowane niebieską farbą. Na pustym peronie stał zaspany dyżurny w czerwonej czapce. Nikt nie wysiadał, nikt nie wsiadał, więc podniósł patyk z kolorowym krążkiem i pstryknął zielonym światełkiem. W tejże chwili nadbiegł wojskowy w amerykańskim ubraniu.

— Kto pozwolił ruszać? — wrzasnął. — Nie widzisz, że jadę tym ociągiem? Otwieraj drzwi, bałwanie!

Wyrwał kolejarzowi tarczę i cisnął pod koła. Potem wskoczył do wagonu, którym podróżowały rozmowne dziewczęta i Beckmann.

— Co, ani jednego przedziału dla ludzi? — Wojak zaglądał do pustych i ciemnych przedziałów. Wreszcie zobaczył Beckmanna. — Czego szczerzysz na drodze? — Złapał Niemca za nos i pociągnął za sobą. — Tu stój!

— Ależ, proszę pana...

— *Ruhe!* Żeby mi nikt nie przeszkadzał. Będę spał. Zrozumiałeś?

— *Jawohl* — stęknął oszołomiony Beckmann.

Żołnierz zatrzasnął drzwi, zasunął firanki. Po chwili chrapał w najlepsze. Beckmann przytknął czoło do szyby.

„Współpraca w drobiazgach uciążliwa... — dotknął nosa. Bolał i jakby spuchł — ale zwycięstwo pewne. Komuniści, komuniści... Czy istnieje dziś siła zdolna zmieść nas z powierzchni narodu?" — Beckmann spochmurniał. — „Trzeba tę siłę zniszczyć. Dlatego znoszę ciąganie za nos. Nie rozpaczam, że dziewczyny dawnego BDM oddają się Amerykanom, nie mnie. Trzeba wytrwale iść do wytkniętego celu. Albo..." — Druga ewentualność była tak przykra, że Beckmann wolał nie myśleć o niej. Ochłodził rozpaloną głowę i bezmyślnie patrzył przez okno. Z przerzedzonego zmroku wyłaniały się drzewa i domy. Światła migotały przez zapocone szyby. Dzień zaczynał się na wsi.

— Martwisz się jeszcze? Masz ładny profil. Chodź, Eli, chłopiec jest duży i przystojny. Tylko głupi... Złą miałeś noc. Ale — Truda zachichotała — znajomość zawarta obcasem będzie trwalsza. Dziękuję. Gdybyś wtedy zaczął od papierosa, nie miałbyś śliwki za uchem. Nie zapomnij przyłożyć okład. Do wieczora zniknie. Najspokojniejsza kobieta nie pozwoli szarpać swej najlepszej bielizny. Tylko w książkach rwą jedwabne i lecą iskry jak z lokomotywy. Musisz zrozumieć. Czasy są ciężkie.

— O, tak. Jak długo jeszcze! Gdyby nie klęska... Gdyby nie wschód... Dotychczas nie rozumiem. A byłem tam.

— Nie bądź nudny. Masz zimne ręce. Nie znam się na polityce, ale wiem, kiedy będzie wszystko dobrze. Gdy rzeźnik powie: Źle ukroiłem, czy może być szynki za 50 fenigów więcej? To znak, że wszystko znów *okey!* Chodź do przedziału.

— Nie mogę. Kazał mi stać tutaj, ten... — Beckmann ruszył ramionami. Był senny, zmęczony. Gnębił go lepki pył osiadający na nieogolonej twarzy. Marzył o kąpieli i wygodnym łóżku.

— Zobaczę, co za jeden. — Eli odsunęła cichutko drzwi i wsunęła się do przedziału. Wyszła szybko. — Śpi. Zdaje się, że podpił sobie zdrowo. Ma gwiazdki na mundurze.

— Generał? W osobowym pociągu amerykański generał?! Musiałaś się pomylić!

— Może pijany? Zresztą po nich spodziewać się można wszystkiego. Widziałam żołnierza, który nad ranem wracał na kwaterę. Szedł tylko w butach. Rozmawiałam z nim chwilę. Pytał o drogę. Nic mnie już nie dziwi.

— Świetny sposób na wojnę! Spalić mundury i od razu zawieszenie broni! Wyobraźcie sobie marszałka Goeringa przemawiającego do lotników! Wszyscy nago! Z jednej strony młodzi chłopcy, opaleni, dobrze zbudowani, a przed frontem goły marszałek z pępkiem jak tramwajowy bufor! Rozumiem teraz, dlaczego tępi się nudystów.

Beckmann roześmiał się.

— Rzeczywiście zabawne. Nigdy nie przyszło mi do głowy coś podobnego. Tak, najznakomitszy generał wygląda śmiesznie na golasa.

— Nie bierz tego do serca. My zawsze wolimy chłopców w mundurach. O, nie gniewaj się. Teraz już wiem, że jesteś oficerem, ale po ciemku? Czy można wierzyć na słowo? Musiało być ci ładnie w ubraniu wojskowym. Nie jesteśmy złe dziewczyny, tylko biedne. Lubimy wojskowych.

Beckman dotknął obolałego ucha. Uśmiechnął się krzywo.

— Oh, nie bądź taki pamiętliwy! — dziewczyny ujęły Beckmanna pod ręce i przytuliły się mocno. Truda szeptała: — Pracujemy w sklepie oficerskim naprzeciwko Teatru nr 2. O siódmej kończymy pracę. Przyjdź. Mamy milutki pokoik. Mieszkam razem z Eli. Zrobię ci kawy.

Patrzyli w trójkę na zbliżające się miasto. Przypominało olbrzymią żabę. Gwiazdy pogasły. Jaskrawe smugi zabłysły na wschodzie i z szarości poranku wydobyły kontury budynków. Słońce kłuło w oczy. Mężczyzna i dziewczyny spojrzeli po sobie. Dostrzegli szare, wymiętoszone twarze. Podniecenie odeszło razem z nocą. Czuli nużący ciężar nieprzespanej podróży, choć wszystko działo się na pograniczu snu.

— Najpierw umyć się, a potem do pracy — westchnęła Eli. — Chodź, Truda. Trzeba spakować manatki.

W przedziale wybuchnęła:

— Jesteś skończona idiotka! Chwalisz się Murzynami na cały wagon, bijesz nieznajomego pantoflem, a teraz mało mu w spodnie nie wskoczysz! Po co mi on? Jak raz przylezie, to kijem go nie wypędzisz.

Truda roześmiała się.

— Zupełnie ładny chłopak. Ani myślę go wypędzać. Posłuchaj. On nie nie poznał, ale jestem pewna, że widziałam go w klubie. Siedział amerykańskim pułkownikiem. Chcesz stracić pracę? Nie mam ochoty erczeć cały dzień przed Arbeitsamtem. Rozbiórka ruin — to też zaję- e nie dla mnie. Popraw włosy i podciągnij pończochy.

— Oj tak. Nie sztuka pracować, trzeba zarabiać.

— Nareszcie rozsądne słowo. Spróbuj obudzić generała.

— Więc na pewno o siódmej? — Truda dotknęła ramienia mężczyzny. eckmann ocknął się i mruknął:

— Tylko żadnych Murzynów!

— *Oh, Schatz!* To były żarty! Chciałam nastraszyć Eli.

— Co ona tam robi?

— Budzi generała. Schowajmy się w przedziale. Chodź — pociągnęła warzysza na drugi koniec wagonu.

Generał miał twardy sen. Mruczał coś wściekle i zamaszyście odtrą- ł rękę Eli. Dziewczyna łaskotała generalski nos gazetą zwiniętą w ru- nik. Nagle generał kichnął. Usiadł, odgarnął jasne włosy spadające oczy i zdziwiony spojrzał na przykucniętą koło ławki dziewczynę. tem chwycił Eli za rękę, posadził pod oknem, głowę oparł na udzie asnął w jednej chwili. Eli pogładziła zwichrzone włosy i krzyknęła osto w ucho:

— *Herr General!* Zaraz wysiadamy! Czas wstawać!

— General... generał? — Rozespany blondyn usiadł ponownie. — Ge- rał, powiadasz... Hm. A ty jak masz na imię?

— Eli. Dzień dobry, *Herr General.*

— Eli? Nie przypominam sobie. Co to? Dworzec. Aha. Trzeba wy- dać. Brr... Zimno.

Eli podała płaszcz. Generał nacisnął furażerkę i wyszedł na kory- z. Wagony stuknęły się zderzakami. Pociąg stanął. Wysiedli.

Na dworcu działo się coś, co na pierwszy rzut oka przypominało ygotowania do generalnej próby w cyrku. Zawieszone wysoko re- ktory oślepiały przenikliwym blaskiem. Kilkunastu podróżnych stło- ło się wokół generała i osłoniwszy oczy dłońmi starali się przezwy- żyć przeraźliwe światło potężnych lamp. Różnokolorowe kable two- ły nad peronami gęstą sieć kołyszącą się groźnie w takt ochrypłego u głośników. Na ławkach przeznaczonych dla inwalidów i matek ziećmi stali rozkraczeni żołnierze uzbrojeni w maszynowe pistolety. n i spowrotem krążyły elektryczne wózki, na których trzeszczały przerwy aparaty filmujące podróżnych i pociąg. Z oszklonego kio- wyglądały poczciwe pyski policyjnych owczarków. Przy tablicy

z rozkładem jazdy stał namiot z chorągiewką czerwonego krzyża. Na składanym łóżku spał żołnierz nakryty błękitnym celofanem w srebrne gwiazdki. Tuż obok siedziały sanitariuszki nagrzewając muskularne ramiona promieniami sztucznego słońca. Nieco dalej, pod elektrycznym zegarem przycupnęli kanonierzy obsługujący przeciwpancerną armatę. Z każdego kąta wyglądały hełmy żandarmów.

Nad tym wszystkim panował sierżant usadowiony na szczycie rusztowania, jakiego używają zwykle sędziowie na kortach tenisowych. To on krzyczał w mikrofon.

— Nic nie rozumiem! Dziadek do orzechów? Co się stało? — Beckmann przezornie nie ruszał się z miejsca.

— Na pewno ćwiczenia atomowe. Brać niedomyte kobiety w reflektory, to świństwo! Eli, malujmy się prędzej. Mocniej, mocniej, tak jak do zdjęć filmowych.

Przez głośniki odezwał się tłumacz.

— *Achtung, achtung!* Zaczyna się fragment kolejowy operacji Nut-Cracker. Uwaga! Kobiety i dzieci skierować się do wyjścia „Arizona". Spokojnie! To dawne wyjście nr 1. Dla osób wojskowych zarezerwowano wyjście „Belweder". Mężczyźni cywilni maszerować pojedynczo do wyjścia nr 3, to jest „Cezar". Zdjąć kapelusze. Wyprostować się. Ręce skrzyżować z tyłu. Uwaga!

— Do zobaczenia wnet! Nie bój się, to ćwiczenia. Słychać samoloty. — Dziewczyny pobiegły w kierunku „Arizony".

Przed Beckmannem dreptał człowieczek w czarnym paltocie. Im bliżej byli żandarmów strzegących „Cezara", tym większy okazywał niepokój.

— Proszę pana, co to znaczy? Jestem doktór Gersteinmaier, wracam do domu. Pracuję w Konsystorzu. Śnił mi się przed wyjazdem ból zęba, ale to raczej zapowiedź choroby? Prawda? Proszę pana, co oni z nami zrobią? Trzeba panu wiedzieć, że jestem także kierownikiem organizacji niosącej pomoc wysiedleńcom ze wschodu. Chciałbym usłyszeć pańskie zdanie, bo doprawdy nie umiem powiązać mojej osoby z Cezarem. Czy podejrzewają nas o działalność antyamerykańską?

Radca konsystorski Gersteinmaier nie doczekawszy się odpowiedzi posiniał jeszcze bardziej. Drżał i mruczał:

— Ja nigdy... Ach! Raz... Przed piętnastu laty prowadziłem sprawę o unieważnienie małżeństwa... Mój klient nie krył się z sympatiami dla lewicy. Tak, tak, to pewnie to... Ależ, na miły Bóg! Raz tylko! O Boże!

Wyjście zagradzała cieniutka poprzeczka oparta na stojakach. Całość tworzyła niegroźny przyrząd używany przy skokach wzwyż.

— Prędzej! — Beckmann popchnął kolanem radcę, ale żandarmi rzasnęli:

— Stop!

Poprzeczka prawie dotykała wyleniałej głowy Gersteinmaiera. Radca amknął oczy. Pot spływał ciurkiem. — Jak nic zetną łeb. Spadnie oja głowa i potoczy się po twardym betonie. Nawet nie zdążę jej złaać, bo ręce każą trzymać z tyłu.

Żandarmi spierali się, przekonywając się gardłowymi okrzykami. ażyły się losy małego radcy.

— Nadaje się! Dobrej miary facet!

— Za mały! Ślepy widzi, że brak mu co najmniej cala!

— Bo garbi się! Wyprostuj się!

— Zawołać szefa ekipy pomiarowej!

Obudzono żołnierza nakrytego gwiaździstym niebem z celofanu. Przerł oczy i powiedział rzeczowo:

— Durnie! Pięć stóp i dwa cale. Za mały. Następny.

Tymczasem rozpętała się awantura przy wyjściu „Belweder". Młody enerał dość długo zwlekał. Wreszcie pozostał sam jeden na pustym eronie. Tarł zapamiętale czoło i powtarzał zgnębiony: — No tak. Zwaowałem i zawieźli mnie do czubków. Wszystko bujda, tylko Czerwoy Krzyż jest prawdziwy. No tak. Doigrałem się. No tak. No... Nie! — wołał i chwiejnym krokiem skierował się ku wyjściu.

Nad „Belwederem" czuwali wytrawni agenci C. I. C. Trafniej niż li ocenili odznaki jasnowłosego wojaka, lecz jednocześnie stwierdzili najmniej sześć cali nadwzrostu. Powiedzieli więc, żeby wynosił się ym prędzej, bo za trzy minuty nadjedzie znowu pociąg i roboty będzie huk. Wystarczyło schylić głowę i byłoby po wszystkim. Ale gerał na próżno opędzał się od koszmarnych myśli. Mało słyszał, mniej zumiał, widział się już spętany kaftanem bezpieczeństwa.

— Więc to jest cena wolności? Dość wysoka... Będzie metr sześćziesiąt. Za skarby świata nie przeskoczę. A może? Nie popędzaj, jopie, wiem, czego chcecie... Spróbuję z rozbiegu.

Generał odstąpił parę kroków i spode łba spojrzał na przeszkodę.

— Słońce świeci, samoloty latają, a ja wariat. Można oszaleć. Raz, va, trzy!

Wziął rozpęd i skoczył. Poprzeczka strącona kolanem spadła wprost d nogi. Chrupnęła i rozleciała się w drzazgi.

— Wiedziałem! W płaszczu nie da rady — westchnął generał.

Żandarmi i agenci rzucili się hurmem. Wrzeszczeli i wywijali pałkai. Generał oprzytomniał. — A to wy tacy...! — Złapał stojak i zawinął

w koło. Raz żandarma, raz agenta, kto nie upadł — zbierał razy. Podniecony powodzeniem rozgonił obsługę armaty i przewrócił namiot. Po czym rzucił się do ucieczki. Już wyły syreny i pędziły posiłki wezwane przez radio.

Tyle zdążył zobaczyć Beckmann. Nie czekając na dalszy ciąg bijatyki, wyminął konsystorskiego radcę i wybiegł na plac. Słońce wyglądało spoza dachów, ale po świetle reflektorów, ranek przypominał bardziej zmierzch, niż początek wiosennego dnia.

Od śródmieścia waliły strumieniem samochody pancerne. W otwartych ciężarówkach bielały hełmy żandarmów podobne do jaj w eksportowych skrzynkach. Nadleciały helikoptery i zawisły nieruchomo nad dworcem. Niemieccy policjanci malowali na ścianach domów pomocnicze podziałki oznaczając czerwoną kreską wysokość 5 stóp i 3 cale. Miasto drżało od łoskotu jak hala, w której docierają się lotnicze silniki. Operacja Nut-Cracker zataczała coraz szersze kręgi.

Beckmann ominął czołgi pilnujące skrzyżowania i poszedł żwawym krokiem. Nie uciekał od amerykańskiego rozgardiaszu, ale czuł znużenie, dosyt wrażeń i potrzebę kąpieli. Pojawiali się pierwsi przechodnie. Wyprowadzano psy, noszono mleko, zamawiano miejsca w ogonkach po węgiel. Mężczyźni gromadzili się na przystankach czekając na dojazd do odległych miejsc pracy.

— Ruch wstrzymany. Amerykańskie ćwiczenia. Nie warto czekać, panowie — powiedział Beckmann uprzejmie.

— Dziękujemy za złą wiadomość. Pójdziemy pieszo... O! — młody człowiek drgnął, jakby chciał pobiec za Beckmannem. — Patrz!

— Czy ktoś znajomy? — zapytał drugi.

— Przecież to Beckmann! Pamiętam go z uniwersytetu! Zajadły partyjniak i esesman! Gońmy! Prędzej!

— Po co?

— Oddamy w ręce Amerykanów! Każemy aresztować! Chodźmy!

— Zwariowałeś? Zamkną go w obozie, będzie jadł dziesięć razy lepiej od nas, pił prawdziwą kawę i palił dobre papierosy! Niech męczy się razem z nami!

Trzymając się nieco w tyle szli za Beckmannem, dopóki nie znikł w bramie. Na chodniku pozostał porzucony papieros. Mężczyźni zatrzymali się.

— Jadą żandarmi! Znam angielski i wytłumaczę, na czym rzecz polega. Przeszukają dom i znajdą go. Cóż w tym śmiesznego? Hallo! Hallo!

Zanim kierowca zahamował rozpędzony samochód, dwaj żołnierze yskoczyli i podbiegli do niezdecydowanych cywili. Przyłożyli drążki calową podziałką do pleców, wykrzyknęli wyniki i wskoczyli do ruzającego jeep'a.

— Rekordowe tempo! — pochwalił dowódca. — Sekunda i trzy ziesiąte na jednego! Podam wasze nazwiska do gazet!

Pognali pełnym gazem. Opony zapiszczały na zakręcie. Znikli.

— Nie zdążyłeś nawet otworzyć ust. — Roześmiał się jeden z mężzyzn. — Pytałeś, dlaczego się śmieję? To bardzo proste. Denazyfikacja rzypomina żelazny piecyk, w którym pali się drzewem. Początkowo ozgrzewa się do czerwoności, lecz również szybko stygnie. Oskarżysz ziś Beckmanna, a jutro ten sam faszysta obije cię po pysku i wypędzi pracy.

Z domu po drugiej stronie ulicy wyszedł starszy pan prowadząc na myczy jamnika. Drobnym krokiem podbiegł do rozmawiających.

— Dzień dobry panom. Odjechali? — spuścił psa i odchrząknął. — Iam już rozwiązanie, które tłumaczy dzisiejsze wypadki. Właściwie wa. Pierwsze: Amerykanie dokonywują jakichś pomiarów antropolocznych. Być może sprawdzają słuszność naszych teorii rasowych. Drugie: chcą dostarczyć gotowych ubrań dla mieszkańców naszego miata. W tej chwili przyszła mi do głowy możliwość trzecia... Panowie dchodzą? Bardzo żałuję!

— Jeżeli spóźnimy się do pracy, otrzymamy mniej pieniędzy. A tych ie jest za wiele.

— Chodź, Rikli — starszy pan przywołał jamnika — pani czeka. Czas a śniadanie. Rikli! Do domu!

Beckmann opuścił firankę. Oczywiście, ci dwaj nie mogli mu zaszkozić, lecz ciekaw był, jak postąpią. Oddalili się w pośpiechu spoglądąc na zegarek. „W porządku. Nie mędrkować. Pracować!" Gorąca woda ypełniła wannę, więc poszedł zakręcić kran. Nakładał szlafrok, gdy dezwał się telefon. Dzwonił Maier.

— Tak, oczywiście, będę jak zwykle o dziewiątej. Wrażenia? Pytasz starego? No cóż, Daumme trzyma się doskonale. Rozsądny człowiek. awędziliśmy przyjemnie przy dobrym winie. Udały wieczór. Natoiast podróż ohydna. Nie ruszę się więcej bez samochodu. Oczywiście, eldunek napiszę. Jeszcze jedno. Zarządaj informacji o trzech dziewzynach: Zuzi ze sztabu 75-tej eskadry, oraz Eli i Trudzie. Pracują sklepie oficerskim. Podobno zdolne i chętne panny o nienagannej rzeszłości. Człowieku, nie mam pojęcia! Nie widziałem ich nigdy. Brak

nam maszynistek godnych zaufania, więc dlatego ci mówię. Tak, to wszystko. Przyjadę za kwadrans.

Odłożył słuchawkę i w zamyśleniu obracał niezapalony papieros.

— Truda... Tak, lecz musi zapomnieć o Murzynach. Nauczę ją dobrych manier i właściwego użytkowania pantofli.

Na ulicy warczały motory zbliżających się samochodów. Przeraźliwie wyła syrena. Środkiem jezdni jechała ciężarówka poprzedzana pokracznym czołgiem. Kilkunastu żandarmów starało się obezwładnić człowieka leżącego na dnie samochodu. Bronił się jednak zaciekle, bo nagle dwaj „empiści" wypadli za burtę i klapnęli na bruk. Podnieśli się po chwili, nacisnęli białe hełmy i kulejąc pokuśtykali za zmotoryzowaną kawalkadą.

Beckmann odwrócił się od okna, poprawił fotografię Hitlera stojącą na biurku i zamknął się w łazience.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Pułkownik Joe A. Kelly stał przed mapą przyglądając się oficerom wpinającym kolorowe chorągiewki.

W odstępach sześciominutowych napływały meldunki radiowe. Co sześć minut przesuwano barwne prostokąciki oznaczając nowe położenie oddziałów poruszających się w terenie od świtu. Chorągiewki biegły wzdłuż dróg, otaczały miasteczka i osady, gromadziły się przy mostach, czaiły się w pobliżu kolejowych stacji. Wzorowa łączność pozwalała ustalić miejsce pobytu każdej kompanii Military Police lub brygady czołgów. Doskonale pomyślaną operację Nut-Cracker wykonywano zgodnie z planem.Dowódcy otrzymali wyraźny rozkaz: zatrzymać wszystkich mężczyzn wysokich na pięć stóp i trzy cale. W ciągu ostatniej godziny liczba zatrzymanych wzrosła do 753. Po dokładnym sprawdzeniu wzrostu, dwudziestu czterech przepędzono w diabły, a pozostałym kazano odpowiedzieć na dziesięć następujących pytań:

1. Kiedy odkryto Amerykę?
2. W którym roku Lindbergh przeleciał Atlantyk?
3. Ile egzemplarzy Biblii wydrukowano dotychczas?
4. Kto wygrał wojnę i co oznaczają litery U. S.?
5. Jak zachować się podczas burzy z piorunami?
6. Która godzina jest w tej chwili w Nowym Jorku?
7. Czy Gary Cooper żyje?
8. Kto opatentował wyrób pneumatyków?

9. Dlaczego pijąc Coca-Cola zachowasz zdrowie i zyskasz zbawienie?
10. Co wynaleźli Amerykanie? (Poprawna odpowiedź powinna rzmieć: wszystko, łącznie z Kolumbem).

W ten oto sposób, ustalono ponad wszelką wątpliwość, że siedemnau mężczyzn oprócz wzrostu 5 stóp i trzy cale posiada wyższe wykształnie. Tylu bowiem odpowiedziało bezbłędnie na dziesięć chytrych ytań. Niestety, żaden nie okazał się poszukiwanym profesorem, o czym ułkownik przekonał się osobiście.

Setki pojazdów spalały tysiące galonów paliwa. Chorągiewki przeakiwały z miejsca na miejsce. Nieodwracalnie mijał czas każdą goziną zmniejszając szanse powodzenia operacji Nut-Cracker.

Zbieg drwił z gęstej sieci. Wyniki pościgu równały się zeru. Dlatego ułkownik gniewnie sapał i coraz chmurniej spoglądał na mapę. Wenął ręce w kieszenie i zacisnął pięści, aż zatrzeszczały szwy spodni. dzieś tkwił błąd, choć przed paroma godzinami obława wydała się majstersztykiem policyjnej sztuki. Joe A. Kelly wykręcił się a pięcie i powrócił za biurko.

Pierwsze niepowodzenie od wyjazdu z Francji. Za kwadrans, najdaj za godzinę, trzeba zatrzymać ruch policji i wojska. Potem — podsać raport. Przyznać się do porażki zrodzonej z niedopatrzenia. Wyuchać wielu cierpkich słów podczas rozmowy z przełożonym. Był peien, że wypomną mu nieudały występ bratanka, dzielnego lotnika, darzonego rodzinną wyobraźnią i równie silną ambicją. Nicpoń świął klejnoty Kronbergów, chcąc za jednym zamachem wysunąć się czoło obywateli Stanów Zjednoczonych. Sprawa przyschła, lecz zaiść ludzka nie zna granic. Któż zaręczy, że nie odezwą się głosy: roina durniów! Ani ukraść, ani złapać!

Pułkownik poczuł się osamotniony i przemęczony pracą. Świat oszał! Profesorowie poszli w cenę! Oczywiście, nawet najsławniejszy fizyk e zwichnie kariery zasłużonemu sztabowcowi, lecz nieudane łowy nie zynoszą zaszczytu, choćby zwierzyna była drobna. A może, machnąć ką i powrócić do kochanych Stanów? Opuścić służbę, pożegnać Niem. Wyjechać? Żal pięknego kraju... Wyrzec się widoku ośnieżonych czytów, zalesionych dolin, wartkich strumieni? Zapomnieć o schludch schroniskach, zacisznych gospodach i huczących jak wodospad ubach? Odejść od tej kopalni saskiej porcelany, muzealnej broni, olejch obrazów?! Łatwo powiedzieć: koniec, lecz trudniej cofnąć rękę.

Pod koniec każdego miesiąca odpływały z Bremy solidne skrzynie. z pośpiechu, lecz i bez zbytniego ryzyka rósł rodowy majątek za eanem. Pęczniejące konto zapowiadało starość dostatnią, zasłużenie

godną. Stary Joe gromadził „pamiątki“ i mościł legowisko jak niedźwiedź przed zimą. Wyjechać! A skrzynie, hę? Kto je będzie pakował i wysyłał do portu? Wszyscy inni z wyjątkiem pułkownika. Wreszcie, kto zgarnie pochwały za delikatną robótkę kryjącą się pod sentymentalnym kryptonimem „Old Fellow“? Jakiś bęcwał, którego wyznaczą na zwolnione stanowisko.

— Zostaję! — powiedział głośno pułkownik. Wyłuskał z pudełeczka okrągłą pigułkę, połknął i popił pomarańczowym sokiem. — Zaniedbałem nerwy — dumał dalej wsłuchany w odgłosy z żołądka — czas pomyśleć o zdrowiu. Tak, na pewno nerwy! Przydałaby się blondyneczka, tkliwa blondynka wyrozumiała na słabostki starzejącego się człowieka. — Zanotował: Nerwy, blond, tkliwa — podkreślił na czerwono. Pułkownik sięgnął po następną pigułkę. Poweselał i krzyknął do tych przy mapie:

— Jak tam, chłopcy, z czołgami? Podajcie położenie.

— Na południu osiągnęły Błękitną Stację Benzynową przy autostradzie. Na zachodzie zbliżają się do Krynicy Płynnej Radości. Dawny browar, obecnie rozlewnia Coca-Cola.

— Doskonale! Dobre myśli znów są przy mnie! — Pułkownik zatarł ręce. Wbiegł adiutant wezwany dzwonkiem. — Pisz! Po zakończeniu ćwiczeń dowódcy podadzą dokładnie, ile butelek Coca-Cola wypito podczas operacji Nut-Cracker. Przypuszczam, że co najmniej dziesięć razy więcej niż podczas zwykłego dnia okupacyjnego. Mocny argument. Zatkam gębę najgłośniejszym krzykaczom. — Pomyślał z ulgą. — A teraz zajrzyjmy do codziennego młyna.

Przysunął papiery złożone z lewej strony biurka.

— Nuda. Daumme powiedział... Beckmann powiedział... Daumme odpowiedział... Nie zrozumieli jeszcze amerykańskiego stylu pracy. Wystarczyło napisać: „Daumme o. k. 500 dolarów“. Każdy zrozumiałby, że chłop jest porządny, chętny do pracy i wart co najmniej pół tysiąca dolarów miesięcznie. Zapewne dostanie więcej, bo generał nachwalić się go nie może. Podobno dzielnie spisywał się na wschodzie. A może brat? W każdym razie ktoś z rodziny. Biedaczysko generał będzie musiał poczekać parę miesięcy. Cóż, nie moja wina. Nabroili co niemiara i teraz trzeba cerować niemiecką cnotę amerykańską nicią. Niech sobie kto chce kręci nosem, ale jakeśmy pomyśleli, tak zrobimy. Zresztą, trudno generała posłać do kirchy, a pastora mianować szefem sztabu. Każdy człowiek odnajdzie swoje miejsce w demokratycznym świecie. — Pułkownik odsunął raport Beckmanna i wyciągnął notes. Gromadził celne

wiedzenia i przekazywał kablem do Ameryki. „Myśli Nowoczesne- Krzyżowca“ wyciskano na Rodzinnych Posążkach Wolności.

Na raporcie Beckmanna dopisał „Przydzielić samochód!“ Żaden Beck-ann nie powinien włóczyć się po drugorzędnych knajpach i dyskuto-ać z inwalidami. Od ludzi zarabiających kradzieżą węgla nie wymaga znajomości polityki. Nie ma potrzeby ciągnąć ich za język. Niech ają raz dziennie zupę i trzymają pyski zamknięte, szczęśliwi, że nie dzi ich rano policja. Na zaniedbanej stali zawsze pojawia się rdza. zeba więc czyścić i polerować. Trochę pieniędzy, więcej policji i me- odzyska utracony połysk.

Pułkownik sięgnął po sprawozdanie przysłane z sekcji badania opinii blicznej. W ciągu ubiegłego tygodnia przeprowadzono dwie próby. ufany człowiek zawiesił w śródmieściu tablicę z dawną nazwą placu. niana została przyjęta uśmiechami, ale życzliwie, więc policja cze-jąca w ukryciu, stała bezczynnie do wieczora, to jest do czasu zdjęcia olicy z napisem „Adolf Hitlerplatz“. Natomiast drugi pracownik oka- się skończonym niedołęgą. Zgodnie z poleceniem pojechał za miasto d pomnik wzniesiony na polach nie istniejącego już od dawna obozu. mazał swastyką nazwiska zmarłych więźniów, lecz zbyt długo zwle- z odejściem. Dopadli go robotnicy wychodzący z warsztatów kole-vych. Przewieziony do szpitala złożył zeznania i umarł. Człowiek — czytał pułkownik — znany był z pijaństwa i nieopanowanego yka. Spóźniał się do pracy i trzykrotnie ubliżył przełożonemu, za co arcono go gumową pałką. Nie posiadał wykształcenia zawodowego, co iemożliwiało wciągnięcie go na listę pracowników etatowych. Pozo-wał w bliżej nie określonych stosunkach z zaginionym doktorem likiem. Doniesiono niedawno, że jakoby chełpił się w pewnej piwiar- iż znane mu są okoliczności zniknięcia pracownika „referatu wschod-ego“. Świadków naocznych nie udało się odszukać, stąd brak odpo-ednich załączników przy niniejszym piśmie.

Kelly zerwał się i podeptał papier nogami.

— Bezczelna banda! Obiję mordy i wykopię z policji! Jak śmią! Za-zniki! Kilometrowe numery łamane stopięćdziesiąt razy przez cyfry mskie, arabskie i cały zasmarkany alfabet! Dwadzieścia pieczęci na iartce papieru!

Adiutant już pozbierał z podłogi papiery, a pułkownik jeszcze walił ścią w dzwonek. Potem rzekł:

— Słuchaj, powiedz tym panom, że skończą źle! Mają pisać „tak“ o „nie“. Data i podpis. Załatwiłem niejedną sprawę w życiu nie hań-c ręki pieczęcią. Przynieś akta Orlika.

Wyniki śledztwa zamykały się w kilku zdaniach: „Zaginął wracając z konferencji w Monachium. Prowadził wóz z nadmierną szybkością. Widziany po raz ostatni w pobliżu obozu żydowskiego. Nie odnaleziono ani ciała, ani samochodu".

— Niech przyjdzie Mayer. — Pułkownik podszedł do mapy. — Nic?

— Zatrzymano dodatkowo sześćdziesięciu siedmiu. Wzrost przepisowy.

— Pytania? Odpowiedzieli?

— Ani jeden, sir — odpowiedział współczująco oficer. — Durnie.

— Czas zwinąć interes. Kończymy zabawę chłopcy. Ogłoście koniec operacji Nut-Cracker. Przemądrzały dziadyga schował się w dziuplę i śmieje się w kułak z naszego zmartwienia.

— Tak jest, sir — odezwał się głos brzmiący obcym akcentem.

Pułkownik odwrócił się. Mayer strzelił obcasami. Oficerowie wyciągali szpilki i chowali chorągiewki do pudła.

— Niedobrze, Mayer! Kiepsko wypadła współpraca z pańskimi rodakami. Dałem motocykle, samochody, broń. Pozwoliłem zatrzymać psy. Zaopatrzyłem w mundury. Wszystko na nic. Profesor zwiał. Nakazałem powrót do koszar. — Kelly spojrzał spode łba na wyprężonego Niemca i mruknął — Stań pan po ludzku. Nie obciążam pańskiego sumienia chybioną wyprawą.

— Dziękuję, sir.

— Nie ma za co. Zgodzi się pan ze mną, że profesor nie uciekł do Hiszpanii. Nie pojawi się również w Argentynie. Wypłynie w Warszawie, na pańskim podwórku, Mayer. Tak dziś jest. Niepowodzenie operacji Nut-Cracker odczuje pan na własnej skórze, jeśli nie jutro, to pojutrze na pewno.

— Panie pułkowniku... — zaczął ostrożnie Mayer — do granicy szwajcarskiej można dojechać samochodem w trzy godziny. Do Francji dwa razy szybciej. Operacja Nut-Cracker zaczęła się w sześć godzin po wyjściu profesora z domu. Pozwolę sobie zauważyć, że rozpoczęto poszukiwania o sześć godzin zapóźno. W tym czasie profesor znajdował się już za granicą.

— Sześć godzin! Trzy godziny! Gadasz jak urzędnik biura podróży! Czytaj! Nagrana na taśmę rozmowa telefoniczna: „Dobrze, będę czekał o ósmej przed domem" — powiedział stary krętacz wczoraj o godzinie 19,30. W pół godziny później wyszedł do ogrodu bez płaszcza i kapelusza. O godzinie drugiej w nocy żandarmi otoczyli zabudowania. Zatem operacja rozpoczęła się na sześć godzin p r z e d umówionym spotkaniem! Agenci C. I. C. przetrząsnęli najdrobniejsze zakamarki, przeko-

ıli ogród, zerwali dach, wycięli drzewa; słowem spisali się dzielnie. ajemnicza sprawa. W epoce atomowej wszystko jest możliwe. Czyżby ofesor wymyślił coś takiego, czego m y nie znamy? Zasuszone liczy-o, nie dałbym złamanego centa za niego, a jednak...

— Wsiadł o ósmej w samochód i pojechał. To jest oczywiście mój ogląd osobisty. Rozmowa telefoniczna, o której dowiedziałem się do-ero teraz, potwierdza, jak się wydaje, moje przypuszczenie. — Pul-ownik poczerwieniał. Mayer cofnął się pod ścianę.

— Wsiadł o ósmej! — Przedrzeźniał Kelly. — A to dobre! Ósma, to e dwudziesta, miły panie Mayer! Przestałeś odróżniać ranek od wie-oru! Mamy prawo wymagać ścisłości od profesora fizyki? Zresztą, omyśl sam, wybierasz się w podróż. Czy pojedziesz z gołym łbem, bez kawiczek, bez palta? Zostawił rzeczy. Na biurku znaleziono złoty ze-arek, a w łazience spinki z perłowej masy.

Mayer milczał. Pułkownik otworzył szufladę.

— Patrz! Oto dowody! Widzisz? Koperta podwójna, złoto wysokiej óby. Zapomniał? Mało prawodopodobne. Nie spotkałem człowieka, óry wyzbywałby się czterdziestu gramów złota! Zapomniał złoto! ość. Co napiszemy w gazetach? Komunikat musi ukazać się jutro. No, ayer, potrząśnij hitlerowskim workiem!

— Proponuję krótką notatkę na pierwszej stronie. „Nowa ofiara Mo-wy. Wczoraj w godzinach wieczornych słynny fizyk profesor dr picki został porwany przez nieznanych sprawców. Poszukiwania wają". Następnego dnia, na tym samym miejscu umieścimy tłustym ukiem wiadomość: „Statek radziecki wyszedł z portu nie ukończywszy ładunku. Zaginiony uczony dotychczas nie odnaleziony. Ślady pro-adzą do jednego z portów nad Morzem Północnym. Rodzina w roz-aczy".

— Oszust nie miał rodziny!

— Tym lepiej. Nikt nie sprostuje drobnej nieścisłości. Można wzmoc-ć wrażenie dobrze dobraną fotografią. Powiedzmy, staruszka ocieraca chusteczką łzy... Spłakana dziewczyna pochylona nad dziecinnym żeczkiem... Nasz czytelnik jest sentymentalny, sir. Nieszczęście bliźch odczuwa jak swoje własne. Niejeden zapłacze nad losem profesora.

Kelly spojrzał z ukosa i mruknął:

— Rzecz znana. — Chodził chwilę, jakby zapomniał o Mayerze. Na-e spytał. — A jeśli nicpoń odezwie się przez radio? Co wtedy?

— Wydrukujemy trzecią wzmiankę: „Porwany profesor przemawia oza żelaznej kurtyny!" A potem pomyślimy o jakiejś zacnej sensa-jce, która zajęłaby młodzież i starszych. Mamy w zanadrzu pamiętnik

dentysty Himmlera, wspomnienia dziewczyny, która przez dwa miesiące była kochanką szofera Rommla, oraz pracę zbiorową pod tytułem „Co jadał Goering?"

— Tak, to może wystarczyć, choć osobiście wolałbym pomysłowe morderstwo na tle bujnych przygód. Siadaj, Mayer, bo żylaków nie trzeba kupować. Przy okazji dam ci inną radę. Unikaj gorącej herbaty. Stwierdzono na podstawie statystyki, że 97% chorych na raka gardła piło gorącą herbatę! Rozumiesz, czym pachnie kwiatowa herbatka? Rakiem! Ale nie odbiegajmy od morderstwa. Co z Orlikiem? Kaput?

— Należy przypuszczać, że raczej tak. — Mayer wyciągnął z teczki notatkę napisaną na maszynie. — Podczas konferencji w Monachium zdradzał tak widoczne zdenerwowanie, że Alfred Kit uznał za stosowne spytać: „Doktorze, co to znaczy? Kręcicie się jak w przeręblu!" Orlik odbąknął, że ma kłopoty.

Kelly przerwał.

— Nie tak jednostajnie! Czytaj raz głośniej, raz ciszej, jak psalmy. Codzienną pracą zyskujemy zbawienie. Jazda!

— Stwierdzono, że doktór sprzedał Ormianom szereg przedmiotów, stanowiących własność szkoły, której był dyrektorem. Wypytywał o złoto i dolary. W drodze powrotnej, pomimo śliskiej szosy, jechał tak szybko, że wracający z nim razem minister banderowski wyskoczył na pierwszej stacji benzynowej. Dla kogo Orlik gromadził pieniądze? Nie wiemy również, do kogo śpieszył się ryzykując życie w wariackiej jeździe. Do szkoły nie powrócił. Wjechał do obozu żydowskiego i nie pokazał się więcej. W budynkach zamieszkałych przez Żydów kryje się tajemnica zniknięcia doktora — dokończył Mayer i zamknął teczkę.

Pułkownik roześmiał się.

— Im dłużej siedzę w Europie, tym jaśniej widzę, że wszyscy macie fijoła. Hiszpanie pędzają byka po arenie, choć miejsce jego jest w konserwie. Barton, normalny, zdrowy niby chłop, spisuje od lat trzydziestu numery lokomotyw. Nie wsiądzie do pociągu nie popatrzywszy na parowóz. Włosi znów mają bzika na punkcie makaronu i rozsypujących się domów. A wam — żydowski nos przesłania świat. Nie krzyw się Mayer, bo niejednego nauczysz się przy mnie! Grad zniszczył pola? Wiadomo! Żydzi rządzą w niebie! Córka sąsiadów zaszła nagle? A jakże! Łóżko przywieziono z getta. Diabli wzięli Orlika? Nie, porwali go Żydzi. Słuchaj uważnie doświadczonego człowieka, który, gdyby znał *Frau* Mayer, mógłby zostać twoim papą. Europa, to zlepek dziwactw. — Strzykanie w karku powtórzyło się i pułkownik uśmiechnął się do swoich myśli. — Każdy z was ciągnie ogon wielowiekowej tradycji.

hlubicie się ogonami i co krok, przydeptujecie je sobie nawzajem. Pa-
rzę i śmieję się. Dlaczego trzaskacie obcasami? Bo jakiś dawny Hitler,
anim wszedł do domu, otrzepywał w ten sposób buty umazane łajnem.
atrz na Amerykę! Bierzemy ze Starego Świata wszystko, co przedsta-
ia wartość. Szmelc spychamy w Atlantyk. Dlatego masz pensję w do-
rach. Również dlatego — pułkownik uśmiechnął się dobrotliwie jak
złowiek zawstydzony własną szlachetnością — nie jestem wrogiem
ydów. Nie napędzają mi krwi do oczu i nie wzniecają słusznej pasji,
tórej ulegam, ilekroć dojrzę Negra.

— Tak jest, sir. *All right.*

— A więc, szukaj i węsz. Nie lubię tajemniczych zgonów. Miałem
Paryżu podobną sprawę. Wszystko w niej było na miejscu z wyjąt-
iem sprawcy. Orlik nie rozpłynął się w powietrzu. Coś pozostało
chciałbym te resztki jak najprędzej zobaczyć. Tylko bez figli! Nie przy-
oś macy i nie sprowadzaj Żydów, którzy przyznają się, że zjedli dok-
ora na surowo. Powiem ci — albo mord polityczny, czyli komuniści,
bo Murzyni. Orlik wiózł znaczną gotówkę. Pomyśl nad tym!

Zanim Mayer zdążył powiedzieć „tak jest, sir" zadzwonił telefon.
ułkownik wrzasnął „Hallo!" i spokorniał od razu. Powtórzył kilka-
aście razy „tak", „słucham", „okey" i odłożył słuchawkę.

— Słyszałeś? Ciągną człowieka w dziesięć stron naraz. Czy profesor
apany? Czy Daumme już pracuje? Pokaż arkusz próbny, pytają, czy
esteśmy gotowi do spisu ludności. Daumme żąda pensji generalskiej.
óż... dostanie.

Mayer położył na biurku duży arkusz opatrzony nadrukiem „*Volks
nd Berufszälung Drucksache nr. 1*". Tłumaczył wodząc ołówkiem po
biryncie rubryk: Przebieg służby wojskowej, w jakich formacjach?
łużba frontowa, ostatnia jednostka macierzysta, stopień, specjalność
ojskowa, odznaczenia... Amerykanin kiwał głową, Mayer wyjaśniał.
ołączył do arkusza przykłady prawidłowych odpowiedzi na postawio-
e pytania. Jest to konieczne, bo szczególnie na wsi nie lubią ludzie
rzędowego języka. Chłop waży słowa jak worki ze zbożem. Zanim po-
ży podpis, trzy razy umoczy pióro. Więc, na przykład: Oprócz stałych
ieszkańców razem z rodziną mieszkają:

1. Ciocia z Litwy,
2. Stryjek z Wiednia,
3. Babcia z Pilzna,
4. Dziadek z Łodzi,
5. Wujek z Gdańska,
6. Wnuczka z Lipska, przybyli na pobyt czasowy. Nadto, pracuje

w gospodarstwie jeden z obcokrajowców. Zawód — Knecht. Narodowość — Pole.

Amerykanin nie słuchał dalej.

— Nie interesują mnie drobiazgi! Bardzo dobrze, Mayer! Awansowałeś na urzędnika stanu cywilnego. Przygotowałeś akt narodzin nowej Rzeszy. Brawo!

— Dziękuję, sir. — Odrzekł szczerze wzruszony hitlerowiec.

— Znów będziecie mogli bronić zachodniej kultury. Wolne zjednoczone narody wyciągają do was ręce. Okażcie zatem dobrą wolę. Dziesięć dywizji starczy na początek.

Joe A. Kelly połknął wzmacniającą pigułkę i podniósł palec.

— Kultura potrzebuje pancerza. Zbiegły fizyk powiedział kiedyś, że mamy dość uranu i stali, lecz brak nam idei. Śmieszny Europejczyk! Zapomniał o dolarze. Możemy zakupić dziesięć tysięcy filozofów, polityków i ekonomistów. Każemy myśleć i pisać. Z powstałej bazgraniny wyciśniemy sok i stworzymy ekstrakt ideowy bardziej ponętny niż komunistyczne hasła. Patrz! — pułkownik podsunął pudełko z pigułkami. W każdej tkwi 1 000 kilogramów krowiej wątroby! Zamiast pożerać krowie ścierwo, otwieram usta, łykam i popijam sokiem. Być może, że wynajęci durnie, nie wymyślą nic godnego Ameryki. Wtedy rozpędzimy sklerotyków i zbudujemy maszynę poruszaną energią atomową. Wystarczy nacisnąć guzik i przyjść za pół godziny po wynik. Hasła popłyną w świat. Ludzkość porzuci czerwone sztandary, a my będziemy łykać pięć tysięcy ton wątroby w pastylce o malinowym smaku. To jest wielkość Ameryki! Oto opiekuńcze skrzydła osłaniające nowy Wehrmacht. Któż nam wytrąci miecz atomowy?

Amerykanin urwał i niespokojnie zerknął na Mayera. Hitlerowiec milczał wierny zasadzie, że nie należy drażnić przełożonego przed obiadem.

Milczenie trwało. Wreszcie stało się tak uciążliwe, że Kelly odwrócił głowę. Patrzył w okno i myślał, że czas już najwyższy, by zaczęła działać maszyna skonstruowana w wyobraźni. Być może, zawiedzie nadzieje wynalazców... Wtedy, trzeba oślepić tamtą stronę świata błyskiem tak potężnym, by spopielało wszystko... Pułkownik był pewien, że nie istnieje idea, która odżyłaby z popiołów. I nagle, struchlał. Co będzie robił? Komu pośle broń? Do kogo przemówi przez radio? Od kogo kupi ciekawe wiadomości?

A gięte meble, firmy „Kelly-Kelly"? A posążki Wolności? Zatopić w oceanach? Zwolnić robotników, zawiesić produkcję i czekać, aż na popiołach pojawią się nowi odbiorcy towaru? Bzdura, choć może nie do

niknięcia. Amerykanin zrozumiał raptem: niszczyć, ale zachować ryn-
i zbytu. Bronić wolności gromadzenia pieniędzy. Wszyscy służą spra-
vie, on, Mayer, Daumme, „Old Fellow"; miał służyć profesor, ale uciekł.
Każdy wnosi swój wkład. Nawet ci najmniej znani ukrywający się w od-
egłych lasach.

Pierwszy odezwał się Mayer.

— Pułkowniku, z Offenbachu nadeszło rozliczenie za ostatni kwartał.
Rząd Wolnej Ukrainy prosi o pieniądze. Ministrowie od dwóch miesię-
y nie otrzymują poborów. Premier chodzi po zupę do obozu Dipi. Dy-
ektor z ministerstwa sprawiedliwości ukradł amerykańską oponę
sprzedał na czarnym rynku.

— Potrącić z pensji! Przysłali szkic sytuacyjny? Dawaj!

Amerykanin pochylił się nad mapą Polski. Kreski oznaczające teren
ziałania band UPA przerzedziły się i jakby zbladły. W południowym
ącie kraju było ich jeszcze sporo, ale wystarczał rzut oka, by i tam
twierdzić ubytek sił. Pułkownik, choć nie podzielał poglądu Bartona,
ie żałował pieniędzy i zaopatrywał najmniejsze oddziały. Strzelanina
rzycichła, lecz nie wygasała.

Barton upierał się przy swoim. — Metoda jest dobra — mówił, ilekroć
dwiedzał pułkownika — tylko głupio wykonywana. Żołnierza i mili-
janta zastąpią następni z szeregu. Giną nieodpowiedni ludzie. Podsy-
aj leśny ogień dobrą bronią. Dodawaj ducha dolarami każdemu, kto
ie idzie z komunistami. Miesiąc, dwa i wtargniemy do mieszkania.
Vtedy poprzestawiamy meble według swego gustu i zdejmiemy niemiłe
la nas obrazy.

Kelly mruczał, kręcił głową i — płacił. Więc i teraz powiedział do
Iayera:

— Pieniądze trzeba dać, ale to nie jest interes. — Stukał ołówkiem
mapkę i zagryzał wargi. — No cóż, oryginał zostanie, a kopię pośle-
ıy do Frankfurtu jeszcze dziś. Trzeba uzasadnić wydatki. Zdaje się,
twój przyjaciel ma rację. Chodzimy w koło domu bez nadziei do-
ania się do środka.

— Tak jest, sir — ożywił się Mayer — „Old Fellow" nie zawiódł ani
azu. Zajmuje wysokie stanowisko, więc patrzy z bliska. Umie wyciąg-
ąć logiczne wnioski z dostrzeżonych faktów, a to jest w naszej pracy
ajważniejsze. Dostarcza informacji dokładnych i ścisłych. Przypomnę
iadomość o kopalni.

— Ach, cóż znaczy garstka złota i kupka rudy uranowej! Dwie kon-
epcje wzięły w łeb. Boję się o trzecią. Kto zaręczy, że nie runie podob-
e jak poprzednie? W tym sęk, mój przyjacielu.

— Ja, sir.

— Ty? — spytał pułkownik zaskoczony pewnym siebie tonem. — To bardzo dobrze. Nie cierpię ludzi małej wiary.

— Pan pułkownik wspomniał o domu. Bardzo zręczne porównanie, które pozwolę sobie rozwinąć. Chcemy wejść bez wyłamywania drzwi i podważania okien. Nie mamy również ochoty na bójkę z dozorcą.

— Przyjemnie porozmawiać z rodakiem Goethego. Wyrażasz się jak prawdziwy poeta. Mgliście i pięknie.

— Dziękuję, sir. Musimy więc szukać sprzymierzeńców wśród domowników. Złodziej, zanim wyniesie pościel, flirtuje ze służącą.

— Za wcześnie cię pochwaliłem. Nie jesteśmy złodziejami! Uważaj Mayer na słowa. Zresztą bardzo wątpię, czy „Old Fellow" potrafi otworzyć drzwi.

— Nie, sir. On zgromadzi przyjaciół przy drzwiach. Okręgi południowe zaludniają się naszymi agentami, przepraszam, sir. Miałem na myśli sojuszników.

Pułkownik bębnił w stół. Mayer ciągnął dalej.

— Posłaliśmy do Polski wielu wojskowych. Ani jeden nie odszedł z kwitkiem. „Old Fellow" przeprowadził ich swoimi ścieżkami na odpowiednie posterunki.

— Dostał premię za ofiarną pracę.

— Pamiętam, sir.

— Więc? — Kelly uniósł brwi. — Krążysz jak sęp.

— Dziś w nocy „Old Fellow" po raz trzeci wymienił niebezpieczne nazwisko „Jedlicki".

— Wiem, wiem... — Kelly wstał i przeszedł się wzdłuż biurka. — Ktoś znaczny? Prawda, przypominam sobie. Generał?

Mayer skinął głową.

— Popularny w armii. Znany zagranicą. Osobistość godna uwagi.

— Jedlicki, Jedlicki... — powtarzał pułkownik nie przerywając spacerku. — No cóż, Mayer, trzeba coś postanowić i to szybko.

— Jak najprędzej, sir.

Amerykanin zatrzymał się. Patrzył na Mayera i kołysał się jak potrącony posąg. Hitlerowiec przymrużył oczy. Nareszcie myśli ich biegły razem, zgodne jak konie jednego cugu.

— A więc, postanowimy. Jadę na lunch. Później pomyślimy wspólnie. Jeszcze coś? Co to za dziwki?

— Brak nam personelu pomocniczego, sir. — Mayer położył fotografie na stole. — Maszynistki nie mogą podołać pracy. A to są dziewczęta o sprawdzonej przeszłości. Znają język. Poważne i chętne.

— O tej nie mówmy. Znam dowódcę eskadry! Poleci do Waszyngto-
na skargę, a nie odda brunetki z kręcącymi się włosami. Natomiast
ondyneczki przydałyby się... — Kelly oparł fotografie o szklankę
ofnął się. Był dalekowidzem, lecz unikał szkieł w towarzystwie ko-
et. — Owszem, udane. Szczególnie ta, co Mayer? Jakbym ją widział!
tulna, cicha, pracowita... — zajrzał do notesu — i tkliwa. Cenię wasze
biety. Gdzie pracują? W oficerskim sklepie, aha. Zatem, wykąpać,
rać i od jutra do pracy.
— Tak jest, sir.
— W zasadzie jestem zadowolony. Profesor popsuł mi humor, ale
ięki znakomitym pigułkom z krowiej wątroby zaczynam odzyskiwać
wnowagę ducha. Powtarzam, Mayer, jestem zadowolony! — Kelly
iąż patrzył na fotografię Trudy. — Po obiedzie czekam na ciebie. Spi-
eś się dzielnie. Dziewczątko przypomina moją synową.
— To zasługa Beckmanna, sir — wtrącił Mayer. — Jego wybór,
go gust.
— Ah, tak? Wobec tego rozmówię się z Beckmannem. Masz wolne
południe. Nie zapomnij przysłać Beckmanna.
— Kolega Beckmann, to utalentowany pracownik — dodał Mayer.
łonił się i wyszedł z gabinetu. Pułkownik czekał na samochód. Za-
m kierowca podjechał, odezwał się po raz drugi telefon.
— To ty stary hipopotamie?
— Ja. A bo co? — Kelly poznał głos szefa kwatery prasowej. — Nie
stałeś komunikatu? Czekaj, mam pod ręką. Słuchaj! Nowa ofiara Mo-
wy. Stop. Masz już? Tak, oczywiście o profesorze. Czego ryczysz, by-
ku? Co, pechowa rodzina?!! — Kelly posiniał. Dyszał ciężko nie wie-
ąc własnym uszom. Stęknął — Powtórz. Źle słyszę.
— Nie dziwię się! Uważaj! „Pułkownik Kelly. Stop. Skorzystałem
przepustki. Stop. Pozdrowienia ze Szwajcarii. Stop. Zegarek proszę
rzymać na pamiątkę rozmów o bombie... Stop. Jopicki..."
— Stop! — Wrzasnął Kelly. — Odeślij depeszę i nie mówmy o tym.
e wystawiałem łajdakowi przepustki! Zełgane od początku do końca!
— Owszem, przypomnij sobie. Trzy miesiące temu. Podpis auten-
zny. Inaczej nie przekroczyłby granicy. Depeszę oddam. Nie masz
przeciwko ogłoszeniu jej w prasie? Adresowana była na moją kwa-
ę. Piękne zakończenie operacji Nut-Cracker, hę?
— Skonfiskuję! Nie pozwolę! Nie zobaczysz ani jednej gazety jutro!
mknę redakcje w całej Strefie!
— A w Ameryce? — zapytał słodko szef prasy.
— Ile?

— Nie rozumiem. Swoją drogą nie dopisuje wam szczęście, Joe. Najpierw bratanek, teraz ty. Nie wrzeszcz.

— Dam zegarek. Czterdzieści gramów. Podwójna koperta. Piękny werk! Dodam spinki z perłowej masy!

— Nisko cenisz sumienie prasy. Pan cię ukarze, Joe.

— Słuchaj, Ben. Dość dziecinady. Pytam poważnie. Ile?

— Zapraszasz mnie na lunch?

— Zapraszam!

— Przyjmuję. Pomówimy spokojnie w klubie. Sądzę, że umieścimy twoją notatkę o porwaniu. Jeżeli będziesz rozsądny. Właśnie wpadł mi do głowy pewien pomysł... No, ale o tym potem. Czy spodziewałeś się, że Jopicki zagoni cię w kozi róg? Słyszysz, Joe? Hallo!

— Nie spodziewałem się! Zresztą nie odróżniam polskich nazwisk! Jak się zwał, tak się zwał. Mógł się nazywać równie dobrze Ckiskiwicz. Wiem, że zedrzesz ze mnie skórę.

— Bądź dobrej myśli, Joe. *Bye, darling.*

Kelly cisnął słuchawkę i opadł na fotel. Nie ma wyjścia. Trzeba płacić. Na biurku zabłysło czerwone światełko. Pułkownik przycisnął guzik. Wszedł sierżant.

— Samochód czeka, sir.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Frau Schirm wyszła do ogrodu z zamiarem wytrzepania dywanika. Żołnierze uganiający się od rana, przenieśli się widać dalej, bo na ulicy panował spokój i tylko gdzieś z wysoka bzykały samoloty. Za zielonym płotkiem spacerował radca Gersteinmaier, właściciel sąsiedniego domku.

— Dzień dobry, *Herr Konsistorialrat* — powiedziała kobieta opuszczając trzepaczkę. — Ładna pogoda, nieprawdaż?

Radca przystanął i zwinąwszy dłoń na kształt lunety, zadarł głowę czegoś szukając na niebie.

— Niech pani spojrzy! Helikopter! O, widzę drugi. Jest już trzeci! Bardzo zabawne maszyny. W ciekawych czasach żyjemy. Dzień dobry, Frau Schirm.

— Bez wątpienia — Przyznała uprzejmie kobieta i gdy radca oddalił się nieco, zabrała się do trzepania.

Z punktu widzenia Franciszki Schirm żaden samolot, nawet tak cudaczny, jak unoszący się nad śródmieściem helikopter, nie był zabawny. Hałas motoru przypominał odległą o parę lat noc noworoczną, którą

rzeżyła u siostry w Kolonii. Samoloty nadleciały nagle. Zbiegając do wnicy Franciszka słyszała zawodzenie syreny i poszum pierwszych omb zrzucanych na miasto. Znalazła się wśród obcych, lecz równie wyknionych kobiet. Serce biło jakby sprzężono je z armatami obrony. ołatało gwałtownie i naraz zamierało. Wtedy Franciszka zapadała sen graniczący z omdleniem. Nagły trzask powalił wszystkich. Sypęło gruzem. Ale to nie była śmierć. Gdy opadł kurz, któraś z kobiet apaliła latarkę. Franciszka spojrzała w górę i od razu zamknęła oczy. szczelinie sklepienia tkwił „Blindgänger". Opowiadano jej potem, schron odkopano w niecałą godzinę po odwołaniu alarmu. Przywieono jeńców, a siostrę oraz dwie inne kobiety zabrano do szpitala. Nie otrafiły powstrzymać krzyku i zachodziła obawa, że strach odebrał im ozum. Jeńcy wyciągnęli bombę i położyli na ulicy. Wyglądała jak biezna zwinięta do magla, tyle nawinęła na siebie pościeli, zanim oparła ę nad piwnicą. Potem kazano odejść o sto metrów. Przy bombie pozoał technik w lotniczym mundurze. — *Keine Angst, meine Damen!* — awołał pokazując zapalnik. — To nie był *Langzeitzünder*. Zwykły nieypał i tyle. — Siostra nie powróciła ze szpitala. Trzy kobiety zmarły dnego dnia. Na zapalenie płuc — powiedziano Franciszce. Było to nieątpliwie dziwne, lecz najdziwniejszy zgon nie uprawnia obywateli do atrętnych pytań.

A pytań z każdym dniem było więcej. Wreszcie sprowadziły się do dnego: jak długo jeszcze trwać będzie w i e l k i e ś w i ń s t w o? Samoloty rzucały również szeleszczące pasemka staniolu, służące nie iadomo czemu i ulotki, których nie wolno było czytać. Niedobry rok ączął się od śmierci siostry, potem mąż poszedł na front, potem znikął szwagier. Firma „Boley" przez siedemdziesiąt lat wyrabiała narzęzia dla zegarmistrzów, zanim przeszła na produkcję sprawdzianów konolujących wykonywane gdzie indziej zapalniki. — Bardzo mi przyro — powiedział szef do męża — ale musimy oddać wszystkich bezartyjnych. Życzę powodzenia, panie Schirm. Niechże pan idzie, *für ührer, Volk und Vaterland*. — Stało się dokładnie tak, jak rysowano ulotkach. Ludzie ze swastykami spychali coraz to nowych mężczyzn chłopców w bezdenną przepaść opatrzoną podpisem „*Sowjetrussland*". zwagier pokazał Franciszce jedną z takich ulotek. Wkrótce potem zanął. Wyszedł z Warsztatów Kolejowych, lecz nie dojechał do domu. ie szukano, nie pytano, aż sam odezwał się z obozu. Żona szwagra rzyniosła kartkę zaczynającą się od słów „Jestem zdrów..." i zakończoną prośbą o paczkę. — Upiekę placki kartoflane — zadecydowała ranciszka. — Trzeba posłać. — To może być źle widziane — mruknęła

szwagierka. — Czy istnieje zakaz wysyłania paczek? — Nie, ale jednak... — Szwagierka zabrała się i poszła.

Wojna Franciszki mijała w schronie, w ogonkach, w kuchni, przy stojaku, na którym trzepała te same dywaniki, tyle że młodsze o parę lat. Co soboty szorowała chodnik przed domem, kąpała jamnika Rikli i podziwiała paczki przysyłane przez młodego Mista. Potem przychodziła kolej na sukienki Ilzy, i skarpetki dla Ernesta. Raz w miesiącu pakowała paczkę dla szwagra. Pisała i czekała na listy z nadrukiem poczty polowej. Po roku wojaczki Ernsti umilkł. Franciszka odszukała towarzyszy męża. Nie byli mądrzejsi od niej. Tłumaczyli, że w odwrocie nie widać kto zabity, a kto ranny. Nieprzyjaciel zagarnia ciężko rannych i liczy poległych. Ernest najpewniej w niewoli. Na razie — *vermisst.*

Gdy mówią, że wojna potrwa lat wiele, lecz odwróci się jeszcze karta, to klęskę widać za progiem. „Najdłuższa wojna odchodzi niespostrzeżenie jak młodość. Raptem — jest poza tobą" — myślała Franciszka patrząc na obce wojska pędzące na wschód. Tam huczało wciąż niebo. Listonosz przestał roznosić pocztę. Nie było kogo pytać o Ernesta.

Tego samego dnia powiedziała Franciszka, podając kartoflaną sałatkę: — Spalą nas razem z Himmlerem. Spalą, ponieważ nie obaliliśmy Hitlera. Pójdziemy do wielkiego pieca. — Nie słyszałem o podobnych urządzeniach w Niemczech — odrzekł profesor Mist. — Wieloletnia praca w naszym domu przynosi ci zaszczyt, ale nie daje prawa do uwag odbierających apetyt. Nie widzę powodu do zmiany zwyczajów przestrzeganych w tym oto domu!

Ludzie jedli podczas wojny, więc i po wojnie nie mieli zamiaru zamorzyć się głodem. Zaczęli wychodzić. Flagi, mundury, język — tyle nowego dostrzegała Franciszka. Nadal kłaniała się radcy, Gersteinmaier uchylał kapelusza przed profesorem, a profesor przed kościołem. Ogonki po jarmuż, sprzedawany bez kartek, nie były ani dłuższe, ani krótsze. Odnalazł się młody Mist. — Przebywa w Dachau. *Zur Zeit* — oznajmił zaniepokojony ojciec.

Franciszka wypełniła z mozołem olbrzymi arkusz Fragebogen i musiała pójść na film o Buchenwaldzie, bo przy wyjściu z kina stemplowano nowe kartki na żywność. Patrzyła bardziej oszołomiona oklaskami, które zrywały się w ciemnej sali, niż tym co pokazano na ekranie. Dopiero w domu pomyślała o bracie męża. Nabrała pewności, że mimo paczek, nie powróci. Westchnęła nad jedzeniem, które powinna była zjeść Ilza. Przy czterdziestu latach i siwiejących włosach patrzy się na życie poprzez jedzenie podawane dziecku. Więc nowej rzeczywistości wymie-

ała sprawiedliwość miarą codziennej porcji chleba. Poza tym — nie yła ani wdową, ani żoną.

Profesorostwo Mist, radca Gersteinmaier z rodziną, oraz wielu inych dalszych sąsiadów, dostali pewnego dnia nakaz opuszczenia willi.— aczyna się jednak... — pomyślała Franciszka pomagając pakować drozgi. Wyjaśniło się jednak, że ani to kara, ani początek zmian. Po prou przyjechało więcej żołnierzy. Woleli domki wśród zieleni od ciemych mieszkań w starodawnych kamienicach śródmieścia. Amerykanie zywozili prowiant, Franciszka gotowała, cerowała bieliznę, wynosiła utelki i słała łóżka. Wcześniej niż zdążyła pomyśleć, obudziła się obok słego chłopca o piegowatej twarzy. Poza chrapaniem nie przypominał czym spracowanego męża. Trwało to aż do jego wyjazdu.

Profesor krążył wokół domu. Ilekroć spotkał Franciszkę, zaklinał na szystko: — Nie daj im polewać się wodą w salonie! Moja kochana, czy prawda, że domalowali brodę na portrecie nieboszczki cesarzowej? — Proszę nie pytać, *Herr Profesor*. Powiem tylko, że wymalowali wiele więcej. Teraz uczą się grać na pianinie. Na cztery nogi. — Biedny ój mahoniowy Blüthner! — jęczał Mist oddalając się w stronę iasta. Franciszka uśmiechała się złośliwie. Żal marnowanych bezmyśle rzeczy, nawet cudzych. Ale... Pamiętała przecież, że cenne pianino zypadło Mistom z rozdziału mebli pozostawionych przez Żydów r z e s i e d l o n y c h na wschód.

Któraś noc musi być ostatnia. Żołnierze zapakowali worki, naciągli rynsztunek i odjechali. — Trzymaj się, stara wyżymaczko! — usłyała na pożegnanie. Tak rozstała się z pierwszym kochankiem, który wracał już do Ameryki po tytuł weterana i podziękowanie kongresu. a razie nie myślała o następnym.

Do willi sprowadził się Polak z Londynu, a w trzy dni później przyedł szwagier. — Nie poznajesz, Franciszko? To ja, Willi. — Cóż znou! O, Willi, Willi... — Podsunęła taboret. — Poznałam, tylko tyle czaminęło. Dużo ludzi wróciło... — Byłem w szpitalu. Gdyby nie twoje czki, nie przyszedłbym wcale. — Dłuższą chwilę patrzyli na siebie milczeniu. — To nie jest możliwe do opowiedzenia, Franciszko. przecież byłem Niemcem. — Jakto, Willi, b y ł e ś? — Właśnie, nie am pewności, czy jestem nadal.

Pomimo wszystko otrzymał pracę w dawnych Warsztatach Kolejoych. Trzy dni w tygodniu. Osiemdziesiąt fenigów za godzinę. Zamieszł u żony, by zaoszczędzić na tramwajach. Zresztą wyboru nie miał. asto było zapchane wojskiem i Niemcami wysiedlonymi z różnych ajów.

Po tygodniu spotkali się znowu. — Chciałbym pomówić z twoim oficerem. Zapytaj, czy można. — Franciszka pobiegła na górę. Kapitan zeszedł do kuchni, gdzie czekał Willi. — Byłem w obozie, panie kapitanie, w którym oberkapo, Toni Szwarc, zabił więcej ludzi od niejednego esesmana. — Oficer milczał, więc Willi ciągnął dalej. — Oberkapo jest teraz dyrektorem polskiej szkoły. Wiem, bo leżałem w szpitalu w tym mieście i wielokrotnie widziałem go przez okno. Nazywa się obecnie doktór Orlik. — Kapitan ruszył ramionami. — Powinien pan rozumieć lepiej ode mnie warunki obozowe. Zamykano również przyzwoitych ludzi. Za drutami byli inni niż w domu, a teraz mogą znów pracować uczciwie. — Tak, ale Toni nosił zielony winkiel! Są świadkowie, że bił i zabijał! — zawołał Willi. — Przecież to zawodowy przestępca! — Oficer machnął ręką. Był najwyraźniej zniecierpliwiony. — Kto was zamknął? Toni Szwarc czy Adolf Hitler? No, więc! Do niego miejcie pretensję! Zresztą, szkoła to nie mój rejon. — Odwrócił się i wyszedł. Willi opuścił głowę i oglądał podłogę, jakby pierwszy raz widział wyszorowane do czysta deski. Franciszka postawiła wytarty talerz i odezwała się do szwagra. — Nie powinieneś tak mówić, Willi. Wyrzucą cię z Warsztatów... Kto za Hitlera miał dobrze, znów żyje spokojnie. — Willi wstał. — Najgorsze, Franciszko, że *Hauptman* ma trochę racji. Gdzie rzucają książki na stos, tam później palą ludzi. Rósł faszyzm, a myśmy mówili, że wnet się skończy. Hitler upadł, ale zdążył pogruchotać nam kości. A teraz, jak sama widzisz, zaczyna się od początku. Nie będę przychodził. Nic dobrego nie wyniknie z odwiedzin. — Franciszka zatrzymała go za rękaw. — Nie bądź głupi. *Hauptman* wyjeżdża w sobotę i wraca w poniedziałek rano. Każdej niedzieli możesz tu przyjść i zjeść. Mamy dość. Nie żyjemy z kartek. Ilza jest rozsądna i nie wypaple przed obcym.

Radca Gersteinmaier powrócił do swego domu i jak dawniej spacerował po ogrodzie zbierając gąsienice, które pojawiły się na różach. Londyński oficer wyjechał jesienią zabierając dwanaście łyżeczek i srebrną cukiernicę, pamiątkę po matce profesorowej Mist. Willa pozostała przy Polakach. Do nowego kapitana mówiło się nie „Herr Hauptman", lecz „Herr Kapitän", choć nie był marynarzem. Roboty przybyło. Po południu pojawiali się ludzie z obozów wysiedleńców i chłopcy w granatowych mundurach kompanii wartowniczych. Franciszka kręciła nosem: niedbale wycierali nogi. I w ogóle było inaczej niż za poprzednika w czarnym berecie. Z początkiem zimy drugi oficer wprowadził się do pokojów na pierwszym piętrze. W kuchni nastały nowe porządki. Franciszka osłupiała: Koniec z kartoflaną sałatką! — A *Mehl-*

eise, spytała młodej Frau Oberleutnant. — *Streng verboten!* Nie chcę ginąć z ręki męża! — Były to oczywiście żarty, Franciszka rozumiała brze, ale jednak? Czy można przyprawić mięso bez garnka mącznego sosu? Okazuje się, że każdy ma swoje dziwactwa. Amerykanie syali do zupy waniliowy proszek, a Polka woła o pietruszkę! — Nie, *Frau berleutnant*, nawet podczas wojny nie jadaliśmy grzybowej zupy! — ranciszka poczerwieniała za zdenerwowania. — Suszonych grzybów e widziałam w życiu! O chrzan zapytam, skoro *Frau Oberleutnant* bie życzy.

Sprawami Polaków Franciszka Schirm nie interesowała się zbytnio. a pytania Willego odpowiadała powściągliwie, że nowi mieszkańcy ofesorskiego domu nie cierpią hitlerowców, widzą ojczyznę w Polsce, e w Londynie i nie są źli dla dzieci. Ilza przytyła i nabrała rumieńw. Wygląda tak dobrze, że nauczycielka każe zostawać jej w domu, ly szkołę odwiedza komisja Czerwonego Krzyża. Wtedy przychodzą na kcje tylko wątłe dzieci i zarabiają swoim wyglądem na dodatek żywości dla wszystkich. Czy Willi mógłby postarać się o chrzan?

Pojawili się pierwsi jeńcy zwolnieni przez Rosjan. Ernesta nikt nie ał i nie widział. Wracał wieczorami. Po zgaszeniu światła, Franciszka ugo leżała w łóżku słuchając równego oddechu Ilzy i szumu ciepłego iatru nadlatującego z gór. Czuła, że sen jej nie bierze, pomimo pracy, mimo lat. Splatała więc ręce pod głową i wyprężała aż do bólu mięśe. Ernest wynurzał się z najciemniejszego kąta nad szafą z ubraniai. Im bliżej był, tym bardziej przypominał piegowatego Amerykanina, potem zmieniał się nagle w szofera polskich oficerów. *Stanislaus*, boiem co Polak — to Stanisław, spał tuż; prawie przy niej, za cienką ścia, przez którą nieomal czuła oddech mężczyzny. Gdy bladła noc, zadała w kamienny sen przerywany jazgotem kuchennego budzika. Żo porucznika podsuwała jej lusterko i pokazując rosnące sińce pod zami, mówiła: — Będzie źle, pani Schirm. Nie oszuka się pragnień oterowaniem co pięć minut podłogi. Wiem z własnego doświadczenia, oć jestem młodsza. Tym kobietom wystarcza praca, które nigdy nie znały miłości. Franciszka odpowiadała grzecznym uśmiechem. Myała: „Łatwo radzić młodej mężatce. Nie potrzebuje wypatrywać męża d szafą". Znała kobiety, które urodziły kupę dzieci, lecz nie umiały wiedzieć o miłości nic ponadto, że smakuje prawie tak samo, jak arcie nosa. Była mądrzejsza, więc zamykając drzwi za wybiegającą szkoły Ilzą, zastanawiała się, jak ułożyć życie dziewczynki, by nie ierzyła uczuć zarobkami przyszłego męża. Po rozmowie z Frau Oberutnant zaczęła dbać o siebie. Skróciła włosy i co tydzień myła głowę

wywarem z łupin czerwonej cebuli. Jednocześnie coraz doskonalej przyrządzała pierożki z kartoflami, ulubioną potrawę Stanisława.

Niespodziewanie zjawiły się strachy przygnane najwidoczniej wiosennym wiatrem. Odezwały się pewnej nocy z gwałtownością, która postawiła na nogi cały dom. Schody skrzypiały od dawna. Na trzaski w szafie też nie zwracała uwagi, ale teraz wszystko nabrało znaczenia i odżywało w pamięci. — Gdzieś łomoczą niedomknięte drzwi lub wiatr potrąca uchylonym oknem — powiedział kapitan Tański, gdy Franciszka zbiegła z góry. — Na parterze, albo u was? — Porucznik pokręcił głową. — Wszystko zamknięte. — Znowu — krzyknęła Frau Oberleutnant. — To na dole. Najwyraźniej zabrzęczała szyba. — Gałąź uderza w okno. — Żadne drzewo nie rośnie tak blisko — wtrąciła Franciszka. Wolała nie nazywać rzeczy po imieniu. Mężczyźni wyszli, a po kwadransie przyznali jej rację. Nawet antena była w porządku. Ledwie wrócili do łóżek, huknęło ponownie. Tym razem nikt nie szukał, tylko Stanisław za ścianą burknął wcale głośno: — Uważaj, ty nie meldowany...! — O wpół do pierwszej w nocy ucichło wszystko. Wiatr przyniósł, wiatr zabrał. Franciszka zasypiała dłużej niż każdej innej nocy. Zaciskała oczy, starała się stłumić myśl o Stanisławie i przypomnieć sobie Ernesta. Była przekonana, że to on daje znaki. Lecz nie wiedziała skąd, z obozu w Rosji, czy z tamtego świata? Dziecko spało spokojnie. Obudziło się o zwykłej porze i nie zrozumiawszy zdenerwowania matki, pobiegło do szkoły.

Słoneczny dzień nie sprzyja strachom. Zapomina się o nich jak o ćmiącym zębie. Dopiero wizyta szwagierki przypomniała nocne stuki. Franciszka domyśliła się, zanim żona Willego otworzyła usta. Spytała. — Za co? — A bo ja wiem? Zatęsknił pewnie za darmową zupą. Są ludzie, co przy każdym rządzie potrafią obijać się w kryminale. Siedzi od wczoraj. Chcesz znowu posyłać żarcie, to posyłaj. Ja mam go gdzieś.— Podniosła kieckę i poszła.

Dwa dni żyli wyjazdem Tańskiego do Polski. Mówiono, że pojedzie również Stanisław, ale Amerykanie pokręcili coś w papierach, więc musiał zostać. Ernest, gdzie tylko był, strzegł żony brzękiem szyby. „Przeczuł pismo nosem", powtarzała sobie Franciszka. „Durnia Amerykanina przegapił, a Stanisława uczepił się jak esesman Żyda".

Nie mogła zrozumieć, dlaczego człowiek wykształcony, radca i doktór, nazywa życie „ciekawymi czasami". Ciekawe, to przyjemne. Cóż ciekawego w czekaniu na Ernesta? Albo w rozmowach o aresztowaniach? Była ciekawa, co będzie dalej, a raczej — kto. Stanisław? Dość cofania się w przeszłość!

Warkot motoru wzmógł się gwałtownie. Podniosła przestraszona głowę. Helikopter zawisł nad domem. Franciszka nie latała dotychczas i nie spodziewała się, by kiedykolwiek miała zobaczyć ziemię z lotu ptaka. Patrzyła na pokraczną maszynę ze wstrętem. Ale różnica poglądów nie zwalnia od grzeczności.

— Bardzo dziwny — powiedziała, gdy radca Gersteinmaier ponownie zbliżył się do płotu — ten helikopter. Do widzenia, panie radco. — Zwinęła dywanik w rulon i skierowała się do drzwi. Posłyszawszy nadjeżdżający samochód, stanęła.

— Może Stanisław z porucznikiem? Nie, to nie nasz wóz.

Amerykański jeep zatrzymał się przed furtką.

— Hej! Franciszko!

Przetarła oczy. Tak, to on. „Czyżby Polacy mieli wyjechać, a ci wprowadzić się z powrotem? Naturalnie, kiedyś muszą wyjechać... Nie pomyślała o tym... Lecz „kiedyś" — to jutro, pojutrze w każdym razie nie dziś..."

— Ogłuchłaś? Ruszaj się prędzej, polska sługo! Czekamy na szanowną panią!

Młody Mist wygramolił się z samochodu i pomógł wyjść sierżantowi. Franciszka podeszła niechętnie. Odwykła już od wyzwisk i hitlerowskiego wrzasku. Amerykanin uchwycił się sztachet. Obydwaj byli podpici.

— Przyjechałem popatrzeć na rodzinny dom. Słuchaj — trącił sierżanta — tu mieszkałem! Tam był mój pokój!

— *My name is Steepi...* — bełkotał sierżant wpatrując się w Franciszkę. — *I am Steepii...*

— Mówi do ciebie, że nazywa się Stipi! Odwykłaś od ludzkiej mowy?

— *I am Steepi!* — wrzasnął nagle Amerykanin.

— Bardzo mi przyjemnie, panie Stipi. — Franciszka cofnęła się w głąb ogrodu.

— Nie uciekaj, idiotko! — rozzłościł się młody Mist. — Nie jestem pijany, a sierżant tylko udaje. Siadaj z nami. Zabawisz się jak szesnastolatka! Podobasz się memu przyjacielowi! Prędzej! Fartuch zostaw w ogrodzie.

— *Steepi!!* — krzyknął znów sierżant.

— Po wódce każda im się podoba. Nie chcę, panie Mist. Nie pojadę. Muszę już iść. Wolne mam dopiero w niedzielę.

— Ah, tak? Wolisz wynosić nocniki niż pić z nami whisky? Tfu! — Mist plunął w stronę masztu, na którym kołysała się polska flaga. — Doigrasz się i ty, i twoi komuniści! Niech tylko znów dostanę mundur!

— *Ja, ja!* — wtrącił głupawo Amerykanin.

— Słyszałaś? Nawet Steepi mówi, że dostanę! Śpiewaj razem z nami! *Drei! Vier!*

Wenn die Messer wieder blitzen
und die Polen wieder sterben,
dann wird Blut von Messern spritzen,
Rache kommt mit Hitlerserben!

Mist ryczał coraz głośniej. Franciszka ściskała dywanik niezdolna ani do ucieczki, ani do sprzeciwu. Nagle, panicz przestał wrzeszczeć. Odchrząknął i powiedział spokojnie:

— Nie bądź głupia. Właź do samochodu. Prędzej, bo...

Franciszka słyszała szelest szybko zbliżających się kroków, ale nie odwróciła głowy. Zanim zdołała coś wymyślić, Frau Oberleutnant przeszła obok i wyminęła pijanych kompanów. Od niechcenia szarpnęła ręczny hamulec. Jeep drgnął i potoczył się w dół. Sierżant oprzytomniał i puścił się w pogoń. Za nim biegł Mist wymachując rękami. Krzyczał *„Halt!“ „Stop!“*

Samochód zatrzymał się na betonowej ścianie bunkru. Tam go dopadli we dwójkę. Amerykanin zajrzał pod wóz i zaraz potem podeptał furażerkę. Pewnie ciekła chłodnica.

— Nie mogę kompromitować się bójką z pijanymi. Dolarowa nauczka świetnie mu zrobi. Zdaje się, że już wytrzeźwiał.

— Oh, *Frau Oberleutnant!* Musiałabym się jeszcze raz urodzić, żeby coś podobnego zrobić!

— Na wszystko przyjdzie czas, Franciszko. Można zaczynać życie od początku. My to już znamy, a wy — musicie zacząć chcieć. Lecz chodźmy, czas najwyższy pomyśleć o indyku.

— Radca Gersteinmaier kłania się z okna... O, znowu!

— Gdybyś walnęła w ucho młodego Mista, radca konsystorski szanowałby ciebie na równi z dawnym Schupo. — Roześmiała się Frau Oberleutnant. Kobiety weszły do willi.

Początkowo myślała, że to numer, lecz Polka wyjaśniła nieporozumienie:

— To rok, w którym zarznięto indyka i schowano do chłodni. Franciszka powiedziała „Przepraszam“ i osunęła się na taboret. Nie mogła oderwać oczu od blaszki z napisem:

— U. S. Turckey. 1917.

Indyk był siny, miejscami czarny. Zimny i twardy. Przypomina bardziej drewno wydobyte z rzeki niż oskubanego ptaka. Ameryka oszałamia nawet w kuchni. Działa podobnie do wódki wypitej na czczo. Po

obrym łyku można zobaczyć mysz z trąbą słonia, papugę strzelającą łuku lub hotel w kształcie parasola. Lecz nawet spanie z Amerykanem nie rozwiązuje zagadki, po co trzymano indyka przez lat trzydzieści w lodzie.

— Byłam niewiele starsza od Ilzy, gdy on... już został zmagazynowany. Czy przez tyle lat nikt nie chciał jeść drobiu? A może po to przenowuje się indycze mumie, by zjadać je po wojnie? Lub raczej wojny wybuchają wtedy, gdy już indyki nie mogą dłużej czekać? Oh, *Frau Oberleutnant...*

Franciszka złapała się za głowę. Myśli utknęły jak kalosze w błocie. odniosła się z trudem i podeszła do stołu.

— Nie śmierdzi. Gdy chodziłam z Ilzą, pokazano mi cielę o trzech łowach. Teraz czuję się podobnie. Przepraszam, *Frau Oberleutnant*, zy w Ameryce są domy wariatów?

— Owszem, lecz nazywają się inaczej... — Polka nie dokończyła, o w gabinecie odezwał się telefon. Franciszka podumała czas jakiś nad ziwactwem świata, a potem wcisnęła indyka do rondla i zalała wodą. Co będzie, to będzie" — pomyślała zapalając gaz. — Przyjemnie naomknąć w rozmowie: „Wiesz, gotowałam indyka z czasów cesarstwa". Każdy ma swe ambicyjki. Miała więc i Franciszka, lecz tak mikroskojnych rozmiarów, że nie wadziły nikomu, a jej ułatwiały trwanie.

Indyk był jeszcze porządnie twardy, gdy przed willę zajechał dwuołowy wózek. Wkrótce pojawił się jamnik Rikli wyprzedzając o długość smyczy profesora Mista. Na spotkanie wybiegł radca Gersteinaier. Opowiadał coś żywo gestykulując. Mist kiwał głową. Podrygiwała zabawnie, bo Rikli poznawszy Franciszkę w oknie, wyrywał się całej siły.

Profesor puścił psa i zaczął czytać papier podsunięty przez radcę. amnik szczeknął pod oknem.

— Jak idzie, mały Rikli? — Franciszka rzuciła psu kawałek chleba.— a, smakuje dobrze?

Mist przywołał człowieka od wózka i zastukał do drzwi.

— Dzień dobry, droga *Frau* Schirm. Niech Franciszka zaprowadzi złowieka do gabinetu. Ja zaczekam tutaj. Podobno *Frau Oberleutnant* niewa się od rana. Rikli! Nie wchodź, bo cię Polka obije. No, Franszko, proszę już iść.

Frau Oberleutnant rozmawiała przez telefon. Jakiś Amerykanin dojał się od rana.

— Proszę pani, profesor Mist pyta, czy może zabrać książki. Czy olno wejść do gabinetu? Stary Jeschonek czeka z wózkiem.

— Stary nudziarz! Piąty raz dzwoni do męża! — Polka położyła słuchawkę. — Książki? Oczywiście. Tydzień temu dostali pozwolenie. Wołaj obydwu, Franciszko. Niech zwijają się żywo. Gdy skończą, proszę mi powiedzieć, pani Schirm. Profesor otrzyma nagrodę. Znalazłam coś dla niego.

Jeschonek trzymał worek, profesor układał książki. Opróżnili już prawie półki, gdy ni z tego ni z owego wpadł profesorowi pewien pomysł do głowy. Z początku wydał się zbyt śmiały, ale w końcu Mist uległ podszeptom i postanowił zaryzykować.

Na stoliku pod oknem stał porcelanowy wazon przysłany przez syna po upadku Francji. „Skończył się czas plugawienia portretów rodziny cesarskiej! Nie wolno kopać klawiatury i kraść rodowych sreber! Wszystko spisane i — podpisane! Jeżeli więc cichcem wyniosę wazon, to za tydzień oskarżę Polaków o kradzież! Pyszny koncept! *Ah, Gott,* żeby się udało! — Mist zatarł ręce i na palcach zbliżył się do stolika. Zerknął w okno: Jeschonek obwiązywał worki sznurem. Obejrzał się na drzwi: cisza. W kuchni Franciszka pobrzękiwała garnkami.

— Okryję workiem... — mruknął Mist i oburącz chwycił wazon. O, do licha! Pełen wody? Piękne porządki panują w tym domu. Powiem do słuchu Franciszce. Bezczelność, nie wypiję tyle na raz... Wyleję przez okno!

Ominął biurko i o krok był od okna, gdy drzwi popchnięte gwałtownie, otwarły się na oścież. Profesor krzyknął. Wazon wysunął się z rąk. Rikli podkulił ogon i z powrotem pognał do ogrodu.

Pierwsza nadbiegła Franciszka. Potem przyszedł Jeschonek powiedzieć, że już wszystko gotowe i można jechać.

— *Na, ja.* Rzeczywiście gotowe — mruknął i cofnął się, by przepuścić Frau Oberleutnant, która zwabiona hałasem, właśnie schodziła z góry.

Mist stał w kałuży wody. Poczerwieniał jak sztubak przyłapany na gmeraniu w rozporku. Patrzył na oblane spodnie i kolorową kupę porcelany.

— Prawie proszek, kochany profesorku, stara, cenna porcelana. — Polka trąciła pantoflem okruchy wazonu. — Zły znak, panie Mist, zaczynają rzeczy lecieć z rąk. To już nie ten chwyt, co za Hitlera, prawda? Franciszko, niech pani pokaże, gdzie wiszą ścierki. Proszę dopilnować, by wytarł do sucha.

Gdy zostali we dwójkę, Franciszka, szepnęła:

— *Herr Profesor,* ja sprzątnę. Poproszę o szmatę.

— Franciszko!

— Słyszysz?! O n a widzi przez ściany! Za żadne skarby nie oddam cierki. Mam dość na dzisiaj. Nigdy nie szorowałem podłogi. Wycieram, vycieram i wciąż mokro. Trzeba wyżąć szmatę, jak myślisz, zacna Franciszko?

Profesor otrzepał kolana i podpisał pokwitowanie z odbioru książek vraz z wazonem. Oddając pióro starał się nie patrzeć w oczy. Pożydowkie pianino i francuski wazon nie naruszyły spokoju profesorskiego umienia. Wystarczyło nie pytać, dokąd wyjechali Żydzi i jaką cenę apłacił syn we Francji. Niepotrzebnie dał się złapać za rękę. Na dobitkę przy służącej.

— A jakże syn, panie Mist? — spytała nagle Polka. Siedziała wyprotowana w fotelu przyglądając się profesorowi spod spuszczonych zęs. — Zaszczycił nas niespodziewaną wizytą dziś rano.

— *Gnädige Frau!* Nicpoń! Inni od dawna pracują, a on wciąż bąki bija. Proszę mi wierzyć, że nie mam pociechy na starość. Franciszka wiadkiem, ile łez nas kosztował. No, widać *Frau* Schirm nie pamięta. Zbyt dawne dzieje. Wszak jednak były łzy.

— Czyje? — Kobieta wstała. „Dziewczęca figura", pomyślał Mist ıczulony na piękno, „choć mężatka".

— Czyje? — powtórzył zaskoczony.

— Wie pan, nie bawmy się w głupie opowiadanka. Mam dość zabavy. Czy panu nie wstyd? Przecież pamięta pan coś więcej, niż wrzaskliwe przemówienie *führera*? Pan uczony?...

— Narodowy socjalizm, proszę pani, oparł się na ideałach całego arodu. Przyznaję, że jednostki wypaczyły słuszne w zasadzie pojęcia, le... małość etyczna wykonawców nie stanowi o idei.

— To sztuka, panie profesorze Mist, chodzić po świecie i widzieć ylko swoje wnętrze!

— *Vae victis!* — Mist podniósł głowę. Uznał to za dość godne.

— Mówimy inaczej: biada faszyzmowi. Warto pomyśleć nad tym. ?óki czas. Proszę iść. A to, na pamiątkę. Może syn dostanie prędzej racę i przestanie wyciskać łzy z pańskich mądrych oczu.

Rzuciła na stół synowską legitymację SA i raz jeszcze pokazała drzwi.

— Rozumiesz teraz, Franciszko, dlaczego mówiłem: co niedzieli zaośmy modły o zwycięstwo. Eh, tak. — Powiedział w korytarzu proesor i pokiwał głową nad legitymacją. Brunatne kartki z odpornej na vilgoć ceraty. Całe młodzieńcze życie ujęte w daty i organizacyjne króty. Hj-od...do, Pg-od...do, SA-od... do... Brakowało jednej rubryki: S-od... do... Profesor uśmiechnął się i schował dokument do kieszeni.

— Do widzenia, Franciszko. Poczytaj sobie do poduszki. Przekonasz się, z jakimi ludźmi musisz żyć pod jednym dachem. Poznałem przy sprzątaniu, żeś nadal po naszej stronie. Do widzenia.

Franciszka odłożyła na później gęsto zadrukowany papier. Widziała, jak Jeschonek popchał wózek, radca pożegnał profesora, a Rikli uciekał przed smyczą, przeczuwając nieomylnym nosem tęgie baty. Zaglądnęła do garnków. Obiad gotował się sprawnie, tylko indyk nie zmiękł ani trochę. Widać, uodpornił się również na wilgoć.

Porucznik i Stanisław zastali czekające od paru godzin nakrycia. Szarzało, gdy zasiedli do stołu. Franciszka spytała:

— Czy podać indyka? Sześć godzin podskakuje na gazie. Lepszy nie będzie. To jest bardzo dziwny indyk...

— Oczywiście, niech pani poda. — Frau Oberleutnant roześmiała się. Franciszka zdążyła szepnąć kierowcy:

— Niech pan nie je! Ilzie też nie pokażę nawet kawałka! Bardzo proszę, *Herr Stanislaus*. Znajdę coś dla pana. On ma trzydzieści lat!

— Mario, co to jest? — Porucznik trącił indyczą nogę widelcem. — Od rana niespodzianki. Jopicki uciekł, gotowane drewno na talerzu.. Hm. Kura z gutaperki? Widziałem podobne przysmaki na wystawach hitlerowskich barów. Patrz, Stanisław również zezuje ku wyjściu.

— Ani kura, ani drewno. Indyk. Po prostu indyk. Nie odzywaj się lekceważąco o drobiu starszym od ciebie.

— Powiem ci na ucho, to jest... Do tego jeszcze czarne.

— Uspokój się. Franciszka rozumie już niektóre wyrazy. Czyż naprawdę nie zgadniesz? Dlaczego właśnie dziś? Pomyśl dobrze. Indyk, no, Jasiu?

— Rocznica? Imieniny?

— Nie. Po prostu dlatego, że wczoraj wydano nam taki prowiant.

Franciszka ma łokcie zaczerwienione, jakby czołgała się po żwirze. Nie jestem ślepa, to od skubania, panie Stanisławie. Nie mam zamiaru was swatać, ale szkoda mi Franciszki. Co talerz, to westchnienie. Ledwie posłyszy warkot już wygląda oknem, czy to nasz samochód, czy obcy? Albo, albo. Kobieta nie jest mrożonym indykiem. Nawet Franciszka zbliżająca się do czterdziestki...

Franciszka tyle zrozumiała z rozmowy, że mówiono o niej i Stanisławie. Na palcach wróciła do kuchni. Polacy zaczynają wyjeżdżać. Przynajmniej raz w miesiącu wyrusza transport w powrotną drogę. W końcu zostanie ich tak mało, że staną się niepotrzebni oficerowie i szoferzy. Mistowie znów zagnieżdżą się w willi. Powróci dawny porządek. Kuchnia — Ilza — kuchnia. Dwa razy w miesiącu kościół.

Przypomniała sobie o druku pozostawionym przez Mista. Było tego dobrych kilka stron, najpierw po angielsku, potem po niemiecku. Niby ist podpisany przez panią von Thadden, a zatytułowany „Bericht aus Ost-Pommern".

— Jestem wdową od 1932 roku, matką sześciorga dzieci... — przeczyała Franciszka i serce zabiło jej żywiej. — Nasz majątek w powiecie Greifenberg na Pomorzu, 1732 morgi i 24 rodziny robotnicze, był w naszym posiadaniu od sześciuset lat!

„Co było wcześniej? — Franciszka westchnęła zniechęcona — „1732 morgi, to bardzo dużo". Nie umiała wyobrazić sobie takiej ilości ziemi w jednym kawałku. Niechętnie powróciła do pisma pani von Thadden.

— Drugiego marca 1945 roku, tuż przed wtargnięciem Rosjan, miałam możność uciec wojskowym pociągiem. Trzeciego marca proponowano mi miejsce w samolocie Fieseler-Storch. Byliśmy wszakże znani jako przeciwnicy nazizmu, więc nie widziałam żadnych powodów do ucieczki. Naszym robotnikom cudzoziemskim było u nas dobrze.

„Mój Boże, co pani von Thadden może wiedzieć o swoich parobkach! Kłaniają się grzecznie, więc są zadowoleni? Pracują — zatem dopisuje im zdrowie. Pojawiają się niemowlęta, więc mają dość czasu nawet na miłość. Przez tyle lat patrzyli ludzie na moje małżeństwo i mówili, nic nie widząc, jaka dobrana para z Franciszki i Ernesta. Profesor myśli podobnie. A cóż wie o mnie? Dobrze jej, tyle lat pracuje w jednym domu — mówił do Frau Profesor. Czy to już wszystko? Na pewno nie!"

— Nasz dom stał się wkrótce kwaterą dla oficerów. Byliśmy narażeni na grabieże i polowania na kobiety. Zaczęło się panowanie motłochu. Zostałam aresztowana i zmuszona do brudnej pracy.

— Polak żyje w brudzie i potrafi zamienić najczystszy dom w kupę gnoju. Polak nie posiada bowiem żadnej kultury.

Franciszka poczuła wściekłość. „Nie mieszkali u niej Amerykanie! A to babsztyl kłamliwy!"

— A potem na piechotę, pędzeni przez milicję, gnaliśmy od postoju do postoju. Szybki marsz zmuszał niektórych do porzucenia cennych bagaży. Trzymano nas w zamknięciu. W dzień praca! Wreszcie podróż w bydlęcych wagonach... Mój los jest przykładem, do czego może doprowadzić władza kierująca się pełną konsekwencji nienawiścią, niezależnie od jakiego wychodzi narodu.

Opis okropności, jakich doznała pani von Thadden ciągnął się dalej. Stronice odbitego na powielaczu druku pęczniały od uderzeń, wymylań i krzywd wysiedlonej obszarniczki. Franciszka zamyśliła się. „Czyżby tak wyglądali Polacy, tam u siebie, w codziennym życiu?"

Naraz, przypomniał się jej film o Buchenwaldzie, który musiała obejrzeć. Jeszcze miała w pamięci oklaski i zacięte twarze siedzących obok mężczyzn. I kobiet!

„Więc to ma być zasłona? Czy oni myślą, że wszyscy zapomnieli? Jakże głupi jest Mist! Powiedział, że jestem po ich stronie, bo chciałam zetrzeć wodę. Trudno opanować odruchy... Tyle lat. Źli głupcy! Wciąż nie dostrzegają, że jestem teraz inna. Wszystko będzie inne".

Franciszka skończyła zmywanie i zaczęła szykować kolację. Gniew minął. Złożyła starannie papier i zamiast spalić, postanowiła oddać porucznikowi. Ustawiając talerze, powiedziała śmiało:

— Z rządem, to jak z mężczyzną. Nie sztuka położyć się razem. Ważne jest przy kim obudzę się rano.

Miała na myśli Mista z rodziną, konsystorskiego radcę z przeciwka i — dziedziczkę przepędzoną z Pomorza.

Klekot imbryka spłoszył dalsze myśli. Franciszka zgasiła gaz i zaparzyła herbatę. Zmierzch nie kończy dnia w kuchni, lecz właśnie nad wieczorem odwiedzają się ludzie pracujący długo.

Ucieszyła się szczerze. Willi znów na wolności!

— Tym razem krótko, prawda Franciszko? A wiesz za co? Pobito w pobliżu warsztatów faszystowskiego prowokatora. Nikt nie pytał, kto go nasłał, lecz z miejsca zamknięto wszystkich kacetowców.

— Mów, Willi. Zaczynam rozeznawać, co dzieje się wokół.

— Pytali, szturchali, nie dowiedzieli się wiele. Byliby trzymali nas dłużej, ale we wschodnim Berlinie ogłoszono w prasie i opisano cały wypadek. Oni są kulturalni, Franciszko. Dbają o formy towarzyskie! — Willy roześmiał się. — W obozie gazowano ludzi, ale nad barakiem wisiała tablica „Łaźnia". Nowi hitlerowcy też nie lubią nazywać rzeczy po imieniu. Słowem, puścili. Pytali również każdego, czy nie słyszał czego o Szwarcu-Orliku. Pamiętasz? Przychodziłem niegdyś w tej sprawie. Mają kłopot, bo Toni zniknął. Był, pracował dla policji i raptem go nie ma. Szukają jak kogo dobrego.

— Willi! — Franciszka zaniepokoiła się. — To gruba sprawa.

— Czyja ręka, tego głowa. Myślę, że Toni Szwarc nie odnajdzie się nigdy. Jakby ci powiedzieć? Człowiek może rozpłynąć się w powietrzu. Poza tym — wyjeżdżam.

— Straciłeś pracę?

— Nie, mieszkanie. Moja żona urządziła wesoły kącik dla żołnierzy. Dobry, solidny „puff" z używalnością łazienki. Gdybym został, musiałbym podawać płaszcze i grzać wodę. Amerykanie nie mogą się nachwalić. Dziewczynki przybiegają prosto z lekcji. Szefem jest młody Mist.

Spotkał mnie w progu i namawiał do spółki. Przyłożyłem mu trochę, bo choć świętoszkiem nie jestem, takie paskudztwo wyprowadza mnie z równowagi. Z domu poszedłem do ciebie.

— Uciekniesz do Stalina? Na tamtą stronę? Czy znasz rosyjski?

Willy uśmiechnął się.

— Wystarczy niemiecki, Franciszko. Zresztą nie uciekam. Jadę do Augsburga. Ktoś musi zostać. W przeciwnym razie stare świństwo rozpleni się na nowo. Dziewczęta do burdelu, a chłopcy do wojska. Prosił mnie jeden towarzysz — Willy wyciągnął kopertę — żeby to oddać porucznikowi. Więc nie zapomnij. Z Augsburga napiszę. A teraz idę, bo pociąg niedługo. Aha, Mist zapraszał cię do swego interesu. Powtarzam dla porządku, bo odpowiedź już dostał ode mnie.

— Czy to coś o doktorze Orliku? — Franciszka zważyła list na dłoni. Był dość ciężki.

— Nie, nie, bądź spokojna! Zapomnij o Tonim, bo doprawdy nie warto zaprzątać sobie głowy nieżyjącym mordercą. Dość zostało żywych. A więc, Franciszko...

— No tak, no tak. — Poprawiła mu szalik i podniosła kołnierz. — Zrywa się wiatr. Okropnie huczy wieczorami.

Minął dzień zakończony płaczem Ilzy. Franciszka spaliła łaciaty czołg podarowany dziecku w szkole. Dziewczynka broniła zabawki. Jakże wspaniale jeździł wokół stołu, warczał i błyskał ogniem z długiej lufy! Wszystkie dzieci otrzymały upominki. Dla dziewcząt nie starczyło lalek w amerykańskich mundurkach więc dostały czołgi, takie same jak chłopcy! Dopiero gdy Frau Oberleutnant obiecała lalkę, Ilza zjadła kolację i uspokojona poszła spać.

Zwolna wygasały światła. Franciszka słuchała głosów Marii i Jana, które przeniosły się z parteru do sypialni i nagle ścichły. Potem skrzypnęły schody, to Stanisław powracał z garażu. Stał chwilę, jakby namyślając się, które drzwi uchylić. Franciszka zacisnęła kciuki, lecz nie pomogły wiele. Mężczyzna wszedł do swego pokoiku. W chwilę później stuknęły zdjęte buty. Odwróciła się więc plecami do ściany. Była obrażona.

Raptem usiadła na łóżku. Zastukała i zapominając o Ilzie, krzyknęła:

— Tak się nie robi, *Herr Stanislaus!*

— Przepraszam, *Frau* Schirm, myślałem, że dość cicho postawiłem buty. Podkute, to dlatego. — Odpowiedział dotknięty do żywego. Mruknął ciszej. — A to jędza!... — i poczuł ból w sercu.

— O, Boże! *Totale Idiot!*

Franciszka wtuliła twarz w poduszkę i wybuchnęła płaczem. Serce

topniało szybko, lecz zanim gniew minął zupełnie, kobieta zerwała się, struchlała do siódmego potu. Zapaliła światło.

W monotonne zawodzenie wiatru wkradł się dźwięk nowy, niepodobny do conocnych strachów. Na parterze trzeszczało okno. Przyszedł duch silny i mocuje się z okienną ramą! Na dalsze domysły nie starczyło czasu. Rozległ się stuk, potem drugi, głośniejszy. Brzęknęły oszklone drzwi do jadalnego. Za ścianą Stanisław klął i wciągał buty. Duch odnalazł schody i ruszył na górę.

Franciszka narzuciła szlafrok i wybiegła za Stanisławem.

— Filiżanka! — Krzyknęła odruchowo słysząc trzask rozbijanej porcelany.

Nieco później stała obok Stanisława. Oglądali wyrwane z zawiasów okno.

— Skończyły się strachy, Franciszko. Widzisz? Wszystko proste. Dziwne, że nie dostrzegliśmy wcześniej. Wracajmy spać.

W milczeniu przeszli schody i zatrzymali się przed drzwiami swych pokoi. Wiatr ocierał się o kominy i poświstywał w dymnikach. Noc była ciemna. Gwiazdy świeciły jaskrawo.

— Wracajmy spać.

— Dobrze, lecz najpierw zobaczę, czy dziecko śpi spokojnie

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Masłowiec obudził się pod niemiłym wrażeniem. Nos zmienił się w samolot i próbował wystartować z twarzy.

— Miłość przybiera coraz dziwaczniejsze formy. Maria, puść nos. Boli. Dlaczego cicho?!

Nocna lampka rozjaśniała pokój brązowawym światłem. Maria siedziała w łóżku zasłuchana w podejrzane stuki dolatujące z parteru. Hałasy ucichły, by po chwili odezwać się znowu gdzieś w pobliżu kuchni. Ktoś krążył po korytarzu i otwierał drzwi do pokoi na dole. Zatrzymał się wreszcie, spłoszony szelestem własnych kroków i skrzypieniem wypaczonej posadzki.

Razem zerwali się z łóżka. Maria chwyciła filiżankę, Jan dopadł szafy. Z pośpiechem wyrzucał bieliznę. Odnalazł pistolet wśród jedwabnych majtek. — Porządki!!

Na kłótnię nie było czasu. Szmery przeniosły się z korytarza na schody. Nieproszony gość skradał się na górę. Maria czekała przy drzwiach. Masłowiec zgasił światło i odważnie poszedł na spotkanie.

Z otwartego okna ciągnął zimny powiew nocy. W szarym mroku poruszał się ciemny kształt upodobniający się z każdym stopniem do dącego po omacku mężczyzny.

— *Halt!* Stać!

— I w ogóle ręce do góry! — krzyknęła Maria rzucając filiżanką.

— Ludzie! Nie poznajecie Józia?!

Masłowiec zgasił latarkę i opuścił pistolet. Maria przekręciła kontakt mrucząc — Tego już trochę za wiele!

— Widzisz, Mario! Nikt w świecie nie dorówna Józiowi! Jak powiedział, tak zrobił! Drzwi zamknięte, więc wlazł oknem. Od razu wiedziałem: Mazurkiewicz! Wstawaj, Józiu!

Józio siedział na schodach oślepiony światłem. Zmrużył oczy i sennie kołysał głową. Z furażerki spadały błękitne odłamki porcelany układając się wokół jak płatki przekwitłego kwiatu.

— Znajomy? — zapytał Stanisław wskazując Józia korbą od samochodu. Z uwagi na strachy brał ją ostatnio na górę.

— Oczywiście! Wszystko w porządku. Spokojnie, pani Franciszko! Nic się nie stało. Idźcie spać, kochani. Mario, zrobisz nam kawy? Moja miła!

Pod wpływem głosów Józio trochę oprzytomniał. Podniósł głowę i wodził wzrokiem po twarzach wyraźnie zaciekawiony. Naraz spytał:

— Czy to Eli?

— Ależ Józiu! To Maria! — odparł wesoło Masłowiec i nagle dorzucił surowo — Mario, proszę w tej chwili wciągnąć spodnie od pyjamy! Co ja widzę!

— Bałwan! Nie mogłeś od razu powiedzieć? — Zniknęła w sypialni trzasnąwszy drzwiami.

— Nie Eli? Maria... Aha. Naturalnie! Wybacz stary, ale ja mam dziś taki dzień od rana. Czego tylko się dotknę, zmienia się nie do poznania. Bardzo cię proszę, wyjaśnij nieporozumienie. Idź! Powiedz, że sławny Józio klęczy na schodach i błaga o przebaczenie! Nie chcesz? Czy człowiek z korbą już poszedł? Bardzo dobrze. Daj rękę, Jasiu. Wzruszenie wlazło w nogi.

Masłowiec dopomógł wstać i zaciągnął Mazurkiewicza do pokoju. Józio wyciągnął się w fotelu, poprawił krawat i przygładził włosy.

— Muszę skupić myśli — rzekł po chwili. — Zasnąłem wczoraj jako Mazurkiewicz. Obudziłem się amerykańskim generałem. Niby żadna sensacja w dzisiejszych czasach, ale zawsze niespodzianka. Jakaś Eli naczała w tym palce. Mniejsza o to. Wprost z wagonu trafiłem w awan-

turę, jakiej świat nie widział. Niespodziewanie ocknąłem się w areszcie Military Police. Podobno przywieźli mnie samochodem.

— Czekaj, Józiu. Oko ci się klei. Zajrzę do Marii i spytam, co z kawą. Poczekaj.

Maria malowała usta przed lustrem. Nie odwracając głowy zapytała:

— Wyłamał drzwi? Zjadł dywanik?

— Kochana, kto?!

— No, ten twój Felek czy Józio. Obrzydliwy typ. Co on pił? Śmierdzi bimbrem.

— Moja droga, dziwne masz doprawdy pretensje. Czy powiedziałem słowo o indyku? Masłowiec podszedł do żony i leciutko pocałował w kark. — Co Józio winien, że wódka coraz gorsza? No, widzisz. Pachniesz już wiosennym słońcem, Mario. Powiedz, gdzie jest kawa, sam zrobię, a ty idź do saloniku. Bardzo ci ładnie w tym kolorze. Nazywasz Mazurkiewicza wstrętnym typem, lecz malujesz usta i wkładasz najładniejszą sukienkę. Ah, wy, kobiety, kobiety... — Raz jeszcze pocałował odchylając włosy i zadowolony z dyplomatycznej chytrości, powrócił do Józia.

Mazurkiewicz spał. Masłowiec usiadł naprzeciw, zapalił papierosa i spod oka spoglądał na dawnego kompana. W kuchni brzęknęły naczynia i zasyczał gaz. Maria parzyła kawę.

— Zmiękła ci rura... Sflaczałeś jak stary kalosz. A były czasy, były... Goniliśmy przez Europę indiańskim galopem. „Jutro dalsze niż Rzym, każde łóżko wygodne, każde słońce pogodne..." Pędziliśmy co tchu, z miasta, w miasto, z kraju w kraj, lecz nie do chaty i nie do domu. Nie każdemu dane jest być pod Termopilami, ale obchodzić milczkiem barykadę — głupio. Przygnały cię losy na moje podwórko, stary obiboku...

Józio ozwał się nagle:

— Gadaj, kogo widzisz!

— Kogo? Ciebie.

— Dokładnie! Nazwisko! Imię!

— Józiu?! — Masłowiec poruszył się niespokojnie. — Przestań pić, chłopie, bo cię Amerykanie mianują ministrem wojny.

— Powiedziałeś, Józiu... Zatem w porządku. Zdrzemnąłem się naumyślnie. Chciałem spróbować, czy już wylazłem spod miotły, czy jeszcze nie. Równie dobrze mógłbym zobaczyć królowę holenderską albo Dalaj Lamę. Do południa byłem lekarzem. Nie wierzysz? Ja też zachodziłem w głowę, co się mogło stać. Siedzę w areszcie i myślę, jak wyjść. Raptem drzwi się otwierają, wpadają żandarmi, za łeb i na ko-

ytarz. Co robić, idę. Patrzę, kilkunastu chorych czeka do przeglądu. Znasz żandarmów, pyski paskudne, a na dobitkę, każdy z podsiniaczonym okiem lub nosem jak burak. Tu i ówdzie przetrącone nogi i ręce na temblaku. Tłumaczę na migi, że pomyłka. Lekarz pewnie w następnej siedzi celi. Odpowiedzieli wrzaskiem, więc dla świętego spokoju jednemu poprawiłem bandaż, innego poklepałem po spuchniętej gębie tak załatwiłem z pięciu. Ni z tego ni z owego rzucili się strażnicy dalejże tłuc pałami. Uciekłem do celi, bo źle znoszę bicie.

Wierzysz w przypadkowość losu? A ja tak. Uratował mnie oficer, z którym trochę handlowałem we Francji. Zwabiony hałasem zajrzał przez judasza; poznał, sprowadził kogo należy i kazał puścić. Pojechaliśmy razem do klubu. Do handlu inny język, do obiadu inny. Spociłem się, jakbym drzewo rąbał. Znamy obydwaj francuski, on powie słowo, a odpowiem drugim i kropka. Rozmowa utyka. Stoimy niczym samochód z zatartym silnikiem. Zdziwiłem się bardzo, gdy mi dał do zrozumienia, że pobiłem na dworcu pół kompanii wojska. Od stanu trzeźwości dzieliło mnie parę ładnych litrów, które wypiłem po drodze. Uwierzyłem na słowo i wszystkich połamańców zapisałem na swój rachunek.

Przyglądam się kowbojom od dawna. Jak myślisz, co oni mają w głowie? Chyba móżdżek w malinowym sosie. Pokaż Amerykanina, który nie pochwali się znajomością obcego języka? Znajomy poruczniczyna zaciągnął mnie do baru i tam dopiero rozpuścił gębę. Francusczyzną z Teksasu wypełnił cały lokal. Plótł, co mu tylko zostało z Paryża. Tuż obok popijali pułkownicy. — O co kłótnia? Kto zaczął? — spytał jeden słysząc przeraźliwe krzyki. — Rozmawiam po francusku z moim przyjacielem, sir! — Tamtego zatkało. Piliśmy potem razem, ale mnie wódka nie idzie, gdy widzę na sali żandarmów z pałkami. Ktoś rzuci butelką, a ciebie wywleką za kołnierz. Pułkownik nazywa się Kelly. Podobno figura?

Masłowiec roześmiał się i mrugnął okiem.

— Nie wstydź się, Józiu, nic ci nie proponował Kelly?

— Od propozycji daleko do interesu. Mam inne plany — odburknął Józio i już z mniejszym ożywieniem ciągnął dalej. — Potem przyplątali się Niemcy po cywilnemu, ale na kilometr śmierdzący esesmańskimi koszarami. Nie miałem ochoty na dalszą pijatykę, więc podrzemałem trochę nad stołem i poprosiłem, by odwieźli mnie tutaj. Ot i wszystko. W każdym razie — prawie...

— Po co lazłeś przez okno? Wystarczyło zastukać mocniej.

— Przez delikatność, Jasiu. Myślę sobie, śpicie w czułej pozie, kochacie się może, a tu gość. Postanowiłem spróbować inaczej. Obszedłem dom — nic. Ani drabiny, ani porządnej rynny. Raptem słyszę hałas. Wiatr łomocze oknem. Próbuję palcem — zawiasa wyrwana u góry. Okienko wąziutkie, ale wcisnąłem się z trudem. Dopiero zaczęło się zmartwienie! Zaglądam do pokoju — cisza. Wlazłem do kuchni i struchlałem. A jeśli Amerykanie pomylili domy? Nieprzyjemna sprawa! Już chciałem wracać, ale pomyślałem dokąd?! Trzeba zajrzeć na górę! No i rzeczywiście...

Józio westchnął.

— Co to było? Półmisek? Teraz moda na latające talerze. Filiżanka, powiadasz... O, jeszcze kawałek się znalazł! Śpicie na kredensie, czy co u licha? Skąd przywlokłeś dziwaczne nawyki? Ona to lubi?

Mazurkiewicz zapalił papierosa. Zapach kawy docierał już do pokoju.

— Śpicie mocno jak zające. Popsuliście zabawę, ale, kto wie, może i lepiej się stało. Jednego nie rozumiem... — Józio podciągnął nogawki. — Widzisz? Zachodzę w głowę, skąd damskie pończochy? Strzelaj, wal w łeb serwisem na dwadzieścia cztery osoby, nie pamiętam! Żebym przynajmniej wiedział czyje! Pamiętaj o męskiej solidarności i nie wygłupiaj się przy żonie. Właśnie idzie. *Das Lied ist aus.*

— Panie Józiu — powiedziała Maria, gdy zasiedli przy okrągłym stole — kto panu doradził tak sprytnie? Myślę o włażeniu oknem. Ostrożnie, kawa kapie na spodnie.

Mazurkiewicz skrzywił się, lecz zaraz podniósł brwi i pokrył zmieszanie zręcznie udanym oburzeniem.

— A jakże skończyła się wyprawa do Normandii? Pamiętam, obiecywałeś sobie wiele. Dorobiłeś się? Wygrzebałeś dolary z cmentarzy? Rozstaliśmy się wtedy w dość cierpkim nastroju. Dawne sprawy.

— Ah, proszę pani! U nas zawsze jednakowo. Obiecują złote góry, łudzą, zwodzą i ledwie ręka zaswędzi, już ktoś zdmuchnie interes sprzed nosa. Zawsze znajdzie się jakiś Antka szwagra siostry brat i wlezie człowiekowi w paradę. Posłali mnie z kompanią do St. Julien. Parszywa dziura o sto parę kilometrów od Lyonu. Obiecywano magazyny z żywnością i papierosami, a zastaliśmy amunicję i fabryczkę bomb zapalających. Służba ciężka, towaru za grosz. — Mazurkiewicz westchnął z goryczą. — Ludzie, jak to ludzie, zaczęli narzekać. Rozumieli dobrze, że nikt bomby nie kupi. Każdy z pretensją do mnie, jakby to była moja wina, że ani wojny nie widać, ani handlować nie ma czym. Co Francuz dla naszego brata? Chmyz! Królik! Wybrali się dwaj durnie na zaro-

ek. Postraszyli farmerkę pistoletem, strzelili z fantazji w ścianę wrócili z niczym. Francuz taki jest, proszę pani, bicie zniesie, a piędzy nie odda. Wyobrażacie sobie, co za krzyk się podniósł! Nie pogły maski. Wydrapali kulę ze ściany i poznali amerykański kaliber. o nitce do kompanii. Skuli chłopaków zanim zdążyli przehuśtać parę anków zabranych babie. Powiedziałem sobie: Józiu! Czy ty żyjesz? kapcaniejesz w koszarowym smrodzie! Rozmówiłem się czym prędzej amerykańskim dowódcą, który chorował na samochód czerwoną órą kryty. To jest najnowszy obłęd. Każdy chce mieć białą kierownię przed nosem i czerwoną skórę pod tyłkiem. O, bardzo przepraszam anią!

— Tylko śledź nie ma... — zauważył Masłowiec. — Cóż dalej?

— Zwolniłem się i pojechałem szukać samochodu. Wracać ani myę. Straciłem rzeczy w strefie francuskiej, ale daję sobie radę bez agażu.

— Co dalej? — spytała Maria.

Mazurkiewicz spochmurniał. Dopił kawę i łyżeczką wybierał cukier nieszany z fusami. Powtórzył zamyślony:

— Dalej? Cóż, pojadę od was do Hanoweru. Do siostry.

— Masz siostrę w Hanowerze? Pierwszy raz słyszę!

— Z angielskim majorem wyjechała z Polski. Podobno mają się porać. — Józio zawahał się. — Właściwie, to było trochę inaczej. Anglik yjechał wcześniej, a Zośka dogoniła go w Hanowerze. Tam przeszła peracją ślepiej kiszki i poznała majora Irlandczyka. Major został, lko narodowość inna. Więc muszę zobaczyć z bliska, czy już nie myśli Szkocie. Pogonię dziewczynę do kraju. Potrzebna w Irlandii jak dziura płocie. Nie lubię zagranicznych sęków w rodzinie.

— Pan, oczywiście, nie myśli o powrocie? — Maria uśmiechnęła się nalała kawy. — Prawda, panie Józiu?

— Kto wie? Może kiedyś... — Józio bąknął niepewnie. Oczekiwał żarwej zachęty, na którą miał gotową odpowiedź. „Nie wracam, bo tam e ma swobód obywatelskich!" — Do Polski mogę powrócić zawsze. iedy zechcę!

— Ejże, ejże!

— Możesz wierzyć Marii. Jedź do siostry, przegoń majorów i wracaj. yślę cię sanitarnym pociągiem.

— Dostałem się pod celny obstrzał! Proszę, proszę, wygody zapewone! Podobno dostajesz pięć rubli za głowę? Na moją musisz jeszcze oczekać trochę!

— Phi, nie gonię za lichym zarobkiem. Dwa i pół rubla? — Mazurkiewicz wybuchnął śmiechem, ale widać było, że odpowiedź nie przypadła mu do smaku.

— Wyżywam się w pokonywaniu trudności. Nie macie pojęcia, ile sprytu i energii pochłania podróż. Wiem, kiedy wyjadę, lecz nigdy nie mam pewności, czy dojadę i kiedy. Dziś bez przepustki, dokumentów i rozkazu wyjazdu trudno nos wytknąć poza bramę. Ubóstwiam emocje i dlatego przenoszę się z miejsca na miejsce. Odwiedzam znajomych. Pytam o samochód wyściełany czerwoną skórą. Poznaję nowych ludzi...

— I tak mija życie...

— Ano tak.

Maria stłumiła ziewnięcie. Podniosła się i zaczęła sprzątać ze stołu.

— Pościelę panu w gabinecie. Parę godzin snu dobrze zrobi nam wszystkim. Pogadacie po śniadaniu. Słońce rozprasza posępne myśli. Gdy zawołam, proszę od razu schodzić! Świt w oknach!

— Trzy dni temu rozmawiałem z Tusią. Urodziła syna. Oczywiście Grzegorz. — Powiedział Józio po wyjściu Marii. — Przyjechać nie może. Dziecko małe, boi się zostawić je byle komu.

— A Orlik?

— Nic nie wiesz? Zaginął bez śladu.

— Słyszałem. Pytam o Tusię. Mieli się pobrać?

— Eh! Żyjesz w dziupli! W tydzień po zaręczynach zerwała z doktorem. Taki on doktór... — Mazurkiewicz machnął ręką. — Chciałem się żenić. Tłumaczyłem od rana do nocy: — Tusia, pojedziemy do Francji, znajdziemy mieszkanie, dorobimy się paru groszy, kupimy domek.— A ona nic tylko: — Do Francji? — No, tak. Tak mam większe możliwości. Znam rynek. Sprzedam, kupię, będzie forsa! Wybuchnęła takim śmiechem, że poleciałem w diabły. Straciłem rzeczy, ale wracać ani myślę. Najgorsza rzecz, to śmiech.

— Nie jeździłem w tamte strony... — Masłowiec podszedł do okna. — Byłem pewien, że jednak pobrali się. Pojadę do Tusi.

— Kazała cię prosić o miejsce w sanitarnym transporcie. Podobno wyruszy w następnym miesiącu.

— Dokąd wraca?

— Ba! Nie wie. Dotychczas nie odnalazła rodziny. Mówiła, że wysłała kupę listów. Kamień w wodę. Ani jednej odpowiedzi. Mnie to nie dziwi, ale ona ufa Polsce. Płacze.

— Pisała po polsku?

— Co tobie, Jasiu? Po turecku miała pisać?!

— Nie. Po angielsku, francusku, rosyjsku lub po niemiecku! Listy języku polskim cenzura amerykańska niszczy, czasami zwraca adre-towi, ale bardzo rzadko...

— Być może. Zostawiam kartkę z adresem. Poszukaj.

— Człowieku! Gdybyś przyjechał wcześniej, dałbym Tańskiemu dres! Dowiedziałby się w parę dni. Za tydzień byłaby odpowiedź! zkoda, wielka szkoda! Chociaż nic straconego. Wyślę depeszę i spróbuję apać Romana telefonicznie. Transport obija się jeszcze po Niem-ech. — Masłowiec spojrzał na kartkę. — Doskonale, pod samym mia-em. Tański i tak, i tak, musi być w Warszawie. Słuchaj, nie dała ci stu dla mnie? Nic? Tylko adres?

— Siadała do listu ze trzy razy. Umoczy pióro i myśli. Potem napisze lka zdań i zanim atrament wyschnie, drze papier na kawałki. Wreszcie snęła wszystko. Powiedziała, że ty zrozumiesz bez pisania.

— Chodź na dół. Maria woła. Kur co prawda nie pieje, ale słońce już zeciera oczy. Spać, spać!

— Tu chciałbym zobaczyć tablicę pamiątkową... — Józio zatrzymał ę na schodach. — Marmur i złoty wieniec wokół filiżanki. Aha! Wy-era się do ciebie ksiądz Sasanek. Uważaj na niego, bo księżulo od asu zerwanych zaręczyn podupadł na umyśle. Coś mi się widzi, że wie Orliku więcej niż my razem z Tusią... Stokrotne dzięki! Bardzo dzię-uję pani! Za minutę posłyszycie donośne chrapanie, co, jak wiadomo, st oznaką czystego sumienia. Tylko zły człowiek śpi milczkiem. obranoc!

Gdy po kilku godzinach Masłowiec zajrzał do gabinetu nie zastał już azurkiewicza ani pościeli. Józio siedział w kuchni naprzeciw Fran-szki. Krajał chleb cienko, grubo smarował masłem i bawił rozanieloną iemkę opowiadaniem o Paryżu. Od indyka wykręcał się zręcznie, choć ranciszka zachęcała usilnie.

— Nie mogę, kochana *Fräullin,* lekarz zabronił mięsa!

— Indyk, to nie mięso. A ja, proszę pana, mam taką dużą córkę!

— Szkoda, że nie jestem jej ojcem, szkoda! Pani też żałuje, nie-awdaż? Serwus, Jasiu!

— Co cię ugryzło od rana? Nawet spać nie umiesz?

— Chłopie kochany, czas ucieka, życie mija, dalejże w pościg! Jeszcze den kubek kawy za zdrowie pięknej Franciszki i na koń, czyli na sternę z benzyną. Umówiłem się z Murzynem, który jedzie do Frank-rtu.

Mazurkiewicz dopił kawy, cmoknął Franciszkę, aż krzyknęła *„Ah, s!“* i wyszedł na korytarz. Nakładając płaszcz mówił:

— Nie usiedzę na miejscu. Muszę jechać. Uciekam, Jasiu, od własnych myśli. Kiepska sprawa, ale prawdziwa. Wóda i gonitwa, póki starczy sił. A potem — fiuut — i nima Józia. Lecz tymczasem, jak w piosence. — Stanął w kabotyńskiej pozie i zaśpiewał:

Czasem błądzą mi po głowie korowody dziwnych słów,
Nikt melodii ich nie śpiewał i nikt nie zna do nich nut,
Strzępy myśli, marzeń, pragnień, fantastycznych jakichś snów,
Na nić jedną nanizane dają mych nastrojów skrót.
Czasem porwą się gromadą,
Zamigocą setką barw,
Jak kolibrów modre stado
Nad szarością ludzkich spraw...

— Nie znasz? Toś bracie już nie emigrant...

— Z pewnością. Nie zaczekasz na Marię?

— Z największą chęcią, ale Murzyn nie będzie czekał. Jedzie w kolumnie. Rozumiesz. — Józio zmarkotniał. Zanucił znów:

Słowa już nie mają mocy,
W jasnym świcie zginął czar,
Barw i tonów żywych w nocy...

Wyszli do ogrodu. Masłowiec spytał:

— Pamiętasz, był u ciebie w kompanii Piruet, twój pocztowy. Co z nim?

— Uciekł szelma. Zostawił parę słów nagryzmolonych na świstku i zwiał. Coś w tym rodzaju: „Odchodzę od butów pana porucznika, żeby nie było większego nieszczęścia. Pasta i szczotki na starym miejscu". Dał dęba w parę dni po nieudanym napadzie na farmerów, o którym opowiadałem przy kawie. No, stary, bywaj!

— Trzymaj się, Józiu. Nie daj się oszukać przez życie.

Mazurkiewicz poprawił furażerkę. Nie odchodził. Zwlekał. Zerknął na zegarek.

— Mam parę minut jeszcze. Słuchaj, ja nie drzemałem w klubie... Zwiesiłem łeb, ale nie zatykałem uszu. Ci dwaj, to wredne szkopy. Była z nimi dziewczyna. Truda. Żałowała kamrata, że musi jechać na kurs. Rozumiesz? Kelly wysyła Beckmanna na kurs skoczków spadochronowych. Zdaje się, że ma wielką ochotę na ciepłe nóżki Gertrudy. Starego pryka niełatwo odpędzić od młodej dziwki. Dobierał się do niej, jakby już byli w łóżku. Cóż jeszcze? Obydwaj, Beckmann i ten drugi hitlersyn gadają po polsku jak my teraz. Kelly był bardziej rozmowny, ale zrozum Amerykanina, jak nie znasz nawet angielskiego! Powtarzał często nazwisko „Jedlicki".

— Czekaj, pokręciłeś. Pewnie Jopicki?

— Nie! Jopicki, to profesor, a Jedlicki generał. Pomyśl nad tym szystkim którejś wolnej chwili. Rozmawiałem z twoim kierowcą. Doliśmy do wniosku, że lepiej zamykać okiennice na noc. Po co kusić cho? Ucałuj Marię! Nie pojawię się prędko. Serwus! Wyruszam świat!

Po kilku krokach odwrócił się i zawołał:

— A pamiętaj o Tusi! Dzwoń! Wysyłaj depesze!

Mazurkiewicz przygarbił się i prawie pobiegł w dół ulicy, jakby zoaczył ruszającą kolumnę samochodów, która miała go powieźć na alszą tułaczkę. Masłowiec powrócił do domu.

W gabinecie zastał Marię. Patrzyła w okno. Mazurkiewicz już znikął za rogiem.

— Trzeba zamówić rozmowę międzymiastową. Złapiemy transport rzed granicą czeską. Potem zawiozę do Misji kopertę przyniesioną rzez Willego. O, Józio bawi się w niespodzianki... — Masłowiec wyciągnął spod aparatu papier złożony we czworo.

Była to mapa, która poprzedniego dnia leżała na biurku pułkownika . A. Kelly'ego. W prawym rogu widniał dopisek Józia: „Samo wlazło ręce".

Maria i Jan patrzyli w milczeniu na Polskę pokrytą liszajami kreek. Obojgu wydawało się, że jest ich przeraźliwie dużo. Oglądali mapę troską, którą można porównać do spojrzenia gruźlika pochylonego ad zdjęciem schorowanych płuc.

— Czy widzisz, Mario? Ileż tu małych, nieznanych nam miejscowoci! Dziwnych nazw! Patrz: Balirze.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Stanisław Zieliński

ROMAN BRATNY

SZEŚĆ GODZIN CIEMNOŚCI

OSOBY

WALCZYK
FUDALI } chłopi
ŁYCHO
ODZIOBA — dyrektor POM-u
WACEK — traktorzysta
ŁYCHÓWNA
WALCZYKOWA
CHRABĄSZCZOWA

AKT I

(Duża, pustawa izba spółdzielczej kancelarii, pogrążona w ciemności rozproszonej tylko przez mgławy odblask śniegu za oknami. Przy drzwiach wejściowych ktoś niecierpliwie szamoce się z ryglami. Słychać głosy. Drzwi otwierają się. Na białym tle śniegu stają w progu sylwetki dwóch chłopów. Pierwszy zatrzymuje się, macając rękami po ścianie)

WALCZYK: To ty śpiąc na dniówkę zarabiasz? Na sianie leży jak hrabia Ostrowski, a koń nieuwiązany.

ŁYCHO: Patrzcie, wygrzebał się z zasp towarzysz, co w Słowicach bywał. Dobrą spółdzielnię oglądał, a zły. Czemu w kącie śpię? A bo mój koń w kącie stoi — swego pilnuję.

WALCZYK: *(nagła cisza)* To ty za spółdzielczą dniówkę swego konia pilnujesz?

(w tej chwili niezauważony przez tamtych staje w drzwiach ktoś trzeci)

ŁYCHO: I tak koniec spółdzielczej stajni. Jutro świtem baby na stajnie idą konie rozbierać. A ty, Walczyk, też tak nie podskakuj, bo tych, co spółdzielnię zakładali, już niedługo wieszać będą.

(Błysk światła, Łycho odwraca się i widzi stojącego w progu Odziobę, który był świadkiem jego słów)

WALCZYK: Na takich twego sznurka nie starczy.

ODZIOBA: Ależ bo to mróz ścisnął. Co zepsute? Kontakt zepsuty?

(pokazuje na ścianę, gdzie zamiast kontaktu wiszą dwa druty, które właśnie Walczyk połączył)

WALCZYK: Tak.

ODZIOBA: *(do Łycha)* A wyście tu stróż?

WALCZYK: I główny elektryk.

ŁYCHO: Stróż, nie tam elektryk.

WALCZYK: Jeszcze więcej niż temu zarządowi, co go na stajnię dał, ja się jego matce dziwię, że takiego urodzić zechciała.

ŁYCHO: Nieuświadomiona była, towarzyszu Walczyk.

WALCZYK: Ty... Łycho — idźno do stajni. *(mówi zacinając się z hamowanej pasji)*

(Łycho wychodzi)

ODZIOBA: Dawno już takich słów nie słyszałem: „Koniec spółdzielczej stajni".

WALCZYK: Jak nas zobaczył, od razu wytrzeźwiał.

ODZIOBA: I to, co przedtem mówił, trzeźwe było.

WALCZYK: E, wódka od niego jechała... Ale też śniegu nawaliło.

ODZIOBA: *(opiera się o stół)* No?

WALCZYK: Od rana mnie nie było — bo to wiem, co się mogło stać.

ODZIOBA: „Od rana". Takie rzeczy nie dzieją się „od rana" — w ciągu jednego dnia.

WALCZYK: Na pewno przez to siano. Skorzystali, że nie było przez dzień całego aktywu i zrobili swoją agitację.

ODZIOBA: Przez jakie siano?

WALCZYK: A u nas siana braknie dla koni i...

ODZIOBA: I co?

(w drzwiach staje sążnista baba. Otrzepuje śnieg z butów)

CHRABĄSZCZOWA: Walczyk, a to macie dla waszej. *(wyciąga butelkę mleka)*

WALCZYK: Jakże to, po co?

CHRABĄSZCZOWA: Potrzebowała podobno — oborowego Łycho zastępował i nie dał. Macie.

WALCZYK: *(bierze z jej rąk naczynie, kluczykiem wyjętym z kieszeni otwiera szufladę biurka — kładzie tam butelkę i mówi do Odzioby)* Krowa indywidualna padła mi w zeszłym tygodniu.

CHRABĄSZCZOWA: Co robicie? Potrzebne waszej babie było. Dziecko chore macie czy coś, a spółdzielcze mleko z rannego udoju świniom zadałam, bo by się zakwasiło.

WALCZYK: Co, znowu nie odwieźli?

CHRABĄSZCZOWA: Zaspy. Przecie traktor, co nas wiózł, ledwo przejechał... Dość, że wasza mleka nie ma — weźcie do domu, dzieciak wam chorowuje. *(do Odzioby)* A towarzysz dyrektor może u mnie zanocuje?

WALCZAK: *(otwiera szufladę, bierze butelkę do kieszeni)* Nie chodźcie, towarzyszu, do niej. Jeszcześmy nie przejedli chleba, cośmy go bez niej zbierali. A przy Komitecie Założycielskim to obiecywała, że się z nami siekierą „za te nowe" obrachuje.

CHRABĄSZCZOWA: Mówiłam. A teraz ja was proszę, byście się nie brzydzili przestąpić mego progu. Warto — odkąd się spółdzielnia ze mną obrachowała.

WALCZYK: Może to i lepiej, skoro u mnie — mówicie — coś się z dziecakiem porobiło. *(zabiera się do wyjścia)*

ODZIOBA: Walczyk?

WALCZYK: No?

ODZIOBA: I co, spać pójdziecie?

WALCZYK: A bo co? Już pierwsza godzina w noc! Przecie wszyscy, co

przyjechali, już się dawno rozeszli. A udała się nam wizyta — ludzie zobaczyli, jak można na wspólnym wyjść. Tylko ten śnieg.

ODZIOBA: A stróż?

WALCZYK: Łycho?

ODZIOBA: Może mu i Łycho. *(do Chrabąszczowej)* Nie widział mnie i tu Walczykowi zagroził, że jutro ludzie stajnie rozbiorą.

WALCZYK: Nie ludzie, tylko baby. A co na to po nocy poradzimy? Kiedy oczy nie dowidzą, to i rozum krótki.

ODZIOBA: Więc co? Do chałupy pójdziecie?

WALCZYK: Towarzyszu... *(patrzy na butelkę. Po chwili zastanowienia)* Tak.

CHRABĄSZCZOWA: Jakże to? — Łycho powiedział, że baby pójdą na stajnie?

ODZIOBA: Możliwe to?

WALCZYK: Siana brak... i w ogóle ludzie są rozżarci, a baby...

CHRABĄSZCZOWA: Wiadomo, baby pójdą, bo babów karać trudniej.

ODZIOBA: Do jutra czekać nie ma co. Niech spanie poczeka. Gdzie Fudali?

WALCZYK: Pewnie już w domu cholewy ściąga.

ODZIOBA: Dawajcie go tu. Powiem traktorzyście, że może będziemy wracać do powiatu, żeby się gdzie sam nie zakwaterował.

CHRABĄSZCZOWA: Po milicję do powiatu, czy jak? Przez noc w takie zaspy? Jakby się i zakwaterował, to już ja bym tę kwaterę znalazła... Zośka ma na imię.

ODZIOBA: Walczyk — skoczcie do Fudalego, a wy, Chrabąszczowa, poproście no tutaj tego stróża. Ja powiem słowo Wackowi i wracam. *(wychodzi. W tej chwili na ciemnym tle szyby pojawia się biała plama czyjejś twarzy — po chwili wchodzą Wacek i Zośka Łychówna)*

WACEK: A, dosyć mam tego.

ŁYCHÓWNA: Nie biednyś, skoro masz dosyć.

WACEK: Tak, w tym tom biedy od ciebie nie zaznał. Zawsze dość się mnie wobec ludzi wstydziłaś.

ŁYCHÓWNA: Wacuś...

WACEK: Wacusiować, jak sami jesteśmy, to umiesz... Czemuś to do Słowic z nami nie pojechała.

ŁYCHÓWNA: Nie mogłam.

WACEK: Toś nie wiedziała, że będę traktor prowadził. Co? Chociaż wyjść nie mogłaś, jak ludzie się rano zbierali.

ŁYCHÓWNA: Mówię — nie mogłam. Ale przecież czekałam na ciebie i bałam się. Noc taka, zaspy i wiatr, że zdaje się — wilki wyją...

WACEK: Dwa razy grzęźliśmy. Zasypało tak, że drogi nie widać. Mówiłem dyrektorowi, żeby przed zmrokiem wracać, ale mów tam do nich. Dobrze, że jechało na przyczepie z dziesięciu chłopa, bo bym nie przejechał — dwa razy z zasp wyciągaliśmy. A ty co? Zostałaś. A tam przecież rozliczeniowe zebranie najlepszej w powiecie spółdzielni — było co posłuchać...

ŁYCHÓWNA: Nie mogłam jechać...

WACEK: A mnie coś się zdaje, że ja się precz z powiatu zabiorę. Po co ma mi tak być, że tylko w Bąkowie robota mi się podoba. Dla mnie jakby tylko tu ziemia.

ŁYCHÓWNA: No i z czego ci się tyle żałości zebrało. *(łagodnie)* Nie mo-
łam jechać, ani wyjść rano nie mogłam.

WACEK: Więc co? Nie chcesz?

ŁYCHÓWNA: Teraz do miasta nie pójdę.

WACEK: Dyrektor by nam pomógł — zwolniliby cię.

ŁYCHÓWNA: Teraz nie. Jak przewodniczący wróci — zobaczymy. Co, nie
viesz, jak tu jest? *(zniża głos)* Na kogo spojrzeć — złodziej. Dziś zaszłam
v oborze Walczykową, jak mleko kradła ze spółdzielczego udoju.

WACEK: Walczykowa?

ŁYCHÓWNA: No co ci tam. Dość, że mówię ci: nim przewodniczący nie
vróci, ja stąd nie pójdę.

WACEK: Słowo daję, że już zwykła wrona mądrzejsza od ciebie, bo choć
rzysiądzie na kupie gnoju, to i odleci. Nie mówi: „nie mogę", jak na nią za-
vołać. A z taką Walczykową nie ma co się bawić. Walczykowa — nie Wal-
zykowa. Niech ją zarząd na wstyd poda.

ŁYCHÓWNA: Nie, nie.

WACEKE: Jak ty nie, to ja stanę, żeby powiedzieć, komu trzeba.

ŁYCHÓWNA: *(wrogo)* Nie mieszaj się. *(na jego gniewny odruch)* Wa-
uś, no. Przecie nie można tak. Ona dobrze robi, prawie najwięcej dniówek
na z kobiet. Trzeba z Walczykiem pogadać...

WACEK: *(łagodnie)* No dobrze, ale zgódź się, zgódź...

ŁYCHÓWNA: Walczykowi najpierw powiedzieć trzeba.

WACEK: Coś ty! Eh, ty o swoim w kółko. Mówię o nas. Zgódź się, mówię,
hodź do miasta.

ŁYCHÓWNA: Jak przewodniczący wróci, zobaczymy.

WACEK: Przewodniczący, przewodniczący. Od tamtego pożaru toś się taka
ojąca o tę spółdzielnię stała, że no. Umówiliśmy się przecie już wtedy. Czy
ię ojciec zgodzi, czy nie, zrobimy swoje.

ŁYCHÓWNA: Swojeś zrobił ojca nie pytając. *(Wacek łapie ją — ona się
chyla)* Zostaw.

WACEK: A ja ci szczerze chcę powiedzieć, że tak dalej nie może być.
lbo, albo.

ŁYCHÓWNA: Żenić się możemy, ale do miasta teraz nie pójdę. Zrozum,
złowieku, jak nas ten pożar zniszczył, rzucać wsi nie można.

WACEK: E, ty byś sama podpaliła, żeby mi się tylko odkłamać łatwo.

ŁYCHÓWNA: Coś powiedział? *(robi ruch jakby go chciała uderzyć)*

WACEK: *(patrzy na nią w osłupieniu)* Zośka, a ty co?

ŁYCHÓWNA: *(opuszcza ręce)* Rację masz — ja podpaliłam i ja dlatego we
si do czasu zostanę.

WACEK: *(obejmuje ją)* A ja ci mówię, że ty ze strachu przed ojcem wszyst-
o to o tej spółdzielni opowiadasz.

ŁYCHÓWNA: Co ty! Jakże? Nie. *(zupełnie zmieszana)* Co ty od mego ojca
hcesz? *(cofa się jakby w obawie, że chłopak ją uderzy)*

WACEK: Boisz się ojcu powiedzieć, że chcesz się ze mną żenić i do miasta
ć; przez to opowiadasz o tych spółdzielczych biedach — może nie? *(puszcza
ą raptownie i siada na krześle. W drzwiach staje Odzioba. Otrzepuje śnieg)*

ODZIOBA: Szukam cię, Wacek. Przy traktorze byłem — nie ma, myślałem,
eś się już zakwaterował. A... *(spostrzega Łychównę)*

WACEK: To jest Łychówna — księgowa.

ODZIOBA: Teraz już wiem, czemu Wacka w POM-ie nazywają „bąkowski ochotnik". *(do Wacka)* Chciałem ci powiedzieć, że będziemy pewnie za godzinę — dwie wracać, więc żebyś kwatery daleko nie szukał.

(w drzwiach staje Walczyk z Fudalim)

WALCZYK: Z łóżka go wyciągnąłem. Do spania to on szybki.

FUDALI: Mało to się człowiek namarzł na tej przyczepie. *(do Wacka)* Nie mogłeś, synu, limuzynę wziąć?

ODZIOBA: No, Wacek, zaczekaj na mnie w stajni. *(Wacek, za nim Łychówna, idą do wyjścia)* A wy, księgowa, będziecie nam potrzebna.

WALCZYK: Nie. Nie trzeba. Idźcie, Łychówna, do domu.

ODZIOBA: Co wy, Walczyk? *(Łychówna jednym skokiem jest za progiem — trzaskają drzwi)*

WALCZYK: To córka tego, co główny ferment sieje.

ODZIOBA: No i co? Macie z niej pociechę w robocie? To i do rady potrzebna.

FUDALI: Walczyk rację ma.

ODZIOBA: Trzeba się jej bliżej przyjrzeć — tej racji. Dziewczyna dumna — zabolało ją.

FUDALI: Dumna? Nie dla każdego jednakowo.

WALCZYK: E, co się czepiasz! Młodzi. *(do Odzioby — wyjaśniająco)* Ona chodzi z tym waszym Wackiem.

ODZIOBA: *(do Fudalego)* Mówił wam Walczyk, o co chodzi? *(Fudali kiwa głową. Na progu staje Chrabąszczowa)*

CHRABĄSZCZOWA: Łycha nie ma w stajni.

WALCZYK: Jakże?

FUDALI: Stajnia otwarta i nikt nie pilnuje?

CHRABĄSZCZOWA: I tak złodziejskie to było pilnowanie. Jak odchodziłam, Wacek od traktora tam szedł. Jak on jest, to i ktoś z Łychów będzie.

WACEK: Dajcie spokój. Gdzież się ten znowu podział?

FUDALI: Obejdzie się. I tak on głupi.

WALCZYK: Nawet jak on głupi, to nasza rzecz zobaczyć, kto mu rozum odbiera...

ODZIOBA: Mniejsza z tym. Słuchajcie, towarzysze, padły tu ciężkie słowa. Wiecie jakie. Ja się u was nie orientuję. Nie minął tydzień, jak objąłem tutejszy POM. Pierwszy raz dzisiaj spotkaliśmy się ze sobą na tym zebraniu obrachunkowym w Słowicach, gdzieście byli jako goście. Trzeba pomyśleć, co robić, bo to może być jakaś zorganizowana historia. Prawdę mówił ten stróż, że ludzie konie zabierać będą?

CHRABĄSZCZOWA: A bo to wiele ludziom trzeba? A bo to łatwo zrozumieć, jak to jest, że 10 złotych dniówki będziemy mieli? A bo to mnie samej daleko od nich było? Mnie, która, spytajcie, najwięcej mam dniówek. Byłam w tych Słowicach. Słuchałam, jak radzili. Tam jest tak, że im najwyżej radzić, jak z dobrości na biedę przejść. Wszystko mają. Kto im dał? Sami wyrobili.

WALCZYK: Do rzeczy, Chrabąszczowa. Widzicie, u nas tak jest, jakżeśmy to wam już mówili. Zarząd słaby. Prawie go nie ma. Przewodniczącego od tego pożaru nie mamy. Nie ruszaj się, Fudali. Bo i co to jest ten nasz Fudali?

Księgowym był niezłym. Jak przewodniczącego do szpitala odwieźliśmy, to on nam się nadał. I co się okazało? Posłuchu nie ma u ludzi. Nie ruszaj się, Fudali, potem powiesz. To na księgowego kogo daliśmy? Ano — Łychównę. Kto to ona? Była na kursie księgowych i wróciła z powrotem ze świadectwem dziwnym jakimś, że na młodszego księgowego zdatna — a na kursie starszych księgowych i księgowych kształcą, a młodszych tośmy nie słyszeli. Jak pomagać miała przedtem Fudalemu, to ją przepędził, że nie umiejąca jest. Fudali poszedł zastępować przewodniczącego, ją zrobiliśmy księgowym. Przyznać trzeba — stara się, Fudali jej pomaga i nawet biedy z nią nie ma. Ale co? Ojciec jej, choć do spółdzielni wszedł, ale to agent kułacki. Dziewucha książki do domu weźmie, zaraz po wsi szum — rozrabia Łycho. Tośmy i zaprzonili.

CHRABĄSZCZOWA: Co ty jak ksiądz na ambonie ludzi straszysz! A mnie do rzeczy napędzałeś. Proszę towarzysza — rzecz w tym, że pożar nas zrujnował, a sianokosy złe dobiły, ot cała sprawa.

ODZIOBA: Sianokosy?

FUDALI: Pod jesień to my lepiej stali niż te słowicaki. Dniówka nam się na 25 złotych kroiła.

ODZIOBA: A co ma siano do tego?

WALCZYK: Od tego się zaczęło.

FUDALI: Jak ja nastałem, to już ludzi ten pożar rozbił — do roboty wychodzić nie chcieli...

ODZIOBA: Straty duże mieliście?

WALCZYK: Widzieliście te opalone mury? Cały nasz zbiór żyta poszedł. Susza była straszna, stogi się zajęły i siano nam zniszczyło.

FUDALI: No to wszystko zależało od drugiego pokosu, a ludzie do roboty wychodzić nie chcieli... i wtedy... *(zacina się)*

WALCZYK: Wtedy to myśmy z Fudalim uradzili zrobić coś takiego, że jakbyśmy się w kryminale znaleźli, to byśmy też nie mieli prawa narzekać. Daliśmy kułakowi do ręki broń.

CHRABĄSZCZOWA: Siano daliście, nie broń.

WALCZYK: Broń daliśmy. Jak żadna agitacja nie pomagała i ludzie do sianokosu nie szli, tośmy ogłosili, że kto do pracy wyjdzie, połowę siana dla siebie kosi, a połowę dla spółdzielni.

CHRABĄSZCZOWA: A spieka była taka, że i urodzaj na siano kiepski. A teraz z sianem bieda. Z owsem też nie świetnie, bo po tym pożarze sprzedać trochę trzeba było.

ODZIOBA: A ludzie na indywidualnych działkach siano mają?

WALCZYK: Stąd mówię o tej broni. Tym atakują: oddajcie konie — sami wykarmimy.

ODZIOBA: Przecie koni nie deklarowali z braku siana, tylko ze spółdzielczej potrzeby.

WALCZYK: Łycho dziś gębę otwarł, ale nie tylko on swoje oblicze przy koniach pokazał. Każdy od początku tylko patrzył, czy jego koniowi nie krzywda.

FUDALI: Mało to na zebraniach było gadania, że niesprawiedliwie obrotują, że zarząd tylko swoje konie owsem karmi.

ODZIOBA: A jakież to są konie zarządu?

WALCZYK: Niby te, co je członkowie wybrani do zarządu wnieśli — głupoty tam takie.

FUDALI: Sprawa prosta. Kiedy się ludzie zwiedzieli, że dniówka nie będzie większa niż 10 złotych, zaczęło się gadanie.

ODZIOBA: Jakżeście się dowiedzieli, skoro bilans macie niegotowy?

WALCZYK: Łycho był największy agitator, od córki coś przewąchał.

ODZIOBA: Sami temu nie poradzimy. Trzeba zaraz do Komitetu Powiatowego z pismem wysyłać. Co, Walczyk?

CHRABĄSZCZOWA: Walczyk, do dzieciaka zajrzyć musicie. Podobno wasza coś bardzo narzekała. Pewnie jeszcze nie wie, żeście wrócili.

ODZIOBA: Walczyk jechać nie może, ani ja. Zresztą cały czas śnieg sypie. W tę stronę, jakżeśmy z przyczepą grzęźli, byli chociaż ludzie do wyciągania. Teraz musi chłopak sam na ciągniku z listem tylko jechać.

FUDALI: Milicję by sprowadzić.

WALCZYK: Tylko nie milicję... I tak już słyszałeś o tym, czy to jest u nas sprawiedliwość: „Weźmiesz swoje, i jeszcze do więzienia posadzą".

CHRABĄSZCZOWA: Tyle tu z milicji będzie pociechy, co od knura mleka. Ludzi trzeba przekonaniem, a nie milicją brać. Co tu milicja poradzi na gadanie, że z wiosną tu u nas spółdzielnie rozwiążą a wprowadzą kołchoz.

ODZIOBA: Że co?

FUDALI: Gadanie, co tam mają wprowadzać.

ODZIOBA: Chrabąszczowa, co wy mówicie?

CHRABĄSZCZOWA: To nie ja przecie. To wróg klasowy mówi.

WALCZYK: Była taka pogłoska...

ODZIOBA: I co?

WALCZYK: Zaprzeczyłem.

Nie w tym rzecz teraz. Trzeba się przyjrzeć rano, co oni tam rozrobili wokół tej stajni.

FUDALI: A teraz nikt nie pilnuje. Nawet Łycha nie ma. Zajrzeć by tam trzeba. *(ogląda się na drzwi i cofa w głąb pokoju)*

WALCZYK: Oj, Fudali, coś ty mizernie wyglądasz. Nie bój się.

ODZIOBA: Którzy to „oni"? Mówiliście, „co oni rozrobili"?

CHRABĄSZCZOWA: Owa, mało to ich.

ODZIOBA: Indywidualni?

WALCZYK: Indywidualni i tacy, co to się do spółdzielni zapisali, a sami na boki rozpowiadają, że tylko patrzeć wojny: „Jare będziemy siać na swoim" — znamy ich.

FUDALI: Tak u nas było: nie patrzyliśmy przy zakładaniu — parszywa — nie parszywa owca, byle szła. Tyś Walczyk też nie od tego był. A choćby Łycha, kto wciągał?

CHRABĄSZCZOWA: Łycho nasz był.

ODZIOBA: On partyjny?

CHRABĄSZCZOWA: Nasz mówię, znaczy — biedny.

ODZIOBA: Zaraz, zaraz, bo tu u was zgubić się łatwo.

WALCZYK: I dwa drzewa dla ślepego las. *(łapie Fudalego za rękaw — ciągnie do okna)* Co to?

FUDALI: *(oswobadza się)* Śnieg.

WALCZYK: Gnój — nie śnieg ci pokazuję. Nie wiesz, co tam pod śniegiem? *do Odzioby — z odrobiną kpiny)* Widzicie, gnój choć śmierdzi, ale w uprawie pomaga. My tak samo chcieliśmy do niektórych podejść, choć czuliśmy, ak w nich śmierdzi dusza posiadacza.

ODZIOBA: O tem potem, towarzyszu Walczyk, teraz czas o koniach radzić.

CHRABĄSZCZOWA: Ale sprawiedliwie Fudali mówi — Walczyk też tylo by ludzi ciągnął — kogo ciągnie nie patrząc. On się nie lubi namyślać. teraz wrogów jak gzów koło stajni. Jak mu powiedzą na powiecie, tak Valczyk u nas robi bez żadnego pomyślenia.

WALCZYK: Lepiej, Chrabąszczowa, byście pomyśleli, zanim ozorem ruzycie.

CHRABĄSZCZOWA: Patrzcie, to już wszystko, co nas Partia o krytyce czyła, nieważne?

WALCZYK: Ot, krytyka, że wykonuję instrukcje partyjne?

CHRABĄSZCZOWA: Nie to. Tylko że jak w powiecie zagrają, tak Walzyk zatańczy — bez własnego pomyślenia.

WALCZYK: Żeby wtedy tak nie zagrali, to byś tu na mnie nie krzyczała, o by cię w spółdzielni nie było.

ODZIOBA: Towarzysze, spokojnie. Czas pomyśleć konkretnie o sytuacji. ytanie pierwsze: czy możliwe, że oni przygotowali na jutro wystąpienie, że ójdą na stajnie?

FUDALI: Możliwe to jest.

ODZIOBA: Walczyk?

WALCZYK: Możliwe.

ODZIOBA: Jaki może być pretekst? Pozór jaki?

CHRABĄSZCZOWA: Że konie nie karmione.

ODZIOBA: Po pierwsze: trzeba zaraz konie dobrze owsem zaobrokować, ano znowu podsypać, żeby żłobów do czysta nie wylizały.

FUDALI: Obliczony ten owies mamy co do dnia prawie.

ODZIOBA: Potem zobaczymy — kupi się, czy pożyczy do zbiorów. Teraz— o drugie: ktoś z towarzyszy musi stale w stajni być, koni pilnować, żeby ę coś nie zaczęło.

WALCZYK: Ja pójdę.

ODZIOBA: Po trzecie: trzeba na rano ludzi partyjnych ściągnąć i aktyw. gitację ma wieś robić. Po czwarte: trzeba dać wiadomość, że siano, które tedy zebrali, spółdzielcze jest...

WALCZYK: Jakże tak można? Zarząd przecież stanowił wtedy — po powie.

ODZIOBA: Zarząd wbrew statutowi zarządził. Do powiatu posyłamy z wiaomością, żeby przyjeżdżał instruktor, który waszą wieś zna, zebranie zwoamy.

WALCZYK: *(do Fudalego)* Chodź ze mną. *(do Odzioby)* Do stajni idę — rzyślę waszego traktorzystę. Stajnia tu — przez drzwi. Jakby co, to zawojcie mnie.

(wychodzą)

CHRABĄSZCZOWA: Prześpijcie się u mnie.

ODZIOBA: Do spania jeszcze daleko.

CHRABĄSZCZOWA: A dzień już blisko.

ODZIOBA: Wy, Chrabąszczowa, od dawna w Partii?

CHRABĄSZCZOWA: Kandydat jestem.

ODZIOBA: Kiedyście mieli zebranie? Ostatnie?

CHRABĄSZCZOWA: Ostatnie? *(zastanawia się)* Będzie z 8 tygodni.

ODZIOBA: A jak te sianokosy były, czemu to ludzie do roboty wychodzić nie chcieli?

CHRABĄSZCZOWA: Długa to historia, ale żeby tak rzec wprost, to zniechęcili się strasznie, a i respektu żadnego dla Fudalego nie mieli, no i tak...

(wchodzi Wacek. Idzie tyłem. W ręce trzyma naciągniętą linkę. Rozgląda się naokoło, wreszcie przysuwa sobie krzesło)

WACEK: Jestem. *(przywiązuje sznurek do nogi krzesła)*

ODZIOBA: Co wyrabiasz?

WACEK: To w nalazek. Po co ma Walczyk w stajni nocą pracować, skoro może i stąd dozór dawać.

ODZIOBA: Co ma do tego ten sznurek?

WACEK: Do wrót przywiązany. Chce ktoś otwierać — pociągnie sznur, krzesło się przesunie i proszę siadać! — na 5 lat za zamach na spółdzielczą własność.

ODZIOBA: A cóż to Walczyk chce robić po nocy?

WACEK: Jakieś tam bilanse sprawdzać.

ODZIOBA: Idź, zapuszczaj motor. Jedziesz do powiatu — do Komitetu — dyżurnemu kartkę dasz. Tylko żebyś nie ugrzązł w zaspach, bo wtedy źle będzie.

WACEK: Maszyna gotowa. Tylko ją pewno śnieg nakrył.

ODZIOBA: To podjeżdżaj tu — ja już piszę.

(Wacek wychodzi — Odzioba siada za biurkiem — pisze)

CHRABĄSZCZOWA: *(patrzy uważnie na ruch ręki piszącego, gdy wstrzymuje go namysł — mruczy)* Ja tam tego Marksa, Engelsa i Kapitała nie czytałam — samą czytać mnie tej jesieni nauczyli, ale przecie wiem, że nie ma dla nas życia poza spółdzielnią, a czego to na spółdzielnie nie nagadali — ho — ho. Jakby to spółdzielczy pies zjadł, to by zdechł.

ODZIOBA: *(zajęty pisaniem — nagle przerywa)* Co? Zdechł? Koń zdechł?

CHRABĄSZCZOWA: Eh — nie, ja tak sobie. *(ze złością do siebie)* Był już u nas taki hodowca, co kozła z owcą krzyżował, żeby to mleko dobre i wełna, ale całkiem nietoperz z tego wyszedł. Coś mi się widzi, że jemu tak z tym listem pisanym przy słuchaniu pójdzie...

ODZIOBA: *(kończy pisać)* Co? Pójdzie, pójdzie, czemu miałoby nie pójść, motor mocny, na maszynę zaspy nie takie straszne.

(wchodzi Walczyk)

WALCZYK: Fudali konie obrokuje. Ja siądę sobie, bilans przejrzę nocą, żeby ten czas stróżowania z pożytkiem przeszedł.

ODZIOBA: Bilans się zmieni — choćby i to siano, które ludzie rozebrali, zaliczyć trzeba na dniówki — ze spółdzielczej łąki ono. Ale ładnie wyglądamy! Przewodniczący konie karmi, wy do bilansu, stróż — licho wie gdzie, do księgowej zaufania nie macie...

WALCZYK: Ja tam domyślam się, skąd cała ta robota idzie. Do Moczy-
owskiego syn wczoraj przyjechał.
CHRABĄSZCZOWA: E, wy tak po starej nienawiści do niego mówicie. Co
do nas ma! *(do Odzioby)* To były sołtys — indywidualny.

(Odzioba patrzy pytająco)

WALCZYK: Kiedyś, za parę metrów ziemi, co mi spod miedzy na swoje
zyorał, tom mu dwa żebra złamał. Ale potem, jak on mnie swoją speku-
cją kułacką zrujnował, tom go kłonicą kwitować nie mógł. Na siłę pienią-
a kłonica za słaba. Inną siłę trzeba było wynaleźć — i co? Teraz on znowu
trygą ziemię spod nóg wyrywa.
ODZIOBA: Jakże?
WALCZYK: Fudali mówił, że to on opowiada o tym kołchozie i że konie
ają do Pegeeru wszystkie zabierać. Nie wiem, co go tak ośmieliło. Do tej
dziny bardzo się pilnował. Nawet ostatnio, kiedy o kontraktację szło, a on
szcze sołtysował, bardzo się przyczynił. Chodził po ludziach.
CHRABĄSZCZOWA: Chodził na kontraktację. A jakże! Tak on chodził, że
nie nogi bolały.
WALCZYK: Co wy znowu, Chrabąszczowa?
CHRABĄSZCZOWA: A no, kiedy tamten z powiatu za kontraktacją prze-
awiał, to sołtys głową kiwa, a pod stołem jak mnie nie szturchnie raz i dru-
— w kostkę mnie trafił, na cały dzień okulawił i oczami wywraca, żeby
mtemu wiary nie dawać.
WALCZYK: No, masz, i czegoście mi nic nie powiedzieli? A, racja...
ODZIOBA: No?
WALCZYK: Ona jeszcze wtedy nie była z nami — na indywidualnym sie-
iała.
ODZIOBA: Trzeba się będzie temu Moczydłowskiemu dobrze przyjrzeć.
drzwiach staje Wacek) Masz tu, bracie, list i...
WACEK: *(przerywa mu)* Nie pali. Motor nie pali. *(Odzioba wstaje)*
ODZIOBA: Świece sprawdziłeś? *(Wacek kiwa głową)* Gdzie tu najbliższy
lefon? Może zadzwonić?
CHRABĄSZCZOWA: Prędzej byście się kościelnego dzwonu na własnym
grzebie doczekali, niż przez te zaspy do Knychówka się dopchali do te-
fonu.
ODZIOBA: Zaraz coś poradzimy. Sprawdzę maszynę. Walczyk, może konie
dą potrzebne — włóczyć traktor: w biegu może zapali.
WALCZYK: Mój kasztan i klacz Zielińskiego, choć źle karmione, i trzy
aktory pociągną.
ODZIOBA: *(do Wacka)* Idziemy. *(do Walczyka, który rusza ku wyjściu)*
y lepiej zostańcie, jak będzie nam potrzebna pomoc, przyjdziemy. Zostań-
e, bo jeszcze nam konie znikną. Taki czas...
WALCZYK: *(otrząsa się)* Ale ciemność!

*ychodzą. Chrabąszczowa za nimi. Walczyk siada za biurkiem, otwiera szu-
ldę, wyjmuje butelkę mleka, przypomina coś sobie, zafrasowany gładzi się
brodzie. Namyśla się — wreszcie wyciąga papiery, zaczyna je wertować.
gle stojące pod ścianą krzesełko przesuwa się raptownie w lewo. Walczyk
dnosi dłoń do czoła, jakby zamierzał się przeżegnać — ale ogląda się w bok*

na ścianę, gdzie wisi portret Prezydenta i robi dwa kroki w kierunku krzesła. Drzwi otwierają się z trzaskiem, wpada Walczykowa — podbiega do Walczyka)

WALCZYKOWA: *(krzyczy przeraźliwie)* Umiera! Umiera! Bez ratunku!

WALCZYK: *(stoi bez ruchu, z butelką mleka w ręce. Patrzy teraz na butelkę)* Michaś?

WALCZYKOWA: O rany boże! Rany, rany! Dziecina już dychać nie może! Krup chyba siadł mu na gardle. Cały dzień sama jak ten palec — poradzić nie ma kto. Twoja spółdzielnia dziecku kapkę mleka pożałowała. *(wybucha głośniej)* Żeby Chrabąszczowa swoim świniom dała! A dla twego syneczka nic!

WALCZYK: Kogo prosiłaś?

WALCZYKOWA: Łycho oborowego zastępował. Porozjeżdżaliście się wszyscy, niby na odpust jaki, a mówiłam, że on coś chory, mówiłam...

WALCZYK: *(niepewnie)* Masz mleko... *(wyciąga butelkę)*

WALCZYKOWA: Dziecko umiera, słyszysz? „Czemu płaczesz, matka, ty też będziesz kiedyś umierać" — tak ci mnie pocieszał! Dopiero jak światło zobaczyłam, zwiedziałam się, że wróciliście. No — czego stoisz? Konie zaprzęgaj! Po doktora jedź! Siłą bierz doktora na wóz, jak nie będzie chciał...

WALCZYK: *(zdezorientowany)* Zaspy. Wóz nie przejdzie...

WALCZYKOWA: Naszego kasztana bierz i Zielińskiego klacz — przejdą, no mówię ci, przejdą, godziny każdej żal. Zaprzęgaj.

WALCZYK: *(stanowczo)* Teraz koni nie dam.

(Walczykowa osłabła siada na krześle, żegna się patrząc na niego z przerażeniem)

WALCZYKOWA: Twoje to dziecko...

WALCZYK: *(mówi z trudem)* Konia brać nie idzie. Zaraz świtem mogą pójść na stajnie, jak zobaczą, że mego kasztana nie ma, żadna siła im nie wytłumaczy: powiedzą — swego żeś wycofał, a innym bronisz.

WALCZYKOWA: A cóż to, człowieku... przecie dziecko twoje.

WALCZYK: *(przysuwa się do niej)* Maryśka, słuchaj, zaraz będą konie potrzebne. Traktor pomowski, co nas przywiózł, włóczyć będziemy, żeby motor zapalił. Maryśka, traktor do doktora pójdzie — no... A ja teraz... *(szuka czegoś bezradnie, Walczykowa patrzy na niego martwo)*

WALCZYKOWA: A bodaj cię skręciło — on o traktorze teraz. Michaś — dziecko moje. *(wstaje, idzie na Walczyka; szeptem)* Konia wyprowadzaj, słyszysz. Bo sama zabiorę i pojadę.

WALCZYK: Nie dam.

WALCZYKOWA: *(krzyczy)* Oddaj konia! Nie twój. W moim wianie dostałeś! Oddaj konia!

AKT II

(Ten sam pokój. Po dawnemu świeci się żarówka. Oparłszy na biurku głowę śpi Fudali. Za oknem wybuchają naraz wystrzały spalin traktora. Słychać zmieszane głosy. Do izby wchodzi Odzioba, za nim Chrabąszczowa)

HRABĄSZCZOWA: Byle się gdzie po drodze nie zagrzebał.
DZIOBA: Przejedzie. *(podchodzi do biurka, ostrożnie, żeby nie zbudzić dalego, wyciąga mu spod głowy szeroki arkusz zapisanego papieru. Przyje przy biurku pochylony nad wykazami)* Świń ile macie?
HRABĄSZCZOWA: Czterdzieści siedem. Jedna maciora prośna. A co to o na początek, jakeśmy do spółdzielni przyszli. Jedna była. Chowałam to siąc. Nie rośnie. Wyższa się zrobiła, ale każde żebro jej policzysz. Patrzy ednego oka — drugie zarośnięte. To mówię w końcu do przewodniczące- „Jak mamy chlewnię robić, to najpierw tego wyrodka zabić trzeba. Co bić, powiada przewodniczący, to już lepiej kota bijcie". No to ją wykąam, zrobiłam jej futro na karakuły i na targ...

zioba nie słucha monotonnego głosu babiny. Teraz nagle podnosi głowę — patrzy w okno)

DZIOBA: Świt chyba niedługo?
HRABĄSZCZOWA: Fudalego budzić.
DZIOBA: Po co?

(w progu staje Łychówna)

YCHÓWNA: Mówiliście przy traktorze, żeby zajść, pomóc wam bilans diować.
DZIOBA: Tak, chodźcie, chodźcie. Ale przedtem powiedzcie no, które iety ze wsi z nami idą. Na których można by się rankiem, na początek, gitacji oprzeć.
HRABĄSZCZOWA: Co tam z babami! Zawsze gorzej z nimi szło. Co to as było, jeszcze jak był Komitet Założycielski, kiedy ksiądz powiedział, diabelskie posłowanie niektórych chłopów sakramenta rozwiązuje i że żyć imi nawet żonie — grzech...
DZIOBA: Diabelskie posłowanie?
HRABĄSZCZOWA: No, niby agitacja za spółdzielnią. Chłopy w celibacie miesiącu były.
YCHÓWNA: Nie można wszystkich kobiet jednakowo...
HRABĄSZCZOWA: Ano, tyś to się nawet samego diabła na traktorze przelękła. No, nie złość się. Mówię, bo sama wiem najlepiej — z nimi, abami, wtedy szłam i tak samo głupia byłam. Dopiero jak umarłego synka laków ksiądz pogrzebać nie chciał, kiedy pieniędzy nie mieli, i Walczyk rał pieniądze w samym Komitecie Założycielskim — wtedy się odmieniło.
DZIOBA: No, do rzeczy. Więc trzeba by z tymi kobietami, co mądrzejmi, z samego rana pogadać. A my już tu zrobimy partyjne zebranie.
HRABĄSZCZOWA: Co tam z nimi gadać! Powiedzieć trzeba, że za runie stajni — kryminał. Są tacy, co niech im się tylko zdaje, że coś im na ho ujdzie, oni zaraz gotowi.
DZIOBA: Samiście, Chrabąszczowa, mówili, że nie ma co ludzi krymiem straszyć. Dobrowolnie szli do spółdzielni, to i wystąpić mogą. To im wiście trzeba powiedzieć. Występujecie? Piszcie podania. Jak bilans wyjlepszy, niż wróg zapowiada, jak konie będą się paść — podanie cofną. nie w tym sęk. Trzeba opowiedzieć, jak to Walczyk swojego konia nie choć żona bić go się porwała. Jak kiedy wołała: „Bierz swego konia" — powiedział: „A ja myślałem, że to koń spółdzielczy" — i jak zaraz potem

na dobre to wyszło. Traktor poszedł i doktór prędzej przyjedzie. Trzeba dalej o tym sianie. Mądrze do tego podejść...

(Drzwi owierają się. Staje w nich Łycho. Kożuch i czapkę pokrytą ma warstwą śniegu)

ŁYCHO: Dzieńdobry.

CHRABĄSZCZOWA: Taki to dzień, jak i dobry.

ŁYCHÓWNA: Skąd to ojciec?

ŁYCHO: Ze stajni. A skądżeby.

CHRABĄSZCZOWA: To chyba już całe zaspy z nieba padają?

ŁYCHO: Czego?

CHRABĄSZCZOWA: Jak was przez te 20 metrów tak śniegiem osypało.

ŁYCHO: A wy, Chrabąszczowa, dziś na mnie nie naskakujcie. Mleko z wieczornego udoju znów wasze świnie zjedzą.

ODZIOBA: Cóż to się u was dzieje, że mleko dla świń idzie?

CHRABĄSZCZOWA: *(spiesznie)* Przecie to nie zawsze. Śniegu nawaliło. Zaspy takie, że żaden koń nie uciągnie. Na punkt odstawić nie idzie.

ODZIOBA: A wczoraj jak było?

ŁYCHO: A no — tak samo.

ODZIOBA: Odstawić nie idzie, a wasza dniówka obrachunkowa to do świńskich brzuchów idzie.

ŁYCHO: Dziś naprawdę nie idzie jechać. Toć Walczyk najlepsze konie zabrał.

ŁYCHÓWNA: Tata się pewnie znowu gdzieś napił...

ŁYCHO: Cóż to będziesz z ojca wariata strugać. Walczyk konie wziął i jak im wsypał, to wóz galopem przez wieś szedł...

ODZIOBA: Co on opowiada?

(Łycho widzi zmieszanie obecnych. Nagle zaczyna jak niedźwiedź przetaczać się z nogi na nogę. Głowę zasłania czapą. Potem nie mogąc się opanować odsłania śmiejącą się twarz i krzyczy)

ŁYCHO: Walczyk konia zabrał i uciekł.

(Fudali widocznie już od dłuższej chwili musiał — nie zmieniając pozycji — słuchać, co mówią obecni, bo teraz prostuje się powoli i rzuca ostro)

FUDALI: Łycho. Ty na Walczyka nie szczekaj, bo nie takie psy zęby sobie na nim połamały.

ODZIOBA: *(do Fudalego)* Skoczcie zobaczyć, co w stajni.

(Fudali wstaje, robi dwa kroki, ogląda się i wreszcie wychodzi w ciemności. Widzimy, jak w progu żegna się szybko. Panuje cisza)

ŁYCHÓWNA: Jak Walczyk konie od traktora prowadził, odezwałam się do niego. Nie odpowiedział mi i widziałam, że jakiś taki jest...

CHRABĄSZCZOWA: Cicho.

(Chrabąszczowa nadsłuchuje. Długa cisza. Odzioba zaczyna chodzić po przekątnej pokoju. Łycho usuwa się z drogi, z mieszaniną pewności siebie i zmieszania opiera się o ścianę przy drzwiach ziejących ciemnością)

ODZIOBA: Zamknijcie drzwi. *(mówi i otrząsa się, jakby chwycił go dreszcz)*

(Łychówna i Chrabąszczowa patrzą na siebie, wreszcie Łycho robi krok i za-

ka drzwi. Trwa cisza. Drzwi uchylają się. Staje w nich Fudali. Na wlepiony w siebie wzrok odpowiada wzruszeniem ramion)

LYCHO: Mówiłem przecież...

CHRABĄSZCZOWA: *(gwałtownie)* Nieprawda. Walczyk twardy, że kosę żesz o niego naostrzyć.

(Słowa jej padają w ciszę)

LYCHÓWNA: Ja tam nic... ja bym nic powiedzieć nie chciała... Jak wyście i w Słowicach, to widziałam, jak Walczykowa mleko ze spółdzielczego oju kradła.

LYCHO: A jak na mnie skoczyła, kiedy dać nie chciałem.

ODZIOBA: *(do Fudalego półgłosem)* Gdzie Walczyk?

FUDALI: *(szeptem)* Mojego rozumu na to wszystko nie starczy.

ODZIOBA: *(stanowczo)* A czemuż to, Łycho, mleka Walczykowej nie daie? Dla dziecka chorego prosiła.

LYCHO: Jakże dać miałem — przecież nie moje. A czy dziecko chore — to ja wiem — może ona tak tylko mówi, żeby mleka dostać.

ODZIOBA: A czyje to mleko?

LYCHO: Spółdzielcze.

ODZIOBA: A Walczykowej dziecko czyje?

LYCHO: *(wzrusza ramionami)* A bo to chłop kiedy wie.

CHRABĄSZCZOWA: Ależ masz gębę niewyparzoną.

FUDALI: Wyparzoną ma — spirytusem.

ODZIOBA: Toście nie mogli spółdzielczego mleka dać dla dziecka spółelcy, któremu krowa indywidualna padła?

(Chrabąszczowa kręci się niespokojnie — chce coś wtrącić)

LYCHO: A nie mogłem. Każda kropla wspólna.

ODZIOBA: I co — wszystkie te krople — ponad sto litrów — dla świń zły?

CHRABĄSZCZOWA: Przecie Łycho statutowo postąpił. Sami mówiliście, z sianem była samowola.

ODZIOBA: Siano spółdzielcze ukryte zostało. Tylko połowa zbioru poszła spółdzielni. Mogliby ludzie nawet i wziąć to siano, ale zapisane jako zaka. A tak to siana połowę spółdzielnia ma i dniówkę niższą o wartość tej giej połowy siana, co ją na działki przyzagrodowe zabrali. Mleka może ecież każdy na zaliczkę brać, ile zechce. A czemu to z wczorajszego udoju odstawiliście? Konie przecież były.

CHRABĄSZCZOWA: Zaspy...

ODZIOBA: Zaspy mniejsze były — a cóż to, Chrabąszczowa, tak go broie?

FUDALI: Jak nie odwiezie, mleko się przestoi i dla świń idzie.

ODZIOBA: Ot, „świński" patriotyzm. Bliżej swego nosa patrzycie.

LYCHÓWNA: Ja... ja o tym dziecku nie wiedziałam nic, ani że ojciec, że nie dał...

ODZIOBA: Zaraz. Teraz sprawa stoi tak. Ani słowa nikt o zniknięciu Walka nie powie.

FUDALI: Wystarczy, żeby się ludzie zwiedzieli... *(patrzy w ciemność okna)*

CHRABĄSZCZOWA: Oj rety. Walczyk — to przecież mowy nie ma, żeby

on... Ale ludzie są niemądre, a głupiego głupstwo szybciej chwyci niż ogień drwa.

ODZIOBA: Teraz my z Fudalim pójdziemy do zagrody Walczyka. Pan Łycho będzie tu siedział. Nie wyjdzie stąd. *(Odzioba zbliża się o krok i mówi do Łycha prosto w twarz)* Chyba że chcecie się z nami bardzo pokłócić...

ŁYCHO: A co mi to źle — mogę tu posiedzieć.

ODZIOBA: Księgowa, zostaniecie — może książki będziecie dalej pod kątem tego siana sprawdzać i na pana Łycha uważać będziecie... A wy, Chrabąszczowa, może na trochę do stajni...

(Odzioba idzie pierwszy — Fudali za nim. Chrabąszczowa idzie oglądając się od progu)

CHRABĄSZCZOWA: Całkiem się zbiesił — tfu. *(wychodzi)*

ŁYCHÓWNA: *(siada za biurkiem)* No ładnie. Gdzież to ojciec tak sobie wypił? Pewnie u Moczydłowskiego? Skończyły się czasy, kiedy kułak dwa wesela urządzał. Kiedyś to ojciec wstęp miał tylko na fundę dla tej gorszej połowy wsi... Teraz z tej gorszej połowy to mu chyba tylko ojciec został. *(milczenie)* Sobie wrogiem chcesz być? Ojciec.

ŁYCHO: Bierzesz się mnie uczyć? Ciebie głowa o to nie boli, co do miski włożyć — ty z łyżką do gotowego umiesz stawać. Nie masz co Moczydłowskiemu zazdrościć — ciężkie życie biednych bogaczy. Ale jeszcze koło nich pożywić się można. A jak ja się pożywię, to i spółdzielni kochanej nie pożałuję.

(Z kieszeni kożucha wyciąga butelkę, odkorkowuje, pociąga potężny łyk — teraz rozgląda się z wybałuszonymi oczami czegoś szukając, robi dwa kroki ku pelargoniom rosnącym w doniczkach i spryskuje je czule ustami)

ŁYCHÓWNA: Co znowu.

ŁYCHO: Niczego nie pożałuję — rośnijcie spółdzielcze kwiatki na spirytusie.

ŁYCHÓWNA: *(łapie ojca za klapę kożucha)* Ty, uważaj! Ty!

ŁYCHO: *(uderza ją zewnętrzną stroną dłoni, tak że dziewczyna wpada na biurko)* Młode to, a słuchać zapomniało.

(Słowa te mówi Łycho z takim spokojem jak człowiek najzupełniej pewny swej władzy nad drugim)

ŁYCHÓWNA: Bić będziesz? A no — uderz jeszcze.

ŁYCHO: *(robi krok)* A chcesz to, dziecko?

ŁYCHÓWNA: *(ucieka za biurko — on idzie za nią)* Spróbujesz uderzyć — pamięć mi otworzysz. Bo ty nie wiesz, co ja pewnej środy w stodole na godzinę przed pożarem widziałam...

ŁYCHO: *(staje z otwartymi ustami)* He — *(robi jakiś nieopanowany grymas, ogląda się na drzwi)*

ŁYCHÓWNA: Stój! Nigdzie nie pójdziesz. A teraz, jeśli chcesz, żebym pamięci nie miała, mów! Co z tą naszą stajnią się szykuje? No.

(Łycho stoi pod ścianą — wyjmuje butelkę — przechyla głowę — trwa tak chwilę, butelkę stawia na oknie, ociera usta wierzchem dłoni)

ŁYCHO: A no — dobra. Będę mówił, co wiem.

ŁYCHÓWNA: Cicho.

(z zewnątrz słychać zbliżające się kroki. Wchodzi Fudali i Odzioba)

FUDALI: Masz, to do ksiąg. W sprawie zaliczki. *(kładzie na biurku kartkę papieru. Odzioba bez słowa kładzie na stole rozbite skrzypce)*

ŁYCHÓWNA: *(czyta)* „Dopraszam się u Zarządu o zaliczkę na pogrzebanie dziecka mojego, któremu w godzinie śmierci kropla mleka była odmówiona. Walczykowa".

FUDALI: No tak, tego... *(wyciera nos)*

ŁYCHÓWNA: Umarło? Jedno mieli...

ODZIOBA: Nie powiedziano, czy umarło — nikogo w domu nie ma, drzwi otwarte, na podłodze skrzypce rozbite, ta kartka na stole. *(otrząsa się)* A Walczyk z końmi znikł.

FUDALI: I co ja teraz z ludźmi sam poradzę...

ODZIOBA: Mam wrażenie, że wy to nawet w ciemności samemu zostać nie lubicie.

FUDALI: Bo też i noc taka.

ODZIOBA: *(nagle — ostro)* Panie Łycho.

ŁYCHO: *(teraz zmienił się ogromnie — jest cichy i uważny)* Słucham panie...

ODZIOBA: Walczykowa pana o mleko prosiła — nie dał pan?

ŁYCHO: Jakże dać miałem?

ODZIOBA: Co mówiła? Mówiła, że dziecko chore?

ŁYCHO: Coś tam mówiła...

ODZIOBA: A kiedy pan ostatni raz z Moczydłowskim rozmawiał?

Łycho najpierw robi gest, jakby chciał sięgnąć do kieszeni, potem ogląda się na okno, gdzie stoi wypróżniona butelka, wreszcie patrzy na córkę)

ŁYCHO: Z Moczydłowskim? *(Odzioba patrzy teraz przez okno. Nie odpowiada)* A no z Moczydłowskim — to wczoraj żem się widział.

FUDALI: *(cicho)* On chrzciny urządzał.

ODZIOBA: Kto ze spółdzielczych był tam jeszcze?

ŁYCHO: Zieliński był. Kupisa baba była...

ODZIOBA: Więcej nikt?

ŁYCHO: Żona Mikulskiego.

FUDALI: *(usprawiedliwiająco)* Moczydłowska — to koła różańcowego przewodnicząca.

ŁYCHO: *(tryumfująco)* A żona Mikulskiego to twoja córka.

ODZIOBA: I o czym wtedy tak na boczku radziliście? *(Łycho z otwartymi oczami patrzy na Odziobę)* Tak. O tym, że konie do Pegeeru zabiorą, była mowa, co? *(Łycho kiwa głową)* Córkę macie wykształconą, nie?

ŁYCHO: Tak.

ODZIOBA: A przed wojną jak się wam żyło?

ŁYCHO: Przed wojną było boso i teraz boso.

FUDALI: Oj, Łycho, popatrz na swoje nogi.

ŁYCHÓWNA: Przed wojną to w zimie w worku sieczki zaszyta leżałam, a szmaty na grzbiet nie było.

ODZIOBA: Ziemi ile mieliście?

ŁYCHO: Hektar.

FUDALI: *(z przekąsem)* Tak ty hektar miałeś, jak ja dwór hrabi Ostrowskiego.

ŁYCHO: Jakże? Na wygonisku pół morgi, na Baniosze pół, a z pięć kawałków w środku wsi — może nie?

ODZIOBA: Toście ten hektar w dziesięciu kawałkach mieli?

FUDALI: Takie ci miał grunta, że jak się pies w poprzek położył, to ogon miał na cudzym.

ŁYCHO: Niby to prawda. Przy orce czy bronowaniu, samego schylania się i dźwigania pługa czy brony na wóz starczyło, żeby w krzyżach słabość poczuć.

ODZIOBA: Dziadem byliście, Łycho. Nawet we śnie wam się córka kształcona nie śniła. A dziś Moczydłowski narzeka, że taki czas dla dziadów nastał, że im się we łbie poprzewracało... Na chrzciny was prosi. A tacy jak on za darmo fundy nie stawiają i wy chodzicie do niego. Konia mieliście?

ŁYCHO: Jakże — konie spółdzielcze.

ODZIOBA: Przed wojną.

ŁYCHO: Nie...

ODZIOBA: Teraz wam spółdzielnia powierzyła swoje konie. Ile to ich?

FUDALI: Dziesięć.

ODZIOBA: Dziesięć koni macie. To nie śmiech. Wy macie te konie, skoro wspólne są. U Moczydłowskiego na odrobek konie przed wojną braliście?

ŁYCHÓWNA: *(szeptem)* Braliśmy.

ODZIOBA: No i Moczydłowski chce, żebyście znowu nie mieli — i na odrobek jego kułackie konie brali... Plotki rozpuszcza, a wy... Eh, Łycho, Łycho. *(do Fudalego i Łychówny)* No cóż, zajmiemy się tym sianem, żeby wykaz mieć, ile u kogo spółdzielczego siana leży.

ŁYCHÓWNA: U nas było ze dwie morgi, to my to deklarujemy z powrotem.

ODZIOBA: Deklaruje się własne, a to się zwraca. Dobrze. Rano trzeba przywieźć, żeby wieś widziała.

ŁYCHO: Jakie siano?

ŁYCHÓWNA: No, z jesiennego pokosu. Zarząd wtedy niestatutowo zarządził, że pozwolił połowę skoszonego brać na gospodarkę przyzagrodową. Oddamy.

ŁYCHO: Tego siana u mnie nie ma.

ODZIOBA: O znowu pan Łycho się odezwał, a już myślałem, że co nieco zrozumiał.

ŁYCHO: Sprzedałem siano wtedy, jakeś w mieście te dwa dni była. U siebie nie trzymałem — to nie wiedziała nic.

ODZIOBA: Komu sprzedaliście.

ŁYCHO: Moczydłowskiemu...

ODZIOBA: Patrzcie. A ten Moczydłowski tylko od was skupował?

ŁYCHO: Niejeden jeszcze mu sprzedał. Byli tacy co od razu na pniu od nich kupował to, co nakoszą.

ODZIOBA: *(patrząc na Fudalego)* A toście sianokosy spółdzielcze urządzili.

ŁYCHÓWNA: Trudny czas nastał wtedy dla spółdzielni.

FUDALI: I jeszcze się, drań, nie skończył.

ODZIOBA: *(do Łycha)* Idźcie do stajni pilnować. Niech Chrabąszczowa tu rzyjdzie.

ŁYCHO: Jakby kto próbował siłą brać, siekierą go przykrócę.

FUDALI: Jakby co — krzycz. Usłyszymy.

Łycho odwraca się z progu, chce coś powiedzieć, ale macha ręką i wychodzi)

ODZIOBA: Trudna sytuacja. Co z tym Walczykiem?

FUDALI: Chałupa otwarta. Aż mnie zatrzęsło, jak w progu stanąłem. Te krzypce rozwalone. Szukać go nie ma jak.

ODZIOBA: Przecie nie uciekł z końmi, ani nikt go nie porwał z dzieciakiem i żoną.

FUDALI: A może jednak po doktora pojechał?

ODZIOBA: Już wam mówiłem: powiedziałem, że doktora z powiatu wzywam. Do Sekretarza Komitetu pisałem. Walczyk wie, że to znaczy, że będzie lekarz — i naraz znika.

ŁYCHÓWNA: A ta zaliczka znowu. *(pokazuje kartkę, jakby się bała jej dotknąć)* Przecież umarłego dzieciaka nie powiózł w śnieg taki.

FUDALI: Te skrzypce. Walczyk by diabłu duszę swoją za skrzypce oddał... To jakaś ciemna sprawa.

ODZIOBA: A tu zaznaczyłem w liście do Komitetu, żeby pod żadnym pozorem milicji nie ściągali.

FUDALI: A czy ten chłopak w ogóle przez te zaspy się przebije?

ODZIOBA: Tak. Nawet terenowy samochód przejdzie, jak go mądrze poprowadzić. No, ale bierzmy się do roboty. Kto tam jeszcze ze spółdzielni był u Moczydłowskiego?

FUDALI: Kupisowa, Zieliński.

ODZIOBA: *(przypatruje się Fudalemu uważnie)* Jeszcze, zdaje się, ktoś?

FUDALI: Mikulska.

ODZIOBA: No, księgowa, przypatrzmy się im na pierwszy ogień. Do nich też trzeba rano najwcześniej posłać, żeby w sprawie siana do Zarządu szli. Ten Zieliński — ile tam ma dniówek?

ŁYCHÓWNA: W ogólności, czy w czasie sianokosów?

ODZIOBA: Najpierw w ogóle.

ŁYCHÓWNA: Dwadzieścia — w czasie sianokosów sześć.

FUDALI: Bo przez sześć dni wszystko skosili.

ODZIOBA: To poza tym przez cały rok czternaście dniówek wyrobił? Lepszy spółdzielca z niego.

FUDALI: Te czternaście to mu też z kombinacji przypadły. Jak do młócenia trzeba było iść, to poszedł, wóz pusty przyciągnął. Kiedy już mógł plewami go załadować, to młockę skończył, wóz plew do domu i po robocie.

ODZIOBA: Ile to on gruntu wniósł?

ŁYCHÓWNA: Trzy hektary i konia. Jego koń w spółdzielczej stajni najlepszy.

FUDALI: Z takimi najgorzej. Ziemi ma tyle, żeby w koszulę zawiązał, ale że i konika jakiego takiego, to już się stawia.

ODZIOBA: Oj, za mało ja u was pracy nad ludźmi widzę — stąd bieda.

ŁYCHÓWNA: Jeszcze cztery miesiące temu nie tak u nas było — pożar wszystko rozłożył.

ODZIOBA: No — piszemy: Zieliński 6 dniówek przy sianokosach równa się? No, ile tak na oko siana zebrał?

FUDALI: Ze 4 morgi.

ODZIOBA: Piszmy połowę — 2 morgi — do zwrotu. Następny, co był u Moczydłowskiego... Kupisowa.

ŁYCHÓWNA: Ona dobrze pracuje. Ma dniówek... *(szuka w papierach)* 178. Przy sianokosach jesiennych — 5.

ODZIOBA: Ile to tam będzie dla kobiety — jakeście to liczyli w tym sianie? Obliczcie.

(Fudali z Łychówną pochylają się nad papierami. W progu staje Chrabąszczowa)

CHRABĄSZCZOWA: Wyście Łycha na stajnie posłali?

ODZIOBA: No, nie „na stajnię" — do pilnowania.

CHRABĄSZCZOWA: Wierzyć nie chciałam. A tu w dodatku spirytus jedzie od niego, że konie się przy żłobach zataczają... *(nagle Chrabąszczowa — patrzy z zastanowieniem na stojącego przy oknie Odziobę, pociąga nosem)* ...A nie wiedziałam, że to dla celów agitacji towarzysz Odzioba...

ODZIOBA: Co takiego?

CHRABĄSZCZOWA: *(zmieszana)* A nic, ja o tej wódce...

ODZIOBA: O jakiej wódce. Nikt tu nie pił.

CHRABĄSZCZOWA: *(robi krok naprzód, wciąga jak wyżeł powietrze)* Jakże?

FUDALI: Łycho może po wódce był...

CHRABĄSZCZOWA: *(zbliża się ku oknu — pochyla ku pelargoniom — odskakuje z przerażeniem, żegnając się)* Rany boskie. Kwiaty się popiły.

FUDALI: Masz ci — to i ją widać Łycho uczęstował.

CHRABĄSZCZOWA: *(patrzy w osłupieniu)* Że co? Już ty, Fudali, uważaj.

ŁYCHÓWNA: Na te kwiaty to Łycho spirytus wylał.

FUDALI: *(z żalem)* Nie miał też co z nim zrobić.

ODZIOBA: Teraz Mikulska.

FUDALI: *(kręci się niespokojnie)* Mikulska?

ŁYCHÓWNA: Dniówek sześćdziesiąt, w sianokosach jesiennych...

ODZIOBA: Zaraz, zaraz. Słuchajcie, jak to właściwie było z tym pożarem? Było śledztwo?

FUDALI: Za czym było śledzić — w przewodzie, co do maszyny przez klepisko między snopkami szedł, spięcie było — iskra skoczyła, i po wszystkim. Słoma sucha — co to, nie pamiętacie tego czasu.

ODZIOBA: Jakto? Żadnego śledztwa nie było?

FUDALI: Mieli przyjeżdżać, ale Walczyk wszystko w Komitecie wyjaśnił...

CHRABĄSZCZOWA: Śledztwo — to było. Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych przeprowadzał — nawet u mnie, w chlewie, byli. Bo to w czasie pożaru jeden tucznik nam się spalił. Ile ważył — pytają. Mówię. A im się coś za dużo wydało. Zaczęli liczyć. Pytają, ile gramów przyrostu wagi dziennie wypada. Mówię, że 750 — znów im coś za dużo. Kiedy ostatnio ważone? A pięć dni temu. Ważą jedną sztukę. Wypada przyrostu 800, bom je wtedy jeszcze lepiej karmiła — bo mleko często zostawało. Eh, powiada jeden, wa-

ę zepsutą macie. To ja się go pytam: a pan dyrektor ile waży? On mi mówi. No to proszę na wagę — sprawdzimy, czy dobra i tym sposobem komisję, co am nie wierzyła, na świńskiej wadze sama sprawdziłam.

ODZIOBA: *(zniecierpliwiony)* Nie w tym rzecz. Mówicie, że Walczyk v powiecie tak zakręcił, że śledztwa wcale nie było? A jak ten Moczydłowki z Walczykiem, co? Jak żyją?

CHRABĄSZCZOWA: Oj, rodzonemu wrogowi nie życzę. Toć Walczyk mu, ędzie już 10 lat, jak dwa żebra złamał za zaoranie miedzy.

FUDALI: Nie o to poszło. U nas, widzicie, tak było, że jak wiatr wiał, to ię żniw nie zaczynało. Z tego, że ziemi mało, to miedze takie wąskie robili, e się kłos splatał i w razie wiatru nie wiadomo czyj. Nieraz z tego bijatyki ywały. A no Moczydłowski, co sąsiadował z Walczykiem, wyszedł z paobkami we wiatr na żniwa. Walczyk mówi: nie rusz, a ten kosić kazał. No z tego się zaczęło.

CHRABĄSZCZOWA: Jakże, przecie wiem, że o zaoraną miedzę?

FUDALI: To innym razem. Żebra Moczydłowskiego poszły za te żniwa.

CHRABĄSZCZOWA: Za Walczyka jak za siebie ręczymy.

ŁYCHÓWNA: Ja nic nie chcę powiedzieć, bo i tak rzuciłam to oskarżenie iesłusznie, jak Walczykowa to mleko brała, ale...

FUDALI: No co?

ŁYCHÓWNA: Niech to źle nie wygląda, że ja na nią, ale...

CHRABĄSZCZOWA: Gadajże dziewucho.

ŁYCHÓWNA: Wczoraj u Moczydłowskiego skrzypce Walczyka grały.

ODZIOBA: *(ostro)* Co to znaczy?

ŁYCHÓWNA: Od ojca wiem.

ODZIOBA: A Walczyk?

CHRABĄSZCZOWA: Z nami przecież w Słowicach był.

ODZIOBA: To znaczy, że tylko skrzypce jego były na tych chrzcinach?

CHRABĄSZCZOWA: Tak i powiedziałam. Ale skrzypce nóg nie mają.

FUDALI: *(domyślnie)* Walczykowa. Moczydłowskiego baba prezeską ráańcową jest, a Walczykowa nabożna bardzo.

ODZIOBA: No to znaczyłoby, że tam był nie tylko ten Zieliński, Kupisoa, Mikulska ale i Walczykowa?

FUDALI: Moczydłowski ma u ludzi mir.

ODZIOBA: A temu Moczydłowskiemu po co tyle siana było? On sam ąki nie ma, że z drugiego sianokosu, co mógł, skupował?

FUDALI: On już przedtem za sianem się oglądał.

ODZIOBA: Kiedy przedtem?

FUDALI: A przed pożarem.

ODZIOBA: Przed pożarem, mówcie. *(namyśla się)* A pierwszy zbiór, jaki ył?

CHRABĄSZCZOWA: Ha, łąki po pas stały.

ODZIOBA: Powiedźcie no, jak to z tym pożarem właściwie było?

CHRABĄSZCZOWA: Jeśli od ognia strony brać, to już więcej wasz Wacek POM-u ma winy.

ODZIOBA: To on był wtedy tutaj?

CHRABĄSZCZOWA: A no księgowa pewnie w którejś księdze to i zapiane ma.

(Fudali parska śmiechem)

ODZIOBA: Cicho. Więc co tam z nim? O co chodzi?

CHRABĄSZCZOWA: Mówię tylko, że on przy motorze był — jak elektrykę włączył, spięcie było — ogień od razu skoczył.

ODZOIBA: A Walczyk? Gdzie wtedy był Walczyk?

CHRABĄSZCZOWA: Po obiedzie było — razem z traktorzystą jedli, a i trochę jak te kwiatki, to pewnie pachnieli...

ODZIOBA: *(patrzy na Łychównę)* A cóż wy, tak cicho, księgowa. Przecież nie sama Chrabąszczowa przy pożarze była.

ŁYCHÓWNA: I ja blisko byłam...

ODZIOBA: To są te bezpieczniki od włącznika, skąd przewód szedł? *(pokazuje na tablicę na ścianie)*

CHRABĄSZCZOWA: Pewnie — przecie elektryczność nie pierzyna, żeby każdy swoją miał.

FUDALI: Że też tobie, Chrabąszczowa, w gardle nie zaschnie.

ODZIOBA: Napiłby się człowiek czego ciepłego.

CHRABĄSZCZOWA: Zośka, do ciebie najbliżej, maszynkę elektryczną masz — przynieś. I kubki ze dwa. Mleko nawet stoi, co to je Walczyk zostawił. Zresztą z obory wziąć można.

ŁYCHÓWNA: A może do chałupy byście... *(nagle milknie, jakby powiedziała coś niestosownego)*

ODZIOBA: Nie. Przy stajni będziemy.

ŁYCHÓWNA: Już jestem z powrotem... *(wybiega)*

CHRABĄSZCZOWA: Do niej blisko — jak mój świniak w chlewie chrząknie, to ona ojca pyta: co mówisz?

ODZIOBA: Coś jej nie lubicie, co?

FUDALI: Dobra jest dziewczyna i do roboty chętna, ale komu by tam jej ozór darował.

CHRABĄSZCZOWA: A jak jej nie wstyd takiego ojca mieć.

ODZIOBA: Więcej w nim nieświadomości niż czego. Na jednym hektarze wrogowie nowego nie rosną.

FUDALI: On — jak to mówicie — biedniak. Ale chyba dlatego, że tyle biedy z nim mieliśmy.

ODZIOBA: Tak. Więc rano, za jakie dwie godziny, proponuję ściągnąć tu na rozmowy tych specjalistów od siana. Potem może byśmy zrobili zebranie takie specjalne — przed sprawozdawczym. Tam by się te pogłoski dobiło, dniówka zresztą po tych poprawkach też lepsza będzie...

(wchodzi Łychówna)

ŁYCHÓWNA: Jest wszystko... *(stawia na biurku maszynkę, trzy kubki, dzbanek mleka)*

FUDALI: Tylko jak tu maszynkę włączyć, kiedy kontaktu nie ma?

ODZIOBA: Któż to u was elektrycznością się zajmuje, że taki nieporządek? *(pokazuje na druty zastępujące kontakt w ścianie)*

ŁYCHÓWNA: Walczyk.

CHRABĄSZCZOWA: Albo i twój ojciec — może nie?

FUDALI: Żeby tak tu do tych drucików maszynkę dołączyć.

ODZIOBA: *(przygląda się)* Można. Tylko na chwilę prąd wyłączyć trzeba

odchodzi do ściany, na której wisi tablica rozdzielcza) Zaraz ciemno będzie. Fudali, szykujcie zapałki. *(wykręca korek. Ciemność)* Teraz przyświećcie. *(Fudali zapala zapałkę — Odzioba majstruje przez chwilę przy korkcie)* No, będzie dobrze. Zapalcie no, jeszcze jedną — korek wkręcić zeba. Tu bliżej świećcie. Oho-ho-ho. Dawajcie następną. *(Fudali przyświeca)* Czy kto grzebał tu od czasu pożaru? *(nikt nie odpowiada. Drzwi za plecami Odzioby otwierają się cicho — widać w nich sylwetki dwóch ludzi)*

CHRABĄSZCZOWA: *(cicho)* O Jezu.

ODZIOBA: Korki struną od skrzypiec okręcone. Przy spięciu musiała iskra toczyć. No, niech ja tego skrzypka w swoje ręce dostanę.

mówiąc to Odzioba dokręca korki. Błyska światło. W progu stoi Walczyk z obrzynkiem karabinu w ręce — obok Łycho)

AKT III

a sama izba. Jest dzień. Pod oknem siedzi Łycho. Przed nim stoi Łychówna)

ŁYCHÓWNA: Mówiłeś Walczykowi?

ŁYCHO: Wszystko wie.

ŁYCHÓWNA: Cóż ty robisz, ojciec. Kto ci ten karabin do ręki wcisnął?

ŁYCHO: Mówię, że Walczyk wie, a tobie nic do tego.

ŁYCHÓWNA: Walczyk wie? O wszystkim? Od jesieni?

ŁYCHO: Od początku.

ŁYCHÓWNA: I o pożarze wie?

ŁYCHO: A co mnie do tego?

ŁYCHÓWNA: Niech ojciec dobrze pomyśli.

ŁYCHO: O czym niby?

ŁYCHÓWNA: *(szeptem)* Niech ojciec nie udaje głupiego.

ŁYCHO: Cóżeś się przyczepiła?

ŁYCHÓWNA: Jak ojciec sam nie powie, to ja świętą tajemnicę spowiedzi złamię. Niech mi ojciec zaraz wszystko mówi, bo ja na agitację wyjść uszę. Kto namawiał ojca?

ŁYCHO: Co tajemnicą spowiedzi związane, tego na agitację nie poniesz.

ŁYCHÓWNA: *(z płaczem, prawie grożąc)* No... I tak do kryminału ojciec jdzie za ten karabin.

ŁYCHO: Już na mnie lepszego prokuratora naszykują, niż własne dzieo, choć i ty byś się nadała. A cóżeś to wtedy takiego widziała, co? Że to na spowiedzi stanęło, co?

ŁYCHÓWNA: Ciebie widziałam. Ojciec — widziałam, jakżeś kable zmieał... Ojciec... *(robi ruch jakby chciała się oprzeć o niego — potem się cofa)* omuś ty to na pociechę robił?

ŁYCHO: Cóżem to niby zmieniał? Jakieś kable — nawet i nie wiem, co to kiego jest.

ŁYCHÓWNA: Widziałam — godziny może do pożaru brakowało... Widziałam.

ŁYCHO: Nic nie widziałaś.

ŁYCHÓWNA: Na strychu byłam — stamtąd widziałam.

ŁYCHO: Gdzie? W sianie? A to pewnie i mój „zięć" widział? To ty się z chłopem na sianie wylegujesz, a ojcu będziesz zarzucać jakieś kable?

ŁYCHÓWNA: Niech ojciec się namyśli, bo jak ojciec sam nie powie, ja się nie zawaham, choć to tajemnica spowiedzi.

ŁYCHO: Ojca, Boga i swego dobrego honoru za jednym zamachem się zbędziesz.

(wchodzą, Odzioba i Walczyk)

WALCZYK: Łycho, mów towarzyszowi Odziobie o tym karabinie.

ŁYCHO: Powiedziałem.

WALCZYK: Mnie powiedziałeś — teraz mów drugiemu.

ŁYCHO: *(do Łychówny)* Idź.

WALCZYK: To nie śledztwo — tajemnicy nie ma. *(do Łychówny)* Zostań.

ŁYCHO: Jak nie śledztwo, to mówić nie ma co — wszystko powiedziałem.

ODZIOBA: Od kiedy w stajni ten obrzynek leżał?

ŁYCHO: Tygodnia nie ma.

ODZIOBA: Wyście go schowali?

ŁYCHO: Ja.

ŁYCHÓWNA: *(szeptem)* Ojciec.

ODZIOBA: Czyj on?

ŁYCHO: Mówiłem już Walczykowi — więcej mówić nie będę.

ODZIOBA: Czy wiecie, Łycho, coście takiego zrobili? Chcemy wam pomóc.

ŁYCHO: Ja za to, co zrobiłem, siedział będę — wy mi siedzieć nie pomożecie.

ODZIOBA: *(do Walczyka)* No dobrze. *(daje mu znak oczami)*

WALCZYK: *(do Łycha)* Idź do stajni pilnować.

ODZIOBA: *(do Łychówny)* Obeszliście już swoje?

ŁYCHO: Jakże?

(Łychówna nie odpowiada Odziobie — słucha zdumiona)

WALCZYK: Mówię przecież.

ŁYCHO: *(robi krok w kierunku drzwi)* Jakże? A mnie nikt nie będzie pilnował?

WALCZYK: Cała spółdzielcza wieś, tylko lepiej niż dotąd.

ODZIOBA: Zarząd spółdzielni postanowił po naradzie nie stawiać wniosku o wykluczenie was. Zebranie będzie za dwie godziny.

WALCZYK: Masz wszystko opowiedzieć.

(Łycho chwilę stoi nieruchomo — potem bez słowa wychodzi)

ŁYCHÓWNA: *(woła za nim)* Ojciec! Mów!

ODZIOBA: Powie, powie na zebraniu. A wyście już poobchodzili swoje chałupy?

ŁYCHÓWNA: Wszystkie po tamtej stronie wsi obeszłam — przechodziłam koło kancelarii i zaszłam do ojca, żeby... *(zacina się)*

ODZIOBA: No dobrze, teraz kończcie robotę. Jak ludzie was przyjmują?

ŁYCHÓWNA: Każdy da sobie przypomnieć czas sprzed pożaru, kiedy nam się tak dobrze działo i wtedy można z nim mówić. *(zwraca się do Odzioby)* Ja chcę wam powiedzieć... *(urywa)*

ODZIOBA: No, słucham.

ŁYCHÓWNA: Słuchajcie, jakbyście wiedzieli, że wasz... no, że wasz traktorzysta zniszczy maszynę... nie, że wasz syn maszynę POM-owską rozbił — umyślnie rozbił i...

ODZIOBA: Nie rozumiem?

ŁYCHÓWNA: Ja nie to. Powiedzcie, czy jak ktoś przysięga, to może potem od tego, na co przysięgał, odstąpić?

ODZIOBA: Ludzie umierali, a od swoich przekonań nie odchodzili.

WALCZYK: *(cały czas przygląda się uważnie Łychównie, ostrym tonem)* Ale na statut spółdzielczy nikt nie przysięga. Spółdzielnia nie kościół. Łychówna, powiedzno ty, o co ci chodzi?

ŁYCHÓWNA: *(wrogo)* Ale konie, toś w końcu wziął — chociaż dla ciebie Partia to jak przysięga na spółdzielnię. Konia wziąłeś i całego w pianie odstawiłeś.

ODZIOBA: *(nie rozumiejąc)* Czekajcie — o co właściwie chodzi?

ŁYCHÓWNA: Pomóżcie mi.

ODZIOBA: Ojcu nic takiego nie będzie. *(Łychówna wybiega)* Dobra w robocie jest ta wasza księgowa, ale trochę jakaś... nerwowa czy co?

WALCZYK: Siedzi w niej jakaś zadra.

ODZIOBA: Sprawę tego karabinu uważacie za jasną?

WALCZYK: Tyle co o nas chodzi — tak, a o resztę niech się inni martwią. *(podchodzi do biurka i dopiero teraz spostrzegamy, że stoi tu oparty obrzynek karabinu. Walczyk bierze karabin do ręki)* Mam ja w rodzinie pamiątkę na metr pod ziemią od tych, co nam ten swój dar zostawili.

ODZIOBA: No?

WALCZYK: Brat.

ODZIOBA: Brat wasz zginął?

WALCZYK: Zginął od bandy. W czterdziestym siódmym. Ja, tylko że zdążyłem wtedy śmierci się wyminąć. I takie żądło w naszej spółdzielczej stajni postawili.

ODZIOBA: Wy wierzycie w to, co Łycho mówi?

WALCZYK: Jak wczoraj zostałem w stajni konie obrokować i ze strychu resztę siana zrzucałem, to kiedym się do niego *(dotyka obrzynka)* dokopał, to żeby był drań nabity — Łycho by już ani prawdy, ani kłamstwa powiedzieć nie mógł. Ale nie był nabity. Chciałem pewność mieć i umyśliłem wypatrzeć, czy się Łycho przestraszy, jak zobaczy, że siana resztę zrzuciliśmy, czy nie. Ale nie przychodził. No i tak...

ODZIOBA: Jak?

WALCZYK: Jechać musiałem, więcem go schował. Jak wróciłem, konia wprowadzam, a Łycho po strychu myszkuje — widzę, że wiedział — obrzynek spod żłoba wyciągam, za uszy Łycha i do was. Po drodze od stajni wszystko powiedział: że Moczydłowski go namówił, żeby przez tydzień potrzymał, a potem on sam do przerębla wrzuci. Moczydłowski bał się, ścierwo, rewizji... zboża nie zdał.

ODZIOBA: No teraz mówcie, gdzieście nam na trzy godziny z końmi zniknęli.

WALCZYK: Powiedziałem: z tego to ja się będę Partyjnej Komisji tłumaczył.

(Odzioba robi zniecierpliwiony ruch)

Wy rękami nie machajcie, bo nie da rady. Sam do Partii pójdę i powiem: opuściłem posterunek w niebezpieczeństwie — karajcie. Was zapytają, czym opuścił. Powiecie: opuścił.

ODZIOBA: Jak sobie chcecie. Może ja tam i więcej będę miał do powiedzenia.

WALCZYK: Chcecie mnie przestraszyć, co? Ja, wiecie, niebojący. Nawet krzyże z wojska przywiozłem.

ODZIOBA: Towarzyszu Walczyk. Widzieliście te swoje skrzypce?

WALCZYK: Moje są i mnie żal, nie wam.

ODZIOBA: *(z rosnącą pasją)* A jakbyście wiedzieli, że to wasze skrzypce ktoś wymierzył przeciw spółdzielni...

WALCZYK: A wiem; wymierzył i dlatego poszły w drzazgi.

ODZIOBA: Wiecie?

WALCZYK: Mówię: wiem.

ODZIOBA: Więc, jakże to było?

WALCZYK: A to już moja sprawa.

ODZIOBA: *(hamuje wzrastający gniew)* A... To ja wam coś powiem. Piętnaście lat temu byłem czeladnikiem murarskim. Cegły — jeszcze w kozłach — na plecach dygowałem. Budowaliśmy pałacyk dla jakiegoś tam. I pewnego ranka ci państwo przyjechali samochodem zobaczyć, jak im budowa rośnie. Siedziałem na rusztowaniu z glonem chleba — przerwa była a oni, tam na dole, urządzili sobie na kocu przyjęcie. Naraz słyszę muzykę — nastawili tam patefon na dole. Bardzo to piękna była muzyka. Wiecie, Łycho, dwa lata temu na koncercie dowiedziałem się, co oni grali. Mozart się nazywa ten kompozytor.

WALCZYK: Do czego to mówicie?

ODZIOBA: A do tego, że nie tylko chleb, ale i muzykę nasze rządy dają takiemu jak ja, ciemnemu, co to jak okruch z pańskiego stołu kiedyś złapałem... a tu u was co? Wasze skrzypce, Walczyk, kto wymierzył przeciwko spółdzielni?

WALCZYK: *(ustępliwie)* Co mam swoje sprawy wyciągać? *(wzrusza ramionami)* Babę mam — ot takie licho z dwoma duszami. Wychować jej jakoś nie idzie. No — do tej Moczydłowskiej wciąż lata. Na chrzciny im skrzypce zaniosła. Moczydłowskiego syn — ten z miasta — gra, a instrumentu stary nie ma. No i tak. Skoro się dowiedziałem... Dość, że z nią agitację zacząłem i wtedy...

ODZIOBA: Jakże — i od tej agitacji skrzypce się rozleciały?

WALCZYK: E tam, taka rodzinna przecież sprawa.

CHRABĄSZCZOWA: *(wpada z impetem na środek izby)* A to gad. Widzieliście go.

ODZIOBA: Co znowu?

CHRABĄSZCZOWA: Kto? A wiadomo, Zieliński. Idę do nich, bo każdy wie, że jego baba do każdego złego pierwsza. I owszem: „Dzieńdobry — dzieńdobry". Mówię co i jak o tym sianie, tłumaczę. Mówię: „Weźcie się chłopy a pójdziemy naprzód, jak honor każe". A ten mi wtedy: „Żeby iść naprzód więcej niż dwie nogawki chłopu nie potrzebne. Niech wasz Walczyk idzie".

ODZIOBA: Spokojnie, Chrabąszczowa, no i cóż wy na to?

CHRABĄSZCZOWA: A ja mu powiedziałam, że skoro tak, to mu taką dy-
amikę spuścimy, że się nie pozbiera.
ODZIOBA: A cóż to za dynamika?
CHRABĄSZCZOWA: Jakże? Przecież powiedziane jest, że my, spółdzielcy,
amy większą dynamikę.
WALCZYK: U wszystkich byliście?
CHRABĄSZCZOWA: Wszędzie robotę tamtych widać.
ODZIOBA: Tamtych?
CHRABĄSZCZOWA: Moczydłowskiego, Hrabyka i tych z końca wsi, bo-
tych, co nam wrogują.
ODZIOBA: Ludzie przyjdą?
CHRABĄSZCZOWA: Ci, co warto do nich mówić, przyjdą. Ale nie wszy-
y. W zagrodzie Moczydłowskiego podobno jakieś zebranie czy co — że niby
szta chrzcin, ale ludzie mówią, że tam i od nas jest kilku.
ODZIOBA: Oj, Walczyk, zaniedbaliśmy robotę polityczną we wsi, i co wy-
ło? Kto nie sieje, ten zbiera ziarno trujące.
WALCZYK: Kto mógł przewidzieć. Czy to mogła mi do głowy przyjść ta-
a ludzka ciemnota.
ODZIOBA: To źle, że wam nie przyszła do głowy. Nie można samemu tak
przód lecieć, żeby cię w pojedynkę w ten jasny łeb stuknąć mogli.
WALCZYK: I to gdzie? We własnym domu zdrada. Ja do Słowic, a moje
rzypce do kułaka na chrzciny.
CHRABĄSZCZOWA: Nie pierwszy raz przecie.
WALCZYK: Co?
CHRABĄSZCZOWA: Nie pierwszy raz te skrzypce tam wędrowały.
WALCZYK: Jakże?
CHRABĄSZCZOWA: Co to nie wiecie? Jeszcze przed pożarem, jakeście
li na tej szkole partyjnej, raz wieczorem Stacho Moczydłowski na waszych
rzypcach ludziom przygrywał. Struna wtedy mu pękła... Do miasta jeździł
wą kupować — śpieszył się.
WALCZYK: Cholera. Tom wtedy po powrocie małemu tak skórę zerżnął,
to pewnie ruszał — skoro rozstrojona. To na kułackich chrzcinach skrzyp-
moje grały, a ja chrześniaka Towarzysza Bieruta po tyłku pasem lałem.
ODZIOBA: Jakiego znowu chrześniaka Towarzysza Bieruta?
WALCZYK: A to jeszcze na indywidualnym było. Jak ci mały chodzić za-
ął, zaraz jął się rozpytywać o wszystko. Wisiał u mnie portret Towarzysza
eruta. Tom mu powiedział — to twój chrzestny. I tak zostało. Nawet mat-
, jak pocieszyć go nieraz chciała, to bywało, powie: „Jak nad ziemię trochę
drośniesz, to pójdziesz do chrzestnego i poskarżysz się, że ci źle". Ot takie
m — prywatne. *(zamyśla się na moment, potem zmieszany rzuca prędko)*
eważne to. *(bierze do ręki skrzypce — wydają głuchy brzęk)* Nie ma ich,
e ma o czym gadać. *(kładąc skrzypce strąca z biurka kartkę papieru —
dnosi, czyta półgłosem)* „Dopraszam się u Zarządu o zaliczkę na pogrze-
nie dziecka mojego, któremu w godzinie śmierci kropla mleka była od-
ówiona..."
ODZIOBA: *(zwrócony do Chrabąszczowej mówi)* Słuchajcie, Chrabąszczo-
a, dużo tam ludzi u Moczydłowskiego?
WALCZYK: Możebyście się towarzysze spytali, czy moje dziecko żyje, co?

Słyszeliście kiedy w noc, jak dziecko prosi: „żeby ojciec zagrał coś wesołego, dopóki nie umrę?"

ODZIOBA: Towarzyszu, przecież to już nie w mojej mocy.

WALCZYK: *(opanowuje się, dość bezradnie usiłuje włączyć się do rozmowy).* Racja. Więc co tam mówią?

CHRABĄSZCZOWA: Mówią... *(urywa)* Mówią, żeś konia swego do brata żony, do Knychówka odstawił. *(prędko)* Przecież wiem, sama widziałam. Stoi. *(do Odzioby)* Stoi u nas, w naszej stajni. *(powtarza to jakby chcąc przekonać Odziobę)*

WALCZYK: Mówią, że do Knychówka jeździłem? A jeździłem.

CHRABĄSZCZOWA: Czegoś szukał po nocy? Mówią, żeś gnał w tę zamieć galopem jak diabeł jakiś.

WALCZYK: Czegom szukał, tom i znalazł — komu trzeba, powiem.

CHRABĄSZCZOWA: To możebyście teraz, Walczyk, Łychowi do rozumu przemówili?

WALCZYK: Bo co?

CHRABĄSZCZOWA: Mleka nie daje.

ODZIOBA: Jakto? Komu nie daje?

CHRABĄSZCZOWA: A mnie. Przecie bym świnkom przed zebraniem zadała. A on zgłupiał: „Nie dam, powiada, traktor z przyczepą przyjdzie, to i zabierze, jak będzie wracał" — gdzie — przez takie zaspy? „Co tam zaspy" — powiada. Zgłupiał, czy co?

ODZIOBA: Oj, Chrabąszczowa, z was to niepoprawna „świńska" patriotka, tylko do swego ciągniecie...

CHRABĄSZCZOWA: Jakże do swego, a bo to moje te moje świnie? Spółdzielcze przecież.

ODZIOBA: To wiem. Ale wy tak ciągniecie w stronę tego, do czego was robota na spółdzielczym przywiązała, że wszystkiego jak w sumie jest, nie widzicie. Łycho rację ma — traktor mleko odwiezie.

CHRABĄSZCZOWA: A tom się doczekała. To ten co na spółdzielnię karabin do ręki wziął, ten rację ma.

WALCZYK: Chrabąszczowa, Łychowi pomóc teraz należy. Jak z karabinem było, wiecie. Nie jego to robota, tylko rozum jego krótki.

CHRABĄSZCZOWA: Do kryminału krótka droga, kiedy rozum krótki. We wsi gadają, że milicja przyjedzie, że traktor po milicję poszedł.

WALCZYK: Już wiedzą?

CHRABĄSZCZOWA: Co? Przecież po milicję nie poszedł.

WALCZYK: O tym obrzynku *(wskazuje karabin)* — wiedzą już?

CHRABĄSZCZOWA: Nie o tym mówię. We wsi pogłoska jest, żeśmy nocą traktor po milicję posłali, żeby stajni broniła.

WALCZYK: Coście na to mówili?

CHRABĄSZCZOWA: Powiedziałam: od własnej głupoty milicja nie obroni. No to co, Łycho rację z tym mlekiem ma?

WALCZYK: Łycho ma rację.

(Ostatnie słowa słyszy Łychówna, która właśnie stanęła w progu — robi ruch, jakby chciała się cofnąć)

ODZIOBA: *(patrząc na Łychównę z uśmiechem)* Tak, Łycho rację ma, słyvcie, księgowa, jaka rewolucja się robi w waszym ojcu?
ŁYCHÓWNA: A bo ja właśnie o nim chciałam...
WALCZYK: Nie trzeba nic — sami wiemy, drogę przed nim otwartą zoawimy.
ŁYCHÓWNA: Ale bo wy nie wiecie...
WALCZYK: Wiemy, wiemy, Moczydłowski go straszył, że mu krowę indydualną zlicytuje i stąd mu stary za dawne długi parobkował. Karabin mu zał na dwa dni schować, że niby potem on sam go zniszczy, tylko przez te spy do rzeki się dopchać nie może. Przestraszył starego, że jakby co, to vasz brat będzie odpowiadał, bo jak z Moczydłowskiego synem kolegował, razem podobno na sarny z tym obrzynkiem chodzili. Chłopak na szkołach mieście, wasz stary ani sprawdzić nie mógł, cicho siedział. Wszystko z tej edojrzałości. Nie macie co mówić, drogę mu otwartą zostawiamy.
ODZIOBA: Postaramy się, żeby go za to, że o tym karabinie wiedział, nie ągali. Mówi, że sam szukał obrzynka, żeby nam zdać, jak go właśnie Walyk zdybał. Nie martwcie się.
ŁYCHÓWNA: Kiedy... *(zaczyna płakać)*
CHRABĄSZCZOWA: O rety, śmiech z siebie robisz, dziewucho. Jak mój zed wojną do kryminału szedł, tom łzy nie straciła, a dziewiętnastu granawych policjantów po niego przyjechało, choć chłop tyci był. *(pokazuje)*
WALCZYK: Ale dzielny był chłop, „gęsi ogier" go we wsi nazywali.
CHRABĄSZCZOWA: Gdybyś mu się naraził, to już byś nie światował. iedzieli, czemu tylu chłopa po niego przysłali. A ty, Łychówna, sama wiesz, gdybyśmy mieli księdza dobrego, to nie tylko z twoim ojcem by tak źle e było, co Walczyk? No — może beczysz, bo się boisz, co on na twoją agicję z ambony powie?
ŁYCHÓWNA: Ja agituję, bo mi sumienie kazało i przełamiemy ich konę. Ja tylko chciałam powiedzieć... *(zacina się)* Cokolwiek by było, to wiedzę, że ojciec z dobrej woli rozgromicielem spółdzielni nie był.
ODZIOBA: Skoro jesteście, to nie wracajcie na wieś. Już tam Walczyk rtyjnych zmobilizował: obchodzą domy. Dajcie mi teraz wykaz po dzieciu tych najlepiej z dniówkami stojących i tych najgorszych. Na zebraniu przyda.

(Łychówna podchodzi do biurka)

ODZIOBA: No i co? Poprawiła się nam dniówka przez to siano? Jeśli rzględnić cukier, co w magazynie leży, to wyjdzie na 16 złotych, co?
ŁYCHÓWNA: Szesnaście czterdzieści trzy.
ODZIOBA: Widzicie, a po wsi puścili plotkę, że i dziesięciu złotych dniówki e będzie. A co wyście robili, żeby to gadanie rozbić — nic.
WALCZYK: Na zebranie obrachunkowe czekaliśmy — kto widział ludziom ześniej góry obiecywać.
CHRABĄSZCZOWA: I tak bogacze nas wyśmiewali — obiecują po pudzie ąki z kłosa.
ODZIOBA: Nie w tym rzecz. Jak agitację w okresie Komitetu Założycielego robiliście, to jak często mieliście zebrania?
WALCZYK: To co innego...

ODZIOBA: Polityczna robota zaniedbana, stąd bieda. Do ludzi trzeba przemawiać, a wyście się zagrzebali w papierach...

WALCZYK: A...

ODZIOBA: Wiem, wiem przewodniczącego jakby nie było...

CHRABĄSZCZOWA: W tamtym założycielskim okresie to tak chodzili po chałupach, że kułaki swoje hasło wymyślili: „Już krążą?" — jeden pyta. „Kij do ręki" — podpowiada drugiemu kiepściejszemu gospodarzowi, a tu już Walczyk na podwórzu.

ODZIOBA: *(do Łychówny)* No to dyktujcie tych, co dniówki mają wysokie.

ŁYCHÓWNA: Gralak, Chrabąszczowa, Krzywoń Jan, *(ciszej)* Łycho, *(przerywa)* Ja... ja myślę, że jego trzeba opuścić.

WALCZYK: Ale, odwrotnie, on będzie przykładem dla takich, co to robili dobrze, a potem sobie krzywdować zaczęli, jak zobaczyli niby, co te dniówki będą warte.

ŁYCHÓWNA: Ja nie dlatego... tylko. Pomóżcie mi, towarzyszu...

ODZIOBA: Przecież w waszych księgach, ja wam nie pomogę.

ŁYCHÓWNA: Ja muszę powiedzieć... *(zacina się. Wchodzi Fudali)*

FUDALI: Znowu przy robocie? Ja już mam dosyć — w 10 chałupach byłem, a jakem do domu własnego zaszedł coś zjeść, to mi mój mały powiedział, że ja panikę po wsi szerzę i że mnie na Zarząd ZMP postawi, jak Boga kocham...

WALCZYK: Należy ci się, należy. *(do Walczyka)* Ale co się z tobą, człowieku, działo? Mów. Po wsi gadają...

WALCZYK: Wiem, co gadają...

CHRABĄSZCZOWA: Choćbyś nie wiem ile wiedział, zawsze gadają więcej, niż wiesz.

FUDALI: Mówią, że brat twojej żony już w twego kasztana do miasta pojechał — sprzedać go, ma się rozumieć.

WALCZYK: A bo i pojechał — tyle, że nie wozem w mojego konia zaprzężonym. Nie wierzysz?

ODZIOBA: Towarzysz Walczyk ma przed nami tajemnice, ale wyjaśnią się one, wyjaśnią. Ale skoro on ma przed nami, to i nam wypada jakąś tajemnicę mieć przed nim. Chodźcie no, Chrabąszczowa, i wy, Fudali, na chwilę do stajni. *(wychodzą)*

WALCZYK: Łychówna! *(Łychówna podnosi głowę — patrzy na niego wstrzymując oddech)* Ty widziałaś... Mówiła mi Chrabąszczowa, że moja, że żona mleko spółdzielcze.. brała. Widziałaś?

ŁYCHÓWNA: Przecież dziecko chore miała.

WALCZYK: Widziałaś, jak brała?

ŁYCHÓWNA: Ojciec jej nie dał, jak oborowego zastępował.

WALCZYK: Uczyłem, że spółdzielcze, to jakby nie tylko nasze, ale jeszcze bardziej dzieci naszych.

ŁYCHÓWNA: Dla dziecka brała.

WALCZYK: Ona mleko z obory spółdzielczej — ja konia ze spółdzielczej stajni wziąłem, żeby ratować. Ot spółdzielcy z nas.

ŁYCHÓWNA: Walczyk — Jezu — Walczyk nie mów tak na siebie, bo ja...

co ja, ze mną co... *(plącze się)* Tyś przecie własnej krwi spółdzielni nie łował — cóż to nie wiem. Słuchaj, Walczyk — boję się Boga zdradzić.

WALCZYK: A ty znowu co, dziewczyno?

ŁYCHÓWNA: Walczyk, słuchaj, chciałam powiedzieć Odziobie, ale zlękm się. *(wstaje zza biurka — patrzy na krzyż wiszący na ścianie opodal portetu)*

WALCZYK: No co?

(W progu staje Odzioba — Chrabąszczowa, Fudali)

CHRABĄSZCZOWA: Ale dzień wstał jasny.

FUDALI: *(półgębkiem do Walczyka)* Kazał Łychowi konia twego zaprząc wozu. Koń zgrzany jak diabli...

ODZIOBA: Walczyk — myślę, że będzie mądrze twego konia założyć i wom po siano przez całą wieś przejechać — niech się skończy gadanie, że koa twego już nie ma. *(do Łychówny)* A teraz szukajmy najgorszych, tych najmniej przepracowali.

(Łychówna odwraca się plecami do obecnych)

FUDALI: To i nie ma po co do wykazów zaglądać: Zieliński, Zawadka...

WALCZYK: Są od Zawadki gorsi.

FUDALI: Bo to nie wiem, ile Zawadka wart? W żniwa mój Stacho sześć r sam naładował, bo Zawadka i Kupis woleli w krzakach leżeć, albo jak jąca w polu zobaczyli, to za nim polecieli, a wozy puste stały. Już ty go nie oń! Ja tam bym ich wszystkich ze spółdzielni wykluczył. Jak masz na kara sęka, to go ściśnij od razu.

agle Łychówna, która stoi na wprost okna, przyciska rękę do ust, jakby wstrzymując krzyk. Wstaje, wyciąga rękę ku oknu)

WALCZYK: Co jest?

ŁYCHÓWNA: Na stajnię. Na stajnię idą.

W tej chwili drzwi otwierają się z trzaskiem, wpada Łycho, w dwóch skoach jest przy stojącym w kącie karabinie — chwyta obrzynek i bez słowa wypada)

ODZIOBA: Łycho!

ŁYCHÓWNA: Zabierzcie mu karabin — to on! On podpalił stodołę przy ócce!

WALCZYK: Do stajni!

ODZIOBA: *(łapie go za klapy ubrania)* Diabli ze stajnią! Skąd te wasze uny na bezpiecznikach?

dzioba wskazuje tablicę rozdzielczą. Walczyk wyrywa się Odziobie — jednym skokiem jest za drzwiami)

ŁYCHÓWNA: Ale tłum! *(nagle pośpiesznie zaczyna zbierać papiery, jakby mierzała uciekać)*

CHRABĄSZCZOWA: To tych kilku przywiązanych do końskich ogonów z nas pośmiewisko zrobić! *(wybiega)*

FUDALI: *(stał nieruchomy w oknie, gryząc zaciśniętą pięść, na słowa Łyówny odwrócił się ku niej i powtarza)* Jezus Maria! Jezus Maria... *(spoj-*

rzał znowu w okno i cofa się gwałtownie za framugę, jakby się obawiał, że dosięgnie go jakiś pocisk ze strony, w którą się wpatruje)

ŁYCHÓWNA: *(trzyma kurczowo Odziobę, który usiłuje się uwolnić)* Nie! Nie chodźcie tam — oni na was najgorzej cięci.

(Za oknami gwar rośnie. Fudali na palcach skrada się ku bocznym drzwiom i próbuje cicho otworzyć klamkę — potem szarpie raz i drugi).

ODZIOBA: *(spostrzegając to)* Towarzyszu!

(Fudali wraca przygarbiony do okna — nagle prostuje się. Odzioba rozgląda się bezradnie, wreszcie rusza energicznie ku drzwiom)

ŁYCHÓWNA: Nie chodźcie tam! Nie chodźcie. On zabije!

ODZIOBA: On podpalił?

ŁYCHÓWNA: Widziałam. Z Wackiem byłam na strychu. Wacek spał. Widziałam, że coś przy przewodach robił. On, Łycho. Księdzu na spowiedzi powiedziałam tego dnia, że na ojca głowę muszę rzucić oskarżenie, to tajemnicą spowiedzi mnie związał, mówić zabronił.

FUDALI: Co robią! Łycho z obrzynkiem w ręku Walczykowego konia wyprowadza. Maryjko! — mój mały konia od niego odbiera. Co on. Rany boskie — zabije! Wymierzył! *(Odzioba wyrywa się Łychównie i wybiega; Łychówna rękami zatyka uszy, jakby tuż nad jej głową miał huknąć strzał)* Rety — twój stary w Moczydłowskiego bije! He-he. Ludzie! Moczydłowskiemu czapę na oczy ktoś nasunął. Walczyk szarpie się z twoim. Zabrał mu obrzynek. Co on oszalał? Jak Boga kocham, twego ojca w pysk śmierdzący całuje. *(wybiega śmiejąc się spazmatycznie i wymachując rękami). W progu mija się z Chrabąszczową)*

CHRABĄSZCZOWA: Jedną dziewuszkę — choćby taką jak ty — można nabrać, ale nie całą wieś. Dawaj klucze od świetlicy.

ŁYCHÓWNA: *(otwiera automatycznie jakąś szufladę, podaje klucz)* A tędy nie mogą przejść? *(głos jej drży — ręką wskazuje drzwi za sobą).*

CHRABĄSZCZOWA: Toć drzwi od jesieni zabite. W głowie się ludziom wszystko pomieszało. *(wybiega)*

(Łychówna podchodzi do okna, otwiera je — z gwaru podnieconych głosów wybijają się poszczególne okrzyki. Ramiona opartej o framugę dziewczyny drżą. W drzwiach staje Łycho, robi dwa kroki, siada ruchem znamionującym zupełne zmęczenie)

ŁYCHO: Zośka. Masz z powrotem porządnego ojca.

ŁYCHÓWNA: Co tam było?

ŁYCHO: U Moczydłowskiego kilku radziło. Ten mały Stacho Fudalego zwiedział się. Ludzi, co się na zebranie iść wybierali, podmówił, że tamtych na w pół siłą pomiędzy siebie wzięli. A opowiadali tamci, że już Walczyk sam konia zabrał. No i szli na stajnie, Walczyka konia im pokazać.

ŁYCHÓWNA: Ojciec — a karabin?

ŁYCHO: Myślałem, że na stajnie idą — powiedziałem sobie: nie dam. Stajnie mi po tym wszystkim powierzyli — nie dam. No i przyleciałem po obrzynka. A jak się okazało, co jest, i gębę Moczydłowskiego zobaczyłem, tom nie wytrzymał... *(podczas jego słów zwiększa się gwar dochodzący zza bocznych drzwi. Łycho nadsłuchuje przez chwilę)* Tom nie wytrzymał i na

ego skoczyłem. Walczyk mnie wstrzymał. Jak ci mi w łeb dał — myślałem, po mnie.

ŁYCHÓWNA: Jakże... Fudali krzyczał, że cię Walczyk całuje.

ŁYCHO: A potem ci mnie pac w te szczecinę. Wtedy mu w tym krzyku wiedziałem...

ŁYCHÓWNA: Coś powiedział?

ŁYCHO: Powiedziałem: „Ja podpaliłem".

ŁYCHÓWNA: *(żegna się)* Panu Bogu niech będą dzięki — toś sam powiedział — pierwszy powiedziałeś?

ŁYCHO: Powiedziałem.

ŁYCHÓWNA: Ojciec, czy cię wtedy diabeł skusił?

ŁYCHO: Ja nie podpaliłem przecie.

ŁYCHÓWNA: Znowu zaczynasz.

ŁYCHO: Mówię, że nie, to nie.

ŁYCHÓWNA: *(prosząco)* Ojciec...

ŁYCHO: Nie podpaliłem. Moczydłowski prosiaka obiecał, jak kabel zmieję. Że niby ten pomowski więcej wart, od jego. I zmieniłem — ani mi w głowie powstało, że może z tego pożar być. Przecież ratowałem razem z innymi, akałem nad popiołem. Jak ten Wacek powiedział, że kabel musiał spięcie ieć i iskrę dał, to zasłabłem jak dziecko. I od tego pożaru już w sobie to dło kułackie nosiłem. Z tym obrzynkiem też mnie przycisnął: „Już my te- r jak bracia — ja wpadnę i ty, Łycho, leżysz".

chodzą Odzioba i Walczyk. Odzioba bez słowa bierze krzesło, stawia pod tablicą rozdzielczą, wykręca bezpiecznik, wyszarpuje drut)

ODZIOBA: Masz. Jeszczebyś zagrał, jakbyś się uwziął.

WALCZYK: *(bierze do ręki kawałek struny)* Oho. Moja.

ODZIOBA: Widzisz. To ta co u Moczydłowskiego wtedy została.

WALCZYK: Wracamy na salę.

ODZIOBA: Fudali sobie przez chwilę bez nas poradzi.

WALCZYK: A co my tu uradzimy? Może by Łycho zaraz powiedział?

ŁYCHO: Ja tam mogę.

ODZIOBA: Jak na spowiedzi, co Łychówna? *(do Łycha)* Nie! Teraz jeszze nie. Dla dobra śledztwa trzeba z tym poczekać, ale ty Walczyk mógłbyś raz powiedzieć wszystko do końca.

WALCZYK: Wracać trzeba, bo się Fudali całkiem zgubi.

oknami zbliża się warkot jadącego traktoru, wystrzały spalin zbliżają się gwałtownie i cichną)

ODZIOBA: Traktor przyszedł.

WALCZYK: *(od okna)* Ludzie ze Słowic — przewodniczący, księgowy pięciu jeszcze — o, i kierownik Wydziału Rolnego z Komitetu Powiawego.

ŁYCHÓWNA: *(równocześnie)* Wacek.

(Odzioba i Walczyk wybiegają. Łychówna waha się patrząc na ojca)

ŁYCHO: Co ja tu w areszcie siedzę, czy jak? Miałem mówić na zebraniu, i jak, to teraz mam nie mówić „dla dobra śledztwa"? Ale jak pójdę, to ów nie wytrzymam i bez żadnego śledztwa jakąś kułacką mordę zaprawię.

(Przez cały czas zza bocznych drzwi dolatuje gwar toczącego się zebrania — przez uchylone drzwi wejściowe słychać głos Wacka)

WACEK: A i żonę waszą przywieźliśmy!

(Wacek staje w progu — spostrzega Łychównę, skacze do niej i zamyka ją w objęciach. Łycho, którego Wacek nie zauważył, czyni gest pełen rezygnacji i wymyka się niepostrzeżenie)

ŁYCHÓWNA: Wacuś, uważaj, ojciec patrzy.

WACEK: *(Wacek puszcza ją)* Dzieńdobry. *(rozgląda się)* A — znowu zaczynasz swoje sztuczki. *(rozżalony)*

ŁYCHÓWNA: Był, daję słowo — był.

WACEK: Skoro go nie ma — *(usiłuje ją objąć)*

ŁYCHÓWNA: Daj teraz spokój — muszę ci coś powiedzieć.

WACEK: Eh, ty nic o mnie nie dbasz — siedziała dziewczyna w kancelarii, a ja zrobiłem pięćdziesiąt kilometrów przez zaspy takie, że twoja chałupa przy nich jak psia buda, a ona nie słucha, tylko sama do opowiadania ma ważności.

ŁYCHÓWNA: To nie śmiech, Wacek, nie śmiech. Tyle z tego śmiesznego, że cała wieś wie, żeśmy przed pożarem na sianie byli...

WACEK: *(zmieszany)* Jakże?

ŁYCHÓWNA: I tak żenić się chciałeś...

WACEK: Niby racja, tylko że taki ślub skromny... Ale jakże to, o co chodzi? Jak cię tylko ktoś obszczekał, zaraz zęby straci.

ŁYCHÓWNA: Ja sama.

WACEK: Czekaj, bo ja nic nie rozumiem.

ŁYCHÓWNA: A ojca to mam podpalacza.

WACEK: Rany boskie, co ty wygadujesz!

ŁYCHÓWNA: I świętą tajemnicę spowiedzi złamałam...

WACEK: *(znów z humorem)* E, to już lipa — tajemnica spowiedzi to taka rzecz, co księdza spowiadającego obowiązuje — chyba żeś i księdzem przez tę noc została.

ŁYCHÓWNA: Jakto? Skądże to wiesz?

WACEK: A wiem — jeszcze ciebie, nabożną, mogę uczyć.

ŁYCHÓWNA: Alem ja się skompro... no, wygłupiłam się strasznie.

WACEK: Ale o co chodzi? *(obejmuje ją korzystając z jej zamyślenia, Łychówna skłania głowę na jego ramię — potem ją podnosi i zaczyna szeptać do ucha. Trwają tak dłuższą chwilę. Całuje ją)*

(W tej chwili pod naciskiem tłumu tłoczącego się w sąsiedniej izbie, drzwi boczne otwierają się z trzaskiem. Na środek izby wali się Chrabąszczowa, obok niej wysypuje się kilku chłopów — śmiech i klątwy)

CHRABĄSZCZOWA: *(podnosi się)* To te słowicaki doładowały... *(spostrzegają skamieniałą parę)* I przerwaliśmy sojusz robotniczo-chłopski...

CHŁOP I: Cicho Chrabąszczowa.

CHŁOP II: Fudali mówić ma.

CHŁOP III: Nie Fudali — od nich któryś.

CHŁOP I: Nie widzisz, że już wstał Fudali do gadania.

CHŁOP III: Pewnie, że nie widzę.

aczynają napierać na zbitą masę ubranych w kożuchy pleców stojących w drzwiach, Wacek doskakuje do drzwi)

WACEK: Razem, towarzysze. *(zagarnia chłopów z powrotem za próg, ogląda się na Chrabąszczową. Z tamtego pokoju dochodzi głos Fudalego)*

FUDALI: Nasza wieś doświadczyła niejednej biedy z kułackiej poręki. ziś już bez mała wiemy...

Vacek zaczyna zamykać drzwi. Ogląda się raz i drugi na Chrabąszczową, aż ta, zniecierpliwiona doskakuje sama i zamyka drzwi)

CHRABĄSZCZOWA: Nie bój się, nie bój — i ja pójdę — tylko z tamtej rony — od prezydium. A widzieliście, jak cisnęli — przecież drzwi zabite ły. Cała wieś przywaliła i indywidualni przyszli.

WACEK: Widzicie, jak tam jest, a śmiejecie się z robotniczo-chłopskiego juszu.

CHRABĄSZCZOWA: Ba, gdzie ten czas, kiedy baby krzyżem przed trakr się kładły, *(do Łychówny)* nie o tobie mówię, ty co innego — że ich na voje pola nie puszczą...

WALCZYKOWA: *(staje w drzwiach)* Gdzie mój?

CHRABĄSZCZOWA: O, Walczykowa się znalazła.

WALCZYKOWA: Gdzie mój?

CHRABĄSZCZOWA: W prezydiumie siedzi.

WALCZYKOWA: *(siada bez sił na krześle)* Wywołać go nie idzie? Nie, e — lepiej nie. Już mu tam ludzie na pewno powiedzieli.

CHRABĄSZCZOWA: Co, dziecko?

WALCZYKOWA: Nie. Ponoć zdrowe będzie. Z zaspów mnie z nim wyjęły drodze. *(Ruchem ręki wskazuje Wacka)*

CHRABĄSZCZOWA: Szliście w ten śnieg dziecko dźwigając?

WALCZYKOWA: Nie — brat wozem mnie wiózł, ale przejechać nie szło.

WACEK: Ale to głupota była pchać się koniem w ten śnieg.

WALCZYKOWA: Albom to wierzyła, że o nas zadbacie? Całkiem głowę zez tę chorobę straciłam.

CHRABĄSZCZOWA: A no.

WALCZYKOWA: Łycho mleka nie dał — dla świń chował. Tom wtedy ółdzielnie okradła i sama wzięłam. A taka była we mnie — jak mój mó- — indywidualna głupota, że obliczyłam, w której jest bańce mleko od owy, co ją Zieliński wniósł, i stamtąd wzięłam. Od krowy, co ją wniósł jwiększy mojego wróg i ten, co nie robi...

CHRABĄSZCZOWA: Boście w sprawiedliwość spółdzielni nie wierzyli.

WALCZYKOWA: Z moim tom się tak nocą skłóciła, że aż nie wiem.

CHRABĄSZCZOWA: A bo też on z wami, Walczykowa, raju w spółdzielni e znalazł.

WALCZYKOWA: Tyle gadali złego, że mnie skołowali, potem ten pożar...

CHRABĄSZCZOWA: Gadali, gadali. Trzeba rozum mieć w głowie, a nie dania tych, co nam wrogują.

WALCZYKOWA: A bo czego to nie mówili — na początku to i w ten koł wspólny wierzyłam.

CHRABĄSZCZOWA: „Wspólny kocioł" — jak wam takie ploty gwarzą, to ać trzeba i tyle. Wspólny kocioł — mówicie? A ja słyszałam, że i łyżka

będzie wspólna — jedna wielgachna na całą wieś, a na tej łyżce po jednym ziarnku kaszy dla każdego — i pierzyna wspólna, jedna na cłą wieś. Tak z nimi trzeba gadać.

WALCZYKOWA: O Jezu. *(patrzy na leżące na biurku potrzaskane skrzypce Walczyka — zasłania sobie oczy)*

CHRABĄSZCZOWA: A cóż to?

WALCZYKOWA: Jedna noc taka a człowiekowi dziesięć lat przybędzie.

CHRABĄSZCZOWA: Nie szkodzi — człowiek starszy, mądrzejszy.

WALCZYKOWA: Jak go tu dopadłam, żeby konia brał i po doktora leciał — odegnał mnie.

CHRABĄSZCZOWA: Odegnał. A konie ledwo żywe przyszły.

WALCZYKOWA: Najpierw odegnał. Traktor końmi włóczyli. Miał ten traktor i po doktora iść...

WACEK: I poszedł.

WALCZYKOWA: Mój prosił dyrektora — ten powiedział — dobrze, ale kiedy traktor ruszył, mój pyta: po doktora jedziecie? — a on...

WACEK: A skąd wiedzieć miałem, o co chodzi? O żadnej chorobie nie słyszałem, motor puszczony a Walczyk dolatuje: „po lekarza jedziesz"? Po jakiego lekarza? — mówię — wieś leczyć będziemy? — do Partii jadę.

(Drzwi boczne otwierają się — poprzez tłum przepychają się Odzioba i Walczyk — w momencie gdy drzwi pozostają uchylone. Słychać czyjeś słowa: „I tak okaże się, że nie 10, a blisko 17 złotych dniówki się nam szykuje, a jesienią, zanim był ten zamach kułacki, pod 25 złotych dniówka się kroiła i z tego widać, jak..." zamykające się drzwi ucinają zdanie)

ODZIOBA: Łycho. Będziecie jednak mówić...

WALCZYK: *(spostrzega żonę — dopada do niej, pochyla się nad krzesełkiem)* No jakże, co doktór?

WALCZYKOWA: Zastrzyki dał. Siedzi w izbie, grzeje ręce. Mówi, że mały wydobrzeje...

ODZIOBA: A to mnie wasz mąż do Kontroli Partii chce podać za to dziecko. Niebardzo ja to rozumiem, skoro lekarz jest, a właśnie w liście do Komitetu... o lekarzu pisałem.

WACEK: Ja nie wiedziałem i gdy mnie Walczyk zapytał, czy po lekarza jadę, powiedziałem: nie.

WALCZYK: Tom ja się na was, towarzyszu Odzioba, zagniewał. Koniam zaprzągł i w tę zadymkę poleciałem — no bo nie można tak bezdusznie... Ani słowa do człowieka, co mu dziecko umiera... Jeszcze to mleko doszło, coście, Łycho, dziecku odmówili, ale złość to mnie największa na żonę porwała, że niby ona... takie licho z dwoma duszami — rację ma...

CHRABĄSZCZOWA: Dawniej panowie mieli i po 100 dusz chłopskich, a nam Partia i dwóch własnych żałuje.

ODZIOBA: Partia panom nie sto, ale miliony, odebrała. I z tymi dwoma duszami sobie poradzi — no mówcie, Walczyk.

WALCZYK: Pognaliśmy w tę zamieć — do jej brata, co na kolonii w pół drogi do Knychówka mieszka. Tam dziecko z nią zostawiłem, że on dalej powiezie. A co mnie naprzeklinała...

DDZIOBA: I taki zły na mnie, Walczyk, byłeś, że chciałeś do Komisji Konli Partii iść?

WALCZYK: Nie na was, na siebie. Za to, że posterunek opuściłem. *(po wili, z uśmiechem)* Ale że i wam by się też oberwało — to fakt.

DDZIOBA: Racja. Wysechł człowiek trochę. *(po chwili)* Ale jakbyście eli drugie dziecko, na chrzestnego mnie weźmiecie?

WACEK: A to może raczej już do nas na tego chrzestnego się piszcie.

CHRABĄSZCZOWA: No to, Łycho, idźże na salę — na zapowiedzi daj... łeb kułackiej intrydze, co nas położyć chciała.

WALCZYK: *(do Walczykowej)* I co, będzie żył?

WALCZYKOWA: Będzie żył.

WALCZYK: Będzie żył na nowym.

KONIEC

Roman Bratny

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

O sonetach Mickiewicza*)

Rozwój twórczości Mickiewicza przebiega w zasadzie tak samo jak rozwój całej wielkiej polskiej literatury romantycznej. Ale twórczość ta stale nieco wyprzedza etapy rozwojowe całego nurtu.

Dla polskiej literatury romantycznej granicą pierwszego etapu jest rok 1831 — wielka próba życia, powstanie listopadowe.

To, co cechuje zasadniczo drugi okres rozwoju literatury romantycznej, artystyczne przeżycie klęski rewolucji szlacheckiej, artystyczne wyrażenie krytyki ograniczeń tej rewolucji, dalszy etap pogłębiania, poszerzania, radykalizowania ideologii kształtującego się polskiego narodu burżuazyjnego — to wszystko i w twórczości Mickiewicza przejawi się w pełni niewątpliwie dopiero po powstaniu. Ale istotne elementy tego nowego etapu wykryć możemy w twórczości poety już przed powstaniem — już w Konradzie Wallenrodzie. Toteż w indywidualnych dziełach twórczości Mickiewicza musimy ze szczególną siłą podkreślić jako datę graniczną decydujący rok 1825 — rok powstania dekabrystów.

Historiografia burżuazyjna, wbrew znanym z korespondencji i wspomnień faktom — a dla celów politycznych — ukuła swoistą legendę na temat pobytu Mickiewicza w Rosji. Uczyniono z poety pilnego słuchacza polskich mistyków w Petersburgu, pustego gościa damskich sypialni w Odessie, potem samotnika w Moskwie. Byle nie przyznać, że był silnie i trwale związany z rewolucjonistami rosyjskimi!

Ten okres w życiu Mickiewicza wymaga jeszcze długich badań. Wiele spraw, których ślady zatarli konspiratorowie, można odczytać z nikłych pozostałości. Poza wiadomościami, dotyczącymi kontaktów poety z organizacją spiskową i jej członkami, czeka na swego badacza problem związków literackich między poezją dekabrystów i twórczością Mickiewicza. I na ten temat — nie wyłączając sprawy stosunków literackich Puszkina i Mickiewicza — wiemy bardzo mało. Nawet to jednak, co już dziś wiemy, zwłaszcza o pobycie poety w Rosji i o ludziach, z którymi się stykał, wystarczy, by obalić cytowaną legendę burżuazyjną. [1]

Z początku poeta przebywa około trzech miesięcy w Petersburgu. Tu od razu zostaje przyjęty jak swój przez środowisko dekabrystów. Otrzymuje od Bestużewa i Rylejewa listy polecające do spiskowców na południu, gdyż z własnego wyboru ma się osiedlić w Odessie [2], tym ówczesnym centrum różnych niezadowolonych, ośrodku spiskującej masonerii, ośrodku kierownictwa ruchu wyzwoleńczego Grecji.

Polacy, których poeta spotyka w Petersburgu, to albo dawni łącznicy młodych wilnian ze środowiskiem rosyjskim (Pełczyński) albo nowopoznani przedstawiciele ogniw tej łączności, jak np. skłócony z ortodoksyjnymi podstawami istniejącego porządku mason Oleszkiewicz ze swym kółkiem „wol-

*) Fragment większej całości.

nomyślicieli", któremu taką rolę zdaje się wyznaczać sam Mickiewicz w Dziadów części III.[3]

Łącznicy spisków polskich i rosyjskich stykali się, jak wiadomo, zwykle na słynnych kontraktach kijowskich. Taki sens tych kontraktów znany był filomatom już w Wilnie[4].

Mimo trudnej sytuacji Mickiewicz bardzo powoli przygotowuje się do wyjazdu z Petersburga do Odessy, zwleka — jak słusznie domyśla się w cennym i już parokrotnie tu cytowanym artykule Podchorski-Okołów — chce wyjechać tak, by jadąc nie najkrótszą drogą na południe, trafić w Kijowie na kontrakty. I tu nawiązuje znajomości z przyszłymi aresztowanymi w sprawie dekabrystów (Proskurowie), z krewnymi i towarzyszami przyszłych aresztowanych. Przyjaźnie te utrzymują się do końca życia.

W Odessie Mickiewicz przebywa siedem miesięcy, nawiązuje znów takie same kontakty: z Rosjanami i Polakami, którzy znajdą się wśród zaplątanych w sprawę grudniową aresztowanych, skazanych (np. Tumański, hr. Moszyński, jeden z najwybitniejszych działaczy polsko-rosyjskich)[5]. Nie omija także poeta tych kontaktów w czasie swoich wycieczek: wyprawa krymska zaprowadzi go np. do Olizara, przyszłego więźnia twierdzy.

Rzucam tych kilka nazwisk dla przykładu, więcej danych znajdzie ciekawy czytelnik u Podhorskiego-Okołowa. Myślę jednak, że nawet to, co napomknąłem, wystarczy, by stworzyć odmienny od tradycyjnego obraz pobytu poety w Rosji. W dalszym ciągu powiemy coś niecoś o przeszło rocznym pobycie w Moskwie (grudzień 1825 — maj 1827) i przeszło rocznym w Petersburgu (maj 1827 — 15 maja 1829). Nie piszemy tu szczegółowej biografii poety. W obecnym stanie badań zresztą nie moglibyśmy tego jeszcze zrobić. Ale z wyżej przytoczonych luźnych danych nie należy wnosić, iż Mickiewicz był polsko-rosyjskim działaczem spiskowym, choćby typu Moszyńskiego. Nie mamy nawet danych, czy i jakie zadania organizacyjne spełniał. Szereg pośrednich wskazówek pozwala jednak wnosić, że miał zlecone jakieś zadania, że je wykonywał. One też tłumaczą wiele jego poruszeń na południu.

Dla nas wszakże co innego jest ważne. Kreślimy tu przyszłe kierunki badań nad rozwojem drogi twórczej poety. W tym okresie jest to droga od IV części Dziadów do sonetów erotycznych, a dalej — poprzez Sonety krymskie — do Konrada Wallenroda. Tej drogi nie wyjaśnią stosunki miłosne Mickiewicza. Kleiner w swej obszernej monografii na paru stronicach charakteryzuje dekabrystowskie związki wygnańca jako stosunki z idealistami rosyjskimi. Trzeba sobie uświadomić, że dekabryści byli najbardziej postępowymi ludźmi swojej epoki, że byli rewolucjonistami oskarżanymi przez reakcję tego czasu o „dziki terroryzm" — aby zrozumieć, że określenie „idealiści" i parę zdań „na odczepne" nie wyjaśnia najważniejszego problemu okresu zesłania w życiu Mickiewicza. Wybierając spośród innych Rylejewa i towarzyszy, nie szukał poeta tylko zacnych, szlachetnych ludzi, idealistów, nie o cechy osobiste tu chodziło, choć pozostanie pod wrażeniem osobistej szlachetności tych ludzi — wybierał określoną ideologię i ona to zaważyła na rozwoju jego sztuki. Obszerniej będzie o tym mowa przy Konradzie Wallenrodzie.

Tych spraw nie wolno zbywać paru zdawkowymi zdaniami nacechowanymi nieznajomością historii ruchu dekabrystowskiego, jak to robiła historiografia burżuazyjna. Bo przecież na przykład Kleiner więcej pisze o jednej pani Sobańskiej i jej prawdopodobnych stosunkach z Mickiewiczem aniżeli o dekabrystach!

Rzecz jasna, Mickiewicz w Odessie, jak sam określał, żył „jak basza". Bywał w arystokratycznych salonach. Odwiedzał sypialnie różnych pań. I rzecz znamienna, mimo tak wielostronicowej sentymentalnej pisaniny właściwie dokładnie nie wiemy, dla której z tych pań pisał swe erotyczne utwory, z którą i jakie łączyły go stosunki.[6] Bo też historiografia burżuazyjna, tam gdzie trzeba — nie interesowała się biografią, tam gdzie nie trzeba, nadużywała biograficznych metod interpretacji dzieła. Decydował o tym motyw polityczny. Ważne dla zrozumienia narodzin ideologii Konrada Wallenroda i dla interpretacji rozwoju poety szczegóły biograficzne dotyczące stosunków z dekabrystami przemilczano. Z uporem natomiast — i bez wyniku — interpretowano biograficznie lirykę erotyczną odeską. Sądzę, że nie przypadkiem ta metoda tu właśnie nie dała wyników. Nie mogła dać: sonety erotyczne więcej bowiem mówią o nowym stosunku poety do życia aniżeli o stosunku do różnych pań.

Tymczasem rozważmy fakty. Poeta, jak i dekabryści[7], nie tylko wróg feudalizmu, ale wrażliwy również na sprzeczności i ograniczenia porządku burżuazyjno-kapitalistycznego właściwie po raz pierwszy w życiu znalazł się w dużym, bardzo handlowym, bardzo już kapitalistycznym mieście. W mieście spekulacji zbożowych, w stolicy tej szlachty ukraińskiej, która miała najbardziej na terenie ziem zachodnich cesarstwa określone ambicje kapitalistyczne i możliwości takiego gospodarowania. Rosyjski publicysta Swinin pisał w szkicu Spojrzenie na Odessę (Otieczestwiennyje zapiski, styczeń 1830, nr 117):

„Śliczne karety, kolasy, kabriolety, jeźdźcy, wozy z towarami, gońcy, różnobarwne, różnorakie grupy ludzi bawiących na trotuarach, na przemian występowały na scenie i ukazywały zbawienne skutki handlu, z którego władzą i potęgą tylko czas równać się może; który nakazuje jednym schodzić do wnętrz ziemi lub opuszczać się na dno morskie, innym — wznosić się ponad obłoki; który zakreśla krąg działania i rybakowi z Grenlandii, i hottentockiemu myśliwemu, który był pobudką wszystkich ważnych odkryć i wynalazków, który wreszcie w niespełna 30 lat usiał te dzikie pustynie ludnymi wsiami i stworzył miasto bogate, okazałe, nie ustępujące wielu starym stolicom Europy"[8].

Dotychczas Mickiewicz żył w warunkach litewskiego zastoju. Pierwsze jego utwory romantyczne są wyrazem dojrzewania ideologicznego, ale w porównaniu z jego przedromantyczną, młodzieńczą twórczością świadczą raczej o zmniejszonym wyczuciu materialnej treści życia. Są ogólnikowe, obciążone symbolami, skupiają się na jednostce reprezentatywnej i co ważniejsze, na jej życiu wewnętrznym. Wiedza o realiach jest w tej twórczości mała. Walka z zaściankowymi, zastojowymi formami życia, które poeta poznał na Litwie, kazała mu co najwyżej powtarzać samego siebie z dobrej filomackiej. Trzeba było zdobyć większe bogactwo wiedzy o świecie, trzeba

było zobaczyć, przeżyć zło nowoczesnego życia w jego nowoczesnych formach, by móc z nim walczyć, jak w Dziadów części III. Pobyt w Odessie — to pierwszy etap na tej drodze doświadczeń. Pierwsza reakcja — to powrót zainteresowań dla materialnej treści życia, która bujną falą wpływa teraz do jego twórczości. Jak wielu romantykom, groził poecie romantyzm wsteczny, romantyzm późnej twórczości Zalewskiego, a z Rosjan — Żukowskiego, romantyzm marzycielski, romantyzm ucieczki od życia. Obroni się przed nim, posuwając się dalej na swojej drodze rewolucyjnej, równolegle do pozycji dekabrystowskich i pod wpływem zarówno ich idei społecznych jak i estetycznych. Zadokumentuje to Konrad Wallenrod. Konieczna jednak przedtem była taka kąpiel w realności, w codzienności, oczyszczenie swojej sztuki z wyniosłego niewidzenia ziemi, „gdy umrę, dość będę miał czasu na nienamacalność" — jak mówił Radiszczew[9]. Na tym tle możemy zrozumieć genezę deklaracji poety w duchu estetyki realizmu:

„Mam wstręt okrutny do wszystkich wysp i krajów, których nie ma na mapie, i królów, których nie ma w historii. Owe intrygi osnowane na przebraniach, siurpryzach, wyroczniach, dla mnie nieznośne. Jestem zabity szekspirzysta" [10].

I w tym tkwi sens odeskiej poezji erotycznej. Obojętne dla kogo te wiersze były pisane. Osoba bohaterki, realia rzeczywistego romansu — nic tu nie wytłumaczą lub niewiele. W poezjach tych poeta doświadczy na swój sposób oczyszczającej funkcji — obcej mu potem raczej przez całe życie twórcze — ironii romantycznej. Odsłoni płaską rzeczywistość, którą dotąd maskował romantyczny płaszcz buntownika, pozytywnego bohatera. Rzeczywistość płaską — ale z całą jej „urodą" właściwą realnemu życiu:

Pierwszy raz jam niewolnik z mojej rad niewoli:
Patrzę na ciebie, z czoła nie znika pogoda;
Myślę o tobie, z myśli nie znika swoboda;
Kocham ciebie, a przecież serce mi nie boli.

Nieraz brałem za szczęście chwileczkę swawoli,
Nieraz mię obłąkała wyobraźnia młoda
Albo słówka zdradliwe i wdzięczna uroda:
Lecz wtenczas i rozkosznej złorzeczyłem doli.

Nawet owę, gdy owę kochałem niebiankę,
Ileż łez, jaki zapał, jaka niegdyś trwoga,
I żal teraz na samę imienia jej wzmiankę,

Z tobą tylko szczęśliwy, z tobą, moja droga!
Bogu chwała, że taką zdarzył mi kochankę,
I kochance, że uczy chwalić Pana Boga[11].

Ileż jest utajonej, okrutnej pogardy w tych słowach!

Prawdziwy swój stosunek do Odessy i swoją krytykę tego świata da poeta w pożegnalnym wierszu.

Tu znów mamy punkt wyjścia krytyki realistycznej, przeciwstawienie poety i świata, tego odeskiego świata. Kareta pocztowa, w której bohater wiersza wyjeżdża z miasta, wyda mu się samotną trumną, która opuszczając obce miasto płynie przez puste, wrogie ulice.

Dlatego smutno, cudze miasto, mi po tobie!
Wsiadajmy! Nikt na drodze trumny nie zatrzyma,
Nikt jej nie przeprowadzi, chociażby oczyma,
I wracając do domu, lica łzą nie zrosi
Na odgłos dzwonka poczty, co me zejście głosi[12].

Wiersz ten ma wspaniałą wymowę na tle liryk miłosnych. Liryka miłosna z całą swą bujną, urodziwą ziemskością, była wyrazem przekornego przezwyciężenia jednostronności wczesnego romantyzmu. Właśnie przez swą przekorność demaskowała ograniczoność tego romantyzmu w stosunku do wymagań prawdy o życiu, do wymagań realizmu. Uczyła na nowo uroków i zwycięstw artystycznych postawy realistycznej.

Wiersz cytowany jest świadectwem takiego realistycznego opanowania wiedzy o świecie, w którym się żyło, i jego realiach. Przypomina spojrzenie młodego Engelsa na widzianą po raz pierwszy ulicę wielkiego, kapitalistycznego Londynu. Niedawnego mieszkańca patriarchalnego miasteczka w Niemczech — podobnie jak Mickiewicza w Odessie — uderzyła atomizacja społeczeństwa miast kapitalistycznych. Ludzie mijający się na ludnych ulicach, są sobie obcy, każdy stanowi świat własny, osobny, zamknięty.

Bliski ranek. Czekają woźnice natręty.
Bierzcie te kilka książek i te drobne sprzęty.
Idźmy! Jak nie witany przestąpiłem progi,
Tak odjeżdżam: nikt dobrej nie życzy mi drogi.

Cóż, choć miasto porzucę, choćby z oczu znikli
Mieszkańce, którzy do mnie sercem nie przywykli?
Mój wyjazd nie okryje nikogo żałobą
I ja nie chcę łzy jednej zostawić za sobą.
Jak po błoniu, kwitnącym kolorami tęczy,
Przelatuje samotnie mdły kwiatek pajęczy,
Zdmuchniony gdzieś daleko z uwiędłej gałęzi;
Chociaż napotka różę i w majowej więzi,
Pragnąc odpocząć, martwą zaplącze się dłonią,
Znowu go wichry zedrą i dalej pogonią:
Tak ja nieznane imię, cudzoziemskie lice
Nosiłem prze te ludne place i ulice,
I roje pięknych niewiast spotykałem co dzień.
Chcą mnie poznać — dlaczego? — że jestem przychodzień! [13]

A jednocześnie daje brutalny, ostateczny osąd tego świata z pozycji całkowicie mu obcych, buntowniczych w stosunku do niego.

Lećmy! szczęściem zostały pióra do powrotu:
Lećmy i nigdy odtąd nie zniżajmy lotu! [14]

Nastrój schyłku pobytu w Odessie charakteryzuje wiersz Żeglarz (z 21/26 kwietnia 1825 r.), mówiący o nagrodzie walki:

Lepiej mu pośród żywiołów bezrządu
Walczyć co chwila z nowymi przygody,
Niż gdyby wybrnął i z cichego lądu
Patrzył na morze, i liczył swe szkody. [15]

Owocem tych samych odeskich miesięcy były i Sonety krymskie. Poeta opublikował je (w roku 1826) jednocześnie z sonetami erotycznymi. Musimy więc rozważyć je łącznie, jako części tego samego dzieła, które było komponowane celowo, aż do włączenia wierszy napisanych jeszcze na Litwie i potem przeredagowanych. Jednorodność formalna nowatorskiego gatunku nie jest tu decydującym ani tym bardziej jedynym względem. Kontrast dwu części książki uwypukla jej sens ideowy. Orientalizm nie tylko Mickiewicza, lecz i innych postępowych romantyków, spełniał wiele funkcji ideowych, ale bywał także formą protestu, jako wyraz zainteresowania kulturą, w której żyły wolne dzieci natury. Wolny jeździec pustyni, zazwyczaj wyidealizowany, obdarzony był pięknymi i szlachetnymi cechami ludzkimi, ostro przeciwstawnymi tym, które rodziło wyrachowanie, obłuda, niewola absolutyzmu, dworactwo — krytykowane przez romantyków w świecie rzeczywistym. Niestety, krytykowane na razie tylko w płaszczyźnie moralnej, a nie politycznej — jako przejawy określonych form życia społecznego. Przejawem tego typu orientalnych zainteresowań będzie również Farys pisany w Petersburgu (1828 — 29). Piękno ucieczki zupełnej, która daje całkowitą swobodę, związane będzie w tym poemacie z autentyczną postacią fantastycznego arystokraty, który obrzydził sobie handlującą zbożem Ukrainę i długo efektownie podróżował po Wschodzie. W Farysie dopatrywano się zazwyczaj pochwały indywidualizmu. W tym, co nazywało się tak tradycyjnie w historiografii burżuazyjnej, znajdujemy wyraz zrozumiałego dla atmosfery ideowej rewolucji szlacheckiej wyolbrzymiania możliwości jednostkowych człowieka. Jeśli się liczy na powodzenie spisku, trzeba jego nielicznych i nie związanych z ruchem masowym uczestników wyposażyć w utopijne, nadludzkie możliwości. Tylko w ruchu masowym rewolucjoniście wystarczą zwykłe ludzkie siły — jeśli ma rozum i charakter. Literackim odpowiednikiem tych tendencji ideowych w postępowej poezji romantycznej było egzaltowanie sił i potęgi jednostki.

Po załamaniu się rewolucji szlacheckiej w scenie wstępnej III części Dziadów już tylko zły duch będzie kusił krytykowanego bohatera poematu utopijnymi perspektywami takiej nadludzkiej mocy jednostki. W Farysie jest inaczej. W Farysie mamy motyw osiągnięcia pełni szczęścia, gdy człowiek skupi wszystkie siły, aby przekroczyć wszelkie granice, przełamać opory natury ludzkiej i opór przyrody, potęgę żywiołu, aby po zupełnie fizycznej, jak mówi typ metaforyki, walce — przeżyć dumę, że:

...wszystkie gwiazdy oczyma złotemi,
Wszystkie poglądały ku mnie:
Bo oprócz mnie nie było nikogo na ziemi.
Jak tu mile oddychać piersiami całemi![16]

Taka postawa po napisaniu Konrada Wallenroda jest niewątpliwie wyrazem pewnej sprzeczności w ideologii poety, a nawet chwilowego regresu. W Konradzie Wallenrodzie mamy już bowiem elementy krytyki jednostkowego bohatera rewolucji szlacheckiej, krytyki właśnie za jego samotność. Wyrazem regresu w Farysie jest i motyw ucieczki — ucieczki od świata ludzi i ludzkiej walki. Elementy regresu ideowego w tym utworze możemy zrozumieć chyba na tle biografii poety, któremu wyjazd z Rosji wydawał się jedyną drogą rozwiązania splątanych węzłów osobistego losu — po upadku powstania grudniowego, po zrozumieniu (przynajmniej częściowym) tragiczności dróg rewolucji szlacheckiej. Innej drogi wówczas nie widział — a ziemia paliła mu się pod nogami. Wiemy, jak mało brakowało, by pozostał w zasięgu władzy caratu, obciążony poważnym oskarżeniem za napisanie Konrada Wallenroda.

Lecz w dobie pisania sonetów krymskich orientalizm poety ma charakter o wiele głębszy. Istotnie — podobnie jak w tych przejawach orientalizmu romantycznego, który głosił hasło szukania swobody przez ucieczkę od cywilizacji — Mickiewicz w sonetach krymskich przeciwstawia Wschód kulturze, której wyrazem były sonety erotyczne, pełne realizmu, nieraz codzienności i potocznych obserwacji obyczajowych, trywialnej i zniewalającej urody życia. Lecz ten Wschód nie jest właściwie krajem ucieczki. Jest krajem, gdzie — inaczej niż na odeskim targowisku i w odeskich salonach — los ludzki ma więcej wymiarów, nabiera głębi, nasyca się troską i tragizmem, doświadcza sprzeczności zachwytu zmysłów i goryczy niespełnionego ideału. Kontrast tych dwu części książki sonetów, odeskiej i krymskiej był właśnie ze strony poety osądem Odessy. Stanowił jej zdemaskowanie. Jedność formy sonetów odeskich i krymskich uwypukla wartość bujnej ziemskości, która wypełnia po brzegi i te wiersze. Kontrast natomiast ich treści i nastroju określił wyraźnie granice wartości radosnego widzenia świata, którego mrok i przepaści odsłaniają jedynie wiersze krymskie.

Orientalny egzotyzm Sonetów krymskich miał tym silniej uwypuklić, że prawdziwie ludzkie, pełne ludzkie doświadczenia napotyka się tylko w świecie innym niż ten, który reprezentowała oficjalna Odessa. I w sonetach erotycznych nie brak subtelnego demaskowania ludzi, dla których walki greckie to „w Grecji rozboje", omawiane na równi z pogodą i troskami o... taniość zboża. Trywialność tego arystokratyczno-handlowego miasta obnaży poeta w końcu cyklu (sonet XXI — Danaidy). Ku takim demaskatorskim akcentom zamierza bowiem początkowo rozbawiony, prawie pasterski (sonet III), potem zmysłowy, wreszcie czujnie i zimno obserwujący realia obyczajowe cykl erotyczny. Zakończy go wiersz pogardliwy jak ciosz szpicrutą: Ekskuza: „Taki wieszcz jaki słuchacz". Lecz sonet ten zawiera coś więcej niż krytyczny stosunek do ograniczeń swojej muzy i pogardę dla odeskiego i podobnego mu świata. Jest w tym wierszu i akcent polemiki z

sztucznie wyniosłą, a nie odpowiadającą już potrzebom życia „obywatelską poezją“ liberałów-sentymentalistów, pogrobowców XVIII w. (Niemcewicz). Ta poezja nie oburza wrogów klasowych — nudzi po prostu. Poeta demaskuje pustkę i tych słuchaczy, i niby wyczekiwanej przez nich „obywatelskiej“ poezji:

Nuciłem o miłostkach w rówienników tłumie;
Jedni mię pochwalili, a drudzy szeptali:
„Ten wieszcz kocha się tylko, męczy się i żali,
Nic innego nie czuje lub śpiewać nie umie.

„W dojrzalsze wchodząc lata, przy starszym rozumie,
Czemu serce płomykiem tak dziecinnym pali?
Czyliż mu na to wieszczy głos bogowie dali,
Aby o sobie tylko w każdej nucił dumie?“

Wielkomyślna przestroga! — wnet z górnymi duchy
Alcejski chwytam bardon, i strojem Ursyna
Ledwiem zaczął przegrywać, aż cała drużyna

Rozpierzchła się, unosząc zadziwione słuchy;
Zrywam struny i w Letę ciskam bardon głuchy
Taki wieszcz jaki słuchacz[17].

Współcześni zaś tak zrozumieli Sonety krymskie:

„Kombinacja bowiem najśmielszej i najbujniejszej imaginacji wschodniej z melancholijnym romantyków północnych uniesieniem; spowinowacenie wdzięków południowej poezji arabskiej z posępną, sentymentalną czułością dzisiejszych poetów; wreszcie zlanie w jedną misterną całość ducha filozofii zapomnianych mistrzów nowożytnej cywilizacji europejskiej i pomysłowego jej idealizmu: wszystko to cechuje ogólny efekt, jaki sprawia na umyśle człowieka rozważanie tego najniepospolitszego w swoim rodzaju utworu, tej najosobliwszej kreacji poetyckiej...

„Krytyczny rozbiór kilku sonetów krymskich prowadzi nas do tego wniosku, że namiętności i uczucia poety mają związek z całym niemal przyrodzeniem. Gdzie tylko Mickiewicz w rodzaju opisowym ożywia myślą obrazy albo rzeczy martwych, albo fenomenów przyrodzenia, wszędzie jest wielkim poetą, a tu i ówdzie malarzem niepospolitym...

„Błędny pielgrzym w Sonetach krymskich przypomina wygnańca Szyllera. Jest to zapewne piękna fikcja romantyczna. Zdaje się, że ojczyzną jego imaginacji jest noc wschodnia, a żywiołem okazałe natury zjawiska. Gdzie tylko pokaże się ten nieznajomy, wszędzie zwraca na siebie uwagę:

...ogląda się słucha:
Już góry poczerniały, w dolinach noc głucha.
Źródła szemrzą jak przez sen na łożu z bławatów,

Powietrze, tchnące wonią, tą muzyką kwiatów,
Mówi do serca, głosem tajemnym dla ucha".

W sonecie Burza prawdziwie przerażający jest obraz śmierci, cierpień ateizmu i tkliwej czułości, którą nieszczęścia w odrętwiałość wprawiły:

Wicher z tryumfem zawył, a na mokre góry
Wznoszące się piętrami z morskiego odmętu,
Wstąpił jeniusz śmierci i szedł do okrętu,
Jak żołnierz szturmujący w połamane mury.

Ostatnia strofa w tym sonecie jeszcze bardziej powiększa poetycki efekt wzmiankowanego obrazu:

...podróżny siedział w milczeniu na stronie
I pomyślił: Szczęśliwy, kto siły postrada,
Albo modlić się umie, lub ma się z kim żegnać.

„Mimowolnie tu przychodzi na myśl Child-Harold lorda Byrona. Postąpmy dalej w tej uwadze, a znajdziemy we wzmiankowanym sonecie Mickiewicza niejako kronikę namiętności, rozumu pozorem prawdy złudzonego i żalu za upłynionym szczęściem: bo te trzy fakta w życiu umysłowym człowieka, tu po sobie następować zwykły" [18].

Dla cytowanego tu Mochnackiego, reprezentanta odbiorców z grona awangardy postępowej owego czasu, Sonety krymskie są zatem wyrazem istotnego pogłębienia w stosunku do fazy wileńsko-kowieńskiej analizy konfliktu między przodującym człowiekiem epoki, rewolucjonistą („wygnaniec Szyllera") — a współczesnymi mu stosunkami („rzeczywistością" w zbyt ogólnikowym, politycznie niedojrzałym ujęciu wczesnego postępowego romantyzmu). Krytyk podkreśla obcość namiętności, rozumu, pojęcia szczęścia prawdziwego, pełnego człowieka w stosunku do małości, płaskości, trywialności przeżyć, doświadczeń, możliwości ludzkich w świecie współczesnym, którego zastój i ciasnota uniemożliwia pełne człowieczeństwo. W Sonetach krymskich panuje jeszcze niewątpliwie właściwe poetyce wczesnego romantyzmu nadużycie symbolów. O namiętnościach, rozumie, pojęciu szczęścia prawdziwego, pełnego człowieka dowiemy się poprzez emocjonalne i intelektualne, osobiste przeżycie wielkości, wzniosłości świata, wielkiej przyrody, historycznej grozy klęsk całego narodu, całej kultury.

Aprobata postawy myślowej Sonetów zawarta w artykule, z którego czerpiemy powyższy cytat, zirytuje w przyszłości Mickiewicza, czemu da o wyraz w pamflecie O krytykach i recenzentach warszawskich, Mochnacki bowiem nie dostrzegł wszystkich ograniczeń ideowych Sonetów, z których poeta zdawał sobie sprawę i które świadomie będzie przezwyciężał w okresie Konrada Wallenroda.

Sonety istotnie obejmują wielką skalę przeżyć ludzkich. Zawierają obraz świata na miarę odczuwania dziejów, historycznej doli człowieka i narodów

na miarę uczuć pełnego człowieka. Obraz świata wzniosły i groźny, współczujący uciskanym, ostrzegający tyranów zgłoskami Baltazara, że wszystkie potęgi mijają. Te przeżycia były dla Mickiewicza szkołą wzniosłości — najważniejszego elementu bohaterskiej, obywatelskiej, rewolucyjnej poezji typu dekabrystowskiego. To nowe tomy w twórczości litewskiego wygnańca — to zapowiedź Konrada Wallenroda.

Charakterystyczny jest sposób, w jaki rozwija się wewnętrzna budowa tego cyklu. Rozpoczyna je akcent tęsknoty Stepów akermańskich, wiersze bardzo osobiste. Na zasadzie kontrastu (Cisza morska) lub współczucia z życiem natury (Żegluga) wyrażone są doświadczenia wewnętrzne człowieka, pełnego człowieka, który nie mógł być obywatelem odeskiego miasta. Świat ludzki — szerszy niż wnętrze jednostki — wnika przez obrazy ruiny lub nocy, która przesłania pozorem spokoju ten świat (Bakczysaraj i Bakczysaraj w nocy):

Skróś okien różnofarbnych powoju roślina,
Wdzierając się na głuche ściany i sklepienia,
Zajmuje dzieło ludzi w imię przyrodzenia
I pisze Baltazara głoskami „RUINA". [19]

Błyszczą w haremie niebios wieczne gwiazd kagańce,
Śród nich po szafirowym żegluje przestworze
Jeden obłok, jak senny łabędź na jeziorze:
Pierś ma białą, a złotem malowane krańce. [20]

Kulminacyjne elementy kompozycji natomiast nasycone są bardzo charakterystycznymi treściami patriotycznymi. To rozpaczliwa — osnuta na motywach grobu i samotnej śmierci wygnańca, poza grobem jeszcze wierna ojczystej mowie — tęsknota za Polską. I braterskie, głęboko ludzkie, przełamujące granice fanatycznych różnic, współczucie dla obcych, dla mogił, obojętnych zwycięzcy, przed którymi ludzkie treści tej umarłej, opuszczonej przeszłości są ukryte, „na wieki zatajone niewiernemu oku" (Grób Potockiej, Mogiły haremu, sonet VIII i IX). Po tych ściszonych, pełnych żalu i godności akcentach — nastrój się podnosi. Następne sonety zwiastują potęgę, wobec której i rzeczy ludzkie zdają się być małe. Idzie burza, kołysząca fale:

A kędy w wodach skała przegląda się łysa,
Wre morze i odparte z nowym szturmem pędzi;
W jego szumach gra światło jak w oczach tygrysa,

Sroższą zwiastując burzę dla ziemskiej krawędzi;
A na głębinie fala lekko się kołysa
I kąpią się w niej floty i stada łabędzi. [21]

Z tej perspektywy zachłyśnięcia się wyzwoloną potęgą całe floty okrętów i stada łabędzi mogą być traktowane na równi. Rosną wymiary świa-

ta — rosną wymiary możliwych ludzkich doświadczeń, ewokowane hiperbolicznymi metaforami:

...budzą mię rażące meteoru błyski,
Niebo, ziemię i góry oblał potop złoty. [22]
Czatyrdahu...
...Podesławszy pod nogi ziemie, ludzi, gromy...[23]

Wiersze te, ukazujące najwyższe — a przeto dla romantyka prawdziwie ludzkie — wymiary i nasilenie przeżyć [24] są przygotowaniem tryptyku o pielgrzymie i mirzy: tryptyku rozczarowania.

Pielgrzym

Dlaczegóż, roztargniony, wzdycham bez ustanku
Do tej, którą kochałem w dni moich poranku?

Ona w lubej dziedzinie, która mi odjęta,
Gdzie jej wszystko o wiernym powiada kochanku,
Depcąc świeże me ślady, czyż o mnie pamięta? [25]

Mirzo, a ja spojrzałem! Przez świata szczeliny
Tam widziałem — com widział, opowiem — po śmierci,
Bo w żyjących języku nie ma na to głosu. [26]

Mirza

... — Lecz stójmy, otchłanie pod nogą,
Musim wąwóz przesadzić w całym konia pędzie;
Ja skaczę, ty z gotowym biczem i ostrogą,

Gdy zniknę z oczu, patrzaj w owe skał krawędzie:
Jeśli tam pióro błyśnie, to mój kołpak będzie;
Jeżeli nie, już ludziom nie jechać tą drogą. [27]

Ze swej krymskiej podróży odkrywcy świata wynosi poeta przekonani o niewyrażalnej w języku żywych tajemnicy tego świata, wynosi pamięć nie pewnej wzajemności dla wiernej, ludzkiej miłości i podziw dla odwagi pro stego człowieka. Tak niewiele dało się wynieść! Nic dziwnego, że cykl koń czy się mrocznym obrazem świata-ruiny (całego Krymu), umarłej kul tury, nad którą panuje „człowiek podlejszy od gadu", świata, który porów nuje poeta do miasta, gdy je „całkiem wybije zaraza, wiecznie z baszt po wiewają chorągwie żałoby" [28]. Ten jeden tylko sonet — jako obraz — ogar nia spojrzeniem cały Krym. Taka jedyna w cyklu uogólniająca kompozy cja poetycka rozstrzyga w sposób jednoznaczny — jaki sens ideowy ma wy mowa tego wiersza dla całego cyklu.

Czy Mickiewicz mógł rozwiązać postawiony w książce sonetów proble stosunku świata i człowieka? Myślę, iż nasza analiza dowiodła, że poeta ni dojrzał jeszcze do jasnego, postępowego rozwiązania tego problemu. Pozo

staje on właśnie otwarty w sonecie A j u d a h, zamykającym książkę. Kompozycja tego wiersza dokładnie powtarza schemat początkowych, osobistych sonetów. Ten końcowy utwór nie przerasta poprzednich, nie wnosi więcej — powtarza je. Poprzednie sonety mówiły o nieosobistym tylko konflikcie poety (częste zwroty uogólniające, np. „szczęśliwy, kto siły postrada, albo modlić się umie, lub ma się z kim żegnać" [29]). Tymczasem sonet końcowy szuka rozwiązania w perspektywie osobistej poety. Rozwiązaniem konfliktu ma być ideał sztuki: „nieśmiertelne pieśni". Sztuka rodzi się z burzy, namiętności, udręki. Jej wartość jest bezwzględna. Lecz walka rewolucyjna, lecz bunt najlepszych spośród szlachty pragnął wcielać swe ideały w życiu społecznym poprzez ziemską, ludzką walkę. A nie rezygnować i ograniczyć się do realizacji ideału tylko w twórczości artystycznej, w sztuce. Jakże to przypomina bowiem postawę Goethego w ostatniej fazie twórczości.

Problem w istocie pozostaje nierozwiązany. To mało — przeciwstawić światu twórczą postawę artysty. Mickiewicz nie mówi nawet, o jaką poezję, o jaką twórczość chodzi. Problem poety — przywódcy ludu, problem sztuki walczącej odgrywa doniosłą rolę w estetyce poetów dekabrystów. [30] Lecz młody poeta Mickiewicz jeszcze nie otrzymał zadań od starego Halbana. Dopiero K o n r a d W a l l e n r o d, rozwiązując sprawy pełnego człowieka — rozwiąże i sprawę ziemską poety. Sonety przygotowują etap tego poematu, ale nie przez swoje nieudane próby pozytywnych rozwiązań konfliktu między światem i człowiekiem, lecz przez ukazanie jego głębi i przez zerwanie z idealistycznym, ograniczonym, schematycznym rozumieniem istoty tego konfliktu jako metafizycznego „bólu świata". Mickiewicz ukazał ten konflikt realistycznie, poprzez bardzo konkretne i nie tylko osobiste doświadczenia ludzkie. Ukazał źródła tragizmu doli konkretnego, historycznego człowieka: w bólu patriotycznym, w tęsknocie za ojczyzną, w doli wygnańca, we współczuciu dla tych, którzy padli od ciosów silniejszego i po których zostały tylko żałosne ruiny.

A j u d a h mimo stylistycznych pozorów zamknięcia dającego pozytywne rozwiązanie konfliktu — w istocie pozostawia sprawę otwartą. Tak tylko bowiem można zrozumieć, dlaczego zdania tercyn o zwycięstwie sztuki czytamy na tle o ileż wymowniejszych, pełnych prawdy widzenia, dwu początkowych czterowierszy o powrotności bezskutecznych, właśnie bezskutecznych ataków fal morskich na brzegi:

> Zdobędą ląd w tryumfie i, na powrót zbiegi,
> Miecą za sobą muszle, perły i korale. [31]

Niewątpliwie przekonanie poety o tym, że walka ludzka ma sens i rezultaty okupujące jej burze, zapowiada ideologię okresu K o n r a d a W a l l e n r o d a. Walka ludzka przynosi trwałe i cenne rezultaty. Lecz realizm tych artystycznych form wyrazu, realizm decydujący o ich wartości ideologicznej, osłabia romantyczna symbolika. Zaciera ona historyczny charakter, sens i kierunek walki. Pozwala myśleć o wszelkiej walce i wszelkich trwałych osiągnięciach. Dlatego symbolizuje ją walka poety i jego dzieło. Poeta nie dojrzał jeszcze do tego, aby i wśród dzieł pasji twórczej artysty odróżniać,

co cenne i trwałe, wedle historycznych, społecznych kryteriów, wedle kryteriów walki, której i sztuka powinna służyć. Walki, której zrozumienia dowiedzie już Konrad Wallenrod.

Poemat ten powstaje w Moskwie, po dniu 14 grudnia 1825 r. Był wyrazem solidaryzowania się z dekabryzmem jako rewolucyjną formą ruchu społecznego i wyzwoleńczego, był rezultatem przemyślenia — choć dopiero początkowego — klęski wielkiego powstania, w którym „po raz pierwszy Rosja ujrzała ruch rewolucyjny przeciw caratowi..." (Lenin) [32]

Ideowy zamysł powstania grudniowego [33] obrazuje etap rozwoju ideologii dekabrystowskiej, który mógł oddziaływać na Mickiewicza.

Głównym punktem planu dekabrystów było obalenie ustroju absolutystyczno-pańszczyźnianego i wprowadzenie rządu opartego na przedstawicielstwie narodowym, na konstytucji. O ustroju Rosji, czy to republikańskim, czy monarchiczno-konstytucyjnym, miało decydować przedstawicielstwo narodowe, którego zwołanie byłoby pierwszym rewolucyjnym posunięciem po zwycięstwie, ono zajęłoby się i rozwiązaniem problemu polskiego jako jednego z centralnych. Przedstawicielstwo to posiadałoby pełnię praw i decyzji. Przed jego zwołaniem jednak miał być wydany manifest zawierający minimalny program zmian. Zadaniem tego manifestu było zdobycie dla sprawy szerokich mas zwolenników przewrotu.

Program minimalny głosił obalenie starej władzy, zniesienie pańszczyzny, wprowadzenie burżuazyjnej równości wszystkich.

Stefan Żółkiewski

PRZYPISY

[1] L. Podhorski-Okołów, Łudziłem despotę, „Odrodzenie", 1949, nr 8; S. Fiszman o. c., M. Jastrun, o. c., t. I, str. 109 i nn.: L. Gomolicki, Dziennik pobytu Adama Mickiewicza w Rosji 1824—1829, IBL, Warszawa, 1949; str. 27 i nn. 81 tenże, Mickiewicz wśród Rosjan, Warszawa 1950.

[2] Zachowane teksty (zapewne było ich więcej) głoszą (Bestużew): „Polecam ci Mickiewicza, Malewskiego i Jeżowskiego. Pierwszego znasz z imienia, ja zaś ręczę za duszę i talent. Przyjaciel jego Malewski także przemiły chłop. Ułatw im znajomości i poucz ich przygarnij tych nieszczęśliwców".

(Rylejew): „Pokochaj Mickiewicza i jego przyjaciół, Malewskiego i Jeżowskiego: dobri to i miłe chłopy. Zresztą co tu pisać: z uczuć i ze sposobu myślenia już są przyjaciele Mickiewicz w dodatku poeta — ulubieniec swego narodu". (L. Gomolicki, Dziennik. str. 39).

[3] L. Podhorski-Okołów, o. c.

[4] L. Podhorski-Okołów, o. c.; B. Limanowski. Historia demokracji polskiej w epoce porozbiorowej, Warszawa 1946; t. I, str. 193 i nn.

[5] L. Podhorski-Okołów, o. c.

[6] L. Podhorski-Okołów, O Mickiewiczowskiej „Donnie Giovannie", „Odrodzenie", 1946, nr 12.

[7] Poezija dekabristow, str. 9 (B. Mejłach, Poeticzeskoje tworczestwo dekabristow).

[8] Cytuję według książki Materiały i issledowanije po istori russkogo literaturnogo jazyka. Moskwa 1951, t. II, str. 103 (studium W. W. Winogradowa O jazyke rannej prozy Gogola).

[9] A. Radiszczew, Podróż z Petersburga do Moskwy, (wybór) Warszawa 1951; str. 46.

[10] Dzieła — wyd. sejmowe, t. XIII, str. 356—357.
[11] Dzieła, t. I, str. 171.
[12] Ib., str. 338.
[13] Ib., str. 337.
[14] Ib., str. 338.
[15] Ib., str. 147.
[16] Ib., str. 245.
[17] Ib., str. 180.
[18] Maurycy Mochnacki, Pisma. Po raz pierwszy edycją książkową objęte. Lwów 1910, str. 77—80.
[19] Dzieła, t. I, str. 188.
[20] Ib., str. 189.
[21] Ib., str. 193.
[22] Ib., str. 194.
[23] Ib., str. 195.
[24] Z. Krasiński, list do H. Reeve'a z 26.VI.1830 „...wszystko, co wielkie, straszne, wzniosłe, olbrzymie, ukoi serce namiętne, bo jest jednej z nimi miary" (Z. Krasiński, Listy wybrane, wyd. I, Piniego, Warszawa 1937; str. 3).
[25] Dzieła, t. I, str. 196.
[26] Ib., str. 197.
[27] Ib., str. 198.
[28] Ib., str. 199.
[29] Ib., str. 186.
[30] Poezija dekabristow, str. 23.
[31] Dzieła, t. I, str. 200.

IV Rozszerzone Plenum ZG ZLP

20 — 21. IV 1952 r.

Głosy w dyskusji

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

Dramaturgia jest dość specyficznym rodzajem twórczości literackiej, bardzo złożoną formą twórczości i formą, która ma swoją specyfikę przemawiającą bezpośrednio do najszerszych warstw społeczeństwa. Wystarczy powiedzieć, że frekwencja w naszych teatrach, tylko teatrach zawodowych wynosi rocznie 9 i pół miliona widzów, że współczesne sztuki festiwalowe na scenach teatrów amatorskich oglądało przeszło 5 milionów widzów, że w oparciu o domy kultury, kluby i świetlice wiejskie, sztuka dociera do najodleglejszych zakątków naszego kraju i staje się przeżyciem politycznym i artystycznym nawet dla najbardziej zacofanych grup ludności, a często jest owym punktem wyjścia prawdziwego przełomu ideologicznego.

Niedawno byłem świadkiem przedstawienia teatralnego sztuki współczesnej, granej dla widowni wiejskiej. Tuż za mną kilka dziewcząt, pierwszy raz będących w teatrze, podawało w wątpliwość realność ludzi występujących na scenie. Niezależnie jednak od tych czy innych niedostatków sztuki proces wciągania widowni w akcję był dosłownie procesem przełomu politycznego, który w psychice ludzi zachodził w trakcie spektaklu dosłownie na moich oczach. Tego przeżycia nie mogłaby zastąpić danej widowni ani gazeta, ani artykuł, ani praca propagandysty, czy nawet codzienna działalność organizacji partyjnej.

Podobną historię opowiedział mi dyr. Pański o przedstawieniu sztuki Pociąg do Marsylii w Krakowie, kiedy przybyła na tę sztukę grupa młodzieży licealnej, zachowująca się początkowo niesympatycznie, została wciągnięta w akcję sztuki. W oczach naszych dokonało się w niej jakieś zasadnicze przewartościowanie pewnych pojęć i pod koniec sztuki widownia reagowała niesłychanie żywo, przerywając niejednokrotnie aktorom tok gry.

Gdy z tej perspektywy obiektywnego znaczenia sztuki teatralnej i jej wychowawczej roli w stosunku do społeczeństwa spojrzymy na dwuletni okres polskiej dramaturgii współczesnej, to musimy stwierdzić, niezależnie od wszystkich późniejszych uwag krytycznych, że powstanie polskiego współczesnego dramatu politycznego jest bezspornym faktem, więcej nawet, że odegrał on już poważną rolę polityczną jako aktywny uczestnik w kształtowaniu świadomości szerokich mas naszego kraju.

W chwili obecnej nie chodzi nawet o to, że powstaje rocznie blisko 200 sztuk teatralnych, z których około 30 wejdzie w obecnym roku na deski teatrów zawodowych. Znacznie poważniejszym wydarzeniem jest sam fakt powstania poważnego zjawiska polskiej dramaturgii współczesnej o szerokim wachlarzu ideowym — od sztuk ostro politycznych do prac, będących próbą nowego odkrywczego spojrzenia na rzeczywistość historyczną i rzeczywistość naszej epoki.

Stąd też wydaje mi się, że w oparciu o tak poważny dorobek pisarski i z perspektywy roku, który minął od wzburzonych fal dyskusji, żalów i słusznych nieraz pretensji pofestiwalowych

możemy spróbować podsumować plusy i minusy minionego okresu i spróbować nakreślić główne niedomagania i aktualny profil bieżącej dramaturgii.

Ostry zwrot do współczesności, który zarysował się w latach 1950—52 ujawnił w pierwszym zwłaszcza okresie wszystkie braki ideologiczne tak polskiej literatury jak i polskich teatrów. Zwrot ten dokonał się w procesie ostrej walki politycznej zarówno wśród pisarzy, jak i ludzi teatru, ściślej — w sumieniu każdego pisarza i pracownika kulturalnego i teatralnego.

Zaostrzenie walki klasowej, przezwyciężenie błędnych teorii, zamazujących przodującą rolę proletariatu oraz jedność historycznej drogi klasy robotniczej i narodu, walka nowego ze starym w przekroju konfliktów ostro antagonistycznych, a często jednocześnie już nieantagonistycznych, nie mogła ominąć ani warsztatu pisarza, ani warsztatu teatru. Pogłębiała trudności nieznajomość terenu, środowiska, ludzi i samego siebie.

Ponieważ i samych siebie próbowaliśmy nieraz nadaremnie oszukać deklaratywnymi stwierdzeniami, obawą przed trudnościami demaskowania błędów i bólów współczesności, klajstrem pozytywu „za wszelką cenę" i typowością przyjętych z góry schematów.

To był ten żywy miąższ życia, w którym „stawała się" dramaturgia i współczesny teatr. Jeżeli do tego dodamy ludzi aparatu kulturalnego o różnym nieraz wyrobieniu ideowym i politycznym, szturchających zarówno pisarzy jak i teatr, nieporozumienia ideologiczne krytyki, błędy przeszłości i teraźniejszości w polityce kulturalnej oraz chytrość wroga, wykorzystującego każde nasze potknięcie, to oczywiście otrzymamy pełny obraz trudności tego pierwszego etapu.

Trzeba sobie otwarcie powiedzieć, że zwycięsko z tej próby wyszli tylko ci autorzy i tylko te teatry, które potrafiły w walce o socjalistyczną dramaturgię, sięgnąć po obraz artystyczny najbliższy niezafałszowanej prawdy, którzy tę prawdę pokazali nie tylko w procesie historycznego rozwoju, lecz w konkretnych, żywych, indywidualnie zarysowanych postaciach i konfliktach.

Umiejętność samoograniczenia się do wybranych z góry problemów i naświetlenia ich wielowymiarowością ludzkich wzruszeń i przeżyć, umiejętność nałożenia konfliktu osobistego na konflikt społeczny decydowała z reguły o powodzeniu lub niepowodzeniu sztuki, o jej zwycięstwie lub klęsce w teatrze zawodowym czy w teatrze amatorskim. Przy tym niemal z reguły sztuka, mająca powodzenie w teatrze zawodowym, wygrywała start i w teatrze amatorskim, co jeszcze raz potwierdza zasadę jedności repertuarowej, chociaż nie funkcjonalnej, teatrów zawodowych i teatrów amatorskich.

Z perspektywy jednak powyższych doświadczeń festiwalowych możemy sobie otwarcie powiedzieć, że już podczas dyskusji w Oborach w sposób niedostateczny uwzględniliśmy doświadczenia O d w e t ó w Kruczkowskiego i sztuk o tak zwanym konflikcie osobisto-politycznym. Położyliśmy wówczas niesłusznie jednostronny nacisk na ich niedociągnięcia ideologiczne, natomiast straciliśmy z oczu tajemnicę ich powodzenia, która w gruncie rzeczy była bardzo prosta. Już Gorki mówił o tym, że feudalny konflikt idei musi być rozwiązany w konflikcie ludzkim, jeżeli chcemy, żeby wzruszył i przemawiał do widza. Nie mówiąc zresztą o tym, że piękna forma dialogu i budowy dzieła scenicznego ułatwia zawsze, a nie utrudnia apercepcję treści politycznych. W niedostatecznym też stopniu, w pewien czas później, przeanalizowaliśmy

doświadczenia, płynące z nienotowanego dotąd powodzenia N i e m c ó w Kruczkowskiego.

Z sugestywności tej sztuki, stawiającej w swoim czasie trudny i niepopularny problem w sposób niepokojący, i na pewno niepełny, lecz na skutek dostrzeżenia tragedii politycznej narodu w tragedii ludzkiej człowieka i w rezultacie zasadniczo słusznej generalnej linii utworu — jakże potężnie oddziałującej na widza.

Może w innych wymiarach należy rozpatrywać sukces u publiczności, choć może nie zawsze sukces prasowy, sztuk Iwaszkiewicza czy Brandstaettera. Nie zamykając oczu na ich braki ideologiczne, o których już niejednokrotnie mówiliśmy, musimy obiektywnie stwierdzić, że główną przyczyną ich powodzenia jest umiejętność zainteresowania widza losem bohaterów oraz urzeczenie ich kształtem słowa, budową dialogu, jedności myśli i warsztatu teatralnego.

Z kolei w innym aspekcie należy rozpatrywać powodzenie sztuk nieco jeszcze chropowatych literacko, bezspornie nawet w pewnym stopniu deklaratywnych, lecz zdobywających widza prawdą konfliktu, podaną w sposób może chwilami naturalistyczny, lecz fabularnie i psychologicznie prawdziwy. Bezsprzeczne powodzenie sztuk młodzieży literackiej, sztuk Warmińskiego, Gruszczyńskiego, Lutowskiego — to zwycięstwo idei i żywych ludzi nad pewnymi jeszcze niedomaganiami warsztatu i niewątpliwą w pewnych sytuacjach scenicznych — deklaracją słowną.

Dopiero bowiem dziś w pełni rozumiemy, że celowość polityczna tak silnie i słusznie wydobywana w okresie festiwalowym i bez wątpienia niejednokrotnie przezwyciężająca braki warsztatu, nie poparta jednak wymogami humanistycznego stosunku do postaci scenicznych, prowadziła niejednokrotnie do — słusznie dziś krytykowanego — pobłażania sztukom schematyzującym i problem, i ludzi, więcej nawet — do niejednokrotnego liberalizowania w stosunku do sztuk słabych, a nawet obiektywnie tak słabych, że po prostu szkodliwych. Przy tym często spotykamy bezkrytycyzm w stosunku do sztuk chybionych nie zawsze wychodził na korzyść sztukom dojrzalszym, sztukom poszukującym, chociaż być może gubiącym się na trudnych ścieżkach naszego marszu do socjalizmu.

Inaczej mówiąc zwycięska bitwa o dramaturgię i teatr polityczny nie obeszła się bez pojedynczych wypadków spełzania na pozycje źle pojętej deklaratywności. Na pozycje widzenia zagadnień Planu 6-letniego nie od strony politycznego stawania się ludzi i ich spraw lecz od strony statystycznego kwitowania osiągnięć produkcyjnych, współzawodnictwa pracy, racjonalizacji, wynalazczości czy też likwidowania sabotażystów i szpiegów, pokazanych od pierwszej sceny tak niedwuznacznie, że problem przymknięcia ich był mierzony już tylko długością trwania spektaklu, a nie zainteresowaniem widza akcją. Nie potrafiliśmy w tych warunkach ująć również zasadniczej sprawy w naszej bitwie o teatr polityczny — Partii i jej ludzi. A tym samym gubiliśmy niejednokrotnie perspektywę politycznej walki i co najważniejsze nie byliśmy w stanie wyjaśnić pobudek działania postaci scenicznych. Dr Mokrzycki Lutosławskiego potknął się w gruncie rzeczy nie o kogo innego, jak tylko o partnera z ramienia naszej Partii. Mokrzycki, mimo dobrze zarysowanej sylwetki, stał się zjawiskiem przysłowiowym w naszej literaturze nie dlatego, że za mało jest w życiu podobnych do niego ludzi i spraw ludzkich, lecz dlatego, że nie zamknął

w sobie faktycznego procesu przemian polskiej inteligencji, nie do wytłumaczenia bez ustawienia roli Partii nie tylko jako zjawiska historycznego, lecz jako konkretnie działających ludzi, o realnych i konkretnych sylwetkach psychicznych. Tymczasem przedstawiciele Partii we wszystkich niemal naszych sztukach, to umowne znaki, pozytywki o pozytywnych ruchach i zdaniach, ludzie bez przeżyć, bez przeszłości, teraźniejszości, i przyszłości, po prostu interwencja autora, w wypadku gdy nie może sobie poradzić z chwiejącym się średniakiem, inteligentem, czy też młodzieżowcem lub zacofanym elementem robotniczym.

Bezradność nasza w stosunku do ludzi Partii t oczywiście, jak słusznie mówił Jerzy Putrament, w pierwszym rzędzie bezradność ideologiczna, lecz również w poważnym stopniu jest ona rezultatem fałszywej teorii, panującej w pewnych środowiskach kulturalnych, teorii, mówiącej o tym, że ludzi Partii należy przedstawiać w postaci idealnej.

Bezspornie jest to problem trudny. Dalecy jesteśmy od naturalistycznej „prawdy", lecz są niewątpliwie w naszym życiu politycznym zjawiska pozytywne i negatywne tak typowe, że pokazanie ich społeczeństwu w dziele sztuki, omówienie ich w prawdziwych wymiarach naszej współczesności stanowi dziś wielkie polityczne i artystyczne zagadnienie.

Gdy jednak przechodzimy od teorii do praktyki, to każdy z nas — wybaczcie, że przypomnę pewien dowcip krążący po Warszawie — ma po trosze w swoim postępowaniu coś z polityki strusia, chowającego na wszelki wypadek głowę w piasek przed każdym prawdziwym czy urojonym niebezpieczeństwem, podczas gdy polityka naszej Partii i doświadczenia dyskusji i osiągnięć sztuki radzieckiej wskazują na konieczność zwiększenia liczby niewierzących strusi, umiejących spojrzeć w oczy każdej prawdzie i każdemu niebezpieczeństwu.

Ukazywanie zjawisk budującego się socjalizmu w niesfałszowanym procesie powstawania konfliktów ludzkich jest nie tylko warunkiem prawdy artystycznej, lecz jest wymogiem naszej polityki — polityki naszej walki o pokój i socjalizm.

Stąd też dyskusja o dramaturgii w Związku Radzieckim, stawiająca sztuce wymóg bezwzględnej prawdy społecznych zjawisk, posiada dla nas znaczenie zasadnicze.

Jest to dyskusja o ideologicznej i politycznej roli literatury jako oręża w kształtowaniu nadbudowy socjalistycznej.

Im ostrzejsza jest nasza walka o przyszłość naszych narodów, im walka o pokój, o niezawisłość i socjalizm wymaga od nas większego natężenia wszystkich sił, tym ostrzejsze, prostsze i przenikliwsze powinno być widzenie naszej rzeczywistości. Bez widzenia rzeczywistości w konkretnej prawdzie człowieka, nie możemy czynić ze sztuki naszej dźwigni emocjonalnego i ideologicznego wychowania człowieka. Nie możemy być inżynierami duszy ludzkiej kształtowanej zawsze na prawdzie trudnej i wielkiej, lecz nigdy gładkiej i oklepanej jak frazesy wielu sztuk odrzuconych przez widza, choć nie zawsze zawczasu odrzuconych przez Dyrekcję Programową Centralnego Zarządu Teatrów i Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Te błędy w naszej walce o teatr polityczny nie mogły przejść bezkarnie. Wprawdzie nie zatrzymały one procesu rozwoju naszej dramaturgii, ponieważ rozwój ten warunkuje sam proces naszych przemian ustrojowych, lecz nie-

jednokrotnie spychały go z właściwego toru i opóźniały rozwój naszego teatru.

Niejednokrotnie gubienie się krytyki teatralnej w niezawsze słusznych kryteriach oceny politycznej i artystycznej, błędy polityki repertuarowej, błędy organizacji widowni, niedostatecznie troskliwy stosunek do sztuk słusznych politycznie, lecz niedopracowanych artystycznie, lekceważący stosunek kierownictw teatralnych do autorów młodego pokolenia — podcięły wśród wielu autorów wiarę w wielką siłę sugestywną konfliktów naszej epoki. Horyzont konfliktów antagonistycznych i nieantagonistycznych tak się zamącił i taki ogień otworzono na każdego twórcę, który ośmielił się napisać sztukę na temat współczesny, że w jesieni 1951 roku nastąpił wyraźny zwrot, a w poszczególnych wypadkach ucieczka do sztuk historycznych, w najlepszym razie do sztuk antyimperialistycznych, dziejących się poza granicami naszego kraju.

Nie chcę w tym wypadku ani przez chwilę kwestionować potrzeby tego rodzaju sztuk, ich wartości wychowawczej, ich doniosłości. Lecz niewątpliwie nawet w sprawach literatury prawo liczb posiada swoją wymowę.

Od pierwszego października 1951 roku do 1-go czerwca 1952 r. zatwierdzono do grania z liczby przejrzanych blisko 120 sztuk: 9 sztuk o tematyce historycznej, 4 sztuki o tematyce antyimperialistycznej, 3 sztuki o tematyce współczesno-krajowej i 3 komedie i wodewile, z których 2 można na upartego podciągnąć pod rubrykę tematyki współczesnej.

Te dane mówią jednak o czymś, zwłaszcza że tematyka współczesna zaczyna napływać dopiero w ostatnich miesiącach, co pozwala mieć nadzieję na przyszłość, lecz nie zwalnia nas z obowiązku odnotowania wyraźnego „historycznego“ wahnięcia.

Przy tym należy podkreślić z całym uznaniem, że sztuki historyczne są wszystkie niemal opracowane starannie i niejednokrotnie stanowią ciekawą pozycję dramaturgiczną. I gdyby w równym stopniu można było obserwować rozwój dramaturgii o problematyce współczesnej, to zjawisko swoistego „historycyzmu“ polskiej literatury mogłoby nas tylko cieszyć.

Nowe spojrzenie na przeszłość historyczną naszego narodu, wydobycie roli klasy robotniczej w walce o wyzwolenie narodowe i społeczne jest w zasadzie zjawiskiem zdrowym, więcej nawet — dla wielu pisarzy, zwłaszcza starszego pokolenia, jest koniecznym etapem ich rozwoju ideologicznego, pod warunkiem oczywiście, że stanowić będzie dla nich pomost do widzenia i rozumienia zagadnień bezpośredniej współczesności.

Tę rolę spełniają sztuki antyimperialistyczne, których znaczenie, zwłaszcza w chwili obecnej jest bezsporne, chociaż nie zawsze w należytym stopniu doceniane przez nasze poszczególne teatry. Lecz nawet i te sztuki bez przedłużenia ich na problematykę naszej walki o Plan 6-letni, bez przedłużenia ich na wielorakość zagadnień powstawania narodu socjalistycznego i jego walki w obronie niepodległości i pokoju, nie potrafią nam wypełnić luki niedostatku sztuk współczesnych.

Przy tym, żeby nie było nieporozumień, należy jeszcze raz podkreślić, w danym wypadku, podobnie jak i w prozie, nie chodzi mi o wachlarz tematów, które każdy z nas może bez trudu wyliczyć, lecz o ustawienie typowych problemów, w konkretnych postaciach ludzkich, postaciach niepowtarzalnych, lecz właśnie dlatego bliskich nam w jakimś realnym, prawdziwym fragmencie konkretnego przeżycia.

Schematyzm naszych sztuk o prob

natyce współczesnej polegał nie na ym, że występował w nich podobny onflikt między dyrektorem, ewentulnie naczelnym inżynierem, a załogą, że sabotaż występował z reguły w cieniu czarnej limuzyny obcego mocarstwa, lecz na tym, że ludzie — którzy mieli dźwigać raz problem „dobrego złowieka", drugi raz „dyrektora-biurokraty", trzeci raz „profesora o idealistycznych oporach", a czwarty raz „lekarza niedojrzałego ideologicznie" — w truncie rzeczy nie różnili się między obą niczym innym poza szykiem zdań w słownej deklaracji i nie mogli wywołać żadnego innego uczucia poza czuciem zniechęcenia. Problem przewyciężania schematu — to problem rzezwyciężenia własnej niedojrzałości deologicznej i własnej nieznajomości rodowiska, w dojrzałych, prawdziwych sychologicznie postaciach ludzkich.

Należy obiektywnie stwierdzić, że ztuki ostatnich miesięcy wykazują wyaźny i poważny wysiłek rozpracowania zagadnień ideologicznych w konretnie rozbudowanych sylwetkach udzkich. Może nawet grozi nam, na zas pewien, szablon, powtarzam szalon, a nie schemat „rodzinnego" ustavienia poruszanej ostro, politycznej tenatyki. To znaczy, że sprawy, które się zieją w tych sztukach, posiadają ściśle amknięty krąg rodzinny o sumiennie rzemyślanych sylwetkach psycholoicznych, z nieśmiałą nawet próbą przeroczenia znaku równania między anietowym pochodzeniem, a polityczną ojrzałością bohatera. Ludzie, z którymi się spotykamy, posiadają już jakąś rzeszłość, coś się z nimi działo, zanim yszli na scenę, nie są zamknięci w latce pochodzenia bez perspektywy akiegokolwiek z niej wyjścia.

Postacie w omawianych sztukach ozwijają się, zmieniają się, przeżywają rudne konflikty polityczne, konflikty czujności, dyscypliny partyjnej, już nie w abstrakcji, a w konkretnym środowisku i w przekroju swoich własnych możliwości intelektualno-psychologicznych.

Chwilami jednak autorzy wpadają ze schematyzmu w ciasną uliczkę małych realiów, zatrącających naturalizmem, umieszczając tym samym swój warsztat dramaturgiczny między Ritnerem a Perzyńskim.

Lecz w każdym razie jest tu już rzetelna próba wyjścia od realnych ludzi do spraw ludzkich, zamiast operowania umownymi maskami dla skomentowania tych czy innych kwestii politycznych.

Ciesząc się z tego kroku naprzód należy jednak już teraz, mimo całej konieczności podobnego etapu, zasygnalizować grożące nam niebezpieczeństwo zagubienia wielkich konfliktów epoki w małych realiach rodziny.

Próba dopasowania naszego dramatu, do chociażby nawet dobrej konwencji dramatu mieszczańskiego, dramatu realizmu krytycznego, na dłuższą metę nie może nas zadowolić i najprawdopodobniej nie da nam wielkiego dramatu politycznego.

Wielki dramat polityczny będzie zwycięstwem nowego człowieka, stanowiąc jednocześnie nowe zjawisko nie tylko w sensie politycznym, ideowym, lecz również i w sensie warsztatowym.

Pisarz, który stawiając sobie zadanie pokazania dramatu epoki w dramacie ludzkim jednocześnie nie postawi sobie dumnego zadania szlachetnego nowatorstwa w sensie materii literackiej, może wprawdzie uczynić bardzo poważny krok naprzód do realizmu socjalistycznego, może stworzyć dzieło pożyteczne, wychowawcze i użyteczne społecznie, lecz na pewno nie stworzy dzieła wielkiego, dzieła zamykającego w sobie jedność naszych treści w nowej realistycznej formie.

Zarówno Gorki, jak i wielka radziecka klasyka — to śmiałe nowatorstwo dramaturgiczne w sensie ideowym i w sensie warsztatowym, to poszukiwanie nowej jedności treści i formy, to poryw olbrzymiej społecznej namiętności, namiętności pisarskiej, to potrzeba zdobycia nowej epoki — nowym widzeniom ideologicznym i dramaturgicznym.

W tym miejscu chciałbym się podzielić uwagami, jakie towarzysze radzieccy robili w związku z naszą wystawą plastyczną w Moskwie i w związku z jednoczesnym omawianiem swej ostatniej ogólnokrajowej wystawy. Towarzysze radzieccy z całym naciskiem podkreślali, że właściwie z dziełem sztuki mamy do czynienia dopiero wówczas, jeżeli malarz czy rzeźbiarz obok zagadnień ideologicznych stawia sobie zagadnienia artystyczne, formalne, i pod tym kątem przeprowadzili krytykę zarówno swojej ostatniej wystawy, jak i częściowo naszej wystawy. Pod tym kątem wydobyto np. na czoło naszej wystawy obraz sopockiej grupy D z i e r ż y ń s k i n a c z e l e d e m o n s t r a c j i, wskazując na to, że właśnie w tym obrazie widać próbę nie tylko nowego ideologicznego spojrzenia, lecz nowego spojrzenia warsztatowego, próbę zamknięcia jedności nowych realiów z nowym widzeniem rewolucyjnym, oddającym całą dynamikę naszej epoki.

I dlatego, powtarzam, nie chodzi mi w danym wypadku o formalistyczne nowinkarstwo na marginesie wyabstrahowanych z życia doznań estetycznych i psychologicznych, będących zawsze w tym czy innym stopniu produktem epoki upadku, rozkładu i zagubienia się człowieka w niezrozumiałych dlań zjawiskach świata.

Natomiast przy całym pozytywnym naszym stosunku do wykorzystywania w sensie inspiratorskim realistycznych tradycji dramatu mieszczańskiego musimy pamiętać, że rewolucja kulturalna, to nie tylko upowszechnianie kultury i przewartościowywanie naszych postępowych, realistycznych tradycji, lecz również stwarzanie nowego. To nowy dramat epoki w nowym kształcie sztuki — sztuki służącej poznaniu obiektywnej prawdy, lecz jednocześnie sztuki niepowtarzalnej w sensie śmielszego i doskonalszego stwarzania dzieł nowych, dzieł lepszych od dorobku epok minionych.

I niewątpliwie w tym sensie wielkie wzory radzieckiej literatury, literatury walki i przełomu, literatury potężnych namiętności i konfliktów społecznych, jak również wołanie o taką literaturę i taką sztukę w chwili obecnej stanowią dla nas jasny drogowskaz.

Nie można iść naprzód nie biorąc przykładu z dobrej realistycznej tradycji, nie ucząc się na doświadczeniach i osiągnięciach radzieckich 35 lat budowy socjalizmu. Lecz również nie można iść naprzód, nie pamiętając o tym, że prawda naszych czasów wymaga śmiałości, odwagi, poszukiwania twórczego niepokoju, gniewu, oburzenia, radości i siły. Siły w walce o nowe, lepsze i prawdziwsze jutro człowieka.

Trzeba to sobie powiedzieć otwarcie że tego rodzaju dzieło u nas jeszcze nie powstało. Nie powstało, mimo że budujemy fundamenty socjalizmu, mimo że posiadamy jasną perspektywę sztuki realizmu socjalistycznego, mimo że istnieje u nas teatr i dramaturgia polityczna, mimo że chcemy wszyscy, żeby powstało u nas wielkie dzieło literatury naszego czasu.

O ile proza Igora Newerlego Stryjkowskiego, Brandysa i Czeszki uczyniła w tym kierunku bardzo poważny krok naprzód i sięgnęła po wielkie namiętności naszej epoki, wy

chodząc tym samym z ram małych realiów naturalizmu i schematycznej deklaratywności, o ile o książce Newerlego czy Stryjkowskiego możemy powiedzieć, że są to utwory pisarzy-komunistów, o tyle dramat takich pozycji dotychczas jeszcze nie stworzył. Dramat i teatr pozostał w tyle. Powiem nawet więcej — klimat, jaki panuje wokół naszej dramaturgii i teatru nie jest jeszcze klimatem nowego nurtu, nie jest jeszcze klimatem socjalistycznego teatru.

I o tym klimacie słów kilka.

W naszym teatrze, a często i w naszej publicystyce literackiej, więcej nawet — wśród wielu naszych polityków kulturalnych panuje milcząca zmowa, że sztuka współczesna musi „leżeć" i w gruncie rzeczy jest to danina, którą należy złożyć tym przysłowiowym 30-tu procentom, wyznaczonym w planie CZT-u na sztuki współczesne.

Ta atmosfera, która oczywiście nie jest powszechna i dotyczy tylko pewnych teatrów, pewnych działaczy i pewnych krytyków, podąża jednak za autorem nie tylko w etapie jego wstępnych dyskusji, lecz ściga go również, gdy sztuka wkracza już do teatru. Ściga go w postaci gorszych aktorów, bezimiennych reżyserów, obojętności organizatora widowni, niechęci związków zawodowych, zniecierpliwienia propagandy, recenzji w prasie i wystąpień wiceministra. Ta zmowa niechęci w stosunku do „zła koniecznego" powstającej polskiej dramaturgii wypycha sztuki na prowincję, każe im startować w Olsztynie czy Bielsku, posiada po swojej stronie pewne wydziały PKPG, Ministerstwa Finansów, nie mówiąc już o możnych protektorach w postaci uprzedzeń przeciętnego kołtuna.

W tej chwili nie chodzi mi o to, że wiele z tych sztuk jest istotnie słabych i że powinny być krytykowane i szczegółowo analizowane, że często nawet autorzy nie zawsze serio podchodzą do swoich własnych prac i nie zawsze prace ich przypominają dzieło literackie.

W chwili obecnej chodzi mi o klimat, w którym dramaturgia i teatr współczesny powstaje. Klimat jest bardzo daleki od gospodarskiego, troskliwego i nieraz czułego stosunku do dziecka może słabego, może nieraz wątłego, lecz dziecka naszej przyszłości.

Przy tym nie jest prawdą, że widz omija sztuki współczesne. Powodzenie radzieckiej klasyki, postępowych pisarzy zachodnio-europejskich i niejednej sztuki polskiego autora świadczy o tym, że problem trudności widowni stoi nie w płaszczyźnie sztuki współczesnej, lecz sztuki pokazującej prawdziwych ludzi, sztuki dobrej, dobrze wystawionej, posiadającej dobrą obsadę, dobre rozwiązanie scenograficzne, dobrą inwencję reżyserską, dobrą organizację widowni i dobrą, życzliwą atmosferę w prasie.

Sądzę, że atmosfera krytyki tylko wówczas będzie atmosferą twórczą, pobudzającą i pisarza, i teatr, i działacza kulturalnego, jeżeli będzie atmosferą wysokiej ideowej świadomości i partyjnej, rzetelnej życzliwości. Jeżeli będzie atmosferą wspólnego wysiłku walki o lepszą, nową i wielką politycznie i artystycznie sztukę naszej rzeczywistości.

Wielkie zadania polityczne, nowe zadania, wynikające z nowego rozumienia spójni miasta ze wsią, wskazania VII Plenum zawarte w referacie tow. Bieruta, wzmożenie naszej walki o pokój, naszej przyjaźni ze Związkiem Radzieckim, naszej walki w obronie niepodległości kraju i nienaruszalności jego granic nakłada na nas obowiązek ogromnego wysiłku i ogromnej troski w stosunku do twórczości polskiego pisarza, rzetelnej twórczości, opartej na prawdzie jego przeżycia i na prawdzie naszej walki o socjalizm.

Włodzimierz Sokorski

JANUSZ PRZYMANOWSKI

Wydaje mi się, że w lasach, gdzie były grupy partyzanckie naszych gwardzistów, że w obozie kieleckim była także cząstka Polski Ludowej. Tematykę Pierwszej i Drugiej Armii, tematykę działalności partyzantów musimy uważać za tematykę współczesną. Sytuacja międzynarodowa, bombardowanie Korei, organizowanie w Niemczech zachodnich neohitlerowskiego Wehrmachtu, wszystko to czyni tę tematykę jak najbardziej współczesną. Obowiązkiem naszym jest pisać nie tylko o hutnikach, górnikach i traktorzystach. Musimy pisać o tych ludziach i wychowywać tych ludzi, którzy mają za zadanie stać z bronią w ręku, bronić i huty, i kopalni, i traktorów, i co ważniejsze — bronić górnika i jego rodziny, traktorzysty i jego rodziny. Musimy pisać o żołnierzach naszego ludowego wojska, musimy ich wychowywać.

Chcę zwrócić się do kolegów z takim apelem i może podkreślić jeszcze raz, jak bardzo ciekawa, jak bardzo interesująca jest tematyka wojskowa.

Wojsko — to nie tylko szkoła strzelania, to nie tylko poligon, to wielka szkoła wychowania nowych ludzi, to szkoła, w której hartują się charaktery ludzkie i w której u wielu żołnierzy, szczególnie pochodzenia wiejskiego, następuje zasadniczy przełom, czyniący z nich nowych, naszych ludzi.

Niedawno wyjeżdżając w teren byłem w dalekim powiecie Sokółka. Kiedy rozmawiałem z chłopami, członkami partii, w tej wsi oddalonej o 45 km od kolei, wsi, gdzie po wojnie zostało tylko osiem chałup i którą władze ludowe odbudowały, kiedy rozmawiałem z nimi pytając, co myślą o kolektywizacji, jak się na to zapatrują, jak agitują — odpowiedzieli, że pierwszymi agitatorami kolektywizacji są ci, co wracają z wojska; że czekają na jesień, kiedy wrócą piątka żołnierzy, bo wiedzą, że to są ludzie, na których oprą się w swojej robocie, że to są ludzie, którzy nie zawiodą.

Chciałbym przytoczyć teraz parę przykładów — króciutkich zresztą — jak wielkie rzeczy dzieją się w wojsku, jak interesujące rzeczy dzieją się w wojsku, jak wiele zawdzięczamy naszej Armii. Czy wie ktoś w Polsce o tym, że był po tamtej stronie Odry prosty kapral, który powtórzył czyn Matrosowa? Nikt o tym nie wie i nikt z pisarzy na ten temat nie pisał. Czy nie warto napisać książki o pewnym kapralu, który w czasie przeprawy przez Wisłę w styczniu 1945, kiedy jeden z czołgów ześliznął się i wpadł do rzeki, nurkował na głębokość dwóch metrów w lodowatej wodzie po to, żeby zaczepić stalową linę o maszynę. Maszyna została uratowana i mogła brać udział w ofensywie. Było coś w sercu i duszy tego człowieka, co kazało mu skoczyć do wody. Warto poszukać, co to było, i warto o tym napisać.

Inny przykład z dnia dzisiejszego. Żołnierz WOP-u stoi na pograniczu i dostrzega dywersanta, który próbuje przejść przez granicę. Żołnierz ten, chłopski syn, ściga owego dywersanta, a gdy po 10-kilometrowym pościgu pies, który go prowadził, pokaleczył sobie na ostrym lodzie łapy, żołnierz bierze wilczura najpierw na ręce potem na plecy i taszczy go 20 km w czasie zadymki, zawieruchy aż do miejsca, gdzie aresztuje dywersanta.

Rozmawiałem niedawno z majorem naszego wojska, który urodził się jako syn robotnika portowego w Pińsku. W r. 1941 był zwykłym chłopakiem w kuźni, pomocnikiem kowala. Ten człowiek przeszedł szkołę naszego wojska dowodził pułkiem lotniczym najnowocześniejszych maszyn, dowodził tak, że

został wysłany na studia do Wojskowej Wyższej Szkoły Lotniczej.

Można by mnożyć tych przykładów setki, naprawdę setki. Można znaleźć je na każdym kroku. Myślę, że będzie tu na miejscu apel do kolegów siedzących na sali, do tych, którzy byli w I i II Armii i do tych którzy nie byli, o zajęcie się tematyką wojskową. Przecież poznanie życia i regulaminu wojskowego nie jest trudniejsze niż poznanie życia w takiej czy innej hucie.

Janusz Przymanowski

MELANIA KIERCZYŃSKA

Po dyskusji o bohaterze pozytywnym odzywały się głosy, że uznany został bohater negatywny i w takim razie, jeżeli książka tego bohatera negatywnego nie ma, lub ma go za mało — jest źle i trzeba uzupełnić książkę negatywnym bohaterem. Boję się, że po naszej dzisiejszej dyskusji może zaistnieć tego rodzaju rozmowa: „Cóż to, u ciebie biedniak kocha się w kułackiej córce? To jest schematyzm, niech się zakocha w kim innym". Schematyzm — to jest takie ziele, które bardzo łatwo znajduje sobie pożywkę i znajduje ją wszędzie. Jeżeli się potępi to, co będziemy uważali za drogę schematyczną, wejdziemy wtedy na inną drogę, która będzie nie mniej schematyczna. To wskazuje, że uderzenie nie było trafne i nie było celowe.

Przpomnijmy sobie zarzut, jaki był tu między innymi stawiany: czytelnik otwierając książkę od razu widzi — ten jest kułak, a ten jest średniak. Czy to jest właśnie schematyzmem? Przypomnę tutaj początek Z o r a n e g o u g o r u Szołochowa, bo mam tę książkę dobrze w pamięci. Kiedy przyjeżdża białogwardzista do kułaka Ostrownowa, to z pierwszej rozmowy widzimy, z kim mamy do czynienia. Ten jest kontrrewolucjonistą, przyjechał agitować za spiskiem białogwardzistów, a ten jest kułakiem, który ma porachunki z władzą radziecką i będzie pomagał białogwardzistom. To nie jest przejaw schematyczności fabuły ani postaci, ani konfliktu. To nie jest schematyczna sytuacja.

Trzeba pewnych ludzi wprowadzić ze sobą we wzajemne stosunki, stworzyć uderzenia, konflikty, w których by działali odpowiednio do tej funkcji, jaką autor im wyznacza.

Jedną z takich ról może odegrać fakt zakochania się biedniackiego chłopa w kułackiej córce, co nie jest schematyczne. To jest równie dobre, jak każde inne nawiązanie i postawienie postaci w pewnej wzajemnej sytuacji, bo może to ułatwić odsłonięcie konfliktu. Schematyzm zaczyna się nie tu. Zaczyna się wtedy, kiedy o postaciach nic więcej nie wiemy prócz tego, co jest związane z najbardziej sumarycznym rysem, co jest związane z tą funkcją, jaką autor im wyznaczył.

W naszej dyskusji nie wzięliśmy pod uwagę jednej sprawy. Przypomnę tu rzecz, którą prawdopodobnie wszyscy dobrze pamiętają. U Tomasza Manna, w B u d d e n b r o o c k a c h, jest postać ciotki Klotyldy, ubogiej krewnej, która jest wiecznie głodna, nieśmiała i zalękniona. Ilekroć postać ta się pojawia, to pojawia się właśnie w tej funkcji. Czy powiemy, że to jest przejawem schematyzmu u Tomasza Manna? Inna jest funkcja postaci czołowych, głównych, przez które autor wypowiada głęboką analizę rzeczywistości, inna jest funkcja postaci drugorzędnych, które mają uprzytomnić tylko pewne sprawy. Dlatego, żeby wdrożyć tę postać w pamięć cztelnika, wiąże ją autor za każdym razem z tym, co jest sygnałem tej postaci, dzięki czemu tę postać wraz z jej funkcją pamiętamy.

To samo, jeżeli chodzi o Czarodziejską Górę Manna. Mann używa jednego sposobu charakteryzacji, każda postać jest w pewien sposób jak gdyby napiętnowana czymś, jakąś jedną cechą. Ilekroć ta postać się pojawia, tylekroć pojawia się w tej funkcji. Bo to są postacie, które innej funkcji nie spełniają w powieści prócz tego, że są tłem dla rzeczy poważniejszych. W naszej dyskusji o schematyzmie, nasza krytyka nie umiała podejść do tego zagadnienia od tej strony, lekceważono warsztat literacki, jak gdyby warsztat literacki kolidował z ideologią. To jest niesłuszne. Sprawy warsztatu literackiego muszą być badane, bo przecież wielokształtną, bardzo różną i bardzo skomplikowaną rzeczywistość trzeba w pewien sposób ująć w kształt namacalny, w kształt plastyczny. Trudność polega na tym, że ta rzeczywistość kształtuje się różnie. Tu odgrywa rolę również tradycja literacka, zasób środków, wyrazu pisarskiego. Jeżeli mówimy o uczeniu się od klasyków, to między innymi uczymy się właśnie tego.

Dlaczego pisarz początkujący jest nieporadny, dlaczego jest w jego utworach wiele schematyzmu? Sądzę, że należy zaakcentować z całą siłą, z całą stanowczością, że nie zwalczymy schematyzmu, dopóki nie zwalczymy ideologicznego analfabetyzmu pisarza, dopóki nie nauczymy się daleko głębiej ujmować rzeczy nas otaczających. Musimy przy tym walczyć z nieporadnością warsztatową, bo pisarz nie zdaje sobie często sprawy z tego, jakie środki stoją do jego dyspozycji. Wydaje mi się, że to jest rzecz, którą krytycy powinni analizować. Nasze recenzje ograniczają się do stwierdzenia, że w danej książce są takie i takie błędy, że schematyzm jest tu i tu. Recenzje te nie próbują ułatwiać pisarzowi jego pracy poprzez zorientowanie go w tych kierunkach, drogach i możliwościach, jakie pomagają pisarzowi do opanowania całokształtu rzeczywistości.

Referent mówił, że jedną z przyczyn schematyzmu jest pewne uzależnienie typów ludzkich od ich pochodzenia społecznego, od przynależności klasowej, że typów jest więcej niż klas społecznych. Bezwzględnie tak, ale sedno zagadnienia tkwi nie tylko w tym. Typów ludzkich w sensie postawy psychologicznej jest więcej niż klas społecznych. Ale klas społecznych nie bierzmy za prosto i schematycznie. Biedniak nie zawsze jest reprezentantem idei rewolucyjnej, nie zawsze stoi po stronie klasy walczącej, nie dlatego, że jest jakim innym typem psychologicznym, ale dlatego, że walka, sprawa walki klasowej jest skomplikowana. Interesy życiowe biedniaka w głęboko sięgającej perspektywie są jednoznaczne, ale w jego indywidualnym życiu mogą być wieloznaczne.

Tu przypomnę znowu powieść Szołochowa. Zjawia się tam postać biedniaka, który na skutek tego, że podczas wojny domowej był na usługach kontrrewolucjonistów, z lęku przed ludźmi, którzy mogą go wsypać, staje później na usługach kułaków.

O ile bardziej skomplikowana i dramatyczna jest sytuacja biedniaka, który jest związany jednostkowymi interesami z kułakiem, a którego jednocześnie życie przekonuje, że ta droga nigdzie go nie doprowadzi. Jest to sytuacja bardziej dramatyczna niż biedniaka, który miał jasną świadomość klasową i był całkowicie jednoznaczny w swojej funkcji. Pewna schematyka i zubożenie faktury polega na tym, że identyfikuje się pochodzenie klasowe z postawą ideologiczną, z dzisiejszym chwilowym interesem życiowym danego człowieka, całokształtem jego nastrojów psychologicznych, jego sympatii i pozycji klasowej, zajmow

nej w tej walce. To płynie nie tylko z uproszczenia, stąd że pisarz nie widzi bogactwa różnorodnych typów psychicznych, ale wypływa to z uproszczenia psychologicznego. W konsekwencji — wszyscy biedniacy tworzą zwartą grupę, kułacy tworzą drugą grupę, która się sprzeciwia tamtej, a średniacy są pośrodku i przechylają się to w tę, to w tamtą stronę.

Takie przedstawianie życia jest schematyczne dlatego, że w życiu wszelkie te sprawy przeplatają się w sposób złożony, prowadzący często do kolizji o niesłychanie dramatycznym napięciu, dlatego że klasowe widzenie w perspektywie pchą w zupełnie innym kierunku, aniżeli ta sytuacja, która w tej chwili decyduje o postępkach danego człowieka.

Często powołujemy się na artykuł Prawdy, w którym było powiedziane: „Nam są potrzebni Szczedriny i Gogole". Chciałabym tę myśl uzupełnić: nam są potrzebni Szczedriny i Gogole, ale nie Zoszczenki, a to jest zasadnicza różnica. Gogole i Szczedriny we wspomnianym artykule są symbolem głęboko drążącej analizy, która przez głębię spojrzenia dochodzi do słusznych twierdzeń, mających moc popychania życia naprzód. Czego symbolem jest Zoszczenko? Zoszczenko jest symbolem powierzchownego malkontenctwa, które nie zdobyło się na istotne zapuszczanie sond. Wielu ludzi nawet chętnie podejmuje, podkreśla pewne braki i pewne niedociągnięcia nie dlatego, że było to szczeblem do szczedrinowskiej analizy, ale dlatego, że pewnej postawie, pewnym potrzebom odpowiada wychwytywanie tych rzeczy. Pamiętajmy więc, że są nam potrzebni Gogole i Szczedriny, ale pamiętajmy także, żeby to się nie stało zoszczenkowskim stosunkiem do życia.

Niedawno Nowa Kultura zamieściła bardzo ciekawy artykuł Markiewicza o typowości. Typowość — to jest sprawa, która teraz interesuje każdego pisarza. Artykuł przedstawia, jak ujmowali tę sprawę dawni pisarze realiści, ale poza stwierdzeniem, że ich sposób ujmowania rzeczywistości dziś się nie nadaje, nie zawiera on żadnych wskazań, jak tę rzeczywistość kształtować, jak ją atakować. Wskażę tu na powieści radzieckie, powieści takie jak S a m o t n o ś ć Andrzeja Wirty. Są to powieści, które właśnie dlatego tak wgłębiły się w rzeczywistość, że nie zrezygnowały z hiperbolizacji rzeczywistości. Właśnie w powieściach radzieckich mamy wiele postaci, które robią tak duże wrażenie dlatego, że kułak tam jest tylko kułakiem-wilkiem, w którego postaci przejawia się konieczna dla realistycznej twórczości socjalistycznej hiperbolizacja. Dlatego wydaje mi się, że przedwczesne jest odkładać to do lamusa, przedwczesne jest powiedzieć, że hiperbolizacja nie może nam już służyć. Przeciwnie, raczej podkreślałabym, że dokopywanie się do istotnych cech dopiero wtedy znajdzie swój wyraz, jeżeli znajdzie wyraz w postaciach, w których do pewnego stopnia ta hiperbolizacja się ujawni.

U nas jest tak: albo ukazuje się recenzja, która mówi o meritum książki, o jej fabule, a o tych rzeczach milczy, albo ukazuje się artykuł teoretyczny, który mówi o tych rzeczach od strony abstrakcyjnej, nie podając konkretnych utworów, konkretnych postaci.

Dlatego jednym z zadań, jakie wypływają z naszego Plenum, jest pogłębienie naszej krytyki. Inaczej nie pomożemy pisarzom w tym, w czym dopomóc im jest naszym zadaniem.

Melania Kierczyńska

KAZIMIERZ WYKA

Sprawa naszej tematyki polega nie tylko na tym, że jest jeszcze dosyć duża ilość tematów nie poruszonych przez prozę współczesną. Padają konkretne propozycje, które profesora Uniwersytetu bardzo cieszą, bo chciałbym przeczytać książkę o ulicy Gołębiej 20, o zakładzie produkcyjnym polonistyki krakowskiej, gdzie na 700 duszach polonistów krakowskich produkujemy nową kadrę narzędziami pracy odpowiednimi raczej w zamierzchłej przeszłości. Wydaje mi się jednak, że nie w tym leży rzecz, nie w samym rozszerzeniu ilościowym nieporuszonych tematów tkwi istota sprawy.

Wydaje mi się, że został dokonany pierwszy etap zaatakowania tematu współczesnego przez prozę dzisiejszą i że są duże trudności w przejściu do następnego etapu.

Jakie ogniwo zostało wykonane? Była to problematyka dwóch czy trzech lat, która polegała na podejściu pisarza do warsztatu produkcyjnego, poznawaniu bazy naszej produkcji, tego wszystkiego, co się mieści w pojęciu produkcji. Obecnie trudność polega chyba na przejściu o krok wyżej.

Trzeba skończyć z „powieścią produkcyjną", powieścią produkcyjną jako odrębnym typem ujmowania zagadnień przez prozę.

W pewnym okresie, w 1946-7 roku krytyka, chcąc wymusić na pisarzu odejście od psychologizmu, od introspekcji, wysunęła koncepcję socjologicznej interpretacji losu ludzkiego, koncepcję, która wówczas była konieczna, spełniła swoją rolę na pewnym etapie. Krytyka jednak musiała przejść do postulatu marksistowskiego. Również i dziś jest podobnie. Te utwory nie spełniają już swego zadania, które nie są w stanie pokazać, w jakim okresie budowy materialnej bazy socjalizmu zmienia się człowiek, jakie konflikty powstają, jak zmienia się w ogóle cała konfiguracja ideologiczna okresu, wpływając na typy konfliktów, które dziś powstają. W tym sensie „powieść produkcyjna" jako termin jest czymś, co powinno przejść do historii naszej literatury, tym bardziej że mamy dziś przykłady pewnego pozornego odejścia od tematyki współczesnej, pozornego odejścia, które jest pewnym krokiem naprzód powyżej tej linii, na której zatrzymała się tematyka współczesna. Co mam na myśli? Co pokazuje doświadczenie ostatniego roku? Że najcenniejsze są te utwory, które ukazują w całej niedalekiej genealogii dni naszych narastanie sił rewolucyjnych naszego kraju już przed 1939 rokiem, te które ukazują nie tylko procesy produkcyjne, ale wchłanianie przez klasę robotniczą elementów chłopskich. Jeśli weźmiemy powieści takie jak Bobruka M a t k a i s y n, jak P o k ł a d J o a n n y — Morcinka, jak P a m i ą t k a z C e l u l o z y — Newerly'ego, jeżeli chodzi o typy obrazujące wyrastanie klasy robotniczej z elementów chłopskich, typy obrazujące dojrzewanie klasy robotniczej, proces włączania się do klasy robotniczej bohatera czy całej rodziny Bobruka, to potrafiły te książki pokazać pełne, obchodzące nas procesy przemian ludzkich i ich dojrzewania ideologicznego.

Gdzie zatem jest krok dalszy? Krok dalszy jest chyba w tym, aby znajomość ideologii, znajomość konfliktów na obecnym ich etapie — była pogłębiana.

Nie czuję się do tego powołany, aby podawać tablicę konfliktów antagonistycznych i nieantagonistycznych. Nie o to chodzi. Chcę zwrócić uwagę na rzeczy, których nie ma w naszych książ-

kach, a których taki brak odczuwają czytelnicy. Chcę mówić o konfliktach światopoglądowych, ideologicznych, które toczą się pod maską rzeczy zdawałoby się dalekich i obojętnych, o tego typu walkach światopoglądowych w rzeczywistości, jakiego zupełnie nie znajdujemy we współczesnej prozie.

Weźmy jeden przykład tego typu. Wiemy dobrze, że wrogie próby narzucenia podziału religijnego na wierzących i nie wierzących w Boga, próby rozszczepienia w ten sposób społeczeństwa polskiego zostały zlikwidowane, unieszkodliwione. Podziału takiego nie ma i być nie może. Ale czy to znaczy, że i tutaj nie toczy się w sumieniach, rodzinach, umysłach, zwłaszcza dojrzewających młodych ludzi, ciężka walka ideologiczna? Jeżeli przychodzi kilkunastoletnia dziewczyna i mówi — jak ja mam połączyć sobie wykład religii w szkole z teorią Darwina — to pamiętajmy, że dla niej ta sprawa jest istotna. Albo jeżeli przychodzi do mnie, profesora uniwersytetu, koleżanka, dobry naukowiec i prawie ze łzami w oczach mówi, że musi się rozstać z profesorem, który uważa ją za najlepszą uczennicę, że nie może z nim pracować, tak bardzo różnią się ich poglądy w nauce językoznawstwa. Ona przeżywa tę sprawę jako ciężki konflikt.

Konflikty klasowe nie przebiegają tak, jak niektórzy chcą to pokazać: przy blasze kuchennej czy w kolejce po mięso. Młody człowiek, który szuka wielkiej dyskusji światopoglądowej, ideologicznej, toczącej się w całym kraju— w prozie jej nie znajduje. Ten sam młody człowiek, kiedy dostaje N o c e i d n i e Dąbrowskiej, podczas dyskusji z wypiekami walczy o słuszność bohatera.

Na to chcę zwrócić uwagę, jako na rzecz naprawdę istotną dla rozwoju naszej prozy.

Wreszcie odsłonię karty: będę bronił „schematyzmu" (tak jest!). Powiem, dlaczego i jakie są przyczyny, co tu jest niepokojącego w stworzeniu z schematyzmu Baala, który pożera, spala we wnętrzu wszystko, co się składa z wielu różnych objawów naszej literatury.

Jeżeli kogoś boli wątroba, źle funkcjonuje, „nawala", to wcale nie znaczy, i z tego nie wynika wniosek, że wszystkim ludziom, u których wątroba funkcjonuje normalnie, należałoby tę wątrobę wyciąć. Boję się, że z dyskusją o schematyzmie tak właśnie jest, bo w tym, co my nazywamy nieraz schematyzmem mieści się jedna z podstawowych cech procesu artystycznego, twórczości artystycznej: droga do wytwarzania obrazu artystycznego w literaturze.

W Związku Radzieckim toczyła się nad tym dyskusja. Burow w swojej pracy O poznawczym charakterze uogólniania artystycznego sformułował sprawę w ten sposób: każdy obraz artystyczny od razu daje pewne uogólnienie, od razu zawiera wyjaśnienie rzeczywistości. Liczba uogólnień artystycznych jest nieskończona i niewymierna, to znaczy, że wówczas schemat ogólny rozrzucony jest na bardzo wiele innych schematów. Jeżeli postawić zagadnienie: konflikt antagonistyczny czy nieantagonistyczny, to przecież jest to stawianie kwestii schematyczne. Co może być bardziej schematycznego, jak wiosna, zielona trawa, trochę burz, potem spadające liście, a potem znowu wszystko od początku. A przecież to jest olbrzymie zagadnienie w sensie uogólnienia przemian przyrody, rozwijających się w naszych oczach.

Zmierzam do tego, że w schematyzmie i w walce ze schematyzmem miesza się właściwie różne rzeczy. To znaczy mówimy o schematyzmie wtedy,

kiedy następuje — jak to słusznie powiedział kol. Putrament — dedukcja od ogólnych wniosków, nie poparta odpowiednią liczbą konkretów.

Mamy zatem tutaj, kiedy mówimy o schematyzmie, zupełnie inne zjawisko, mamy zjawisko przenoszenia wniosków z jednego środowiska na drugie.

Mamy jeszcze całkiem inne przykłady. Czasami mówiąc o schematyzmie mamy na myśli jednostajność psychologiczną postaci.

Jednym słowem, jeżeli podejmuję się tutaj „obrony schematyzmu", to chodzi o to, żeby w ocenie nie popaść w schematyzm, nie zmieścić w tym pojęciu tych wszystkich procesów typowych, które są przecież trafne w naszych dziełach, ujmują słusznie pewne fakty rzeczywistości, i żeby nie doprowadzić tutaj zagadnienia do stworzenia wszechwinowajcy, który za wszystkie błędy prozy i literatury naszej jest odpowiedzialny.

Kazimierz Wyka

ARNOLD SŁUCKI

W przeciwieństwie do moich najbliższych przedmówców, chciałbym nawiązać bezpośrednio do referatu kol. Putramenta.

To, co jest najcenniejsze w dzisiejszym referacie i wypowiedziach innych krytyków w innych krajach Demokracji Ludowej — to zwrócenie uwagi, że przyczyną schematyzmu jest nie nadmiar, ale brak zrozumienia najistotniejszych problemów naszej ideologii, brak zrozumienia drogi, którą powinniśmy kroczyć, pragnąc zrealizować postulaty realizmu socjalistycznego.

Chciałem wskazać, że walka ze schematyzmem jest nie tylko walką z przerostami na jakimś etapie naszej literatury, które chcemy przezwyciężyć.

Klasycy marksizmu byli także czujnymi obserwatorami i krytykami współczesnej literatury i poezji. Otóż Karol Marks i Fryderyk Engels poświęcili wiele cennych uwag twórczości wybitnego, postępowego poety niemieckiego — Freilighata, którego twórczość w początkowym okresie towarzyszyła postępowym, wyzwoleńczym ideom. Co było głównym brakiem jego twórczości? Zwrócili na to uwagę Marks i Engels. Był to ascetyzm, schematyzm w widzeniu zjawisk, brak pełni odczuwania życia i zrozumienia dla wszechstronności ludzkiej wrażliwości. W tym artystycznym braku, który jest raczej brakiem ideologicznym, widzieli klasycy marksizmu źródło późniejszego spaczenia talentu Freilighata (dodajmy do tego, że w całokształcie swej twórczości Freilighat należy do najbardziej postępowych pisarzy niemieckich i do tradycji postępowej niemieckiej literatury).

Widzimy więc, że marksizm nie rezygnuje z bogactwa życia, z ukazywania różnorodności zjawisk życia i pełni odczuwania życia przez człowieka, a zwłaszcza twórcę, którego zadaniem jest rozszerzanie widnokręgu i skali odczuwania oraz skali myśli i uczuć współczesnego człowieka.

Artysta, który zwęża krąg swych obserwacji, który zwęża skalę swojej wrażliwości na świat zewnętrzny i wewnętrzne życie człowieka, pomniejsza tym samym zasięg humanizmu marksistowskiego, który oznacza pełnię zaangażowania człowieka w sprawy świata, w sprawy ludzkie.

Mówiąc o schematyzmie, nie możemy pominąć istotnej sprawy, mianowicie milczenia pisarzy — i to pisarzy dużej klasy. Chciałbym dojść do źródła tego milczenia. Bardzo często pisarze, którzy uznali wielkość naszej rewolucji, widzieli nasze zwycięstwa na poszczególnych odcinkach i w całokształcie naszej walki o socjalizm, zlękli się własnego doświadczenia życiowego.

Tym pisarzom — moim zdaniem — wydaje się niejednokrotnie, że trzeba zacząć żyć na nowo. To jest w pewnym stopniu słuszne. Ale czy zacząć żyć na nowo, to znaczy zlikwidować cały ogrom doświadczenia ludzkiego, jakie nagromadzili ci pisarze w swoim życiu? Wydaje mi się, że nie; że nowa postawa jest nieodłączna od przemyślenia i zgłębienia całokształtu doświadczeń życiowych. Marksizm nieodłączny jest od życia osobistego pisarza. Marksizm nie wymaga odrzucenia, ale rozbudowuje, uruchamia dla celów artystycznych dyskontowanie tego doświadczenia dla zrozumienia dnia dzisiejszego.

Chcę jeszcze jedną sprawę poruszyć, bardzo istotną — zagadnienie Partii w literaturze realizmu socjalistycznego. Zazwyczaj u nas nie zawsze udawała się sylwetka sekretarza partyjnego. Tę sprawę dyskutowaliśmy w gronie pisarzy, ale zdaje się, że warto podzielić się naszymi wnioskami nad tym zagadnieniem.

Zdaje mi się, że w praktyce naszych pisarzy pokutuje to, co jest pewnym kompleksem naszej inteligencji, naszej przodującej inteligencji. W pierwszym okresie inteligencja wahająca odnosi się do Partii w sposób wyczekujący, często nieufny, często wrogi. Praktyka naszej Partii, jej zwycięstwa, gigantyczne budownictwo, umiejętne podejście do rzeczywistości współczesnej w ostrej walce klasowej, pozyskanie potencjalnego przyjaciela — wzbudziło respekt dla naszej Partii. Inteligent przekonał się, że Partia jest siłą, że Partia ma moc przewidywania. To najbardziej pozyskuje inteligenta dla naszej Partii. Czego inteligent nie rozumie w roli Partii? Często nie widzi genealogii ludzkiej naszej Partii, nie widzi, że siła jej wyrasta z doświadczeń ludzkich, historycznych doświadczeń ludu.

Trzeba przyznać, że tego rodzaju błędy popełniają nie tylko inteligenci, ale pisarze naszej twórczej inteligencji, dawno zainteresowanej w ruchu robotniczym.

Arnold Słucki

ADAM POLEWKA

W tej chwili stoi przed nami zagadnienie zasadnicze: jest nim mobilizacja literatury jako niezwykle mocnego, wyrazistego i skutecznego środka walki, walki bardzo ważnej. Kiedy Lenin mówił o sytuacji w okresie dyktatury proletariatu, podkreślał, że w tym czasie opór burżuazji się udziesięciokrotnia, że walka nie kończy się na odniesieniu zwycięstwa politycznego. Tę sprawę trzeba uwieńczyć odniesieniem zwycięstwa ekonomicznego.

Nie wystarczy przyswoić sobie teoretycznie założeń marksizmu. Sprawa socjalizmu, to sprawa teorii i praktyki, a praktyka w znaczeniu artystycznym, to głębokość naszych przeżyć w stosunku do sprawy, o którą walczymy. I dlatego dziś, jeżeli dyskutuje się o zagadnieniach literatury, to najistotniejsza jest sprawa, w jaki sposób ubojowić pisarza. Pisarz nie jest pisarzem bojowym, żarliwym, jeśli nie umie stworzyć atmosfery heroizmu. Taki pisarz w tej chwili nie spełnia swego zadania.

Minister Sokorski powiedział wyraźnie, że czekamy na wielki dramat polityczny. Ten wielki dramat polityczny rozgrywa się wszędzie i jest to sprawa, której my w naszej twórczości musimy dać wyraz.

Zaostrzenie się tej walki politycznej jest widoczne wszędzie. W tej chwili część kleru rozpoczyna mobilizację zdecydowaną, wyraźną. Deklaracja kleru postępowego sprawy tej bynajmniej nie rozwiązuje. Sprawa nie jest tak

łatwa do rozwiązania. Jak do tego podejść, skoro tak się dzieje wszędzie, w fabrykach, na uczelniach? Trzeba podejść tak, jak nasza Partia nakazuje; w ten sposób, żeby pokazać ludziom, jak wróg stara się podzielić społeczeństwo na wierzących i nie wierzących, jak stara się rozbić jedność narodu. Trzeba ukazać wysokie cele przyświecające pracy całego narodu. Są wśród nas pisarze, koledzy, katolicy, którzy deklarowali solidarność z nami w walce o pokój. Bardzo chcielibyśmy, żeby ci pisarze dali temu wyraz w swoich dziełach literackich, ażeby pokazali światu, społeczeństwu polskiemu, jak każdy człowiek naprawdę miłujący pokój i swoją ojczyznę, umie współpracować z marksistą, jaka istnieje płaszczyzna tej współpracy. W tej chwili ratujemy wspólnie najcenniejsze wartości. Jeżeli ktoś wierzy w to głęboko, że jego prawda, która nazywa się u katolików prawdą objawioną, może przystosować się do warunków budowania socjalizmu, to my tę szlachetną współpracę przyjmujemy. Nie trzeba szukać wspólnej płaszczyzny, żeby mogło nastąpić porozumienie w interesie całej ludzkości. Ona istnieje. Chodzi tylko o to, żeby umieć obustronnie demaskować polityczny mechanizm dywersji ukrytej w tym, co nazywa się walką o religię, Boga. Mówię o tych sprawach dlatego, że jak podkreślił prof. Wyka, są one wszędzie palące.

Obok tych spraw jest wiele innych zagadnień, bardzo ważnych w terenie, zagadnień, które nie są tknięte przez naszą literaturę. Są zjawiska nieprzyjemne, które trzeba podjąć, rozstrzygnąć, np. zagadnienie stosunku człowie do człowieka w budującym się socj lizmie. W wielu wypadkach mamy czynienia z pozytywnymi zjawiskam Ludzie rosną. Ale często spotykamy s z dygnitarstwem i biurokracją. Z ty trzeba walczyć. To, co mówi liter z przekonania, jego głos ze sceny te tralnej, z książki — o wiele więcej zn czy niż prasowy artykuł. Zwłaszcza, propaganda dziennikarska pozostaw bardzo wiele do życzenia; w wielu w padkach prasa przestaje mówić po lud ku, nie rozumie się jej stylu. Niech literaci pomogą w tej pracy. Czy spr wa tworzenia dzieł literackich ma b rozwiązana w ten sposób, że pisarz idz na jakiś czas w teren podpatrywać l dzi? Nonsens. Nie wierzę w to. Trze samemu włączyć się w tę pracę, w codzienną walkę.

I druga sprawa bardzo ważna. P wiedział kiedyś Lenin, że komunistą jest ten, kto się nie nauczył całego d robku kulturalnego ludzkości na p mięć. Jeżeli od komunisty tyle się w maga, to cóż dopiero od literata. stoi bardzo poważna sprawa wyrast nia nowych kadr pisarzy. Nowe kad nie wyrosną w ten sposób, że mło człowiek dostanie stypendium, pojed w teren, napisze dwa, trzy reporta po czym chce żyć z literatury. Nie j to słuszne. Trzeba się dziś kształc uczyć — „upłynął wiek złoty". W w ce klasowej nasi pisarze muszą być w kształceni jak najbardziej. Muszą siadać najszerszą wiedzę ze wszystk zasadniczych dziedzin.

Adam Polewka

Uwagi o kryteriach poezji

Tematyka współczesna dominuje w naszej poezji, przy czym gatunkowo można scharakteryzować stan obecny jako panowanie rozmaitych typów liryki i brak epiki. Epika istnieje w postulatach, ale nie ma jej w praktyce.

Mówiąc o dominacji współczesnej tematyki, właściwie trzeba to trochę inaczej sformułować; zwłaszcza w poezji, która ma charakter liryczny. W istocie dominują idee budowy socjalizmu, proletariackiego internacjonalizmu, walki o pokój przeciwko zamysłom imperialistów amerykańskich.

Opanowanie naszej poezji przez te idee nie odbyło się trybem żywiołowym. Decydującym momentem była burzliwa dyskusja o poezji przed dwoma laty, która oczyściła teren. Cenne ideologicznie utwory zjawiały się i przed tym, ale atmosfera życia literackiego hamowała rozwój poezji socjalistycznej. W atmosferze tej panował silny nacisk gomółkowszczyzny, której głównym, choć nie jedynym, wykładnikiem w poetyce był burżuazyjny estetyzm. Burżuazyjny estetyzm z formalistycznymi odmianami osłaniał dwuznaczne idee burżuazyjnego humanitaryzmu i podstawiał je na miejsce właściwych idei. Zwalczenie gomółkowszczyzny i rozbicie burżuazyjnego estetyzmu w poezji dało ten wynik, że zapanowały w niej właściwe idee, że zmieniły się zainteresowania, ambicje poetyckie, że powiało w niej socjalizmem. Głównie szło o to, aby budowa podstaw socjalizmu w naszym kraju znalazła w poezji szerokie, wielostronne odbicie.

Postulat realizmu socjalistycznego w poezji był jeszcze w tym czasie formułowany ogólnikowo. Inaczej w powieściopisarstwie. Tutaj gromadziło się wiele rozważań i przemyśleń, tutaj postulaty i kryteria przybierały bardziej konkretną postać. Ze względu na specyficzną sytuację w poezji, raczej mówiło się o ideach socjalistycznych, niż o metodzie realizmu socjalistycznego. Ale rzecz jasna, po to się mówi A, żeby powiedzieć B. Po roku atmosfera ideologiczna w poezji na tyle się zmieniła, że słusznie na Plenum padło hasło — podniesienia jakości. Czy od tego czasu jakość się podniosła? W małej mierze. Od czego zależy jakość poety? Składa się na to kilka czynników. Talent jest czynnikiem niezbędnym, ale nieokreślonym i najlepiej jest założyć, że poeta ma talent. Na jakość poety socjalistycznego składa się żarliwość ideowa, doświadczenie życiowe, wiedza marksistowska i właściwa metoda artystyczna, metoda realistyczna. Błędne byłoby przypuszczenie, że metoda powstaje żywiołowo przez samo podniesienie innych czynników. Wszystkie czynniki wzajemnie się przenikają, wszystkie są niezbędne dla realizmu, ale realizm socjalistyczny rodzi się w ciężkim trudzie z połączenia praktyki i teorii. Do wytworzenia i rozwoju metody realizmu socjalistycznego w poezji — potrzebny jest wspólny wysiłek poetów, krytyków i działaczy kulturalnych.

Hasło podniesienia jakości nie znalazło dostatecznej konkretyzacji z wielu przyczyn. Po pierwsze — sądzę, że nie można nic właściwie powiedzieć o realizmie socjalistycznym w poezji, nie uwzględniając jej specyfiki.

Po zwycięstwie postulatu realizmu socjalistycznego na całym froncie kulturalnym nastąpiła konieczność wejścia w specyfikę każdej dziedziny sztuki i każdego działu danej dziedziny. Ale wejście w specyfikę to rzecz bardzo trudna. Trzeba jasno widzieć przebieg doświadczenia historycznego w tej dziedzinie, ostrożnie wyciągać wnioski, bro-

nić się w równym stopniu przed awanturnictwem jak przed konserwatyzmem. Znacznie łatwiej jest przy pomocy abstrakcyjnej spekulacji myślowej tworzyć metafizyczne dogmaty.

W tym samym czasie, dwa lata temu, w nauce marksistowskiej nastąpiło historyczne wydarzenie, nauka została wzbogacona pracami Stalina na temat językoznawstwa. Mimo wysiłków kierownictwa Partii, konsekwencje tych prac nie od razu dotarły na front kulturalny i nawet usiłowano dorabiać do nich nową scholastykę z całkowitym ignorowaniem cech narodowych w sztuce. Moim zdaniem, cechy te bynajmniej nie z jednakową siłą przejawiają się w poszczególnych dziedzinach. W poezji mają szczególną siłę, chociaż często nie zdajemy sobie z tego sprawy. Wydaje mi się, że dzisiaj scholastyka ucieka w popłochu. Wielu krytyków deklaruje, że trzeba uwzględniać specyfikę. Od krytyków powinniśmy wymagać nie deklaracji, ale wnikania w specyfikę.

Wydawać by się mogło na pozór, że kierunek scholastyczny ominął teorię poezji. Ale to tylko pozór. Wyobraźcie sobie, że chcę mówić o poezji, a nie mam o niej zielonego pojęcia. Co wtedy robię? Jestem scholastykiem i nie ma dla mnie żadnych trudności. Staram się przerzucić na poezję to, co wiem o realizmie w powieści. Ponieważ epika bądź co bądź przypomina bardziej powieść, więc ze słusznego postulatu odrodzenia epiki robię jedyny postulat realizmu socjalistycznego w poezji, zaczynam propagować zamiast metody realistycznej — „elementy realistyczne", przez które rozumiem elementy epiki, wymyślam sobie proces przerastania liryki w epikę, zachwalam ten proces i pcham w tym kierunku niedoświadczonych poetów. Potem się cieszę, że rośnie coś nowego. Rzeczywiście rośnie coś nowego, bo są ludzie utalentowani, ale dzięki mojej teorii rośnie coś pokracznego. Ja się cieszę, wszyscy się cieszą, a najbardziej się cieszą wrogowie realizmu.

W tej atmosferze, w tej sytuacji musiało powstać w ciągu ostatnich 2 lat wiele jednodniowych teorii, które miały zastąpić walkę o metodę realistyczną w poezji. Ktoś wymyślił formalistyczną teorię podziału na poezję retoryczną i obrazową albo nie mogąc sobie dać rady z liryką refleksyjno-filozoficzną wymyślił sobie „poezję intelektualną" i wreszcie grozi nam obrona „poezji żywiołowej", co w naszych warunkach oznacza obronę zapóźnionych form świadomości społeczno-politycznej i artystycznej również. W naszych warunkach zapóźnione formy świadomości artystycznej są to strzępki starzyzny neoromantycznej, czy innej z okresu międzywojennego. Na naradzie grudniowej minister Berman zwrócił uwagę na pracę Burowa*), która niewątpliwie modyfikuje dawne poglądy na różnicę między myśleniem naukowym a artystycznym. W świetle tej pracy teorie poezji „intelektualnej" czy „żywiołowej" są naiwnymi pomysłami. Nie posuną one naprzód metody realistycznej w poezji.

Hasło podniesienia jakości zawisło w próżni z wielu powodów. Jeden powód — to scholastyczne przenoszenie kryteriów prozy artystycznej na poezję, drugi — to brak zdecydowanej walki o metodę realistyczną w oparciu o tradycję narodową. Stosunek do tradycji był deklaratywny i niesłychanie pobłażliwy dla świadomej lub nieświadomej teorii „jednolitego potoku". Walka o realistyczną tradycję w naszej poezji nie znalazła należytego zrozumienia w środowisku literackim. Z drugiej strony poszczególne jednostki odnosiły się podejrzliwie do hasła podniesienia jakości

*) Burow O poznawczym charakterze uogólnienia artystycznego.

i przez długi czas nawet je paraliżowały.

Przy wypaczeniu kryteriów realizmu z tym większą łatwością nacisk wroga działa na chwiejne elementy w naszym środowisku, tym uporczywiej powtarzają się ciągoty burżuazyjnego estetyzmu. Tematyka dzisiejsza stała się zjawiskiem powszechnym w naszej poezji od czasu, kiedy zwalczyliśmy burżuazyjny estetyzm. Zwalczyliśmy go w zasadzie, aleśmy przecież nie wykorzenili go całkowicie. Burżuazyjny estetyzm nie wystąpi z otwartą przyłbicą, będzie nas atakował z rozmaitych pozycji. Kiedy ukazał się niefortunny zbiorek Wiosna 6-latki znaleźli się dyskutanci, którzy przeciwstawili temu zbiorkowi utwory nic nie mówiące o budowie socjalizmu. Przyjmijmy nawet, co wcale nie jest zgodne z prawdą, że te przeciwstawiane utwory są jaskółkami innego typu liryki socjalistycznej. Sam fakt przeciwstawienia jest manewrem taktycznym. Francuskie przysłowie powiada — robi się strzały z każdego drewna.

Kiedy będziemy mówili o liryce tzw. sfery osobistej, burżuazyjny estetyzm po cichu zacznie przemycać teorię „jednolitego potoku". Kiedy będziemy mówili o przyrodzie, zechce nam podrzucić Leśmiana. Kiedy będziemy mówili o cechach ludowych, zechce nam podsunąć jako rewelację poetycką stylizatorstwo, odciąć nas od tradycji Kochanowskiego i Mickiewicza, albo po swojemu tę tradycję zinterpretować. W każdym razie będzie próbował zaciemnić fakt, że idzie nam o myśli i uczucia narodu socjalistycznego. Kiedy będziemy mówili o tradycji, będzie nam potakiwał, zacierając fakt, że tradycje służą nam pomocą do posuwania się naprzód w określonym ideologicznie kierunku, będzie zachwalał kalkomanię. Kiedy będziemy mówili, że bolączką wielu ambitnych prób jest brak kultury poetyckiej, będzie nam podszeptywał, że już lepsze są poetyczności i poetyzowania.

Mówię — burżuazyjny estetyzm, bo nie idzie o poszczególnych ludzi, notorycznych przedstawicieli tego estetyzmu, ale o elementy świadomości artystycznej, utrzymujące się w naszym środowisku, aktywizujące się w chwilach chwiejności, zniechęcenia, w chwilach trudności i nacisku wrogich nam sił.

Na wspomnianej naradzie min. Berman wskazał jako na jedną z głównych bolączek naszej literatury brak dojrzałości ideologicznej. Niedojrzałość przejawia się w rozmaity sposób. Chcę tu wskazać na niektóre objawy. Jak się to odbija na liryce politycznej?

Wielu poetów poprzestaje na wyrażeniu najogólniejszych idei politycznych, ale na tym poprzestać nie można. Kiedy idzie o bardziej konkretne zastosowanie tych idei, brak dojrzałości ideologicznej daje się we znaki. Przytoczę przykład typowy, w sensie typowości naszej, nie statystycznej.

Wtrząśnięty zamordowaniem Belojannisa poeta Seweryn Pollak napisał wiersz, który niestety zawiera myśli polityczne zupełnie mylące i zupełnie niesłuszne, od początku do końca. W pierwszym zdaniu autor karci naród grecki, i nawet pomawia go o współwinę: „Długoż nosić będziecie pęta, Krwią najlepszych, krwią braci zbryzgani?"

Dalej autor woła jak do uśpionego narodu: „Ty Termopilom, ty Salaminie, Krew niegdyś złożywszy w dani, Zbudzić się musisz, gdy syn twój ginie". Po czym autor wzywa go do powstania zbrojnego. Wiadomo, że naród grecki nie jest narodem uśpionym, że walczy, ale w ciężkich warunkach, że w tej chwili nie ma obiektywnych warunków do powstania zbrojnego. Autor mechanicznie wzorował się na odzie

Wolność Puszkina, pisanej w zupełnie innych okolicznościach, którą skojarzył sobie w z dekabrystowskimi wierszami, wzywającymi naród grecki do kontynuowania walki narodowowyzwoleńczej. Wzory, jak widać, znakomite, ale co z tego wynikło?

Imitatorstwo przeważyło nad konkretnym myśleniem politycznym. Spójrzmy na to od strony uczuciowej. Konkretne myślenie polityczne oparte na marksizmie-leninizmie stanowi równocześnie dla liryka dyscyplinę uczuć i chroni jego żarliwość przed histerią. Trzeba nam żarliwości, ale nie trzeba egzaltacji. Myśl polityczna pozbawiona konkretności nie ma siły uogólniania. Klasyczny wiersz naszej liryki rewolucyjnej Bagnet na broń Władysława Broniewskiego wyrasta z konkretnego myślenia politycznego w momencie ogromnego napięcia uczuć, wypowiada w formie lirycznej postawę komunistów polskich, męską postawę rewolucyjną i patriotyczną.

Polska jest dziś inna niż w 1939 r. i wrzesień się nie powtórzy, ale to nie zwalnia nas wcale od konkretnego myślenia i odczuwania politycznego. Konkretna myśl polityczna i męska postawa cechuje tę siły, które stanowią awangardę walki o pokój. To samo powinno cechować poetę polskiego.

Opanowanie wiedzy marksistowsko-leninowskiej potrzebne jest poecie po to, aby umiał zastosować ją do konkretnych sytuacji. Potrzebne to jest tak samo lirykowi jak epikowi. Marksizm-leninizm jest szkołą uczuć. Postępowanie imperialistów wywołuje w nas serię uczuć: ból, gniew, nienawiść. Dla poety ważna jest hierarchia tych uczuć. Nie możemy poprzestać na wywoływaniu w czytelniku np. uczucia bólu. Byłoby to utratą połowy naszej zbroi. W poezji musi się ujawnić ideowo opanowany proces uczuciowy. Brak tego procesu uważam za jeden z objawów martwoty, czyli, jak się to mówi dzisiaj — schematyzmu w liryce. Nie istnieją uczucia oderwane od myśli. Podstawą liryki jest wątek myślowo-uczuciowy, który musi mieć swoje tętno wewnętrzne. Bez tego tętna, bez tej pulsacji wychodzą rzeczy złe: martwe albo histeryczne.

Przeprowadzenie procesu myślowo-uczuciowego przez utwór liryczny decyduje o jego kompozycji, o budowie. Czy obrazy gromadzą się gęściej, czy rzadziej — nie to stanowi o jakości poetyckiej. Sądzę, że raczej precyzja treści, charakter obrazów i ich trafność, selekcja, sposób operowania nimi. Strona kompozycyjna poezji, moim zdaniem, bardzo u nas szwankuje. W gwarze fachowej określa się to słowami: „wiersz się rozlatuje, nie trzyma się kupy". Wzmocnienie strony kompozycyjnej wcale nie powinno osłabiać autonomicznej siły poszczególnych zdań, zwrotów, obrazów poety, które mogą wyjść poza utwór, stać się hasłem, formułą polityczną, cennym zwrotem obiegowym. Bywa w tym wielki triumf poety. Za często stawia się jednostronne pytanie: jak ma poeta przyswajać sobie hasła polityczne. A czy poeta nie ma ich formułować?

*

* *

Majakowski pisał: trzeba poetów dobrych i rozmaitych. Można dodać do tego: trzeba poezji socjalistycznej rozmaitych rodzajów i stylów. Główny jej ciężar przypada i będzie przypadał na tematykę budowy socjalizmu i obrony pokoju, na tematykę polityczną. Trzeba więc przede wszystkim, aby ta tematyka rozwijała się w rozmaitych rodzajach i stylach.

W tematyce budowy socjalizmu sam Majakowski wprowadzał wielką rozmaitość ujęcia poetyckiego i tonacji. Od poezji marszowo-agitacyjnej do ga-

wędy, od wielkiej retoryki do liryki refleksyjno - filozoficznej. Majakowski ujmował tematy czasem wielkimi syntetycznymi rzutami, czasem brał je wycinkowo, wychodził ze zdarzenia, z sytuacji.

Mówię o Majakowskim nie po to, aby zachęcać poetów do kopiowania go, ani też po to, aby wymagać od każdego poety, żeby się zdobył na oba ujęcia. Idzie mi o proste zadokumentowanie, że oba są możliwe i że jedno nie jest bardziej realistyczne niż drugie. Refleksyjny poemat Pełnym głosem nie jest mniej realistyczny niż sytuacyjny wiersz o giserze Kozyrewie, ani też na odwrót.

Chcę się zatrzymać nad Kozyrewem właśnie dlatego, że jest to pewna sytuacja życiowa i psychiczna. W programie budowy socjalizmu temat ten określamy jako wprowadzanie robotników do nowych mieszkań.

Otóż Kozyrew opowiada, jak wprowadził się do nowego mieszkania i jak zmęczony po pracy wykąpał się, wziął natrysk i kończy refleksją: słuszną ma linię nasza radziecka władza. Ostatnie zdanie zawsze wywołuje w publicznym audytorium wesołość, a nawet wesoły śmiech. Czy śmiech ten obraca się przeciwko władzy radzieckiej? Wręcz przeciwnie, ten wiersz agituje. Trzeba by było napisać cały traktat, aby wyjaśnić, dlaczego. Jedno jest pewne. Między otrzymaniem pokoju z łazienką a konkluzją Kozyrewa jest ogromny dystans. Autor pokonał ten dystans ludowym humorem Kozyrewa. Autor zna i czuje lud, autor czuje postać Kozyrewa. Autor znalazł tonację, aby z tego dystansu uczynić wartość artystyczną. Wyobraźmy sobie teraz poetę, który ma zawsze jedną, uroczystą, egzaltowaną tonację. Jego Kozyrew uroczyście opisze kurki w łazience i zawoła: Widzicie towarzysze, władza ludowa prowadzi naszą politykę. A do kurków doda kilka metafor, aby wydawały się godne tej konkluzji. Agitacja bardzo wątpliwa.

Nie można objąć bogactwa naszej problematyki, bogactwa życia, jeżeli poeta nastawia się zawsze na jeden ton. Realizm wymaga wielu tonacji. Ubóstwo tonacji jest jednym z największych mankamentów naszej poezji. Prawdziwy, dojrzały humanizm nie może się obyć bez wielu tonacji.

Poezja może objąć poszczególne konflikty antagonistyczne i nieantagonistyczne. Poezja może objąć nie tylko te konflikty, ale i sytuacje bezkonfliktowe, jak w wierszu o Kozyrewie. Więc dlaczego mamy zwężać możliwości poezji? Wyłoniła się kwestia, czy poezja może dać konkretny obraz człowieka i czy może się to stać osią utworu. Kwestia nie była sformułowana jasno i niektórzy sprowadzali to po prostu do kwestii epiki. Tymczasem niekoniecznie jest to kwestią epiki. Stanisław Piętak napisał utwór pt. Przodownica Anna, przedstawiający dzień pracy przodownicy w spółdzielni wiejskiej, jej stosunek do pracy, polityczne źródła jej postawy. Nikt tego nie nazwie epiką i każdy zauważy, że jest to utwór nasycony lirycznie. Jest to dojrzały artystycznie utwór realistyczny, jedyny w tym rodzaju, jaki znam. Przodownica Anna nie zwróciła na siebie uwagi, bo za rewelację z terenu chłopskiego niektórzy chcą nam przedstawić bardziej lub mniej zręczne stylizatorstwo Ficowskiego. Życzliwie przyjmowano pozaczasowe obrazy walki klasowej na wsi, obrazy z makabrycznego kalejdoskopu inteligenta, oderwane od bytu wiejskiego, od przyrody, od rzeczywistego charakteru ludowego, natomiast to bolesne i trudne kiełkowanie nowego życia na wsi, które przebijało ze szczerej liryki Piętaka, zbywano lekceważeniem. Może się komu Piętak podobać albo nie, ale autor Przo-

downicy Anny jest chyba dojrzałym realistycznym poetą z terenu wiejskiego. W jego wierszach jest głęboka troska o wieś i nie ma w nich ani łuta tego, co Lenin nazwał przywiązaniem do „kupy gnoju". Nie ma w jego wierszach ani jednego fibra stylizacji, bo nigdy nie szedł po młodopolskiej linii separowania kultur. Rzecz bardzo ciekawa, że ci sami taksatorzy poezji, którzy spokojnie łykają każdy wolapik, zżymają się na szorstką, chropawą nieraz materię poetycką Piętaka. Co do mnie, to i to cenię u Piętaka. Widzę w jego realizmie kontynuację zagubionej linii realizmu Szymonowicza i drugiej części Dziadów.

Niedocenianie poezji Piętaka wygląda jak wypadek odosobniony, ale moim zdaniem, to jest objaw zacieśnionych i skrzywionych kryteriów poezji, kryteriów realizmu.

Jeżeli na ogół nie mamy dotąd dojrzałych artystycznie utworów poetyckich, przedstawiających poszczególne postacie, sytuacje, konflikty, to w dużym stopniu na niepowodzenia w tej sprawie wpłynęło prostactwo teoretyczne, postulaty nie uwzględniające specyfiki poezji ani bogactwa jej możliwości.

Do utworów, które mają te właśnie ambicje, przykłada się kryterium „wyraźnie narysowanych ludzi", „psychologicznej sylwetki" itp. To kryterium jest i słuszne i niesłuszne. Wystarczy pomyśleć, że omawiany utwór nieraz ma raptem 30 wierszy druku. Czego w takim utworze poeta może dokonać? A może dokonać bardzo wiele. Przypomnijmy sobie, czego dokonał Mickiewicz w drobnym utworze Czaty. Konkretna sytuacja, konkretny konflikt, konflikt typowy w sensie typowości romantycznej, ale występują w nim tylko najgłówniejsze rysy postaci. Tak dalece, że właściwy bohater, Kozak, objawia się dopiero w ostatnim wierszu, a razem z nim cała ludowa moralność. Mógłby kto na to powiedzieć, że skupienie się na wybranych, najgłówniejszych rysach postaci, że wyogromnienie tych rysów charakteryzuje realizm romantyczny, a my tworzymy realizm socjalistyczny. Chciałbym na to odpowiedzieć, że realizm socjalistyczny dziedziczy pewne strony wszystkich dawnych realizmów. Chciałbym z całym przekonaniem oświadczyć, że gospodarowanie w tym dziedzictwie zależy od specyfiki danej dziedziny. O realizmie krytycznym mówi się od świtu do wieczora, a jaki pożytek ma z tego poeta? Czy realizm krytyczny wydał w poezji jakieś naprawdę cenne, wartościowe utwory? Nie zauważyłem tego ani u nas ani gdzie indziej. Cenne, wartościowe utwory owego czasu wyrastają w nurcie demokratyczno - rewolucyjnym, z ideologii antyfeudalnej rewolucji chłopskiej. Na tym polega wartość Konopnickiej.

Dla realizmu socjalistycznego w naszej poezji wielkie znaczenie ma dziedzictwo realizmu renesansowego, oświeceniowego i romantycznego, wydaje mi się, że krytyczne ujęcie tego dziedzictwa stanowić powinno podstawę naszej narodowej tradycji w poezji. Nie możemy czekać, aż badacze literatury zanalizują nam cechy tych realizmów, bo właściwie zrealizować można je dopiero w świetle naszej, socjalistycznej praktyki.

Podałem przykład z Mickiewicza. Fakt, że skupienie się na wybranych rysach postaci może uchodzić za cechę realizmu romantycznego nie przeczy faktowi, że w drobnym utworze poeta nie może postąpić inaczej. Na tym polega trwała wartość doświadczenia romantyków. W ogóle poeta, poza wielką epiką, może dać tylko najgłówniejsze rysy człowieka, najgłówniejsze rysy konfliktu, a wszystko to musi być typowe. Nie może pomnażać rysów, ni

może rozszerzać obrazu człowieka. Na czym więc polega to, że prawdziwy poeta nie wpada w martwotę? Otóż poeta może pogłębić te wybrane, główne, typowe rysy, jak nie może tego zrobić prozaik. Liryk może je tak pogłębić, jak nie zrobi tego epik. Bo od czego jest specyficzne zagęszczenie środków stylistycznych w poezji, od czego obraz, metafora, od czego — w pewnych wypadkach — liryczne przymierze z przyrodą? Oczywiście — nie metafora w bezdusznym stylu futurystyczno-urbanistycznym; oczywiście — przyroda nie w postaci imażynistycznych grymasów. Obrazowanie oparte na rzetelnej obserwacji życia, na wiedzy o świecie, obrazowanie nie wrażeniowe, ale moralne, bo taki charakter ma obrazowanie u ludu i u wielkich klasyków wszystkich narodów świata.

Nie przykładajmy więc do wierszy kryteriów powieściowych. Nie mówmy o „wyraźnie narysowanych ludziach", o „psychologicznych sylwetkach", badajmy natomiast, czy wszystkie czynniki są podporządkowane głównej treści, przedstawianej sytuacji psychicznej, czy są tam rzeczy zbyteczne.

Jak powiadają, w poezji nie powinno być ani jednego zbytecznego słowa. W istocie idzie o specyficzne zagęszczenie treści i stylu. Jestem głęboko przekonany, że takie postawienie sprawy pomoże poetom osiągnąć dojrzałe artystycznie utwory, w których znajdą odbicie typowe sytuacje, typowe konflikty naszego okresu, okresu budowy podstaw socjalizmu. Nawet w małych utworach może być wygrana wielka szansa.

Słuszne jest zachęcanie poetów do wielkiego oddechu, do większych utworów. Zarówno w liryce jak w epice. Ale trzeba te rodzaje rozróżniać na zdrowy rozum. Tymczasem powstało dzikie zamieszanie, bo jakoś panuje u nas mania przeciwstawiania rzeczy, które mogą żyć i rozwijać się obok siebie w kulturze socjalistycznej. Zamiast teorii bogacenia gatunków zubożałych w kulturze burżuazyjnej, mamy teorię konkurencji i pożerania się gatunków. Teoria ta jest całkowicie zgodna z praktyką społeczną burżuazji i jej estetyką, tylko że przenicowana. Podobno pewien krytyk nawet postawił tezę: liryka jest szkodliwa i reakcyjna, bo przeszkadza odrodzić się epice. *Si non e vero e bene trovato.*

Epika to wielka rzecz, ale nie samą epiką żyje człowiek socjalizmu. Majakowski nie był epikiem, a jednak był największym poetą naszej epoki. Niestety spekulacje teoretyczne nie liczą się z faktami. Ktoś wyczytał w jakiejś starej czcigodnej poetyce, że epos jest wyższym gatunkiem niż liryka, a że w przyrodzie wyższe gatunki wywodzą się z niższych, więc epika ma się zrodzić z liryki. Epika daje obraz ludzi w działaniu, w rozwoju, akcję, szerokie tło — a więc epika jest bardziej realistyczna. A więc droga do realizmu — to droga od liryki do epiki. Rozumowanie na pozór logiczne, w istocie niedorzeczne.

Wiadomo, że wielu dojrzałych poetów próbowało przejść od liryki do epiki. Niestety, nie udawało się — co wtedy robili? Wracali do metod lirycznych, przerabiali materiał na szereg wierszy lirycznych. Przejście od liryki do epiki musi być aktem świadomej decyzji artystycznej, zmiana metody odbywa się w świadomości poety a nie w utworze. Na szczeblu naszej kultury nie może to być procesem żywiołowym. Wynika to z prostego faktu, że liryka jest dojrzałym artystycznie gatunkiem poezji, który ma wszelkie dane dalszego rozwoju.

W ogóle chciałbym zauważyć, że nasi krytycy i teoretycy za bardzo przejmują się dociekaniami badaczy na temat zmian i awansu poszczególnych gatunków w okresie rewolucji burżuazyjnej, nie uwzględniając jakościowej różnicy

między rewolucją burżuazyjną a naszą. Analogie te w gruncie rzeczy przedłużają żywot teoriom „krzyżowania" gatunków, teoriom wybuchów i innym ekspresjonistycznym wymysłom na terenie poezji *).

Te wymysły niekoniecznie występują na szczeblu świadomej teorii, na szczeblu teoretycznie sformułowanej poetyki. Występują w praktyce niektórych poetów, którzy w ten sposób traktują poezję. Trzeba je wyłuskać, aby pomóc do ich pokonania.

Z rozbicia liryki nie rodzi się żadna epika. Jeśli kto traktuje lirykę jako plazmę bez żadnej organizacji, jeśli nie odróżnia uczciwie opracowanego utworu od plazmy, to oczywiście łatwo mu takie teorie wymyślać. W takiej atmosferze żywe ambicje poetyckie schodzą na manowce. Powstają utwory nieszczęśliwie poronione. Nie wiadomo dlaczego uchodzą za zwiastuny nowej epiki utwory, których jedyną zaletą jest to, że zawierają kilka niezłych partii lirycznych. Gdyby nie wmawiano w poetów, że przejdą tą drogą do epiki, to oczywiście osiągnęliby lepsze wyniki w liryce socjalistycznej.

Gdyby było to tylko kwestią niedojrzałości artystycznej, nie byłoby zagadnienia. Niedojrzałość łączy się u nas ze szczególnymi objawami, o których warto generalnie pomówić.

Antoni Słonimski słusznie zauważył: przyzwyczajono się u nas do tego, że poezja może być niedorzeczna, że zdania mogą się urywać w połowie. Zamiast ludzkiej mowy można popisywać się brzuchomówstwem. Niewątpliwie stępiała wrażliwość redaktorów. Słonimski wyróżnił T w ó r c z o ś ć, ale przeglądając numery tego miesięcznika można zauważyć i tu sporo brzuchomówstwa mimo selekcji materiału. Wszyscy chyba zdają sobie z tego sprawę, że tak dłużej być nie może. Trzeba przywrócić szacunek dla czytelnika. Drukowanie takich utworów jest objawem oderwania się od czytelnika, lekceważenia jego potrzeb kulturalnych. W imię czego doszliśmy do takiego lekceważenia czytelników, rozsądku i języka?

Niewątpliwie chciano zachęcić i ośmielić niedojrzałe jeszcze talenty. Czy takie bezkrytyczne drukowanie niedorzeczności jest właściwą polityką nawet w stosunku do niedojrzałych talentów? Wynik jest taki, że niektórzy od wielu lat piszą niektóre utwory niepojętym językiem, a krytyka traktuje ich poważnie.

Sporo jest zwyczajnego niechlujstwa, to prawda, ale zwyczajne niechlujstwo otrzymuje rozgrzeszenie w atmosferze nadzwyczajnego stosunku do słowa i do artyzmu. Dlaczego za czasów Mickiewicza niedojrzałość objawiała się w diabelnie logicznych i arcynudnych wierszach pisanych według poetyki pseudoklasycznej, a dzisiaj objawia się w postaci niedorzeczności? Czy dlatego, że utorowaliśmy drogę ideom socjalistycznym? Czy idee socjalizmu powodują aż taki kataklizm w ludzkiej mowie, że trzeba zaczynać od nieludzkiego wolapiku? Nic podobnego. Po prostu dlatego, że nie zwalczyliśmy pozostałości po gnilnym okresie kultury burżuazyjnej. Konsekwencja jest taka, że zdrowe, ideowe pędy, ambitne próby podjęcia tematyki dzisiejszej często grzęzną w fałszywej poetyce i zamiast pożytku przynoszą szkodę.

Po pierwsze mamy reperkusje rozkładu poezji przez poetyki ekpresjonistyczno-formalistyczne. Szczególną rolę odegrał ekspresjonizm, który próbował zastąpić wątek myślowo-uczuciowy wybuchami, dynamiką skoków myślowych.

Po drugie — oderwanie się od pod-

*) Analogiczna teoria „krzyżowania" gatunków w prozie została u nas zwalczona jeszcze przed rozwinięciem postulatów realizmu socjalistycznego. Za dokument historyczny może posłużyć mój artykuł P r o z a a m o r f i c z n a przedrukowany w zbiorze essayów W s t r o n ę h u m a n i z m u 1949.

staw tradycji poetyckiej, po trzecie — fałszywa ambicja, aby stworzyć w nowej poezji nowy gatunek. Łączy się to z ambicją formalistycznie pojmowanej oryginalności.

Tu chciałbym zapytać (chociaż będzie to rozważanie ogólnikowe, ale może w jakiś sposób okaże się pożyteczne), chciałbym zapytać, jakie kryterium odpowiada realizmowi, kryterium oryginalności czy trafności? Jeżeli powiadamy, że obraz poetycki czy metafora jest trafna, to odwołujemy się do społecznego doświadczenia, postulujemy charakter poznawczy sztuki. Obraz trafny harmonizuje z wątkiem myślowo-uczuciowym i równocześnie bogaci naszą wiedzę. Obraz trafny — to znaczy siła konkretności i siła uogólnienia. Obraz trafny opiera się na doświadczeniu przeszłości i równocześnie coś do niego dodaje.

Oryginalność jest cechą trafności. Pisać rzeczy trafne a oryginalne — oto jest sztuka. Pojęcie oryginalności było znane również Mickiewiczowi, ale Mickiewicz inaczej to rozumiał, niż schyłkowa kultura burżuazyjna, która pozbawiła poezję kryteriów ideowych i poznawczych, oderwała pojęcie oryginalności i zrobiła z tego samoistną wartość. Tak powstało formalistyczne pojęcie oryginalności. To pojęcie pokutuje w naszym środowisku, w naszej krytyce i wywiera fatalny wpływ na nowe talenty.

Podam krańcowy przykład, krańcowy, ale typowy. Krytyk wybiera z utworu młodego poety rażące wypryski tej fałszywej, sztucznej oryginalności. Jeżeli je wytknie, to niektórzy zawołają: nie niszczcie młodych talentów! Niesłusznie, bo tylko tak można pomóc prawdziwemu talentowi. Ale krytyk nie wytyka — on je zachwala. Powiada, że odkrywczą metaforą jest zdanie: „Żeby liczby Sześcioletniego nieść pod sercem, hodować w mięśniach". Mnie to raczej przypomina eksperymenty z instytutu bakteriologicznego. Albo: „Czujniej, towarzysze, czujniej dotrzymujmy epoce kroku i pod skórą legitymacji trzeba umieć wymacać wrogów". Ten nieskoordynowany zlepek haseł z dziwaczną metaforą krytyk zachwala jako typowy i zarazem symboliczny. Otóż poeta, o którym mowa, obecnie nabył już takiej świadomości artystycznej, że więcej się na takie pochwały nabrać nie da, ale co zrobić z młodym krytykiem? Nie jest to wcale sprawa personalna.

Istnieją u nas elementy fałszywej, pretensjonalnej poetyki, która wyrządza ogromne szkody sprawie realizmu. Tylko ślepi mogą tego nie widzieć. Ta poetyka jest agresywna. Wystarczy wskazać fakt, że u młodego poety Gaworskiego nie było jej wcale dwa lata temu, a dzisiaj zjawiają się wycudaczone, pokręcone obrazy. Podobne naloty widać i u początkującej młodzieży.

Wydaje się u nas antologie. Antologia to nie tom debiutanta w niedużej ilości egzemplarzy. Antologia to wybór utworów wartościowych. Rzecz jasna, że mogą być wiersze lepsze i gorsze, wybitne i blade, ale w antologiach obok tych wierszy normalnych raz po raz zjawia się wolapik.

Nie przypuszczam, aby redaktorzy czy pracownicy naszych wydawnictw drukowali to z lekkim sercem, ale ta poetyka była tak agresywna, że musieli ustępować. Raz coś tam zakwestionowano w wierszu Andrzeja Brauna i ten ogłosił artykuł, w którym wszystkich pracowników wszystkich wydawnictw w czambuł potępił: uznał, za niekompetentnych. Bynajmniej nie mam zamiaru zwalczać Andrzeja Brauna, który stał się głównym ogniwem w tej smutnej sprawie, głównym rozsadnikiem tej poetyki. Przeciwnie, chciałbym obronić Brauna przed Braunem.

Kto z dobrą wolą przyjrzy się wierszom Brauna, ten znajdzie kilka utwo-

rów pisanych normalnie, kilka liryków politycznych, może jeszcze nie przejaśnionych stylistycznie, ale świadczących o wrażliwości artystycznej. Nawet w najbardziej zagmatwanych utworach można znaleźć taką oto strofę zakończoną trafnym obrazem poetyckim, trafną refleksją:

W progach domów drzemały matki,
a szczególnie w pamięć mi zapadł
Widok dzieci na piaskownicach i
niemowląt karmionych na przyzbie.
Dziewczynka, jak z cynamonu, niosła
w płachcie młodszego brata
Cyganięta, dzieci bezdomne, osiedliły
się w socjalizmie.

W tym samym utworze, tuż obok, znajdziemy jakiś dziwaczny czterowiersz, mimowolną karykaturę naszych zagadnień:

Surowy był kolektyw. Zakwitała
czerwienią Zosia
i dojrzewała szybciej, podobna
polnej różyczce.
To w własnym mieście kipiała
dyskusja głośna
o moralności socjalistycznej.

Napisawszy ten czterowiersz, autor w ogóle nie wraca do tej sprawy. Sytuacja trochę żenująca, ale po prostu autor nie wie, co zrobić z tym tematem.

Po przeczytaniu wszystkich wierszy Brauna dochodzę do przekonania, że autor ma szczerą ochotę wgryźć się w konkretne zagadnienia budowy socjalizmu, ale nie wie, jak do tego podejść artystycznie. Chcąc osiągnąć sugestywność wypowiedzi, wykręca normalną mowę, wymyśla sztuczne zwroty, gromadzi chimeryczne metafory, wpada w jakąś nieludzką mowę, w niezrozumiały wolapik.

Wiadomo, że świat rzeczy martwych łatwiej się tym operacjom poddaje. Człowiek i jego działalność, w tym wypadku działalność produkcyjna, stawia o wiele większy opór. Wtedy nie rodzą się już chimeryczne metafory, ale powstaje faktografia — egzaltowana, rozjątrzona — niestety, artystycznie bezsilna.

Wiersz, który stał się przyczyną napaści Brauna na pracowników wydawnictw, Zakłady Chemiczne w Dworach:

Noc pulsująca w gąszczu rurociągów,
wież, kominów i pieców, wygiętych
jak kolana,
przetwarzała się w płyny, gdy oczy
śledziły ciągle
znużony ruch zegarów niespokojnych
od wieczora do rana.
Czaiły się wybuchy w czarodziejskim
procesie syntezy,
uruchomiona fabryka żyła już jak
organizm
i krążyła benzyna bez przerwy, i rodziła
się jak ze słów poezji
z ilości nowa jakość, w rurociągach
osnutych dymami.
(Po tym jest tak:)
...I powlokło auto przez teren inżynierskie zmęczenie.
Przeleciały jak widmo kilometry
zakładów,
rusztowania suwnic otwierały się
w pisku opon.
I ganiło dyżurnego spojrzenie i bladość:
„jak wy piszecie raport?... i cóż teraz...
kłopot...“

Kto kogo ganił? Nie wiadomo. Okazuje się, że pracownicy wydawnictwa znieśli wszystko, i to, że noc pulsowała w rurociągach, i przetwarza się w płyny, i to, że w rurociągach rodziła się z ilości nowa jakość, i że auto powlokło zmęczenie. Nagle pokłócili się o „widmo“. Przypuszczam, że widmo wydało im się czymś urągliwym. Pracownicy wydawnictw nie są od tego, żeby samodzielnie mogli zwalczać antyrealistyczną poetykę, tę poetykę, która opanowała Brauna. Gdyby nasi młodzi krytycy przeczytali wiersze naszych futurystów i urbanistów z lat 1918—22,

przekonaliby się, że to ta sama poetyka, ale w karykaturze.

Autor uwierzył w formalistyczną teorię „innej, osobliwej mowy w poezji" i mimo woli doprowadził ją do śmieszności. Nie może być inaczej, bo koncepcja „innej, osobliwej mowy" może łudzić poetę, dopóki ten zajmuje się niesprawdzalnymi doznaniami zmysłów, ale w zetknięciu z realnym światem obnaża się w całej jaskrawości antyrealistyczny charakter tej koncepcji i realny świat przybiera chimeryczne kształty. W konsekwencji niektóre wiersze Brauna stają się nieczytelne. Nie zdając sobie sprawy z tej fałszywej poetyki, poeta marnuje swoje siły, swoje szczere dążenia do rangi poety socjalistycznego. Pocieszające jest jednak to, że pod naciskiem świadomości ideowej wykluwają się strofy i całe utwory pisane czytelnym językiem. Cóż tu można poradzić? Trzeba sobie życzyć, aby i ten drugi Braun, piszący czytelnie, popróbował swoich sił w tematyce budowy socjalizmu, natomiast faktografia ozdobiona fałszywą poetyką, metaforycznym wolapikiem, dopóki znajduje poparcie, choćby tylko mimowolne, u życzliwych krytyków, dopóty wywiera wpływ na innych młodych poetów i zniechęca czytelnika do tematyki współczesnej w poezji.

Wydaje mi się, że w imię elementarnego szacunku dla czytelnika trzeba skończyć z drukowaniem wolapiku, bez względu na to, czy tematem wolapiku jest fabryka czy przyroda. Przyroda również zasługuje na szacunek. Wydaje mi się, że trzeba zwalczać formalistyczne pojęcie oryginalności, które prowadzi do wcale nieoryginalnych i niesłychanie nudnych wyskoków, zwalczać grymasy futurystyczno-urbanistycznej i wszelkiej innej poetyki okresu imperialistycznego. Z całą ostrością trzeba zwalczać formalistyczną recepcję wielkiej poezji Majakowskiego, tę recepcję, która nie dostrzega ewolucji Majakowskiego, ani jego pracy nad kompozycją utworu w zależności od treści, ani pracy nad przeprowadzeniem procesu myślowo-uczuciowego przez utwór, a tylko formalistycznie podchwytuje poszczególne zwroty, obrazy, przenosi je ni w pięć ni w dziewięć do innego kontekstu. Trzeba pomóc tym poetom, którzy w mniejszym lub większym stopniu podlegali błędnym koncepcjom, aby się z nich otrząsnęli.

Użyłem tu określenia: faktografia. Mam na myśli fakty w stanie surowej dokumentacji. Z tej surowej dokumentacji *ad oculos*, z obserwowanych zjawisk — poeta wybiera to, co gwarantuje mu siłę uogólnienia. Jeżeli ktoś nie dokonuje tego wyboru, nie stara się wyzwolić z tematu siły uogólnienia, a poprzestaje na surowej dokumentacji, starając się ją rozjątrzyć, rozegzaltować, przyozdobić w chimeryczne grymasy, to znaczy, że wybrał drogę niesłuszną, nierealistyczną. Trzeba go z tej drogi sprowadzić.

Poetyka wyrasta z ideologii i spełnia funkcje ideologiczne. Czy poeta szczerze i gorąco wyznający idee budowy socjalizmu, najbardziej postępowe idee naszej epoki, może poddawać się błędnej poetyce? Oczywiście może, dopóki nie zdaje sobie sprawy z jej funkcji ideologicznej. Błędna poetyka sygnalizuje czytelnikom jakieś mankamenty ideologiczne, których określić nie potrafimy i wcale nie mamy potrzeby określać. Zwalczając błędną poetykę, dopomagamy poecie do pełniejszego rozbudowania swojej świadomości ideologicznej. Możemy się domyślać, że te mankamenty dotyczą humanistycznej strony jego ideologii, że ta poetyka odbiera poecie możliwość rozmaitych tonacji, o których mówiłem, ogranicza i wypacza jego humanizm, jego dążenia realistyczne.

O błędnej poetyce możemy mówić,

kiedy mamy bardzo wyraźne dowody bezsilności artystycznej. Jeżeli zaczniemy tropić każdą metaforę z oddzielna, każdy obraz, każdy zwrot i wołać, że to jest realizm, a to nie jest realizm, to zagubimy sprawę i będzie to dzień triumfu scholastyki.

Nie ma recepty na poezję. Wszelkie recepty prowadzą do nieporozumień. Nie ma abstrakcyjnej nauki o artyzmie, o środkach artystycznych, ponieważ zawsze idzie o konkretne ich zastosowanie. Sens ich zmienia się w zależności od treści. Umiejętny dobór tradycji, umiejętne wyciąganie z niej wniosków teoretycznych daje nam tylko ogólną dyrektywę. Zdobycie pełniejszej wiedzy przejawia się w zdobyciu kultury poetyckiej. Jest to wiedza praktyczna, umiejętność, którą poeta musi zdobyć nieustanną pracą nad sobą, stroniąc od powierzchownej ogłady, od bezdusznego rzemiosła. Bez intensywnego widzenia i odczuwania, bez żywej obserwacji i samodzielnej zdolności do uogólniania, każda kultura poetycka zmienia się w martwy estetyczny schemat. Dusza poety staje się podobna do drugiego żołądka krowy, do tego żołądka, który przeżuwa przeżute. Sądzę, że nie o taką kulturę walczymy.

Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że w naszej epoce, w naszej poezji lirycznej wysuwamy na czoło tematykę polityczną i tematykę budownictwa socjalistycznego. Formujący się naród socjalistyczny ma przy tym prawo do obejmowania swą kulturą wszystkich dziedzin życia człowieka, także więc życia miłosnego i rodzinnego.

W związku z tym zaczyna się mówić teoretycznie o liryce „osobistej". Biorę to określenie w cudzysłów, bo widzę duże niebezpieczeństwo wynikające z samego określenia. Społeczeństwo kapitalistyczne wprowadziło rozgraniczenie życia na sferę polityczno-społeczną, i prywatną, osobistą. Nastąpiła w kulturze całkowita separacja tych dwóch sfer. Obawiam się, aby wraz z określeniem liryka „osobista" nie wytworzyła się separacja ideologiczna tych dwóch sfer, naturalistyczne traktowanie liryki miłosnej czy innej.

Mógłby kto zapytać, czemu poeta nie ma uwzględniać nieszczęśliwej miłości skoro jest to zjawisko dość częste, zwłaszcza w młodym wieku. Skoro wyodrębniamy sferę osobistą, to częstotliwość statystyczna może się stać miernikiem typowości uczuć. Uczucia miłosne mają charakter prywatny, ale poezja ma charakter ideologiczny. Ideologia zawsze wyznaczała typ przeżycia miłosnego w liryce, dobór motywów miłosnych. Burżuazja odcięła sferę osobistą, ale właśnie w liryce miłosnej, u schyłku kultury burżuazyjnej najgwałtowniej rozwijały się wszelkie mity biologiczne mistycyzmy, nastrojowości, stylizacje szalały egocentryczne i subiektywistyczne grymasy. A równocześnie na odcinku liryki miłosnej najuporczywiej utrzymuje się w naszym środowisku literackim świadoma albo nieświadoma teoria „jednolitego potoku". Można na to dostarczyć wiele dowodów. I zaczniemy lać się na nas potok z młodopolskie rynny, a wczorajsi odkrywcy nieistniejącej epiki zaczną wołać: nareszcie liryka socjalistyczna!

Uczucia człowieka socjalizmu są inne niż u dawnych ludzi ,ale są to przecież uczucia powszechne, ludowe i powinny mieć odpowiedni wyraz. W liryce tzw. „sfery uczuć prywatnych" mamy wielowiekowe piękne doświadczenia. Licząc wstecz, mamy lirykę miłosną romantyków, pewien wyselekcjonowany zasób liryki sentymentalizmu, lirykę renesansową Kochanowskiego. Mimo wielkiej odległości w czasie i odległości cywilizacyjnej tradycja liryki Kochanowskiego może nam dać niejedną dyrektywę. Właśnie na nią, a nie na lirykę późniejszą, powinniśmy zwrócić spoj

rzenie, na jej ludową konkretyzację uczuć, na jej stosunek do przyrody, na realistyczną obserwację, ścisłą a nie gubiącą się w szczegółach przypadkowych, na zawartą w niej siłę uogólnienia, na prostotę i trafność wypowiedzi. Dobrze rozumiany Kochanowski jest dla nas wielką szkołą realizmu w liryce. Ale nie można dobrze rozumieć Kochanowskiego i cenić go naprawdę, dopóki ceni się lirykę antyrealistyczną, czy to młodopolską, czy jakąś parnasistowską. Kto naprawdę czyta Kochanowskiego z satysfakcją, ten nie może wzruszać się liryką Tetmajera.

Pierwsze próby poezji małżeńskiej przejęły mnie niepokojem. Poeci zaczęli tłumaczyć swoim żonom, rzeczywistym czy urojonym, że nie trzeba poddawać się trudnościom, które wyłaniają się w walce o budowę socjalizmu. Kobieta poddaje się przygnębieniu, mężczyzna ją pokrzepia. Jestem przekonany, że gdyby któraś poetka napisała taki sam wiersz z odwróconymi rolami, to żadna redakcja nie zechciałaby jej tego zamieścić. Co wolno mężczyźnie, tego nie wolno kobiecie. Tak wygląda awans kobiety w nowej interpretacji lirycznej.

Tymczasem jednym z najistotniejszych motywów, które zmieniają stosunki w tzw. sferze prywatnej, które zmieniają zabarwienie uczuć miłosnych i rodzinnych, jest awans społeczny kobiety, tak samo jak zmiana perspektyw życia młodzieży robotniczej i chłopskiej. Sądzę, że tu jest istotne, ideologiczne źródło liryki socjalistycznej. Poeta stojący na oddalonej pozycji życzliwego inteligenta będzie opisywał zmiany, więcej czerpiąc z teorii niż z obserwacji. Liryk socjalistyczny będzie wyrażał uczucia miłosne i rodzinne w nowym zabarwieniu, nie przechwalając się zmianami, o których wie z teorii.

Są motywy liryczne, są uczucia wypowiedziane bardzo dawno, które jednak dopiero w naszym społeczeństwie nabierają charakteru powszechnego. Niedawno czytałem wiersz miłosny dzisiejszego poety, który mówi o ukochanej o swojej gotowości obrony kraju. Był to wzruszający wiersz patriotyczny. Ale jest jeszcze druga strona tego powszechnego uczucia. Tę stronę znalazłem w wierszu pisanym czterysta lat temu. Czterysta lat temu był to tylko pewien odcień uczucia, który dziś dopiero nabiera socjalistycznej typowości. Jest w nich to „mięso" poetyckie, ta plastyka uczuć i ludowego wysłowienia, które przemawia do narodu mimo odległości języka i odległości cywilizacyjnej. Dziewczyna mówi do chłopca:

„Bodaj wszystkich mąk skosztował,
Kto naprzód wojsko szykował
I wynalazł swoją głową
Strzelbę srogą, piorunową.
Przynajmniej, by mi w potrzebie
Wolno stanąć wedle ciebie,
Przywykłabych i ja zbroi
Bodaj przepadł, kto się boi".

Te stare strofy wyrażają uczucia nowej młodzieży. Nie można naśladować Kochanowskiego, bo byłoby to niesłychanie śmieszne, ale jest czego się uczyć.

Adam Ważyk

REZOLUCJA

Po zapoznaniu się z treścią referatu O niektórych zagadnieniach tematyki współczesnej w naszej prozie 1950—1952 oraz po wysłuchaniu dyskusji — IV rozszerzone Plenum Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich stwierdza, co następuje:

Mimo poważnych osiągnięć naszych prozaików, poetów i dramaturgów trzeba stwierdzić fakt nienadążania naszej literatury za nurtem życia, niepełnego

i niedostatecznego odzwierciedlania w utworach naszych pisarzy obrazów budownictwa socjalizmu w Polsce Ludowej, zwycięstw i osiągnięć przodujących ludzi naszej Ojczyzny.

Wiele utworów cechuje niewysoki poziom artystyczny, płytkość w przedstawianiu bogactwa naszego życia, niskie napięcie ideowe. Dziesiątki ważkich tematów, problemów, konfliktów i spraw ludzkich, w które odfituje życie, są przez pisarzy niezauważone, pomijane.

Źródło nienadążania naszej literatury za wartkim tempem socjalistycznego budownictwa należy upatrywać w niepełnym, niecałkowicie dojrzałym zrozumieniu i wyczuciu tego wszystkiego, co zachodzi dookoła nas, w niedostatecznym zrozumieniu sensu walki, która się toczy, form tej walki w aspekcie ludzkim losów, ludzkich przeżyć, ludzkich przeobrażeń. Wielu pisarzy w powierzchowny sposób poznaje naszą rzeczywistość i w niedostateczny, powolny sposób podwyższa swój kunszt pisarski. Należy również zanotować fakt, że przeważająca część utworów o współczesnej tematyce pisana jest przez ludzi o zbyt małym doświadczeniu życiowym.

Jednocześnie można zaobserwować przykłady odchodzenia pisarzy od trudnej tematyki, odzwierciedlającej budowę socjalizmu. Należy zaznaczyć z całym naciskiem, że mimo wielkiej wagi, j-ką przywiązujemy do utworów odzwierciedlających wspaniałą przeszłość naszego narodu i jego wielkich synów — w żadnym wypadku ta dziedzina naszego pisarstwa nie może zastąpić utworów o tematyce współczesnej, nie może stać się powodem zmniejszania się naszych zainteresowań tematyką budownictwa socjalizmu.

IV rozszerzone Plenum ZG ZLP stwierdza z całą ostrością, że centrum zainteresowań naszych poetów, satyryków, dramaturgów, prozaików oraz pisarzy dla dzieci i młodzieży — powinn stanowić życie naszego narodu w cię kim trudzie wznoszącego wielkie bu dowle Planu 6-letniego, narodu prz kształcającego się w naród socjalistyc ny.

Dlatego — biorąc pod uwagę znacz nie literatury w dziele kształtowan świadomości narodowej i w dziele w chowania młodzieży — najtrudniejs i najbardziej odpowiedzialne zadan spadają na literatów pracujących n utworami o tematyce budownictwa s cjalizmu i obronności kraju.

Celem poprawy sytuacji w literat rze współczesnej, podniesienia jej wyższy poziom ideowo-satyryczny, n leży:

- znacznie rozszerzyć krąg pisar podejmujących tematy naszej współcz sności, szczególnie apelując do mistrz naszej prozy, poezji i dramatu o żyws i czynniejszy udział w kształtowan realizmu socjalistycznego w literatu polskiej.

b. szczególną opieką otoczyć pisar pracujących nad utworami przedstaw jącymi budowę socjalizmu w nasz kraju,

c. odrodzić i wzmocnić akcję wyj dów w teren, udzielania stypendiów wyjazdy, przy jednoczesnym zaprow dzeniu dokładnej kontroli rezultat twórczych tych wyjazdów,

d. polecić Zarządowi Głównemu st i systematyczną kontrolę wykonania uchwały,

e. biorąc pod uwagę szczególnie tr ną sytuację w literaturze dla dziec młodzieży polecić innym sekcjom, udzielały pomocy sekcji literatury d cięcej i młodzieżowej,

f. celem pogłębienia pracy sek twórczych — zapraszać systematycz na zebrania przodujących robotnik chłopów i inteligentów pracując stale podnosić poziom pracy ideo

politycznej w sekcjach — za ten punkt uchwały czyniąc szczególnie odpowiedzialnymi przewodniczących sekcji prozy, poezji i dramatu,

g. wezwać wydawnictwa, Centralny Zarząd Teatrów oraz inne instytucje do zwrócenia szczególnej uwagi na twórczość o tematyce budowy socjalizmu i obronności kraju. Należy inspirować autorów do twórczości o tej tematyce, dopomagać im dokumentacją, pracować starannie nad utworami, ustrzegając się od pochopnego ich dyskwalifikowania,

h. wezwać Dom Książki, Centralny Zarząd Bibliotek oraz CRZZ i ZSCH — do śmiałej popularyzacji literatury współczesnej, która bardzo często na skutek nie zawsze sprawnej działalności wymienionych instytucji — do masowego czytelnika nie dociera.

ZIEMIO MOJA JESTEM CÓRKĄ TWOJĄ

(Phuw miri, me som czhaj tiri)

Ziemio moja i leśna,
Jestem córką twoją.
Lasy śpiewają, ziemia śpiewa,
Woda i ja składamy śpiew
W jedną cygańską piosenkę.

Pójdę w góry, góry wysokie,
Przywdzieję spódnicę piękną i wspaniałą,
Z kwiatów uszytą,
I będę wołać, co mam sił o Polsce,
O mojej białej i czerwonej.

Nikt mi cię, ziemio, nie odbierze,
Ziemio czarnych lasów,
Dobrych serc — i moja.
Jestem córką twoją.

Ziemio, w ciebie mocno wierzę,
Wszystko, co rośnie na tobie i żyje,
Wszystko ukochałam.

Ziemio, co blaskami bijesz w słońce,
Jakbyś ze złota była,
Ziemio czarnoleśna i moja,
Matko wszystkich i moja,
Matko bogata i piękna,
Za twoją pieśnią
Ginie moje czarne serce.

Ziemio, twoje pola zżęte
Wyglądają w słońcu
Jakby ze złota były.
Ziemio, gdzie z wiatrami
Piorun się bije
Jak pieśni w moim sercu,
Młot uderza w kamień
I staje się wielkie światło.

Ziemio moja, tyś piękna,
Tobie się przypatrują
Nocami wielkie gwiazdy,
Po nocach jak dziewczyny gwarzą.

Ziemio moja, byłaś we łzach,
Bólem przebita,
Ziemio, ty we śnie nawet płakałaś
Jak małe cyganiątko
Schowane we mchu.

Ziemio, przepraszam ciebie
Za moje niedobre pieśni,
Za znaki cygańskie.*)
Złóż moje ciało razem z twoim,
Gdy już po wszystkim umrę,
Przyjmij mnie.
Żyjemy razem z sobą.

Pójdę ja w góry,
W góry wysokie
I krzyknę z całych sił,
Zaśpiewam pieśń cygańską,
Przywdzieję spódnicę czerwoną i białą.
Niechby umarło moje biedne, czarne serce
Za moją ziemię i mój kraj!...

Ziemio moja i czarnoleśna
Tyś wszystko wydała, co jest na tobie
Ty piękna, bogata,
Ty na słoneczne ciepło czekasz
Jak czarna narzeczona.

Złote słońce jak piękny oblubieniec
Zakochało się w czarnym ciele ziemi.
Ona go obejmuje, pięknie całuje
I czeka oto, aż matką zostanie.

Ziemio, ty światłami
Daleko biegniesz w świat.
Wielką prowadzisz pracę
W tym czasie dobrym.
Pieśń moja biegnie do ciebie
Jak serce do ukochanej.

---

*) „znak cygański" — ś p e r a — pleciona słoma, wiązane gałązki, kości, nacięcia na korze drzewa. Są to wszystko ślady, jakie Cyganie pozostawiają u rozstajnych dróg, na leśnych miejscach postoju itp. dla zorientowania swoich współplemieńców o szlakach dogodnych wędrówek, a także o okolicach podatnych na „cygańskie praktyki" (obj. tłum.).

Ziemio polska, leśna!
Ja na tobie wyrosłam,
W twoim mchu się urodziłam,
Jakie tylko są żyjątka,
Wszystkie gryzły moje młode ciało.
Ziemio, jak mnie twoje łzy i pieśni
Do snu układały!
Ziemio, jak mnie w nieszczęście
I w dobro rzucałaś!
Jak daleko sięgnąć okiem
Twoją pracę widać w świecie.

Ziemio czarnych lasów i bogatych pól,
Ty piękną zielenią pachniesz,
Na tobie ognie unoszą się w pracy,
Piece śpiewają i ty
Jak dziewczyna cygańska śpiewasz.

Ziemio, w ciebie mocno wierzę,
Za ciebie umrzeć bym mogła.
Nikt mi nie odbierze ciebie
I nikomu cię nie oddam !

Z cygańskiego przełożył **Jerzy Ficowski**

NAZIM HIKMET *Przełożyła* MAŁGORZATA ŁABĘCKA-KOECHEROWA

WSTĄPIENIE SUŁTANA NA TRON

Na tahcie jedwab z Bursy w rude, zielone gałęzie;
Na ścianie kutahijskie kafle, jak ogród błękitny;
Wino w srebrnych dzbanach,
Na półmiskach miedzianych — pieczone jagnięta.
Strzałą z cięciwy zabił rodzonego brata Mussę.
— Jakby krwią brata w złotej misie ręce płukał, —
Sułtan Czelebi Mehmet na tron był wstąpił i władał.
Czelebi władał był, lecz
W kraju Osmana
Wiatr wiał śmiertelne pieśni, szedł lament nieurodzaju.
„Światłością oczu wieśniaka" — Lenno,
Krwawym potem była Danina.
Bez wody rozbite dzbany.
U źródeł wód butni sipahi *) wąsa podkręcali.
Wędrowcze, na drogach słyszałeś krzyk
ziemi bez ludzi, ludzi bez ziemi — krzyk pomocy wzywający.
A podczas gdy spienione konie rżały, na krańcach dróg,
u twierdzy bram — miecze szczękały
i na bazarach każdy cech wiarę utracił w patrona.
Był bezład, lęk.
To znaczy: władyka był, był haracz, był wiatr.
Był lament, jęk.

PREHISTORIA

Z daleka przybywamy,
z dalekiej drogi...
Dźwięczy nam jeszcze w uszach
świst kamieni, wyrzuconych z procy,
szybkich jak błyskawica.
Idziemy drogą, która się w lasach zaczyna,
wśród gór, rubieży,
zasłanych kośćmi krwiożerczych zwierząt
tam, gdzie rżą dzikie ogiery.
I dziś i wówczas
woda, co w naszych manierkach bulgocze,
równie jest życiodajna
jak szerokie, napięte łono
młodej, ciężarnej matki.

---

*) sipahi — jeźdźcy Sułtana, dożywotni dzierżawcy lenn

Z daleka przybywamy...
Swąd spalonego mięsa
jeszcze się z butów naszych unosi.
Spłoszone
naszym marszem
krwawe lata ciemności
trwożą się i ulatują, jak skrzydlate stwory.
A w ciemnościach płonie
ognista strzała:
napięte ramię tego, który nam przewodzi!

Z daleka przybywamy,
z dalekiej drogi...
Nie zerwaliśmy więzów, łączących nas z przeszłością.
Dziś jeszcze
dziedzictwo nasze pamiętamy: —
nóż ciężko spadający na szyję Bedrettina. *)
Byliśmy z tymi, którzy krzyczeli najgłośniej
i wiemy
w imię jakiej miłości
włochate nasze piersi starły się z wojskiem sułtana.

Z daleka przybywamy...
W dłoniach niesiemy, jak żagiew płonącą,
jak glob wirujący — krągłą czaszkę
na stos skazanego Galijela.
Lecz teraz
na naszych orlich nosach
poczesne zajmują miejsce
jasne okulary z warsztatu Spinozy — materialisty.

Z daleka przybywamy,
z dalekiej drogi...
I dzisiaj
własne podpalając włosy
pożar wzniecimy pośród domu nocy.
Głowami własnych dzieci czarne przebijemy szyby!
Aby ci, którzy po nas przyjdą,
nie poprzez żelazne kraty
Lecz z wiszących ogrodów mogli podziwiać
wiosenne poranki i letnie wieczory...

---

*) Bedrettin z Simawny, koniec XIV, początek XV w. (wzrost feudalizmu — próby powstań ludowych). Głosił powszechną równość i idee wspólnej własności. Zgromadził uciskanych i zaczął zagrażać wojskom sułtańskim. Stracony w 1912.

PROMETEUSZ, NASZE FAJKI, RÓŻA, SŁOWIK I TEMU PODOBNE

Nie stroi się serc naszych potylica
w długie loki, tłuszczem trefione, nadobne.
Nudzą nas róże, słowiki, poświata księżyca,
dusza i temu podobne.

My teraz
nie przywiązujemy wagi do miłosnych przeżyć...
Możesz nam swoją żonę
bez obawy powierzyć.

Smętne jęki Prometeusza
nabiliśmy do swoich faj,
palimy je, jak tytoń grubo pokrojony.
Ramię w ramię z Wieżą Pożarów
patrzymy w dal,
liczymy, ile oczu płonie czerwonych.

W SPRAWIE DWUDZIESTEGO WIEKU

— „Zasnąć teraz,
Obudzić się, miły, za sto lat..."
— „Nie! Ja się swojego stulecia nie boję,
nie jestem dezerterem.

Mój wiek żałosny
wiek hańbą okryty.
Mój wiek odważny,
wielki,
bohaterski.

Nie narzekałem nigdy, że na świat przyszedłem zbyt wcześnie
Jestem człowiekiem dwudziestego wieku,
dumny jestem z tego.
Wystarczy mi, że stoję w jego szeregach,
po naszej stronie,
walczę o nowy, lepszy świat..."

— „Miły, za sto lat..."
— „Nie! Wcześniej. Wcześniej, wbrew wszystkiemu!
Dwudziesty wiek,
(noc moja straszna, gdy krzyków słuchałem do brzasku)
umierający rodzi się
i jego ostatnie piękne dni, które nam przyszłość niesie,
słoneczne będą, jasne,
jak twoje oczy, Hatcze..."

WRÓG

W Bursie wróg tkacza Redżeba,
w fabryce Karabuk — ślusarza Hassana wróg;
to biednej wieśniaczki Hatcze
i Sulejmana parobka — wróg;
To twój wróg, mój wróg,
wróg myślącego człowieka.

Ojczyzna jest domem ludzi
a oni, miła, ojczyzny są wrogami.
Wrogami nadziei są, miła,
wrogami życia,
które się bujnie i szczodrze rozwija,
strumieni płynących, owocowania drzew.
Bo śmierć odbiła im na czołach swoje piętno

— Zepsuty ząb, ścierwo gnijące —
Padną, przepadną, nie powrócą więcej!

A z rąk uściskiem, z radosnym klaskaniem,
w odświętnej sukni, robotniczą witana pieśnią,
w tym moim pięknym kraju, miła,
Wolność na pewno zagości!
Na pewno, miła moja. Na pewno.

Z tureckiego przełożyła
Małgorzata Łabęcka-Koecherowa

Ananiasz Zajączkowski

Awicenna jako poeta

Wykształcenie poety średniowiecznego Wschodu obejmowało nie tylko przedmioty „zawodowe", jak byśmy dziś powiedzieli, lecz również nauki ścisłe. Tak więc początkujący poeta musiał u wstępu do swej kariery literackiej nauczyć się na pamięć 20 tysięcy dwuwierszy poezji dawniejszej i 10 tysięcy dwuwierszy *(bajt)* poezji nowoczesnej. Oczywiście kolejno przerabiał studium metryki, rymowania i tzw. *ilm al-badi*, czyli nauki o figurach poetyckich, retoryki. Poza tymi zawodowymi przedmiotami poeta orientalny przerabiał wszystkie podówczas znane gałęzie nauk: filozofię, historię, medycynę, astronomię, alchemię.

Jak szeroki był zakres oddziaływania poezji w ówczesnym społeczeństwie orientalnym, może świadczyć fakt, przytoczony przez historyka perskiego Dżuwajniego (XIII w.). Oto w r. 1147, podczas oblężenia miasta Hazarasp przez wojska sułtana Sandżara, poeta Watwat znajdujący się w tym mieście i poeta Anwari ze świty seldżuckiego sułtana wymienili między sobą zjadliwe epigramaty (czterowiersze), wysłane przy użyciu strzały ponad murami oblężonego grodu (Gibb Memorial, XVI Tarikh-i-Jahan-Gusha, str. 8).

Tak więc poezja stać się mogła bronią polityczną, z której korzystał nieraz także Awicenna.

Rubajjaty czyli czterowiersze

Początki poezji zarówno perskiej jak starotadżyckiej zwykle się łączy z obszarem geograficznym Buchary oraz panowaniem dynastii Samanidów w X wieku. Nie przypadkiem tedy studium o pierwszym okresie powstania i rozwoju literatury perskiej nosi tytuł Poezja perska w Bucharze X wieku (Trudy Instit. Wostokowiedienije, X, Moskwa. 1935).

Nie gdzie indziej, tylko właśnie w Bucharze powstała tradycja, przypisywana założycielowi Islamu, Mohammedowi, który miał powiedzieć: „Uczeni mojej gminy są jak wieszcze izraelscy".

Rozpatrując powstawanie różnych rodzajów literackich, szczególnie form poetyckich na terenie Buchary w okresie Samanidów, prof. E. Berthels wysuwa dość duże trudności przy rozwiązaniu problemu, najbardziej tu nas interesującego — a dotyczącego formy czterowiersza, czyli tzw *ruba'i*. *Ruba'i* bowiem — jak stwierdza autor — jest najbardziej „lotną formą" poezji i nie ma pewności, do jakiego autora dany czterowiersz należy. Czterowiersze jak wiadomo nie posiadają tzw. *tahallus*, czyli imienia poety (jak np. *gazel*). Stąd się wywodzi problem autorstwa czterowierszy Omara Chajjama. Nie można jednak zaprzeczyć, że forma *ruba'i* jest starą formą, której zalążki można znaleźć nawet w epoce przed Islamem. Ten rodzaj poezji jest do dziś nader rozpowszechniony w Iranie w najszerszych masach ludowych i spełnia tam rolę rosyjskiej *czastuszki*.

We wniosku cytowany autor stwierdza: *Ruba'i* jeszcze się nie dostało (w epoce Samanidów) do środowiska dworskiego. Była to forma ludowa, przy czym nie istniały jeszcze warunki do infiltracji w sfery arystokratyczne.

Bliższe zapoznanie się z formą i techniką poetycką czterowierszy, *ruba'i*, nie pozostawia żadnych wątpliwości, że ro-

dzaj ten jak najbardziej odpowiadał umysłowości i filozofii rozumu Awicenny. Przypomnijmy sobie, jak określał czterowiersze perskie Tadeusz Kowalski: „Te małe poemaciki liczące zaledwie po kilkanaście wyrazów, a stanowiące każdy z osobna zwartą, zamkniętą w sobie całość, zbliżają się niemal do ideału, jeżeli idzie o stosunek środków ekspresji do osiągniętego wyniku artystycznego. W czterech krótkich wierszach zarysowuje się i wizja poetycka i związany z nią ściśle problem myślowy, który zasięgiem swoim obejmuje często cały wszechświat i całą treść ludzkiego istnienia. O taką oszczędność słów i rozwagę w ich doborze, a równocześnie prostotę i jasność wyrażania myśli niełatwo w literaturze światowej". (Szkice Na szlakach Islamu, str. 126).

Sięgnijmy z kolei do materiałów, do tekstów czterowierszy Awicenny. Nie zachowały się oczywiście żadne rękopisy, które by zawierały — modą orientalną — „dywan" czy zbiór wierszy myśliciela. Należało więc przeprowadzić żmudne nieraz poszukiwania i badania, by w różnych antologiach poetyckich natrafić na *rubajjaty* Awicenny. Pierwszym orientalistą, który opublikował w literaturze europejskiej wiadomość o poezji Awicenny, był zasłużony autor Grundrissu iranistyki, H. Ethé. W r. 1875, a więc prawie przed osiemdziesięciu laty, wspomniany iranista opublikował w Wiadomościach Towarzystwa Naukowego w Gettyndze rozprawę o Awicennie jako liryku perskim.

Znalazło się tam 12 czterowierszy, czyli *rubajjatów* skrzętnie przez autora pozbieranych w czasie jego długoletnich studiów nad poezją Iranu. W rękopisach czterowiersze te były przypisane Abu Ali Sinie.

Drugi przyczynek z tego zakresu ukazał się dopiero z górą w pół wieku później. W r. 1935 Chr. H. Rempis w artykule Awicenna jako poprzednik Omara Chajjama (Orientalistische Studien. E. Littmann) już w tytule sformułował swą główną tezę. Według niego, pewna część przytoczonych przez H. Ethé czterowierszy należy nie do Awicenny, lecz do Omara Chajjama. Wskazywać by na to mogły daty rękopisów. Przeważnie *rubajjaty* te we wcześniejszych manuskryptach przypisywane są Omarowi Chajjamowi, w późniejszych zaś — Awicennie. Sam Rempis jednak zebrał w różnych antologiach perskich, na podstawie dość wczesnych rękopisów, z XIV i XV w., 7 czterowierszy ułożonych przez Awicennę.

I tak dwa czterowiersze przypisywane temu autorowi odnalazły się w zbiorze 4015 *rubajjatów* z r. 1331, pięć zaś dalszych umieszczono obok *rubajjatów* Omara Chajjama w rękopisie z r. 1448. Ponadto Rempis przytoczył tzw. *gazel* Awicenny (27 całych wierszy) z wymienieniem nazwiska naszego uczonego Abu Ali Sina w końcowym wierszu. Utwór ten zawiera w formie rymowanej wskazówki lekarskie dotyczący higieny.

Wreszcie najnowszą pozycję bibliograficzną stanowi wydawnictwo perskie z r. 1938 (na karcie tytułowej podano datę hurdad r. 1315 h. według lat słonecznych). Jest to edycja słynnej encyklopedii Awicenny pt. *Danisz-name-alaji*, do której wydawca, uczony irański Ahmed Chorasani dodał obszerny wstęp, poświęcony między innymi także twórczości literackiej Awicenny. W wstępie tym wspomniany wydawca przytoczył kilka *rubajjatów* oraz urywek *gazelu* Awicenny.

W świetle dotychczasowych badań inaczej dziś oceniamy zbieżność pewnych tematów a nawet samych utworów

Awicenny i Omara Chajjama. Jak już wspomniano, rozstrzygnięcie z całą pewnością, do którego z tych dwóch autorów przynależą cytowane teksty natrafia nieraz na nieprzezwyciężone trudności. Podobieństwa te bowiem wynikają ze wspólnego środowiska i wspólnego kręgu umysłowego. Obydwaj —Awicenna i Omar Chajjam — wywodzą się przecież z kół karmackich (niedarmo Mahmud z Gazny nazywał Bucharę „gniazdem karmackim"), o tendencjach społecznych zbliżonych do pierwotnego komunizmu. Byli oni jednocześnie sympatykami ruchów ismaelickich.

Tym się tłumaczy fakt, dlaczego filozofia Chajjama jest tylko wykładem nauki Awicenny. A skoro tak — konkluduje E. Berthels — „to należy liczyć się ze ścisłą zależnością twórczości Chajjama od kół bucharskich i uważać go za kontynuatora sprawy rozpoczętej przez Awicennę." (Sowietskoje Wostokowiedienije, t. V, 1949, str. 215).

Tematyka czterowierszy Awicenny

Jakaż jest tematyka czterowierszy Awicenny? Zanim czytelnik pozna je w polskim przekładzie poetyckim, usiłującym oddać formę trzynastozgłoskowego *ruba'i*, należy pokrótce przedstawić myśl przewodnią tych „małych poemacików". W jednym z nich, przypisywanym zresztą w wielu wydaniach także Omarowi Chajjamowi — znajduje odbicie wszechstronność zainteresowań naukowych Awicenny, jego uniwersalizm w nauce.

„Od głębin ziemi czarnej aż do najwyższego punktu Saturna rozwiązałem wszystkie trudności świata".

Ta pierwsza część czterowiersza nawiązuje do badań naukowych Awicenny, który interesował się zarówno geologią" *ilm al-maadin* — „mineralogica"), jak i astronomią *(adżsam as-samavija* — „o ciałach niebieskich").

Druga część czterowiersza natomiast wyraża bezsilność znakomitego lekarza wobec zagadki śmierci:

„Wyzwoliłem z pęt każdą chytrość
i łamigłówkę,
jedynie nie rozwiązałem węzła
wieczności" (śmierci)

W innym czterowierszu Awicenna daje wyraz swemu sceptycyzmowi. Filozofia rozumu i krytycyzm, z jakim wielki uczony przeprowadza swe badania, każą mu dążyć stale do poznania prawdy, ku doskonałości. Przecież niechybnie pamięta o zawołaniu i hasłach „racjonalistów Islamu", mutazylitów. „Jakże wspaniały jest rozum, gdy dochodzi prawdy". Cóż kiedy poecie wydaje się, że rozum ludzki nie osiągnął doskonałości. Warto tu wspomnieć, że właśnie ten czterowiersz uznany jest w Iranie jakby za *credo* naukowe wielkiego myśliciela. Tekst tego *ruba'i* umieszczono na portrecie Ibn Siny, wydanym w Iranie z okazji obchodu tysiąclecia. Brzmi jak motto do twórczości Awicenny:

„Chociaż mój umysł (serce) po tej
pustyni wiele krążył,
Nie poznał nawet jednego włoska,
a przecież włos szczepił
(tj. pilnie badał),
Tysiące słońc w moim umyśle (sercu)
błyszczą,
Wreszcie jednak ziarenka drogi nie
odnalazł do doskonałości".

Awicenna wykorzystuje epigramaty do celów także szyderczych. „Drugi Nauczyciel", *al-muallim ath-thani*, czy „Dowód Prawdy", *Hudż-dżat al-hakk*, jak nazywają go źródła orientalne, wyśmiewa niski poziom scholastyków muzułmańskich, którzy tak łatwo szafują wyrokiem o „herezji". „Gdy się znajdziesz w towarzystwie osłów — powiada Awicenna — przywdziej sam „oślą skórę", inaczej okrzyczą cię „niedowiarkiem".

Zagadnieniu „niewiary" poświęca Awi-

cenna jeden z najładniejszych czterowierszy. Wątek ten odnajdziemy także u Omara Chajjama, który w pół stulecia po tym pisał:

„Od niewiary dzieli wiarę tylko jedno tchnienie,
Tylko jedno tchnienie dzieli pewność i zwątpienie..." [1])

Inaczej ujmuje tę sprawę Awicenna. Na zarzut herezji odpowiada:

„Niewiara taka jak moja — to rzecz nie bezmyślna i wcale niełatwa."

Przytaczając ten cytat, historyk radziecki, prof. Zachoder, słusznie zauważa, że „słowa te mogą być powodem do dumy dla każdego myślącego człowieka" (Por. Istorja wostocznogo sredniewiekowja, str. 86).

W puściźnie literackiej Awicenny oczywiście nie brak czterowierszy o winie. Ten pradawny temat poezji irańskiej i tu jest reprezentowany. Jednakże można łatwo stwierdzić, jak odmiennie traktuje ten temat Awicenna. Zaleca — jak dobry lekarz — umiarkowanie przy użyciu wina, bo mała ilość jest driakwią, duża zaś — jadem żmii (a więc wino działa jak lekarstwo!).

Wino służy poecie jako płyn do „ablucyj" wewnętrznych *(batin)*, skrytych. Użył tu Awicenna śmiałej aluzji do obłudy świętoszków muzułmańskich, którzy — zabraniając picia wina — dbają tylko o pozorną, rytualną czystość.

Wreszcie i o tym wspomnieć trzeba, że w czterowierszach występują wyraźnie dowody przynależności Awicenny do irańskiego, niemal narodowego odłamu Islamu, tzw. szyizmu. W kilku utworach poeta mówi o przywiązaniu do Alego, naczelnej postaci wśród szyitów. Zestawienie rysów twarzy ze znakami kaligrafii arabskiej — *lam, ajn* (po arabsku znaczy „oko") i *ja* (jota) — należy do prymitywnej symboliki szyickiej w związku z formą imienia Alego (litery: *ajn, lam, ja*). W jednym czterowierszu poświadczone jest także imię własne Awicenny: Abu Ali („Ojciec Alego"), co ponad wszelką wątpliwość stwierdza autentyczność utworu.

Przekład zachowuje rozkład rymów oryginału *a a b a*.

Ananiasz Zajączkowski

[1]) Przekład A. Gawrońskiego.

AWICENNA

CZTEROWIERSZE

* * *

Z czeluści gleby czarnej do szczytu na planecie
Trudności wszystkie rozwiązałem we wszechświecie.
Zawiłej sprawy czy zagadki pęta zdjąłem, —
Rozsupłać węzła śmierci — nie zdołałem przecie!

* * *

O gdybym tak wiedział, kimże ja jestem właściwie?
Wędrowiec po świecie, — czymże ja jestem wśród żywych?
Czy szczęście mnie czeka, by żyć w spokoju i mile,
Lub — nie: mnie z oczu tysiąca łzy ronić cierpliwie...

Wybrał i z oryginału perskiego przełożył

Ananiasz Zajączkowski

Salvatore zdążył...

JULIAN STRYJKOWSKI: *Bieg do Fragalà*, Czytelnik, Kraków 1951; str. 356.

I

Salvatore Lo Meo po 8 latach powrócił z niewoli do kraju. Przez 8 lat nie widział matki, brata, najbliższych, nie widział biedniackiej nędzy, wioski Rocca di Zolfo, której mieszkańcy pozbawieni byli własnej ziemi. Ziemia, dobra ziemia południowych Włoch należała do barona Berlingieri. Ziemia barona Berlingieri leżała odłogiem, nie zieleniła się zbożem, nie kłosiła się latem pszenicą. Bieda dusiła mieszkańców Rocca di Zolfo i taka sama bieda dławiła tysiące, dziesiątki tysięcy chłopów południowych Włoch. Na wpół feudalne stosunki na wsi i wielki monopolistyczny przemysł zależny od amerykańskiego kapitału — oto pętla, którą zarzucono na szyję włoskich robotników i chłopów.

Julian Stryjkowski w napisanej z wybitnym talentem powieści B i e g d o F r a g a l à przedstawia walkę chłopów włoskich, proletariatu wiejskiego i biedniaków o prawo do życia, o prawo do pokoju, wolności i chleba.

Dynamizm, ideowa treść tej walki zostały przedstawione na przykładzie życia mieszkańców wioski Rocca di Zolfo, na przykładzie życia Salvatore Lo Meo, głównej postaci książki. Mieszkańcy Rocca di Zolfo w pierwszych latach po obaleniu dyktatury Mussoliniego odebrali panom ziemię, zaczęli uprawiać leżące odłogiem pola, przystąpili do wspólnej pracy w zorganizowanych z inicjatywy Komunistycznej Partii spółdzielniach. W rządzie byli obrońcy robotniczo-chłopskiej sprawy, w rządzie wicepremierem był Togliatti. Pod naciskiem amerykańskich okupantów komunistów usunięto z rządu. Ziemie baronów Berlingierich powróciły do swych „właścicieli". Stanęły fabryki. Plan Marshalla dławił przemysł. I znów do walki poprowadziła partia. Rzucono hasło strajku „na opak", hasło odbierania ziemi i uprawiania jej, hasło uruchamiania fabryk, hasło pracy w fabrykach, wbrew decyzjom ich właścicieli.

Szczególnie zażarty charakter miała walka na wsi na terenie Włoch południowych, których zacofanie gospodarcze i nędza pobudzała do walki nawet ludzi o niskim stopniu świadomości klasowej.

Kiedy Salvatore powrócił z Australii, w jego rodzinnej wiosce na wezwanie Komunistycznej Partii Włoch pod kierownictwem Gianniego, brata Salvatore, robotnika z fabryki, zaorano kawał obszarniczej ziemi, zasiano pszenicę w kotlinie Fragala.

Nie pierwszy raz ruszyli chłopi do nierównej walki. Działacz Komunistycznej Partii Włoch, Mario Montagnana, w swych pamiętnikach wspomina:

„Akcja zajmowania ziemi — były to przeważnie nieuprawione lub źle uprawiane latyfundia, własność bogatych obszarników — przez robotników rolnych, byłych kombatantów, miała w niektórych okolicach przebieg dramatyczny. Nędzni robotnicy rolni Lazio, niczym prawie nie różniący się od swych przodków opisywanych 100 lat temu przez Aleardo Aleardi, („W milczeniu żną zboże swych nieznanych panów, w milczeniu po ciężkim znoju wracają do swych nędznych domów") wygłodniali nędzarze Abruzii i Puglii, niewolnicy feudałów Sycylii, wszyscy oni w czasie wojny czy to na froncie, czy też w czasie krótkich urlopów sły-

szeli i czytali uroczyste zapewnienia rządu, oficerów, agitatorów i prasy — po zwycięstwie ojczyzna, której bronili, da kombatantom, swym żołnierzom okrytym sławą, ziemię, która im się należy w zamian za poniesione ofiary. Zapewnienie to słyszeli i czytali setki razy — i uwierzyli w nie... Obszarnicy pozostali obszarnikami, kombatanci — ci okryci chwałą żołnierze — pozostali robotnikami rolnymi, nędzarzami, niewolnikami ziemi.

Zbuntowali się: zajęli ziemię i — co gorsza — zaczęli ją orać i uprawiać z zamiarem zbierania owoców swej pracy".

Rzecz działa się po zakończeniu pierwszej wojny światowej, kiedy to jeszcze słabość partii robotniczej, która nie miała dość sił, aby poprzeć w działaniu chłopów, była przyczyną niepowodzenia tego ruchu. Z drugiej strony — jak pisze Montagnana — w partii włoskiej, jak w wielu innych partiach komunistycznych — po pierwszej wojnie światowej nie zupełnie słusznie ujmowano problem chłopski, nie doceniano znaczenia sojuszu robotniczo-chłopskiego. Partia nie udzieliła dostatecznej pomocy chłopom, specyficzny typ zażartej walki klasowej rozwinął się dopiero w 30 lat później. Walkę tę charakteryzuje Sebastiano Noce działacz Komunistycznej Partii Włoch występujący w powieści Bieg do Fragalà.

„W różnych częściach kraju zrodziła się nowa forma walki — strajk na opak. I to co wyście zrobili — to jest też strajk na opak. Kiedy dzisiaj nastały czasy, kiedy kapitaliści doprowadzają kraj do ruiny, bo im już nie zależy na tym, aby fabryka produkowała więcej, ani na tym, aby ziemia rodziła więcej, robotnicy mówią: — „my jesteśmy siłą twórczą i nie dopuścimy do zniszczenia kraju, bo kraj ten, bo fabryka, bo ziemia ta jest nasza. My, robotnicy podejmujemy się wbrem kapitalistom odrodzić nasz kraj. Wam niepotrzebne są ani drogi, ani mosty, ani elektrownie. Bezrobotnych jest dość. I bezrobotni wychodzą i budują mosty, drogi i elektrownie. Nie chcecie dać nam pracy, to weźmiemy sobie sami".

Bezrobotni mówią: „Jedyne co chcecie produkować, to narzędzia nowej wojny, narzędzia śmierci, a my chcemy pracować dla życia. I policja rozpędza bezrobotnych, strzela do nich, ale oni wracają i budują drogi, mosty, elektrownie. To jest właśnie strajk na opak. Ożywianie ziemi od wieków zaniedbanej — to także strajk na opak, to jest wojna z opuszczeniem i zacofaniem, to jest początek usuwania obszarników z latyfundiów, a więc jest to też początek wyzwalania kraju spod ich panowania".

W tej wypowiedzi Sebastiana Noce jest zawarta wielka prawda ideologiczna, została ona odzwierciedlona również w innych obrazach i innych konfliktach tej powieści. Prawda ta przetłumaczona na język polityczny sprowadza się do dwóch twierdzeń:

1) że jedynym reprezentantem — przedstawicielem narodu włoskiego i jej prawdziwym przywódcą jest jedynie Partia Komunistyczna, która broni narodowych interesów, interesów całych Włoch,

2) że odpowiedzialność za losy kultury włoskiej, za losy narodu włoskiego spoczywa na barkach klasy robotniczej, prowadzącej wszystkie postępowe siły do walki, i że dając im przykład patriotyzmu udawadnia swój rzeczywisty patriotyzm, swoje rzeczywiste ukochanie kraju, to że jest rzeczniczką interesów narodu, że ona jedynie broni Włochy przed wynarodowieniem, przed zamknięciem fabryk, przed uzależnieniem Włoch od kapitalizmu amerykańskiego.

Obraz ludzi, ich życia i walki przedstawiony przez Stryjkowskiego skupia

jak w soczewce te wszystkie typowe elementy walki klasowej, jaka się toczy na wsi włoskiej. Autor z całą siłą artystycznej argumentacji ukazuje ekonomiczne i psychologiczne motywy działania występujących w powieści społecznie typowych postaci. Szczególnie motywy psychologiczne przedstawione są u Stryjkowskiego z dużą precyzją.

Pierwszym motywem działania popędliwego Matteo, zrównoważonego Silvia i wielu innych wiejskich proletariuszy jest straszliwa nędza, brak chleba, brak wody, brak nadziei na pracę. Niejeden dzień przesiedzieli już na placu Pitagorasa w Crotone bezrobotni najmici wystawiający swoje ręce na sprzedaż jak towar. Ale chętnych na ten towar we Włoszech jest mało. Potem przyszła zima, zła zima nędzarzy.

„Na barłogi rzucono sterty łachów, ściągając je spod pułapów lub wyjmując je z czarnych skrzyń. Jeśli były w domach okna, to nie miały szyb i zatykano je szmatami. Gaszono ogniska pod trójnogami, żeby się nie udusić dymem.

Głód ściągał ludzi z barłogów. Gotowano mało. Czerwone owoce kaktusa ficodindia wystawione na słońce, żeby dojrzewały, już zjedzono. Ze ścian zdjęto pęki kukurydzy i łuskano ziarno, dzieląc się nim z drobiem, bardziej żarłocznym od ludzi. W południe pod rozgrzewającym słońcem odbywały się pielgrzymki do jaru po wodę do picia. A dzieci brodziły w odtajałej ziemi czerwonymi nogami i zbierały gorzką cykorię".

Ten pierwszy motyw natury ekonomicznej nakazuje ludziom z Rocca di Zolfo zwierać szeregi, stawać do walki. Zorganizowany z inicjatywy Partii przez komunistę Sylvio Związek Zawodowy Najemników gromadził tych, którzy nie mają do stracenia nic, a do zdobycia przyszłość. Do walki ruszają chłopi innych wsi. Pierwsza krew barwi ziemię, padają ranni i zabici.

Stryjkowski w swej powieści pokazuje łączenie się często jeszcze ciasnych ekonomicznych pobudek działania chłopów o niskiej świadomości klasowej z motywami natury politycznej, z rozszerzeniem ich horyzontu, z krzepnięciem ich klasowej świadomości. Coraz częściej mieszkańcy ubogich wiosek Południowych Włoch poczynają rozumieć, że sprawa idzie nie o życie jednostek, lecz o życie milionów takich, jak oni, że sprawa idzie nie o losy tej czy innej rodziny, lecz o losy Włoch. Tej świadomości nie mieli poprzednio. Tę świadomość konieczności wspólnego działania zdobywają z dnia na dzień. Autor Biegu do Fragalà pokazuje tę drogę wzrostu nie frazesem lecz starannym przedstawieniem szczegółów z ich życia i pracy. Oto widzimy chłopów wspólnie czytających Unita, stanowiącą jedyną transmisję prawdy o Włoszech i świecie, oto widzimy wpływ spotkania z robotnikami prowadzącymi wśród bezrobotnych pracę światopoglądową, oto widzimy pierwsze starcie z karabinierami i pierwsze zwycięstwo. Odpryski świadomości drobnych posiadaczy, nadzieje na kawałek, chociażby najmniejszy, własnej ziemi — wypiera z myśli mieszkańców Rocca di Zolfo ogień walki. Zwierzęca rywalizacja w obronie własnego bytu przemienia się w zespołowy czyn walki klasowej.

W Biegu do Fragalà roi się od pierwszoplanowych i drugoplanowych postaci. W maleńkiej wiosce wszyscy są od siebie w jakiś sposób zależni, spowinowaceni, spokrewnieni. Autor na pierwszy plan wysuwa tych, którzy kierują walką. Oto Gianni, który w czasie wojny zaczął pracować w fabryce, tam wstąpił do Partii, a potem w rodzinnej wiosce poprowadził pracę polityczną. Gianni to piękna po-

stać ideowego komunisty, nie kapitulującego z powodu trudności.Gianni, to żywy człowiek. Gianni ma wady, pewne sekciarskie zacięcie, które powoduje nieumiejętność organizowania wokół siebie ludzi wahających się. Nie potrafi on połączyć bezkompromisowej postawy politycznej z życzliwością do człowieka, tak jak to czyni sekretarz Partii — Armando. Widzimy Gianniego przemawiającego na wiecu, rozmawiającego w domu i wiemy, że to człowiek uparty, szorstki, skryty, nieraz zbyt surowy dla otoczenia, zbyt wymagający, stanowczy. Partyjność postawy, siłę charakteru Gianni Lo Meo widzimy nie tylko na wiecu. Taki jest wszędzie. I w stosunku do brata, którego postawa wzbudza jego najostrzejsze sprzeciwy i w stosunku do starego Filipello, który nie chce dać mu swej córki Angeliny — Gianni potrafi postąpić jak komunista.

Gianni, Armando, sekretarz związku zawodowego Matteo, postacie kobiet — dlatego są prawdziwe, żywe i plastyczne, że każda ich wypowiedź poparta jest działaniem, że widzimy je we wzajemnych stosunkach między ludźmi, w pracy.

Spójrzmy na drugą stronę barykady, na starego gospodarza Filipello zaciętego w swej nienawiści do najemników, nie cofającego się przed żadną podłością, wspomnijmy słodkiego jak sacharyna księdza Luiggii, jego syna, przypatrzmy się karabinierowi, prowokatorowi nadesłanemu do Partii — tym, którzy chcą zdusić walkę najemników.

Jakże trafnie uchwycona została podstępna i chytra robota Don Luiggiego zakładającego na polecenie obszarnika rozbijacki związek zawodowy, usiłującego wraz z karabinierami Prezzo — omotać co słabszych i niezdecydowanych nicią prowokacji. Bez uproszczeń ukazuje Stryjkowski robotę kleru, twierdzę reakcji na wsi, ukazuje sojusz księdza, kułaka, sklepikarza i karabiniera z obszarnikiem Barlingierim, sojusz byłych faszystów złączonych w walce z pracującym chłopstwem, z prowadzącą ich Partią.

Przedstawienie typowych konfliktów i zjawisk, charakterystycznych dla włoskiej wsi w latach narastającego imperializmu — na przykładach trafnie zindywidualizowanych ludzi, przez ukazanie całego zawikłanego węzła spraw ludzkiego życia (ściśle zespolone głównym politycznym wątkiem problemy życia rodzinnego, konflikty między ludźmi, chociażby wymienię Chiarę i Salvatore, Marie i Concetto starą Immacolatę i starego Antonio) pozwoliło Stryjkowskiemu na uniknięcie szablonowości przedstawienia konfliktów, pozwoliło na głęboką charakterystykę postaci, których działanie nie jest determinowane z góry wyłącznie ich klasową przynależnością, lecz również okolicznościami, w których się znajdują.

Na tak zarysowanym tle przy tak ukazanych postaciach i konfliktach jaskrawo i wyraziście widać rolę Partii, jedynego obrońcy interesów mas pracujących Włoch, Partię prowadzącą bój o prawo narodu włoskiego do pokoju, pracy i wolności. Partia i wszyscy idący wraz z nią uczciwi ludzie — bronią Włoch przed ostateczną okupacją hitlerowską, oddają za wolność pracę i pokój, tak jak Salvatore, swoje życie.

O walce tych ludzi mówił Togliatti:

„Oto niektóre jaskrawe fakty. Chodzi o dane, dotyczące lat 1948 i 1949 oraz pierwszej połowy 1950. W ciągu tego okresu w wyniku starć z policją, z najemnikami obszarników lub z faszystami zginęło 62 robotników, w tym 45 komunistów. W tym samym okresie zostało rannych 3.126 robotników, w tym 2.367 komunistów, 92.169 robotników, w tym 73.780 komunistów, aresztowano

pociągnięto do odpowiedzialności sądowej pod rzekomo politycznymi pretekstami, 19.306 robotników, w tym 15.429 komunistów, skazano na różne kary, łącznie skazani zostali oni na 8.411 lat więzienia, w tym komuniści na 7.598 lat".

Stryjkowski pokazał, jak chłopi południowych Włoch walcząc o swoje prawo do życia bronią kraj przed faszyzmem.

II

Główną postacią powieści Juliusza Stryjkowskiego jest Salvatore. Salvatore to człowiek uczciwy, odważny, samodzielny, nie poddający się łatwo wpływom otoczenia, człowiek pragnący ocenić i zrozumieć zawiłe problemy w obrazie konfliktów małej wioski. Na poglądy Salvatore fatalnie wpłynął ksiądz, australijski farmer, wojna.

W okresie wielkiego upolitycznienia się mas, w okresie zaciętej walki o władzę ludu, przeciw powrotowi rządów neo-faszystowskich — Salvatore był nieobecny w kraju. Między wizją przyszłości z jej urojeniami o zasobnej oborze — istniał konflikt. Salvatore, to nieuświadomiony klasowo proletariusz wiejski, to człowiek marzący o własnym polu, o własnym domu, o własnym zasobnym chlewie. Salvatore stanął na środku drogi tak jak tysiące jego rodaków, ludzi uczciwych, łaknących szczęśliwego życia, lecz nie mogących zdecydować się na aktywną walkę o nie. Do ataku na Salvatore ruszył i ksiądz, i karabinier, a on stał zagubiony między komunistami, których nie lubił, od których go nieraz wiele odpychało, a między karabinierem i księdzem, którym też zaufać nie mógł.

Trudna droga Salvatore — to droga tych wszystkich prostych ludzi, którzy nie potrafią odnaleźć słusznej drogi walki klasowej, jedynej słusznej drogi, którą jest walka przeciw kapitalistom i obszarnikom, przeciw amerykańskiej polityce wojny.

Stryjkowski, przedstawiając postać Salvatore, pokazał jednego człowieka, jednocześnie pokazując wielki społecznie typowy problem ludzi nie biorących udziału w toczącej się walce.

Autor Biegu do Fragalà przedstawiając los Salvatore, jakby wzywa tych wszystkich obojętnie przypatrujących się walce do czynnego działania, wskazując im po czyjej stronie powinni walczyć. W dziejach Salvatore zamknięta jest wielka prawda, mówiąca o tym, że sens życia znaleźć można jedynie w walce, że żyć należy po to, aby walczyć. Salvatore nie rozumiał tej prawdy przez wiele lat ciężkich poszukiwań. Kiedy znalazł swą prawdę była to ostatnia chwila jego życia. Przybył na pomoc swym towarzyszom. Przybył, by stanąć u ich boku.

„Salvatore już doganiał towarzyszy. Zdążył. Jeszcze widział uchyloną zieloną okiennicę. Jeszcze widział w szparze wymierzoną czarną lufę.

— Armando, Armando. To ja, ja, Salva...

Salvatore rozkrzyżował ramiona, padł na wznak. Jeszcze ostatnim wysiłkiem wzdęła się przestrzelona pierś Salvatore i ciepła jeszcze żywa krew spływała zastygającą powoli strugą i wsiąkała w kamienną glebę Fragalà".

Stryjkowski wskazał, że sens życia Salvatore zamknął się w jego śmierci. Dla takiej śmierci również warto żyć, gdyż nie przechodzi ona na marne, nie ginie w zapomnieniu, lecz trwa jako dokument walki o prawa ludu.

III

Powieść Juliana Stryjkowskiego oznacza się swoistym kształtem artystycznym i językiem. Stryjkowski wybrał dla swej powieści tę formę, gdzie tok narracji płynie wolno, nie ma zawę-

źleń dramatycznych, a punkt kulminacyjny nie wypada tradycyjnie w środku powieści, lecz w samym jej zakończeniu. Autor zachowuje jak najdalej idącą rezerwę w interpretowaniu dziejących się zdarzeń, w ujawnianiu własnego stosunku uczuciowego do nich. Stosuje on jak najdalej idącą obiektywizację języka artystycznego z pozornym spokojem mówi o tragicznych wypadkach, nakazując czytelnikowi samemu do nich się ustosunkować.

Ta nieobecność autora, obiektywizacja języka najczęściej służy z powodzeniem podniesieniu jakości artystycznej powieści, jednakże w niektórych miejscach zawodzi. Przyczynę należy upatrywać w tym, że Stryjkowski słusznie uważając, iż same fakty powinny mówić za siebie, nie zawsze potrafił z całą mocą plastycznego wyrazu przedstawić te wypadki tak, aby zmobilizowały myśli i uczucia czytelnika, na przykład w ostatniej scenie przed momentem zabójstwa.

Ta prostota wyrazu pozwala Stryjkowskiemu na prawdziwą psychologiczną głębię w ukazywaniu poszczególnych ludzi. Z jednej strony przedstawia on częsty prymityw myślowy, bezpośredniość reakcji właściwych ludziom o niskiej świadomości. Nikt z bohaterów Stryjkowskiego — jak to się dzieje w wielu naszych powieściach — nie filozofuje, nie wygłasza sentencji filozoficznych, przechodzących jego intelektualne możliwości.

Bohaterowie Stryjkowskiego nie są ludźmi płaskimi, pozbawionymi głębokich uczuć. Stryjkowski potrafi połączyć obraz szorstkości tych ludzi z całą głębią ich myśli i uczuć.

Grzegorz Lasota

W Ś R Ó D K S I Ą Ż E K

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI: *Nadzieja.* Książka i Wiedza. Warszawa, 1951, Str. 128.

Tom N a d z i e j a obejmuje utwory Broniewskiego pisane w latach od 1945 do 1951. Już wtedy, kiedy pojawiały się w czasopismach, można było stwierdzić, że okres zasadniczych przeobrażeń naszej rzeczywistości nasyca swoimi treściami bardzo silnie twórczość poety. Teraz kiedy wiersze zostały zebrane, widać to jeszcze wyraźniej. N a d z i e j a jest świadectwem poezji kształtowanej w treści i wyrazie przez głęboki i żarliwy związek z rewolucyjną walką klasy robotniczej, a zarazem świadectwem, w jaki sposób i w jakim stopniu ten związek stanowi źródła siły, wzrostu i odnowy twórczości autora S ł o w a o S t a l i n i e. Toteż mówiąc o tym tomie i wyznaczając jego miejsce, trzeba przede wszystkim podkreślić, że uwidocznia on w tym, co wyznacza charakter osiągnięć, właściwe i — dodajmy — oczekiwane konsekwencje dotychczasowej działalności poety.

W programie wieczorów autorskich Broniewski często zestawia wiersze dawne i nowe. Jest w tym niewątpliwie chęć zaznaczenia wyników zachodzące zmiany. Istotnie, akcent, który wydobywają podobne zestawienia, wypada dobitnie i charakterystycznie. Zacytujmy dla porównania, idąc śladem poety fragmenty wiersza Z a g ł ę b i e D ą b r o w s k i e (tom T r o s k i p i e ś ń, r. 1932):

...Zagłębie dobywa węgiel,
śle go na zachód i wschód

i zamienia czarną potęgę
na mór, na nędzę, na głód.

Powiedz, ziemio surowa,
komu ty jesteś ojczyzną?
Groźnie milczy Dąbrowa
w noc głodu, kryzysu, faszyzmu.

Milczy błotnista ulica,
wiedzą górnicy, kto wróg...

A oto jaką nową treścią brzmią fragmenty wiersza Z a b r z e, ogłoszonego w r. 1948:

Prędzej, górniku, głębiej, górniku,
węgla pokłady rąb...
Nie dla bogaczy — wyzyskiwaczy
dzisiaj wyciskasz pot...
Twoja ta ziemia, twoje na zawsze
węgiel, żelazo, stal...

Poezja Broniewskiego, jak dobrze wiedzą jej czytelnicy, dostarcza wyjątkowo licznych przykładów do podobnych zestawień. Wymowa wydobywanych w ten sposób kontrastów, jakie tworzą motywy treściowe dawnych i nowych wierszy, jest uderzająca. Stanowi ona odbicie wielkich przemian historycznych, które zmiatając dawny ustrój postawiły klasę robotniczą i idący za jej przewodem naród wobec zadań budowy socjalizmu i obrony pokoju. Wyraźnie zaakcentowany i świadomy cel walki, któremu podporządkowany jest program poezji Broniewskiego, decyduje niezmiennie o kierunku jej oddziaływania. Liryczny odzew poety na sprawy epoki zawsze stanowi odpowiednik etapu i napięcia walki.

Czytamy w nowych wierszach:

Ojczyzna nasza: dla niej, dla niej
gorący trud nasz i wytrwanie.

Motyw ojczyzny, który w dotychczasowej twórczości Broniewskiego zawierał zawsze ogromny ładunek pasji oskarżycielskiej pod adresem ustroju wyzysku, uwydatnia teraz sens zasadniczej zmiany rewolucyjnej, która dała masom ludowym po raz pierwszy prawa własnej ojczyzny, sprawiedliwość społeczną i perspektywę jutra przeciwstawnemu dniu wczorajszemu.

...z motorów pieśnią do roboty,
za traktorami pług lub siewnik,
i ludzie śpiewni, ludzie pewni,
że starczy chleba powszedniego
w ojczyźnie naszej dla każdego.
(N a s z M a j)

Poeta z namiętnością współuczestnictwa obrazuje wysiłek mas pracujących:

Rośnie kraj. Skrzypią wyciągi.
Z ruin podnoszą się miasta.
(P i e ś ń m a j o w a)

Oto Warszawa inna,
oto się rodzi socjalizm,
(W a r s z a w a z g r u z o w s t a ł a)

Socjalizm jako perspektywa zadań i wysiłków określa mocno świadomość, że nowe warunki ustrojowe służą szczęściu i rozwojowi człowieka:

My budujemy miasta,
my budujemy człowieka.
(Z w i ą z k i Z a w o d o w e)

U Broniewskiego, który w okresie zaciętych walk z przemocą kapitalizmu zwracał spojrzenie na kraj zwycięskiej rewolucji, będący przykładem i źródłem siły w dążeniach do złamania ustroju wyzysku, teraz odnajdujemy w wierszach poświęconych ZSRR nowe momenty zaakcentowane przez bieg historii. Jest to i uczucie głębokiej wdzięczności za wolność Polski wywalczoną zwycięstwem nad hitleryzmem, i przyjaźni umocnionej na szlaku wspólnych walk ostatniej wojny, i dumy z kroczenia drogą utorowaną przez Rewolucję Październikową.

Równocześnie poezja Broniewskiego dobitnie zwraca uwagę na różnicę, ja-

ka istnieje między starym i nowym światem:

Tam — bezrobocie, strajki, głód.
Tu — praca. Natchniony traktor.
Tworzy historię zwycięski lud.
Chwała faktom!

(Słowo o Stalinie)

Charakterystyczne jest rozwinięcie dawnych motywów walki z żywiołami w dumę z budowli komunizmu, które rosną w ZSRR i napawają wiarą w możliwości człowieka wyzwolone w nowych warunkach:

My odwracamy rzeki
i płyną tam, dokąd chcemy.

(I m)

Także antyimperialistyczna treść poezji Broniewskiego znajduje nowe wątki w konkretnej sytuacji naszej rzeczywistości. Knowania imperialistycznych podżegaczy wojennych piętnuje poeta z pełnym pasji oburzeniem, przenikniętym głęboko humanistycznym poczuciem odpowiedzialności za przyszłość:

Nasze pokolenie skrwawione wojną,
epoka, w której żyjemy,
mówi: nie wolno!
nie chcemy!

Razem z milionami ludzi na całym świecie i z uczuciem, które jest wspólne milionom ludzi pragnącym pokoju, zwraca poeta swoje nadzieje ku Związkowi Radzieckiemu:

Pięknie jest myśleć, że w Moskwie
żyje Stalin.
Pięknie jest myśleć, że w Moskwie
myśli Stalin.

Bierzemy te myśli jak rad,
promienny zawsze.
Kraju Republik Rad
naprzód!

(Nadzieja)

Oto są główne motywy, przepojone głębokim proletariackim patriotyzmem i internacjonalizmem, nasycone najistotniejszymi treściami zadań i walki naszej epoki, które określają potężny ładunek uczuciowy i charakter ideowy nowego tomu. Lektura Nadziei ukazuje bardzo wyraźnie, jak poezja Broniewskiego czerpie swoją siłę z treści nowego życia. Dlatego tom ten, będąc w swoich rezultatach pięknym i oczekiwanym dopełnieniem dotychczasowej twórczości poety, wysuwa się na pierwszą linię działania jego poezji. Tę linię walki, która zawsze decydowała o ciężarze osiągnięć ideowo-artystycznych i tak samo decyduje o zasadniczej części ostatniego tomu.

*

W wierszu Moja biblioteka, wspominając ulubione książki, których mądrości uczył się na pamięć, poeta wyznaje:

Nie, nie to mi zostało z książek
ocalałych,
ale jakiś przewspaniały związek,
który łączy świat cały.

Ja na taborach radzieckich
w dziewiętnastym, dwudziestym (ledwie
przypominam)
czytałem (podporucznik) prawie
dzieckiem
książki Lenina.

Wypowiedź ta jest niejako komentarzem do twórczości. Dar widzenia i przeżywania „przewspaniałego związku, który łączy świat cały", pogłębiony świadomością i pasją ideową, odnawiany stale nierozerwalnym związkiem z walką klasy robotniczej, stanowi właśnie o decydującej sile poezji Broniewskiego. Pokazuje to dorobek zarówno poprzedniego, jak i obecnego okresu twórczości. W Nadziei jest to uchwytne najwyraźniej, kiedy śledzimy sposób ujmowania przez poetę rzeczywistości i charakterystyczną bez

wątpienia w tym tomie skłonność do uogólniania zjawisk w rzutach syntetycznych.

Odzew poezji Broniewskiego na sprawy naszej epoki jest, jak widzieliśmy przy wskazywaniu na główne motywy, wyjątkowo żywy i czujny, nacechowany mobilizującą siłą świadomości i pasji ideowej. Kiedy czytamy kolejne utwory, nasycone treściami nowej rzeczywistości, uderza nas, że mimo żywiołowego w swojej bezpośredniości stosunku do zdarzeń i zjawisk nie ma tu nic z nazbyt często spotykanego dzisiaj doraźnego kronikarstwa. Podziwiamy natomiast umiejętność szerokiego i trafnego uogólnienia, która wzmacnia sugestię i siłę oddziaływania utworów. Ta niepospolita umiejętność, będąca wynikiem dialektycznego rozumienia procesów historycznych, cechowała poetę od początków twórczości. W ostatnim tomie zdobycze jej nabrały jeszcze bardziej uderzającego wyrazu.

Zwróćmy uwagę na rolę motywu historii. Stale obecny i niejako przyrodzony poezji Broniewskiego, pozwala tym wyraźniej dostrzec zachodzące zmiany. Dla przykładu wiersz Byt określa świadomość, w którym wymowa opisywanego wysiłku górnika bijącego normy produkcyjne jest pogłębiona w dobitnym akcencie ideowym przeciwstawieniem teraźniejszości i przeszłości oraz zarysem perspektywy jutra:

Smutna to była świadomość:
hałdy, hałdy, osada...
Proletariusz? — to przecie wiadomo:
ten, co nic nie posiada.

Jeszcze czarne pod kopalniami
hałdy i widma domostw.
Przyszłość przed nami!
Byt określa świadomość.

W świetle rewolucyjnych zdobyczy naszych czasów poeta widzi przebyte etapy walki o świat sprawiedliwości społecznej. Inaczej się już rysuje perspektywa przyszłości, w której obok walki o ostateczne wyzwolenie człowieka spod jarzma wyzysku zaznacza się w zupełnie konkretnych kształtach zadanie utrwalenia i rozszerzenia zdobyczy rewolucyjnych w pokojowym budownictwie socjalistycznym.

Związek między współczesnością oraz przeszłością i przyszłością uwydatnia się ze szczególną siłą, kiedy poeta mówi o tradycjach i bohaterach walki rewolucyjnej.

Ich było tylko pięćdziesięciu,
lecz po nich poszły nas miliony
w wojennym szczęściu i nieszczęściu
ku dniom tak wtedy oddalonym.

Te słowa wiersza Pięćdziesięciu, poświęconego pamięci działaczy rewolucyjnych powieszonych przez hitlerowców w 1942 r. w Warszawie, wyrażają istotną treść, którą poeta pragnie wydobyć z przypominanej przeszłości, treść — mobilizującej coraz większe siły — walki o sprawiedliwy świat i szczęście ludzkości. Motywy bohaterstwa poprzedników, które jest dla następców przedmiotem dumy oraz przykładem siły, są utrwalone na wielu wspaniałych i niezapomnianych kartach dorobku autora Komuny Paryskiej. Te właśnie motywy, przewijające się przez liczne utwory tomu Nadzieja, znalazły piękny wyraz ideowo-artystyczny we wspomnianym wierszu Pięćdziesięciu oraz Opowieści o życiu i śmierci Karola Waltera-Świerczewskiego, robotnika i generała. Oba utwory posiadają nieprzeciętne znaczenie, zaliczyć je trzeba do najwyższych osiągnięć poety i zarazem współczesnej naszej poezji. Jakże wzrusza i pobudza ich wyraźny i mocny akcent.

O, patrz, Warszawo, to są ci,
za których się historia mści,
to oni wolą nieugiętą
uczyli nas, jak żyć, jak bić się,
jak gardzić życiem, kochać życie,
ażeby syn i wnuk pamiętał...
(Pięćdziesięciu)

Nie o każdym śpiewają pieśń,
nie każdemu stawiają pomnik,
— — — — — — — —
Trzeba wykuć swój łańcuch lat
każdy rok — hartowane ogniwo,
trzeba nieść go w trudzie przez świat:
życie piękne, tę prawdę żywą,

tym łańcuchem ziemskie kolisko
opasać jak narzeczoną —
kto tak żyje, temu sądzono
zakrzepnąć w ogromnym błysku...
(Opowieść)

Dowodem wielkiego i dysponującego szeroką skalą środków mistrzostwa poety jest sugestia artystyczna, z jaką w każdym wypadku inaczej wyrażają się podobne założenia ideowe. Napięty, pełen dynamiki tok rytmiczny, ostrość i patetyczność obrazowania, skondensowany liryzm — oto co w Pięćdziesięciu stwarza współbrzmienie z tragizmem i bohaterstwem walki w nocy okupacyjnej. Opowieść jest odmienna w tonie, bardziej prosta w potoczystym niejako charakterze relacji, uwypukla w realistyczny sposób istotne momenty poszczególnych epizodów życia robotnika-generała i składa z nich mocną ideowo-artystyczną całość, która służy stwierdzeniu prawdy, że takie życie, przepełnione proletariackim patriotyzmem i internacjonalizmem, oddane bez reszty sprawie rewolucji, nie kończy się wraz ze śmiercią. Jak bardzo oba utwory tkwią niejako korzeniami w tym, co odczuwa się jako typ artyzmu właściwy Broniewskiemu, a jak jednocześnie są w swoim wyrazie nie tylko odrębne, lecz także niepowtarzalne!

Charakterystyczną umiejętność uogólnienia, wspartą o głębokie widzenie perspektyw historycznych, reprezentuje w stopniu najbardziej wyrazistym czołowa pozycja tomu Słowo o Stalinie. Ten poemat, jedno z najwybitniejszych osiągnięć współczesnej poezji, wzrusza i budzi podziw ideową trafnością i artystyczną konkretnością obrazu największego człowieka naszych czasów. Poeta wydobył wzniosłą i głęboką prawdę tematu w śmiałym, szerokim rzucie, który na przestrzeni ostatnich siedemdziesięciu lat, objętych życiorysem Stalina, ukazuje znaczenie rewolucji kształtującej historię ludzkości i jednocześnie rosnącą z rewolucją i historią rolę wodza międzynarodowego proletariatu.

„Rewolucja — parowóz dziejów..."
Chwała jej maszynistom!

Ten motyw, który streszcza w sobie założenia ideowo-tematyczne, nasycony swoim ładunkiem treściowym poszczególne fragmenty — od obrazu minionego „wieku, w którym proletariat nie mógł ziemi wysadzić z posad", relacje o rosyjskim ruchu rewolucyjnym i Rewolucji Październikowej, następnie jej siły w zwycięstwie nad hitleryzmem oraz obecnego okresu wielkich budowy komunizmu i pobudzonego wspaniałymi ideami rewolucji międzynarodowego ruchu bojowników pokoju i postępu, skupiającego się wokół Stalina i Kraju Rad.

Niezaprzeczoną zdobycz, decydującą o oddziaływaniu poematu, stanowi trafne uwidocznienie roli Stalina, która wyrasta z siły idei rewolucyjnej i zarazem potęguje ją swoim geniuszem, stwarza z niej przewodni czynnik historii światowej i prowadzi do gigantycznych zwycięstw. Dlatego poemat o Stalinie, ukazując jego historyczną rolę, musiał stać się w równym stopniu poematem o historii naszej epoki.

Niepospolity artyzm widać przede wszystkim w harmonijnej współzależności między całością koncepcji i jej poszczególnymi częściami. To samo mistrzostwo widać w precyzji skrótów, o które wspiera się synteza; mają one zawsze wymowę niezachwianych w konkretności uogólnień. Jest to osiągnięcie uwarunkowane słuszną ideologicznie analizą rzeczywistości i nieomylnie realistycznym widzeniem typowych szczegółów jej zjawisk.

W związku z tym warto zanotować pewną istotną sprawę. Poemat Słowo o Stalinie, streszczający w sobie niezależnie od różnorodności form typowe cechy zasadniczej części dorobku poety, nastręcza sposobność do wykazania, jak fałszywe były lansowane nieraz twierdzenia o rzekomo wyłącznej żywiołowości talentu Broniewskiego. Niewątpliwie, specyficzny, rys jego poezji stanowi natchniony patos i niekłamana siła uczuciowości, ale rys ten, co widać zawsze wyraźnie, wiąże się nierozerwalnie z realistyczną zasadą, która określa treść wszystkich strof rozumieniem procesów historycznych. Konkretność i typowość, które znamionują realizm socjalistyczny poezji Broniewskiego, są osiągnięciem, jakie nie byłoby możliwe bez udziału rozwiniętej świadomości artystycznej. Właśnie imponujący rzut syntetyczny Słowa o Stalinie, którego podstawą jest głębokie zrozumienie historii, wysuwa się jako najbardziej przekonywający dowód przeciwko legendzie o żywiołowości. Właśnie rozumienie historii pozwoliło Broniewskiemu wysunąć się także w obecnym okresie twórczości na pierwszą linię walki o socjalizm i pokój.

*

To, co określa charakter osiągnięć w wypełnianiu nowych zadań poezji rewolucyjnej, nie rysowało się od razu tak jasno, jak ukazuje się w tomie Nadziei, ani nie występowało bez skłóceń. Zawikłania rozwoju wiązały się ze znamienną antynomią dwu nurtów poezji Broniewskiego, zaznaczoną bardzo silnie w międzywojennym dwudziestoleciu.

Przypomnijmy komentarz, jaki w tej kwestii napisał sam poeta w r. 1930: „Majakowskiemu zawdzięczam ostateczne zerwanie z symboliczną starzyzną i stosunek do słowa jako narzędzia walki... Jesieninowi ostatnią furtkę w kierunku tragizmu i czystej liryki". Komentarz, widać to od razu, był połowiczny. Wskazywał tylko pewne cechy, ale nie wyjaśniał wcale ich przyczyn. Wyjaśnienie zresztą nie nastręcza trudności. Jest rzeczą aż nadto oczywistą, że źródła przewijających się w dwudziestoleciu przez poezję Broniewskiego motywów zwątpienia i pesymizmu, naznaczonych niekiedy zastanawiającym u poety walki rewolucyjnej piętnem wręcz dekadenckim, brały swój początek w obciążeniach postawy czy nawet w jej pęknięciach. Wymienić trzeba przede wszystkim widoczne nieraz naloty indywidualistyczno-samotnicze, na które trafnie wskazał Ryszard Matuszewski w swoim jubileuszowym studium o poecie. Stanowiły one niewątpliwie nieprzezwyciężony do końca refleks zasadniczych sprzeczności epoki, które oddziaływały na kształtowanie się drogi Broniewskiego. Mówiąc jednak o antynomii w twórczości autora Troski i pieśni, należy jednocześnie podkreślić siłę wpływu walki rewolucyjnej. Słusznie zwracał uwagę Wiktor Woroszylski, że szczytowe osiągnięcia poety są zawsze związane z momentami kulminacyjnego napięcia walki, prowadzonej przez klasę robotniczą. Potwierdzały to poszczególne fazy twórczości w dwudziestoleciu, potwierdzała to także twórczość wojenna. Mocny ton zbioru Ba-

gnet na broń wywołany był napięciem walki narodowo-wyzwoleńczej. Zachwianie się postawy ideowej i osłabienie tonu w Drzewie rozpaczającym wywołane były wpływami tułaczki i rozluźnieniem się wskutek tego więzi z przodującymi siłami narodu, walczącymi w kraju i w ZSRR u boku Armii Radzieckiej.

Krytyka, odczytując motywy nostalgicznej rozterki i pesymistycznych nastrojów Drzewa rozpaczającego jako dalszy przejaw poprzedniej antynomii, dała w zasadzie właściwą diagnozę. Wydaje mi się jednak, że treść tych liryków odsłania także inne momenty, które zasługują na uwagę.

Przypomnijmy uderzającą dawniej skłonność do swojego rodzaju stylizacji:

Bije czarna godzina,
czarny wiersz się poczyna.
Dajcie mi, ludzie trzeźwi,
szklankę mocnej poezji,
szklankę czarnego wina.
(Poeta i trzeźwi)

Tę skłonność stylizacyjną widać było w takich wierszach, jak Noc, Bar pod zdechłym psem, a nawet Ulica Miła. Widać było także, jak stylizacja często osłaniała swoim kostiumem skoki w irracjonalizm.

Otóż w lirykach Drzewa rozpaczającego nie spotykamy już na ogół tych cech. Odnajdujemy tu dążenie do bardziej bezpośredniego widzenia zjawisk. Toteż trzeba stwierdzić, że krytyka, pisząc o tym tomie, nie doceniła nurtu, który oczyszczał motywy osobiste poezji Broniewskiego od nalotów stylizacji.

Ten moment nie jest bez znaczenia dla ogólnego zarysu drogi Broniewskiego. Lata bowiem 1947 i 48 przyniosły cykle liryczne o motywach osobistych, przesycone nastrojami rozdarcia i pesymizmu. Stanowiły one ze względu na swoje treści niewątpliwy zawód w stosunku do oczekiwań, które wiązały się z poetą. Cykle te były niejako dalszym ciągiem postawy i wyrazu Drzewa rozpaczającego, zarówno w ograniczeniach ideowych, jak i w charakteryzowanych skłonnościach artystycznych. W dość licznych wypadkach wiersze tych cyklów nie osiągnęły wymowy realistycznej i były odległe od tego, co słusznie uważa się za rozstrzygającą linię wysiłku poetyckiego Broniewskiego. Stanowiły więc dalszy przejaw zawikłań i utrwalały zaznaczoną antynomię, odczuwaną tym dotkliwiej, że był to okres, który uwidoczniał zahamowanie w twórczości o zasadniczej dla poety tematyce.

Rok jednak 1949 zarysował radykalną zmianę. Wtedy przecież pojawiły się Opowieść o życiu i śmierci Karola Waltera-Świerczewskiego, robotnika i generała, Pokłon Rewolucji Październikowej, Pierwszy Maja, Byt określa świadomość, wreszcie szczytowe osiągnięcie Słowo o Stalinie. W tych utworach, które w swoim materiale treściowym były już bezsprzecznym odbiciem charakteru naszej epoki, syntetyzowały się najcelniejsze cechy poezji Broniewskiego.

Także stosunek poety do antynomicznych nurtów jego poezji zaczyna się teraz przedstawiać inaczej. W grudniu 1949 r. Broniewski dał w jednym z wywiadów taką wypowiedź: „Najważniejszym bodźcem poetyckim są dla mnie problemy społeczne, ale zawsze walczyłem i będę walczył o prawo poety do pisania o kwiatach, miłości, wiośnie itp. Nawet o własnych słabościach, czy jak to nazwać". Ale w innym wywiadzie, późniejszym o przeszło rok, poeta już wyznał, że reakcja czytelni-

ków, z jaką się spotkał na wieczorach autorskich, skłania go do rewizji poglądów i do zarzucenia w twórczości tematyki tzw. prywatnej, nazbyt krańcowej w indywidualistycznych motywach, gdyż powoduje ona, iż poezja rozmija się z powołaniem, któremu ma służyć.

Przeciwny ton wypowiedzi jest niewątpliwą miarą i wyrazem zmiany, jaka zaznaczyła się w postawie poety.

Odnowa siły twórczej Broniewskiego przypadła, co wymaga podkreślenia, na okres wzmożenia się walki klasowej w kraju, rozbicia ideologicznego odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego i zasadniczego sprecyzowania przez Partię zadań walki o socjalizm i pokój. W tym okresie ogłasza poeta obok utworów nacechowanych zdecydowanymi treściami społecznymi także dalsze liryki o motywach osobistych. Rzecz znamienna, nowe liryki okazały się już przeważnie inne, niż cykle poprzednie.

Utwory z pierwszych cyklów, ogłaszanych w latach 1947 i 48, uderzały przede wszystkim dysproporcją, jaka zaznaczała się między błahością czy nawet wyraźną i jak gdyby rozmyślną peryferyjnością obserwacji, a wyprowadzanym z nich końcowym wnioskiem uogólniającym, pozbawionym siły konkretności, naznaczonym często skłonnością do epatowania. Były to wiersze ograniczone w swojej koncepcji egocentryzmem, pełne nonszalancji formalnej, lekceważące wyraz ostatecznej wymowy. Wystarczy dla przykładu wskazać B a b y k a m i e n n e z ich sztuczną i nieprzekonywającą apostrofą czy nonszalanckie w zarysach nastroju wiersze O p t a k a c h i t r a m w a j a c h lub K w i a t y w p o k o j u. Podobne przykłady pokazywały wyraźnie, że o osłabionej sile oddziaływania czy wręcz niemożliwej do przyjęcia wymowie decydowały ograniczenia treściowe motywów i sposób ich ujęcia. Wiersze te akcentowały sprawy nazbyt doraźne i nazbyt ułamkowe, dlatego niezdolne były do przeniesienia doświadczeń osobistych poza zasięg prywatnie jednostkowy.

Kiedy natomiast porównujemy wiersze z cyklów ogłaszanych później, widzimy, że poeta przełamuje w większości wypadków indywidualistyczne zacieśnienie postawy. Wystarczy przeczytać takie utwory, jak na przykład M a j o w y n o c n y w i e r s z n a i m i e n i n y J o a n n y czy O s ł o w i c z y m o k r u c i e ń s t w i e, aby przekonać się, że z pogłębiającym się nurtem realistycznym wiąże się bardziej zdecydowana i pełna wymowa humanistyczna, oparta o treści głęboko ludzkie, nieprzypadkowe, mające znaczenie również w doświadczeniu pozajednostkowym.

Podobne utwory można uznać za coraz pełniejszy wyraz świadomości socjalistycznej, obejmującej już nierozdzielnie wszystkie dziedziny życia. W ten sposób podważona zostaje racja bytu granicy, jaka w tomie N a d z i e j a oddziela od siebie dwie wyodrębnione niejako części dorobku.

Przezwyciężanie zawikłań uwarunkował, jak już podkreślałem, wpływ walki o budowę socjalizmu, która zmobilizowała poetę. Podkreślić także należy ze szczególnym naciskiem wpływ coraz szerszej rzeszy nowych czytelników, którzy, akcentując więź poezji Broniewskiego z życiem i walką mas ludowych, oddziaływali na poetę swoimi reakcjami w bezpośrednich zetknięciach na wieczorach autorskich i w listach ukazywali, jaka część dorobku posiada zasadnicze znaczenie. Mówił o tym wspomniany wywiad, mówi o tym także zamieszczony w tomie utwór D l a k o g o w i e r s z e? napisany na wiadomość o przybraniu przez jedną z młodzieżowych brygad fabrycznych nazwiska poety:

Wyrazić to, co czują miliony,
i jeszcze coś im poddać,
myśleć jak oni,
w imię ogromnej sprawy:
człowieka!
Wierszu łaskawy,
sprawa czeka.

Dla pełniejszego uwydatnienia zmian w traktowaniu tematyki osobistej warto zatrzymać się przy otwierającym drugą część książki poemacie lirycznym Mazowsze. Ten osobliwy poemat należało by właściwie uznać za swojego rodzaju próbę syntezy niektórych dotychczasowych motywów tematyki osobistej z zakresu wspomnień o kraju lat dziecinnych. Przypomnijmy z tomu Krzyk ostateczny taki ustęp:

O dalekim, minionym, drogim,
powiedz serce albo się rozpłacz.
Wskrześ na chwilę tych lat urodę,
kiedy na świat patrzyłem dzieckiem...
Stał nad Wisłą stary dom z ogrodem
na wysokim wzgórzu mazowieckim.
(Miasto rodzinne)

Motywy domu rodzinnego, Mazowsza, Wisły i Warszawy wracały ze szczególną siłą w wierszach Drzewa rozpaczającego, zasilając nostalgię i pełne rozterek nastroje tułacza swoimi realiami wyraziście rysującymi się we wspomnieniach. Te same motywy, z tymi samymi realiami wróciły teraz ponownie w Mazowszu, wywołane słowami wzruszającego zaklęcia:

Skarbie mojego dzieciństwa,
daj się odnaleźć.

Cykl luźnych obrazów, refleksji i inkantacji, które składają się na poemat, rozwija motywy kraju lat dziecinnych przeskokami przy pełnej swobodzie kompozycyjnej. Elementem konstrukcyjnym, który ma spajać poszczególne człony w całość, jest konfrontacja uroków zachowanych we wspomnieniach z dzisiejszymi odczuciami poety. Wynikiem — melancholia zrodzona ze świadomości przemijania i rozważania o śmierci. Uderzać jednak musi, że w tonie, który wybija się w poemacie, nie ma na ogół charakterystycznego dawniej wyrazu rozdarcia. Czujemy natomiast siłę, którą rodzi harmonia dojrzałości, po raz pierwszy dochodząca do głosu tak wyraźnie w tematyce osobistej.

A ja wyrosłem i przerosłem,
doniosłem to, co niosłem —
myślicie, że kilka łez jak kamienie? —
nie! — moje życie i moje sumienie.
(O przekwitaniu)

Te słowa można przytoczyć dla charakterystyki postawy, która, jeszcze nie zupełnie bez skłóceń, ale dość mocno wyraża się w Mazowszu. Dzięki temu poszerza się horyzont spojrzenia, poeta stara się już często ująć sprawy osobiste na tle zasadniczych spraw epoki, co pogłębia humanistyczną treść zawartych w tematyce wzruszeń i przeżyć.

Rozluźniona, prawie skojarzeniowa kompozycja Mazowsza, podyktowana jest jak gdyby samym tokiem wspomnień i refleksji. Z tym wiąże się również rytmika, wyzwalająca się w niektórych partiach spod rygorów strof regularnych, wolna i poddana bezpośredniemu falowaniu wzruszenia. Podobne tendencje widoczne były w licznych utworach, zebranych przeważnie w drugiej części tomu. W Mazowszu znalazły one wyraz o wiele bardziej harmonijny i oryginalny, szczególnie interesujący w odkrywczym i mistrzowskim przerywaniu toku i pauzach rytmicznych, podkreślających w sposób niezwykle wyrazisty dynamikę rozwijania się tematu. Nie ulega chyba wątpliwości, że w tym poemacie krystalizuje się i ustala niespotykana dotąd w dorobku poety nowa i wyjątkowo sugestywna — chociaż

nieraz grzesząca zawichrzeniami — strona jego artyzmu.

M a z o w s z e niezależnie od braków precyzji w koncepcjach, które leżą u podstaw niektórych motywów, na przykład w ustępie siódmym nieprzekonywająco przedstawiony głębinowiślany rodowód mowy polskiej, czy też w sporadycznych podważeniach rygorów artystycznych — może być uznane jako dość ważny moment w twórczości poety. Dlatego u poety, który ma takie osiągnięcia, jakie w zasadniczej części reprezentuje tom N a d z i e j a, nabierają pełnej wymowy słowa, napisane w ostatniej części M a z o w s z a:

Jestem księga
otwarta w przyszłość.

*

Artyzm i mistrzostwo — tylokrotnie nie sposób było nie wspominać o nich nawet wtedy, kiedy uwaga skupiała się przede wszystkim na uwydatnieniu treści poezji Broniewskiego. Widać, jak dalece artyzm i mistrzostwo poety wynikają z przesłanek ideowo-poznawczych, z postawy rewolucyjnego poety. Widać to w ujęciach tematyki, w uogólnieniach poetyckich, w tym, co decyduje o konkretności, jako rysie bez wątpienia najbardziej charakterystycznym dla twórczości poety.

Istotnie, artyzm i mistrzostwo Broniewskiego stanowią wyraźną funkcję roli ideologicznej poezji. Jest to przecież artyzm i mistrzostwo poezji rewolucyjnej, która sprawdza swoją siłę w oddziaływaniu mobilizacyjnym. Najistotniejszym tego wyrazem jest jej prostota. Nie trzeba się rozwodzić nad tym, ile elementów prawdziwego mistrzostwa i niezwykłego nowatorstwa artystycznego złożyło się na to osiągnięcie twórczości autora S ł o w a o S t a l i n i e, jakim jest jej posunięta do granic, wydawać by się mogło ostatecznych, jasna i zawsze konkretna prostota. Przykładów pełnego sharmonizowania myśli i uczuć w skrótach metafor, ostrości i plastyce obrazów, muzyce słowa i dynamice rytmu — dostarcza każda niemal stronica poety. Wszyscy czytelnicy znają dobrze, w jak specyficzny i sobie tylko właściwy sposób poezja ta stapia romantyzm rewolucyjnego porywu w przekształcaniu świata z niezachwianą zasadą realistycznego widzenia. Przykłady osiągnięć, godne najwyższych zdobyczy poety, znajdujemy także w tomie N a d z i e j a. Nie będę ich tutaj cytował i komentował ze względu na ograniczone ramy recenzji — są zresztą znane powszechnie i ogólnie docenione.

Chciałbym natomiast wskazać na pewne momenty stylu, które spotykane w ostatnim tomie wymagają ze względu na znamienny charakter szczegółowego zasygnalizowania.

Pewna część wierszy pozwala zaobserwować specyficzne przejawy tendencji do wydobycia jak największej bezpośredniości i potoczności języka poetyckiego. Tendencja ta, obserwowana od początków twórczości Broniewskiego, wychodzi bez wątpienia ze słusznych założeń i przyczynia się do wzmożenia sugestii prostoty, rozbijając sztuczny przedział między mową poezji a mową codzienną.

Teraz on — podpora rodziny,
sióstr i matki nadzieja i duma,
ale jakiś odmieniony, inny,
z czerwonymi się pewno pokumał.
(O p o w i e ś ć)

Ta cytata jest jednym z wielu przykładów, jak potoczność i bezpośredniość języka spełnia sugestywnie swoją zamierzoną rolę, kiedy nacechowana jest właściwą poecie precyzją i poddana rygorom konstrukcji. W zbiorze jednak można znaleźć inne przykłady:

Przekwita wszystko, przekwita,
i kwita.

Wyrasta wszystko, przerasta,
i basta.

(O przekwitaniu)

...a ja musiałem wiedzieć,
że...
że będzie źle,
że będzie życie we mgle,
że będę pisał wiersze
źle.

(Obrączka)

Te przykłady, również wybrane spośród wielu, pokazują, że tendencja potocznego i bezpośredniego języka przybiera niekiedy nasilenie, które pociąga za sobą wyraźne niebezpieczeństwa. Obserwujemy mianowicie zjawisko, które można określić jako przeszarżowanie bezpośredniości stylu. Rezultatem jest osłabienie zwartości i precyzji, które zawsze uderzały w wypowiedziach Broniewskiego, podważenie konkretności, niekiedy nawet w konsekwencji rozbicie samej formy. Najwięcej przykładów tego dostarczają cykle liryków o tematyce osobistej. Od niebezpieczeństw tych jednak nie są wolne również w niektórych partiach poematy Nadzieja i Mazowsze.

Trzeba nadto zwrócić uwagę, że nadmierna tendencja w kierunku bezpośredniości stylu sięga nieraz w skutkach dalej. Nadweręża bowiem zwartość i spoistość kompozycji. Aby się o tym przekonać przeczytajmy taki fragment Mazowsza:

Siedzieliśmy przy lampie naftowej:
mama, siostry i ja.
Z ogrodu woń bzu.
Czytałem Andersena.
Mama podkręciła lampę.

Przy lampie naftowej pisali:
Prus,
Orzeszkowa,
Żeromski.

Lepsze jest światło elektryczne,
pisałem przy nim wiersz o Waryńskim.

Wczoraj w nocy pisałem wiersze.
Tak bardzo pragnąłem,
żeby ktoś podkręcił moją duszę,
jak lampę naftową.

Dotychczasowe wiersze poety niezależnie od rodzajów wyrazu artystycznego miały jedną cechę wspólną. Była nią rygorystyczna, żelazna niemalże logika konstrukcji tematycznej, polegająca na kolejnym rozwijaniu motywów. Tę cechę prezentuje np. wiersz Moja biblioteka z wyraźnie podkreślonym tokiem relacji, typowy dla założeń kompozycyjnych spotykanych w poezji Broniewskiego. Tę cechę prezentuje nawet tak odmienny i niezwykły wiersz, jak Most Poniatowskiego, gdzie mimo bardzo silnie zdynamizowanego toku wypowiedzi nie zatracają się bynajmniej prawa związków i kolejności motywów.

Weźmy z kolei tak specyficzny w konstrukcji kompozycyjnej wiersz, jak Pokłon Rewolucji Październikowej. Oto urywek dla unaocznienia jego cech:

My mamy sztywne karki,
kłaniać się uczono nas długo,
aż urwał się kańczug carski,
aż wyleźliśmy spod kańczuga.

Kłaniam się prochom Rylejewa,
kłaniam się prochom Żelabowa,
kłaniam się prochom wszystkich
rewolucjonistów.

Grób Lenina — prosty jak myśl,
myśl Lenina — prosta jak czyn,
czyn Lenina — prosty i wielki
jak Rewolucja.

Kłaniam się mogiłom Stalingradu,
mogiłom Berlina i Moskwy —

Nie widzimy w nim już poprzedniej ciągłości, a jednak motywy zachowują nadal spoistość. Decyduje o tym wyraźna precyzja i konkretność obrazów oraz

rama sprecyzowanej i dobitnie zaznaczonej konstrukcji ideowo-tematycznej. Pozwala to utworowi w sposób oryginalny artystycznie i ideologicznie przekonywający uwypuklić sens znaczenia Rewolucji Październikowej, o której cele walczyli wspólnie rewolucjoniści rosyjscy i polscy i której zwycięstwo stało się podstawą wolności Polski i niezachwianej przyjaźni narodów radzieckich i polskiego, przypieczętowanej mogiłami na szlaku wspólnej walki w ostatniej wojnie przeciw hitleryzmowi.

Cytowany fragment z poematu M a z o w s z e stanowi natomiast przykład wyraźnego rozluźnienia spoistości kompozycyjnej. Niedostateczna konsekwencja założeń ideowo-tematycznych, dezynwoltura skojarzeń — oto przejawy, które wiążą się ze wspomnianym przeszarżowaniem bezpośredniości stylu. Przykłady tego rodzaju nie są, niestety, odosobnione w ostatnim tomie. Dlatego w urywkowej analizie osiągnięć artystycznych N a d z i e i trzeba było zatrzymać się dłużej — przy cechach negatywnych, które swoimi zawichrzeniami odbijają się ujemnie na stronie ideowo-artystycznej poezji Broniewskiego i ograniczają na pewnych odcinkach jej znaczenie jako wzoru poezji realizmu socjalistycznego. Ale właśnie ze względu na wielkość tej poezji i znaczenie wzoru momenty te musiały być tym dobitniej zasygnalizowane.

*

Do spraw minionych już bezpowrotnie należy okres, kiedy znaczenie dorobku Broniewskiego nie było dostatecznie doceniane. Sugestie tego nieporozumienia sprowadzały się zresztą tylko do pewnej części naszych zdezorientowanych ideologicznie środowisk literackich. Szczególnie oburzający wyraz znalazło to w nieodpowiedzialnym sklasyfikowaniu w jednym z pism młodzieży literackiej autora E l e g i i o ś m i e r c i L u d w i k a W a r y ń s k i e g o w rubryce „galeria poetów umarłych". Ogólny jednak wysiłek krystalizacji ideologicznej, jaki obserwowaliśmy w ostatnich latach w naszym życiu literackim, przywrócił właściwą hierarchię w spojrzeniu na poetę. Odczytana należycie rola Broniewskiego, jako pioniera realizmu socjalistycznego w poezji polskiej, nabrała znaczenia niewątpliwie ważkiego czynnika w rozwoju i kształtowaniu się naczej poezji po wyzwoleniu. Broniewski mianowicie stał się mobilizującym przykładem, który uczył przede wszystkim rewolucyjnej postawy i żarliwości ideowej jako nieodzownego warunku dla sztuki, która pragnie brać udział razem z masami ludowymi w przeobrażeniach i kształtowaniu nowej rzeczywistości.

Dzisiaj droga Broniewskiego, którą samotnie torował przed ćwierć wiekiem, jest zwycięską drogą rozwoju naszej poezji. Czego dzisiaj uczą dawne i nowe osiągnięcia poety, które zawarowały mu jego czołową pozycję zawsze wysuniętą na pierwszą linię działania? Nie ulega wątpliwości, że przykład Broniewskiego uczy w dalszym ciągu bojowości i zdecydowania postawy w toczącej się walce o socjalizm i pokój. Dowodem tego zasadnicza część N a d z i e j i. Ale Broniewski jest przykładem, który uczy także swoimi niepospolitymi osiągnięciami mistrzostwa artystycznego. To, co przed laty, kiedy chodziło przede wszystkim o pobudzenie aktywności ideowej pisarzy, było nieco przesłonięte być może wskazywaniem na treści postawy, teraz właśnie w etapie walki o jakość artystyczną wysuwa się jako zagadnienie o pełnym równouprawnieniu.

Przykład Broniewskiego i jego droga rozwoju są istotnie charakterystyczne i

pouczające. Kiedy czytamy pierwsze wiersze poety, dostrzegamy oczywiste naloty ówczesnych estetyk burżuazyjnych. Jednocześnie jednak dostrzegamy, jak poeta stopniowo, ale zdecydowanie otrząsa się z nalotów i krystalizuje własny typ artyzmu, ten sam, który mimo różnorodności form wyrazu pozwala rozeznać bezbłędnie najdrobniejszy bodaj fragment spod pióra Broniewskiego. Interesujące właśnie dzisiaj jest prześledzenie czynników, które brały udział w krystalizacji artystycznej autora W i a t r a k ó w. Najważniejsze bez wątpienia znaczenie przypadło postawie ideowej, która wymagała, aby poezja stała się narzędziem walki o nowy świat. Żarliwość ideowa pozwoliła poecie odszukać jako pomoc w jego zadaniu zapładniające nurty tradycji artystycznej, a więc dorobek romantycznych i rewolucyjnych demokratów, dorobek polskiej pieśni rewolucyjnej i pieśni ludowej. Wrośnięcie poezji Broniewskiego w tradycję narodową było tak silne, że wbrew temu, iż sam poeta przyznaje poddanie się wpływowi Majakowskiego nie potrafimy ukazać uchwytnych przejawów tego wpływu poza samym pobudzającym przykładem genialnego poety służącego sprawie rewolucji.

Przykład Broniewskiego jest w tym właśnie sensie cenny, że pokazuje, iż poeta, który nawiązał do tradycji w oparciu o zdecydowane treści ideowe, wyniósł z niej swoją bezsprzeczną i niezwykle sugestywną oryginalność. Osiągnięcia, które przypadły zarówno na dawny jak obecny okres twórczości poety, stanowią najbardziej wymowne świadectwo, że właśnie czerpiąc z żywych źródeł tradycji i służąc swoją poezją najważniejszym sprawom współczesności, potrafił Broniewski wzbogacić literaturę polską zdobyczami o pełnym walorze prawdziwego nowatorstwa.

Uczyć się u Broniewskiego, jak w ogóle u kogokolwiek, nie oznacza naśladować. Przykład Broniewskiego jest dowodem, że można przejąć zapładniające wpływy bez śladu naśladownictwa. Dlatego jest to przykład trudny ale cenny. Poeta, którego twórczość wpisała się już do historii poezji polskiej a jednocześnie toruje jej nadal drogę, odgrywa niejako rolę łącznika między tradycją a dniem dzisiejszym i jutrzejszym. Ciągle nowe osiągnięcia świadczą, że jest to rola istotnie płodna i pobudzająca.

Hieronim Michalski

ALBIN BOBRUK: *Matka i syn*. Wstęp: Jerzy Andrzejewski. Wydawnictwo PIW, Warszawa 1952; str. 225.

M a t k a i s y n Albina Bobruka jest po S t a r y m i N o w y m Lucjana Rudnickiego dalszym, niezmiernie cennym dorobkiem naszej literatury pamiętnikarsko-powieściowej.

Po raz drugi w wyzwolonym kraju Władzy Ludowej przemówił do nas syn polskiej klasy robotniczej, wychowanek Partii. Przemówił w sposób wzruszający swoją prostotą i pobudzający do rozmyślań, porównań, zastanowień i... jednoznacznych wniosków o wielkiej doniosłości historyczno-poznawczej.

Wspomniałem S t a r e i N o w e Lucjana Rudnickiego nie tylko ze względu na tożsamość rodzaju literackiego. Idzie tu o coś niezmiernie ważniejszego! W obu utworach znajdujemy podobne wątki, obu bohaterów cechuje podobna postawa życiowa — postawa człowieka walki i odpowiednie selekcjonowanie faktów, umiejętność wyłowienia tego, co jest najbardziej istotne i typowe, co daje najszerszy wgląd w układ ekonomiczny i polityczny opisywanego okresu.

Albin Bobruk wywodzi się ze zubożałego chłopstwa (jest synem robotnika w pierwszym pokoleniu, który jeszcze kontaktu ze wsią nie zerwał) i od lat młodzieńczych garnie się do wiedzy, do książki. I jego, podobnie jak Lucjana Rudnickiego, nędza na wsi zmusza do poszukiwania pracy w mieście, zaś wrażliwość na krzywdę, tęsknota do wyzwolonej pracy prowadzi w szeregi partii rewolucyjnej, do KPP.

Zasadnicza różnica — to różnica okresu historycznego, który został u obu autorów zobrazowany w sposób artystycznie celny. Lata dziecięce i młodzieńcze Lucjana Rudnickiego przypadają na ostatnie dziesięciolecia XIX wieku, a Albina Bobruka — na czasy tzw. drugiej niepodległości.

Pamiętamy, że bieda Sulejowska wypędziła Rudnickiego z miasteczka rodzinnego do miasta Łodzi; rozbudowujący się wtedy przemysł włókienniczy wchłania jeszcze tanią siłę roboczą ze wsi. Inaczej rzecz się ma w okresie dorastania Bobruka, tj. na początku lat trzydziestych. Jego również „wieś wygnała, ale miasto nie wzięło"...

Bobruk tak opowiada o położeniu swoim i jemu podobnych w owym okresie:

„Brat Eugeniusz, Tolek i ja, dorastaliśmy w okresie kryzysu. Jako dzieci byliśmy jeszcze przydatni. Wymagania nasze były zaspokajane przez zamożnych chłopów czy rzemieślników, potrzebujących darmowej siły roboczej, ale kiedy potrzeby nasze wzrosły o buty, ubranie, tytoń i dorównały potrzebom choćby biednego chłopa czy rzemieślnika, przydatność nasza kończyła się".

Bobruk dorasta więc w okresie, gdy wieś liczyła osiem milionów „zbytecznych gąb", gdy w mieście szaleje bezrobocie, gdy demonstracje bezrobotnych przed gmachami sławetnych PUPP-ów i przed gmachami starostw były zjawiskami powszednimi i siłą faktu „start życiowy nie mógł rokować w sanacyjnej Polsce nawet niegodnego zazdrości losu ojca. A przecież o tym tylko myśleliśmy, by iść w jego ślady. Było to jednak nieosiągalne w tych warunkach".

Ojciec Bobruka, który wraz z trzema braćmi opuścił wieś rodzinną i udał się, jak Rudnicki, do miasta (jest to ten sam okres historyczny), dostał pracę, jakiegoś fachu się nauczył (był cieślą i ślusarzem zarazem); Albin i jego bracia pracy nie dostają. Rudnicki pracuje przy maszynie, Bobruk może tylko o niej marzyć; marzenie to zrealizuje dopiero w kraju wyzwolonej pracy — w Związku Radzieckim. Rudnicki ma jeszcze możność sprzedać swoją siłę roboczą za marne wynagrodzenie, Bobruk w niepodległej Polsce kapitalistycznej jest pozbawiony i tej szansy... Odzyska on swoją godność robotniczą, swoją pełnowartościowość ludzką dopiero w kraju zwycięskiego socjalizmu. Dopiero tam odczuje radość twórczą, a stamtąd przeniesie ją do wyzwolonej ojczyzny. Jak widzimy, pokolenie Bobruka miało wybór niezmiernie ograniczony. Przed pokoleniem wygnanych ze wsi i nie przyjętych przez miasto stała jedna alternatywa: albo walka z sanacyjnym ustrojem krzywdy i bezrobocia, albo załamanie się duchowe i moralne.

Bobruk opowiada, że niektórzy „uprawiali sztukę pokonywania czasu snem", dla innych noce stały się „godzinami pracy", podczas których ginęły ze śpichlerzy, piwnic, kurników, zapasy chłopskie i z chlewów dobytek". „Włamań do magazynów ze szczeciną (w Międzyrzecu Podlaskim — S. Ł.) dokonywano nawet we dnie."

Nie mogę w tym miejscu nie zacytować ustępu, ilustrującego rozbrajającą szczerość autora i tragedię młodych ludzi, złamanych przez rzeczywistość sa-

nacyjną. Cytuję mianowicie dramatyczną rozmowę Albina Bobruka z bratem:

„Brat Eugeniusz widział, że bardziej, niż z braku odpowiedniego pożywienia, cierpię z powodu obranej przez niego drogi. Mówiłem z nim o tym.

— Mylisz się — odpowiedział. — Ja tej drogi nie obrałem. Została mi narzucona. Od ukończenia terminu opierałem się jej, ale musiałem ulec. Ty wiesz, co znaczy oprzeć się tej sile? Zdechnąć. Ot, jakie rozwiązanie. Ożeniłem się i żona moja musi być nadal służącą u panów. Nie mogłem dać jej utrzymania. Teraz znowu jestem przy matce. Miałeś rację — ciągnął — kiedy lękałeś się w Aleksandrówce, że może być jeszcze gorzej. Wtedy byliśmy dziećmi, pragnęliśmy dorosnąć i położyć kres głodowi. Teraz jestem dorosły, nawet ojcem już jestem. Ty wiesz, że do żony i dziecka muszę skradać się, by nie być zauważonym przez pana leśniczego, który nie znosi w swoim domu obcych ludzi? We wszystkich — ciągnął — widzi złodzieja. Niby co do mnie, nie myli się — dodał. — Nie mogę jednak myśleć o tym bez chęci zemsty na każdym, kto mówi mi tę prawdę. Niechby dali mi pracę w tartaku, wziąłbym wtedy Jankę do domu. Na razie mieszkałbym z matką, potem wynajął jakiś kąt i żył. Wiesz, jaki ładny mój Januszek? — mówił w podnieceniu. — Co dałbym mu jeść, jak nie zgodziłbym się na życzenie pana nadleśniczego? Ożeniłem się i nie mam żony! Nie wstydź się mnie — prosił. — Nawet dziś przeciwstawiam się jeszcze. Mam więc, widzisz, silną wolę. Mógłbym być bandytą, a nie jestem nim i nie będę. Jak się zmieni na świecie, znajdę robotę i zacznę żyć uczciwie.

— Czemu więc nie zmieniasz? — zapytałem. — Do Partii nie wstąpiłeś.

— Zrozum, że w tej chwili chodzi tu o życie, o to, ażeby nie zmarznąć z braku odzieży i nie opaść z sił z głodu. Tyle tylko chcę."

To wyznanie brata jest największym oskarżeniem ustroju, który życie ludzkie spycha na dno upadku!

Albina Bobruka chroni przed załamaniem się Partia. Wielka perspektywa walki o ustrój sprawiedliwości społecznej.

Świadomość walki, żądza walki o władzę ludu, wzmagała się w Polsce kapitalistycznej z każdym dniem, bo przykład Związku Radzieckiego, bo fakt, że tuż obok klasa robotnicza nie zna bezrobocia, obcinania zarobków, pomiatania godności osobistej, kupowania pracy u torowych czy placowych za wódkę — pobudzał do czynu, do walki.

Sam fakt, że w każdym słusznym żądaniu okrutnie wyzyskiwanych robotników burżuazja i jej słudzy widzieli bolszewizm, dopomagał jakby do zrozumienia przez najbardziej zacofanych wielkiej prawdy radzieckiej.

Bobruk lapidarnie opowiada, jak lekko rozszyfrował we właściwym sensie pierwszą ulotkę KPP, która wpadła mu do ręki; jak udało mu się dostać do szkoły dokształcającej rzemieślników i na jednej z lekcji wystąpił z opozycją przeciwko nauczycielowi — poloniście który cytował sielankowe opisy życia chłopskiego i rzemieślniczego, odczytując specjalnie dobrane urywki z powieści Reymonta i Orzeszkowej. W kilka dni potem znalazł Bobruk w pulpicie odezwę KPP.

„Przeczytałem ją kilka razy, choć nosiła datę sprzed kilku miesięcy. Mówiło się w niej o Piłsudskim — psie łańcuchowym imperializmu, o PPS — lokaju kapitalistów, o tym, że rząd przygotowuje najazd na ZSRR. Co znaczy imperializm — nie wiedziałem, ale określenie „pies łańcuchowy" trafiło mi do przekonania. Skoro on rządzi Polską, a j

żyję w nędzy — inaczej nazwać go nie można. Znałem kilku nazywających się pepesowcami. Jeden z nich był placowym w tartaku, u którego kupowałem robotę; kiedy nie chciałem przepijać z nim zarobku, pozbawił mnie go".

„Zawiadowca tartaku — burżuj, placowy — jego lokaj — wywnioskowałem."

Bobruk wstępuje w szeregi KZMP, następnie w szeregi KPP. I z samozaparciem, z największym oddaniem, walczy w szeregach rewolucyjnej Partii o wyzwolenie ludu, a to znaczy to samo, co narażanie się na mordercze śledztwa i tortury w więzieniu, które znosi bohatersko.

Już pierwsze lata kapitalistyczno-obszarniczej Polski rozwiewają wszelkie iluzje; jasny staje się antyludowy charakter władzy, która za pomocą sądu i policji terroryzuje masy ludowe; chce je odstraszyć od przykładu mas pracujących Rosji.

Już ojciec Albina odczuł tchnienie Rewolucji Październikowej. Przechowuje w domu karabin i podczas najścia „własnej" polskiej żandarmerii i szpicli, dziesięcioletni Albin słyszy, jak nazywają jego ojca „bolszewikiem". Nie zrozumiał on znaczenia tego słowa, ale utkwiło ono w jego pamięci, jako coś, co jest zaprzeczeniem tego ustroju, który trzymał ojca do rozprawy sądowej z górą rok czasu w więzieniu, skazując rodzinę na okropną nędzę, na wyprzedanie się do ostatniego sprzętu.

Sędzia, co prawda, nakazuje jego ojcu, by uczęszczał do kościoła, i „przestrzegał, że heretycy i luteranie będą w przyszłości karani jak najsurowiej". Sędzia nakazuje, by się „modlił o zdrowie marszałka", a więc i tu jest presja religijna, i nie tylko księży, ale bezskuteczna. Ojciec księży nazywa „bożymi ogierami", matka, bohaterska, jakże piękna w swoim poświęceniu matka Bobruka, nie modli się. Nie uważa, że powinna dziękować Bogu za nędzę, głód, za brak nie tylko chleba, ale i kartofli, które zdobywa z cudzych kopców, a drzewo „kradnie" z lasu...

*

Wartość Matki i syna polega na tym, że poprzez doznania osobiste Albina Bobruka widzimy klasę, epokę, w której autor żył, która kształtowała jego świadomość.

Opowieść Bobruka prócz umiejętnej selekcji faktów, odznacza się dużą jasnością stylu, w którym brak wszelkich pięknostek i zbytecznej ornamentyki, szczerą prawdą, która wyziera z każdej stronicy. Lapidarne, ale jednocześnie głębokie, wrzynające się w pamięć, obrazy rodzajowe i bytowe, portrety ludzi różnych klas społecznych; pełne siły, wyrazu artystycznego, plastyki, opisy przyrody (szczególnie w tym okresie, gdy Bobruk pracuje jako budowniczy na wolnej ziemi radzieckiej), zdrowy optymizm człowieka walki — nadają ładunek wzruszeniowy tej książce.

Można z całą stanowczością twierdzić, że gdyby nota biograficzna zamieszczona na wstępie książki i słowa wstępu pióra Jerzego Andrzejewskiego nie podkreślały autentyzmu postaci i faktów, czytelnik przyjąłby tę książkę jako powieść biograficzną i nic by ze swojej prawdy, ładunku wzruszeniowego i ideologicznego nie straciła.

Jest to możliwe dlatego, gdyż wszystkie doniosłe prawdy tej książki przełamują się przez pryzmat jednostki niepowtarzalnej, bo wszystkie fakty są najściślej związane z dziejami jednostki, piszącej pamiętniki i nic z ilustratywności nie mają. W książce Bobruka jest życie, są fakty z życia jego i jego rodziny, a poprzez te fakty życiowe mo-

żemy wysnuć doniosłe wnioski historyczne.

Byłoby śmieszne twierdzić, że każdy robotnik musiał w młodości przeżyć tyle nieszczęść co Albin Bobruk, że każde dziecko robotnicze odczuwało tak wzruszającą miłość do matki, taki nieutulony głód wiedzy, że każde dziecko robotnicze było w takim stopniu obdarzone wyczuciem piękna, poezji, przenikliwym spojrzeniem, szybką orientacją i impulsywnością.

Nie. To są cechy charakteryzujące wyłącznie autora pamiętników, ale w większym czy mniejszym stopniu, wszystkie, lub część z nich można zawsze znaleść wśród mas pracujących i przez to są typowe. Nie u każdego dzieciństwo i start życiowy miał tak tragiczny przebieg jak u autora pamiętników, niemniej sam fakt, że był on tragiczny u wszystkich ludzi pracy pozostaje i dlatego słusznie pisze Jerzy Andrzejewski, że „pamiętnik Bobruka przynosi coś więcej, niż dzieje jednostki. Prawdziwym i najgłębszym nurtem książki Bobruka jest nurt historii".

A umiejętność dania poprzez przeżycia jednostkowe obrazu rzeczywistości jest osiągnięciem nielada i stawia książkę w rzędzie celniejszych osiągnięć naszej prozy artystycznej.

Czytasz pamiętniki Bobruka i widzisz wyraźnie, jak łatwo było się tu ześliznąć na opisy naturalistyczne, na szczegóły i szczególiki pikantne, na pięknostki; jak wiele faktów pisarz mieszczański uważałby za niestosowne ujawnić, jako kompromitujące... (bo przecież trzeba siebie pokazać w jak najbardziej uroczystym świetle). Co tu dużo gadać, wystarczy otworzyć pierwszą lepszą pozycję pamiętnikarską pisarzy mieszczańskich, a stanie się jasne, jak daleko odbiega od nich Matka i syn Bobruka i Stare i nowe Rudnickiego, gdzie wszechwładnie panuje szczerość i prawda. W tych pozycjach brak co prawda wieszczego namaszczenia, ale za to mamy coś o wiele cenniejszego: marksistowskie przenikanie rzeczywistości. Jest w nich spojrzenie ludzi walki na przebytą drogę życiową z perspektywy potrzeb i osiągnięć dnia dzisiejszego i jutrzejszych zadań.

Pamiętnik Bobruka, zamykający w sobie okres 30-letni, oddaje w sposób plastyczny, wzruszający, dzieje pokolenia, biedoty wiejskiej i miejskiej, która dojrzewała w okresie gnicia kapitalizmu z jednej strony i wznoszenia się wielkiego gmachu socjalizmu na jednej szóstej kuli ziemskiej — z drugiej. Dzieje lat walki z hitlerowskim najeźdźcą aż do powstania Polski Ludowej są potwierdzeniem tej wielkiej prawdy, że tylko klasa robotnicza i jej Partia jest w stanie budować ustrój sprawiedliwości społecznej, że tylko ideologia markistowsko-leninowska jest w stanie naświetlić drogę, dać niezawodne kryteria oceny przeszłości, teraźniejszości i dać radosną perspektywę przyszłości. Sympatia, jaką budzi skromność autora i jego towarzyszy walki tak na wolności, jak i w więzieniu, ten zachwyt, którym dzieli się z nami opisując nowe życie w Związku Radzieckim, życie klasy robotniczej, mas chłopskich w kołchozach — jest rezultatem piękna i doniosłości przebytej drogi walki. Bo książka Bobruka uczy walczyć o słuszny, wzniosły ideał, o socjalizm; książka Bobruka Matka i syn nie ma w sobie nic ckliwego, ale jakże wzrusza czytelnika. Wzrusza go, bo widzi w niej najistotniejszą prawdę naszych czasów: kapitalizm — to nędza, poniewierka i śmierć, socjalizm — to godne ży-

cie, radość pracy, to utwierdzenie prawdy nad fałszem, życia nad śmiercią.

Taka jest wymowa krótkich, ale jakże treściwych obrazów, kąśliwej ironii, umiejętnego powiązania życia jednostki ze środowiskiem, prawdy, która znalazła piękny wyraz w książce Bobruka Matka i syn.

Salomon Łastik

T E A T R

NA SCENACH WROCŁAWSKICH

Państwowe Teatry Dramatyczne we Wrocławiu dały w minionym półroczu trzy prapremiery świadczące o śmiałych i twórczych poszukiwaniach artystycznych, o dużych ambicjach zespołu przede wszystkim w dziedzinie odkrywczości repertuarowej. Były to: Komedia Apolla Nałęcz-Korzeniowskiego, Człowiek z karabinem Mikołaja Pogodina i Angelo, tyran Padwy Wiktora Hugo.

Po wystawieniu Komedii nikt nie zwrócił uwagi na pewne podobieństwa tego utworu do późniejszego odeń o lat czterdzieści Grzechu Żeromskiego. Na czym polegają te podobieństwa? Przede wszystkim na tym, że obydwaj autorzy przyjęli pełne konsekwencje swej postawy krytycznej w stosunku do rzeczywistości społecznej, zn. od krytyki przeszli do postulatów, do wyznaczenia tego układu sił, który — według ich najlepszego rozumienia— powinien określać kierunek dalszego rozwoju. Co więcej: w wyznaczeniu tych perspektyw posługiwali się ścisłymi kategoriami społecznymi, by nie powiedzieć klasowymi, a to bardzo trudno było zarówno w dramaturgii ówczesnej jak i w całej literaturze naszej nawet okresu realizmu krytycznego. U Korzeniowskiego wyrazem tych postulatywnych tendencji jest postać Sekretarza, który swój krytycyzm w stosunku do ustroju potrafi już przełożyć na język konkretnej choć bardzo ubogiej jeszcze propozycji społecznej, u Żeromskiego — ów przenikliwie dojrzany wówczas, u schyłku XIX stulecia, kolektyw robotniczy na warszawskiej budowie.

Baczniejszą natomiast uwagę zwrócono na podobieństwa inne, mianowicie z utworem Gribojedowa Mądremu biada. Na krótko przed premierą Komedii w teatrze wrocławskim czytałem — odrzucony przez redakcję — artykuł jednego z naszych domorosłych estetów i literaturoznawców o Apollu Korzeniowskim i jego „przeróbce Gribojedowa". Ów autor — sięgając do wszystkich argumentów, jakimi kiedyś posłużyła się krytyka burżuazyjna, by usunąć utwór Korzeniowskiego z żywego nurtu dramaturgii polskiej — starał się dowieść, że Komedia jest tylko dość nieudolną kopią daleko odbiegającą od wartości oryginału.

Oczywiście nie można zaprzeczyć, że Korzeniowski posiłkował się w pewnym stopniu techniką dramatyczną Gribojedowa, wziął od niego pewne rozwiązania sytuacyjne, ale wykazał całą oryginalność tam, gdzie ona decyduje o wartości utworu. Tadeusz Mikulski napisał o tym obszernie w 3 numerze Teatru. Stamtąd jeden cytat: „...pociąga nas i zachęca do starannego badania zagadnienie Gribojedowa w twórczości Korzeniowskiego. Studium to uwolni Komedię od zarzutu plagiatu. To nie naśladownictwo, nie

przeróbka. Rozwój akcji, postać Sekretarza, charakter Lidii; wyraźny adres społeczny oskarżenia, jego uzasadnienie, realia dzieła — wszystko to daje Komedii Korzeniowskiego cechę prawdziwej oryginalności".

Przedstawienie wrocławskie w reżyserii Marii Wiercińskiej podkreśliło jeszcze pewne specyficzne cechy sztuki, dowodzące, jak głęboko i trafnie ujął autor w Komedii moment historyczny rezwoju nowoczesnego społeczeństwa. Jest to pierwszy lub jeden z pierwszych utworów naszej literatury, w którym sytuacja społeczna, klasowa postaci zaczyna decydować o jej charakterze, o jej losie. Możemy tu dostrzec moment formowania się świadomości społecznej postaci literackich, narodziny zrozumienia własnej roli w społeczeństwie kapitalistycznym. I tu przypomnieć wypadnie znowu Grzech, w którym ta świadomość występuje już w dojrzałej, wysoko rozwiniętej formie. W tym widzę główną wartość ideową Komedii Apolla Korzeniowskiego dla naszego współczesnego teatru.

Następną prapremierą Teatru Polskiego był Człowiek z karabinem Pogodina w reżyserii Jakuba Rotbauma, jedna z najwybitniejszych sztuk wielkiego repertuaru politycznego dramaturgii radzieckiej. Napisana w dwudziestolecie rewolucji, w dziewięć lat po powstaniu Lubow Jarowaja Treniewa, o dziesięć lat wyprzedziła Niezapomniany rok 1919 Wiszniewskiego. Wśród tych trzech sztuk — sztuka Pogodina zajmuje miejsce centralne nie tylko ze względu na datę swego powstania, lecz przede wszystkim ze względu na zakres poruszanej problematyki. Lubow Jarowaja — to dzieje prostych żołnierzy rewolucji; Niezapomniany rok 1919— to dzieje jej wodzów, głównym bohaterem utworu jest Stalin. Człowiek z karabinem z zadziwiającą konsekwencją pokazuje rewolucję zarówno przez pryzmat historycznych wydarzeń jak i przez rozwój indywidualnych losów ludzkich. Rewolucja — to epokowy moment urzeczywistnienia wielkiej idei społecznej i zaspokojenie istotnych, najbardziej palących interesów rosyjskiego człowieka. Utwór wprowadza na scenę Lenina i Stalina (kreacje tych postaci stworzyli Feliks Żukowski i Władysław Dewoyno), i chłopa rosyjskiego, Iwana Szadrina („człowieka z karabinem"), i tysiące takich jak on ludzi: żołnierzy, marynarzy, robotników. Tłumaczy rozwój historii, która rodzi rewolucję, i dojrzewanie nowego człowieka, którego rewolucja przekształca i zmienia.

Słusznie ukazała te dwa zasadnicze nurty sztuki inscenizacja Rotbauma, posługując się dla ich uwypuklenia materiałem zaczerpniętym ze scenariusza filmowego napisanego przez Pogodina według Człowieka z karabinem. Scenariusz rozbudowywał założenia dramaturgiczne utworu, rozbudowywał i głębiej charakteryzował postacie Lenina i Stalina, wprowadzał je w żywy nurt akcji, nadawał ich działaniu znaczenie samodzielne, ważne i pełne. Inscenizacja wrocławska historyczny nurt sztuki rozszerzyła, nie zaniedbując jednak ścisłego wymierzenia wszystkich proporcji artystycznych. Tym wyraziściej podkreśliła przez to walor zobiektywizowanego stosunku Pogodina do rewolucji, stosunku, który pozwolił pisarzowi dostrzec w tym okresie wielkiego przełomu nie tylko historyczny konflikt między burżuazją a proletariatem, lecz także głębokie konflikty pulsujące w samym obozie rewolucji, konflikty, w których przezwyciężaniu ten obóz hartował się rozwijał, umacniał swoją jedność.

Na czym one polegały? Ich ukazanie przez Pogodina nadaje głęboki sens

szeroko dyskutowanemu u nas zagadnieniu konfliktów antagonistycznych i nieantagonistycznych. Konflikt pomiędzy burżuazją a obozem rewolucji przebiega w sztuce właściwie obok Szadrina, głównego jej bohatera. Jego konflikt — naprawdę wielki konflikt, jak chce Jan Kott — przebiega między nim a obozem rewolucji, w którym jest Lenin, w którym jest Czibisow, do którego wreszcie on sam należy poprzez swoją sytuację klasową. Ale konflikt ten nadający indywidualny ton całej sztuce Pogodina jest konfliktem nieantagonistycznym, jest takiego konfliktu wielkim i pięknym przykładem. Rosyjskiego chłopa, Szadrina, nie oddala od rewolucji jego sytuacja klasowa, ale jego niedojrzała świadomość, jego rezerwa i niechęć do polityki, której nie rozumiał i nie chciał, bo do niedawna nie miała nic wspólnego z jego najżywotniejszymi interesami. Ta niechęć do polityki nie jest jednak zbyt trwałą barierą oddzielającą go od komunistów. Przekonała go o tym historyczna decyzja Rad Delegatów; cała ziemia obszarnicza przechodzi na własność chłopów bez odszkodowania. I oto pryska mit niemieszania się do polityki. Polityka — to ziemia, to spełnienie najskrytszych marzeń. Odtąd nie będzie Szadrina dzieliło od bolszewików nic, złączy z nimi wszystko, cała przyszłość wyzbyta z nędzy i poniżenia. Trudna walka, jaka się toczy o zrozumienie tych spraw, budzi głęboki szacunek. Jej przeżycie — wiąże.

Spektakl wrocławski zapoczątkował w naszym teatrze inscenizację monumentalnego widowiska politycznego, opartą na najlepszych wzorach radzieckich. Jest wielkim sukcesem, że głęboką i przełomową także dla naszych czasów problematykę utworu Pogodina wyrazić umiał nasz teatr środkami mocnymi i celnymi, w pełni godnymi tej wielkości. I jest zasługą zespołu aktorskiego, że to dążenie poparł całym swoim kunsztem artystycznym. Szczególnie odpowiedzialne zadanie podjęli aktorzy odtwarzający postacie Lenina i Stalina. Żukowski stworzył wierną i prawdziwą, a zarazem mocną i pełną artystycznie postać Lenina. Dewoyno w roli Stalina rozbudowanej w sztuce przez inscenizatora, miał do pokonania trudności większe i uległ im w pewnym stopniu. Ludwik Benoit zarysował sylwetkę Szadrina w sposób niezapomniany, jego rolę trwale wliczy się do wielkich osiągnięć naszego teatru.

Nie mniej ambitną i śmiałą próbą — choć nie uwieńczoną pełnym powodzeniem — było wprowadzenie na nasze sceny po raz pierwszy po wojnie jednego z dramatów Wiktora Hugo — A n g e l o, t y r a n P a d w y. Najogólniejszą uwagą byłoby tu zalecenie dużej ostrożności i czujnego krytycyzmu w stosunku do teatru epoki romantyzmu. Szczególnie trudne jest określenie i ustalenie w naszej współczesności miejsca dla romantyzmu francuskiego. Cechuje go bogactwo i wielokierunkowość ideowa i artystyczna. Silna reakcja romantyzmu na klasycyzm literatury jest równoczesna niemal z niemniej silną reakcją na rozwichrzenie romantyczne. W roku 1835 Wiktor Hugo jest obwołany wielkim mistrzem nowej szkoły literackiej, ma w swej twórczości dramaty przełomowe dla rozwoju sceny francuskiej: C r o m w e l l, H e r n a n i, M a r i o n D e l o r m e, pisze A n g e l a i w tym samym roku ukazuje się C z e r w o n e i c z a r n e, powieść racjonalistyczna, klasyczna niemal, w konstrukcji i formie — jakże bliska jednak romantyzmowi losem swego bohatera, jego wewnętrznym rozwojem; wkrótce potem pojawiają się chłodne i sceptyczne etiudy sceniczne Musseta.

We wrocławskim programie teatralnym zestawiono bardzo ciekawe wypo-

wiedzi Wiktora Hugo na temat A n g e l a: fragmenty wstępu do wydania książkowego i fragmenty obrony przed krytykami sztuki. Odpierając poważny zarzut ulegania melodramatycznemu efekciarstwu, znakomity pisarz dokumentuje cytatami z kilku podręczników historii wierność obyczajową przedstawianych wypadków w Wenecji XVI w. We wstępie natomiast kreśli Hugo zadanie, jakie stawiał sobie, pisząc A n g e l a. Nie chodziło mu wtedy o stworzenie dramatu obyczajowego z dziejów Wenecji, ale chciał — jak powiada — „ukazać dwie poważne, lecz bolesne postacie: kobietę z towarzystwa i kobietę spoza niego; inaczej mówiąc w dwu tych postaciach przedstawić wszystkie kobiety, całą kobietę. Pokazać te dwie kobiety, które całą kobiecość streszczają w sobie, często szlachetne, zawsze nieszczęśliwe. Bronić jednej z nich przeciwko despotyzmowi, drugiej — przeciw wzgardzie. Ukazać, jakim próbom potrafi się przeciwstawić cnota pierwszej z nich, jakimi łzami potrafi obmyć swe poniżenie druga. Tam dostrzec błąd, gdzie błąd tkwi, a więc w mężczyźnie, który jest wszechwładny, i w ustroju społecznym, który jest absurdem". Trzeba powiedzieć, że głęboko humanistyczne, lecz społecznie jeszcze w pewnym sensie ograniczone, założenie sztuki zostało spłycone wyborem środowiska, które — być może wiernie odbijające rzeczywistość wenecką — nie musiało być przecież przedmiotem artystycznej obróbki pisarza.

Inscenizacja Horzycy — wsparta dobrym realizmem dekoracji Jadwigi Przeradzkiej — miała zadania bardzo trudne. Każdy krok w kierunku wierności aktora dla tekstu prowadził do patosu zbliżającego się do groteski, a groteska niszczy bezlitośnie samo założenie utworu. Moim zdaniem decydując się na wystawienie tej sztuki Wiktora Hugo należało stępić ostrze melodramatyczne utworu, zwracając uwagę nie na patetyczny gest, ale na jego humanistyczną, ludzką treść. Reżyser nie wszędzie poszedł za tą koncepcją, aczkolwiek w pewnych scenach — które nabierały przez to najmocniejszego wyrazu — tą metodą aktorzy się posłużyli. Miały takie momenty obydwie najważniejsze role kobiece, ale załamywały się one wtedy, gdy tekst wymagał największej czujności: Hugo nie oszczędził nam na scenie trzech zabójstw.

Państwowy Teatr Młodego Widza we Wrocławiu wystąpił ostatnio z premierą sztuki Franciszka Zabłockiego pt. Ż ó ł t a s z l a f m y c a, nie granej u nas od roku 1789. Słuszna wydaje się myśl sięgnięcia do repertuaru teatru Oświecenia, wykraczając poza utarty schemat szkolnych czytanek, uporczywie dostrzegających w przebogatej twórczości dramatycznej Zabłockiego trzy tylko —najlepsze co prawda — jego utwory: F i r c y k a w z a l o t a c h, Z a b o b o n n i k a, S a r m a t y z m. Te trzy utwory przeszły też już po wojnie przez kilka scen polskich.

Jednym z najoczywistszych pretekstów, jakimi posługiwano się do usuwania w cień wielu utworów Zabłockiego był zarzut ich „nieoryginalności". Rzeczywiście, jeślibyśmy zadali sobie trud przejrzenia około pięćdziesięciu pozostawionych przez Zabłockiego sztuk scenicznych, nie znaleźlibyśmy wśród nich prawdopodobnie wielu utworów, których treść, kanwa sytuacyjna, pewien typ konwencjonalnego rozwiązania nie byłyby zapożyczone od obcych, przeważnie francuskich, autorów dramatycznych. Zabłocki jednak ustosunkowywał się do nich rozmaicie. Znajdziemy przeróbki bliskie tłumaczeniom, znajdziemy też utwory o dużym stopniu oryginalności, daleko odbiegające od pierwowzo-

ru. Pisał o nich Ludwik Biernacki: „Przy zachowaniu techniki dramatycznej oryginałów metoda twórczości Zabłockiego polegała nie na powierzchownym przeistaczaniu francuskich imion własnych na rodzime, ale na niezwykle udatnej adaptacji życia francuskiego na szczeropolskie za pomocą ujmowania lub też dodawania różnych własnych szczegółów, obcych użytkowanym pierwowzorom. A działo się to w potoczystym wierszu ozdobionym śmiałymi rzadko dotąd spotykanymi rymami, w jędrnym, soczystym i rubasznym nieraz języku, obfitującym w czysto polskie wyrażenia i zwroty, pełnym przysłów narodowych". Uzupełniają tę charakterystykę słowa Kazimierza Brodzińskiego: „Chociażby treść była wzięta z obcego języka, choćby charaktery i układ dzieła mniej na uwagę zasługiwały, dla języka samego będzie Zabłocki zawsze jednym z najszacowniejszych naszych pisarzów".

Warto — jak mi się wydaje — nie poprzestawać na tych „odkryciach" Zabłockiego, jakie poczyniono dotychczas. Warto oprócz Żółtej szlafmycy i Balika gospodarskiego wystawionego na scenie Teatru Polskiego w Bielsku pokazać jeszcze inne jego utwory. Warto sięgnąć do utworów innych pisarzy tego okresu poza Zabłockim i Bogusławskim.

Wracam do osiągnięć dokonanych. Żółta szlafmyca albo kolęda na Nowy Rok — „komedioopera" — wydana w roku 1783, napisana została podług sztuki francuskiej *Les Etrennes de Mercure ou le bonnet magique*. Zmiana tytułu francuskiego jest tutaj charakterystyczna i od razu naprowadza na ślad roboty Zabłockiego. Owa Kolęda na Nowy Rok przywodzi na pamięć stałe motywy intermediów, krotochwil i błazenad żakowskich, tkwiących u źródeł naszego ludowego teatru, któremu obce były „szelmostwa Merkurego". Słusznie też postąpił dramaturg wyrzucając tę ostatnią postać do prologu i oczyszczając po części nurt sztuki z głęboko w niej tkwiącego konwencjonalizmu.

Z konwencjonalizmu natomiast nie udało się oczyścić przedstawienia reżyserowi. To prawda, że zadanie było niełatwe, by w tej „operze" przyuczyć jeszcze do śpiewu i do działania aktorów o bardzo różnych warunkach wokalnych. Niemniej jednak wydaje się, że wszystkimi siłami należało podkreślić w utworze cechy obrazka obyczajowego, wyrastające na wyraźnym podłożu tradycji narodowych. Tak stawiała zagadnienie króciutka scena kolędy i, niestety, tylko ona była w sztuce naprawdę dobra — i najtrafniej oddana w realizacji. Dużo w tym winy autora — to jasne. Ale jeśli teatr decyduje się już na opracowanie dramaturgiczne sztuki powinno ono ustalać właściwą jej koncepcję i podsuwać ją wykonawcom.

Zygmunt Greń

NA WIDNOKRĘGU

EUROPEJSKA UNIA PŁATNICZA

8 czerwca uchwalono przedłużenie bytu tzw. Europejskiej Unii Płatniczej jeszcze na rok (E. U. P.). Unia ta została utworzona 1 lipca 1950 r. jako łączny produkt planu Marshalla, paktu atlantyckiego i osłabienia spoistości finansowej Imperium Brytyjskiego.

Formalnie rzecz biorąc, EUP jest instytucją, której zadaniem jest przeprowadzanie rozliczeń płatniczych pomiędzy krajami marshallowskimi (z tery-

toriami walutowo zależnymi włącznie). Zasadą rozliczeń jest multilateralizm (wielostronność). Na przykład — zadłużenie Włoch wobec Francji może być uregulowane przy pomocy wierzytelności Włoch wobec Wielkiej Brytanii i wierzytelności Wielkiej Brytanii wobec Francji. U podstaw takiej metody rozliczeń leży możliwość regulowania długu w jednej walucie przy pomocy wierzytelności w drugiej — długi Włoch wobec Francji opiewają na ogół na liry, wierzytelności zaś Włoch wobec Wielkiej Brytanii na funty szterlingi — innymi słowy wymienialność wzajemna walut marshallowskich. Jeśli po dokonaniu wszystkich rozliczeń pozostanie jeszcze tzw. zadłużenie netto, Unia — do pewnej wysokości tego zadłużenia — udziela dłużnikowi kredytu w postaci odroczenia spłaty, a wierzyciele z kolei kredytują Unii. Jednakże powyżej określonej wysokości zadłużenia netto następuje spłata w dolarach bądź złocie do kasy Unii, która z kolei reguluje w tenże sposób wierzytelności netto, przekraczające pewien poziom. Ta procedura oznacza, że waluty marshallowskie są w pewnym zakresie wymienialne na złoto i dolary i że przy spłacie dolar wypiera waluty krajowe — i to jest druga ważna cecha systemu EUP.

Możność regulowania wymiany walutowej na swym terenie jest w rękach każdego państwa kapitalistycznego dużej wagi narzędziem obrony przed zalewem obcych towarów i kapitałów; narzędziem kształtowania możliwie korzystnie wymiany handlowej, tak z punktu widzenia doboru dostawcy, jak i w zakresie udziału poszczególnych grup towarowych w imporcie i eksporcie. W szczególnie szerokim zakresie wykorzystywała po wojnie to narzędzie Wielka Brytania jako głowa strefy szterlingowej. Utworzenie EUP, wprowadzając zasadę niezależnej od poszczególnych państw-partnerów wymienialności wzajemnej i wymienialności na dolary ich walut, stępiło wspomniane narzędzie bardzo poważnie.

Dlatego też utworzenie EUP było przedmiotem niezwykle ostrej walki pomiędzy Amerykanami i Londynem i doszło do skutku tylko w wyniku szantażu USA, iż kraje marshallowskie, które do Unii nie przystąpią, przestaną otrzymywać jakąkolwiek pomoc z USA. Motywy nacisku amerykańskiego w tym zakresie, w jakim Unia jest płodem planu Marshalla, były jasne. EUP miała się przyczynić do „integracji zachodnio-europejskiego rynku" poprzez wprowadzenie zasady wymienialności walut krajów marshallowskich. Oznacza to nic innego, jak ułatwienie amerykańskim monopolom pełnego opanowania gospodarki poszczególnych krajów marshallowskich. Należy bowiem pamiętać, że jakkolwiek wszystkie te kraje są gospodarczo, politycznie i wreszcie wojskowo związane z USA, to jednak ich stopień uzależnienia jest bardzo różny i rola, jaką w konsekwencji między innymi tego właśnie stopnia uzależnienia dany kraj odgrywa w planach amerykańskich, kształtuje się rozmaicie.

Grecja na przykład jest amerykańską kolonią — W. Brytania, metropolia imperialistyczna, coraz bardziej słabnąca i coraz silniej od USA uzależniona, przecież na poziomie Grecji jeszcze nie stoi.

Zachodnio-niemiecki imperializm, którego interesy są z interesami Wall Street, przy hegemonii tych ostatnich, stosunkowo najsilniej splecione, otrzymuje rolę głównego sojusznika USA na kontynencie europejskim, rolę, o której nadaremnie marzą pp. Pinay, Schuman i de Gaulle.

Niewinne hasło „jednolitego rynku", którego finansowo-walutowym wyrazem

jest EUP, oznacza w tej sytuacji po prostu wytrącenie z rąk co oporniejszych satelitów jeszcze jednego sposobu samoobrony; oznacza łatwiejsze opanowanie przez USA nowych pozycji w krajach marshallowskich przy wykorzystaniu pozycji już zdobytych oraz łatwiejsze narzucanie poszczególnym satelitom roli wyznaczonej im w waszyngtońskiej centrali. EUP posiada przy tym tę „dodatnią" stronę, że umożliwia Amerykanom realizowanie całej operacji za — w znakomitym stopniu — nieswoje pieniądze. Oto przykłady z praktyki EUP, ilustrujące powyższe tezy.

Stany Zjednoczone faworyzują zdecydowanie eksport zachodnio-niemiecki do krajów marshallowskich — po pierwsze dlatego, że eksport ten umożliwia imperialistom niemieckim zapłacenie udziału wymaganego od nich przez USA w przygotowaniach wojennych; po drugie dlatego, że eksport ten zastępuje na rynkach satelitów USA produkcję rodzimych przemysłów przestawianych na zbrojenia; po trzecie wreszcie dlatego, że z nazwy „zachodnio-niemiecki" — w istocie jest często eksportem amerykańskim, wobec opanowania wielu przedsiębiorstw trizonalnych przez kapitał zza Oceanu. Dzięki „liberalizacji" handlu międzymarshallowskiego, przeprowadzonej przy udziale EUP, wolumen eksportu Trizonii do pozostałych krajów marshallowskich wzrósł w 1951 w porównaniu z 1949 o 168%. Wzrost ten był możliwy tylko dzięki lepszemu niż w innych krajach marshallowskich zaopatrzeniu przemysłu trizonalnego w deficytowe surowce. Otóż zaopatrzenie to przedsiębiorcy z Ruhry uzyskali właśnie dzięki EUP.

W końcu 1950 r. i w pierwszym kwartale 1951 r. deficyt Trizonii wobec EUP zaczął gwałtownie rosnąć i doszedł do 500 mln. dolarów. Jak wynikało ze statystyki handlowej, cały deficyt przypadał na dodatkowy import surowców na skład. Pod naciskiem Amerykanów EUP sfinansowała całą imprezę, przyznając Adenauerowi z kieszeni Anglików, Francuzów i Belgów odpowiedni kredyt. Wkrótce potem eksport zachodnio-niemiecki, pracując na dodatkowym surowcu, zagarnął nowe rynki — na przykład w 1951 r. eksport artykułów elektrotechnicznych (miedź i aluminium) wzrósł o 20%. Tymczasem według rzecznika brytyjskiego ministerstwa handlu (8 czerwca br.) „angielscy producenci branży elektrotechnicznej cierpią na brak surowców. Walka o utrzymanie rynków będzie w tych warunkach bardzo ciężka". Charakterystyczne jest przy tym, że gdy w końcu 1951 r. Anglicy, których składy surowcowe spadły poniżej wymaganego minimum, próbowali zgromadzić trochę zapasów, EUP nie udzieliła im ani jednego dolara kredytu. Tak więc dzięki EUP amerykańsko-niemiecka spółka zadała skuteczny cios gospodarce brytyjskiej, uzależniając ją jeszcze bardziej od USA w dziedzinie surowcowej.

Inny przykład. Grecki eksport, którego główną od dziesięcioleci pozycją był tytoń, został po wojnie zdławiony przez konkurencję USA. Reakcyjny rząd grecki jest jak najściślej zależny od dotacji zagranicznych. Jednocześnie Grecja stanowi poważną pozycję w agresywnych planach w rejonie Morza Śródziemnego. I oto Amerykanie obiecują Grecji dodatkowe 115 mln. dolarów, jeżeli ta sprzeciwi się angielskim koncepcjom „organizacji obrony śródziemnomorskiej". W końcu 1950 Grecy otrzymują kredyt, a na początku 1951 oświadczają, że podporządkują swe wojska „tylko generałowi amerykańskiemu". Kombinacja amerykańska polegała na tym, że kredyt przyznała... EUP, między innymi z angielskiej kie-

szeni, i za obietnicę „niedumpingowania“ rynku europejskiego greckim tytoniem, tzn. nie robienia konkurencji handlarzom tytoniu z USA.

EUP jest przybudówką nie tylko planu Marshalla, lecz również paktu atlantyckiego. Szczególnie dobitnie element ten wyszedł na jaw w kwietniu i maju br., kiedy toczyła się dyskusja nad przedłużeniem żywota Unii na dalszy rok. Pod naciskiem amerykańskiego nadzorcy gen. Drapera, uchwalono zasadę, że na przyszłość regulowanie długów „chronicznych“ pomiędzy członkami EUP odbywać się będzie przy pomocy przymusowego przyjmowania przez wierzycieli sprzętu wojskowego. Na pierwszy ogień pójdzie Belgia, która przyjmie z Anglii i Francji sprzęt zbrojeniowy za 50 mln. dolarów. Decyzja ta ma podwójny sens. Z jednej strony Belgowie za swój eksport będą otrzymywać ekonomicznie bezwartościowy sprzęt wojskowy, tj. — jak oświadczył gen. Draper — „możność wyekwipowania dodatkowych dywizji“, czyli dostarczenia Amerykanom więcej mięsa armatniego. Z drugiej zaś strony Anglia i Francja, aby zapłacić dług, będą musiały jeszcze bardziej przestawić na zbrojenia swój przemysł kosztem dalszego pogorszenia swej sytuacji gospodarczej. Rola EUP jako dodatkowego narzędzia militaryzacji gospodarki zachodnio-europejskiej ujawnia się tu szczególnie dobitnie.

Jak wreszcie wspomniano na wstępie, powstanie EUP wiąże się z osłabieniem Imperium Brytyjskiego. Sama zasada wymienialności walut marshallowskich i w szczególności ich wymienialność na dolary stała się aktualna dopiero po dewaluacji funta i ośmiu innych walut zachodnio-europejskich. Przy uprzednich bowiem wyższych kursach walut marshallowskich wobec dolara operacje rozliczeniowe EUP byłyby niemożliwe: żaden dłużnik nie byłby w stanie regulować długu w dolarach po sztucznie wygórowanym kursie oficjalnym.

EUP w rękach USA stała się narzędziem dalszego rozbijania strefy szterlingowej. Nadzieje głównego organu City londyńskiej — The Banker, który jeszcze w lutym 1950 spodziewał się, że „rozszerzenie wielostronnych stosunków handlowych i płatniczych w Europie może być ujęte jako problem rozszerzenia strefy szterlingowej“ — okazały się całkiem płonne. Dzięki EUP Niemcy zachodnie, Włochy i niektóre inne kraje, najściślej uzależnione od USA, silnie wzmogły swój import surowcowy ze strefy szterlingowej, kosztem brytyjskim, i jednocześnie zwiększyły swój eksport i do samej Anglii i do dominiów. Ta sytuacja, możliwa dzięki temu, że przystąpienie do EUP zlikwidowało wyłączność funta jako waluty rozrachunkowej w strefie szterlingowej, nadweręża całą strukturę imperium, gdyż dominia angielskie nie mogą i nie chcą na dłuższą metę finansować importu Zjednoczonego Królestwa. Zarazem słabnące w wyniku zbrojeń możliwości eksportowe Anglii powodują, że zadłużenie całej strefy szterlingowej w EUP gwałtownie rośnie. Do końca maja br. to zadłużenie netto wynosiło aż 1076 mln. dolarów, z czego 460 mln. Bank Anglii musiał wypłacić w złocie bądź w dolarach.

Powody do niezadowolenia z działalności EUP mają nie tylko Anglicy. Wobec konkurencyjności struktury gospodarczej krajów marshallowskich i wobec sprzeczności interesów pomiędzy nimi, zaostrzonej eksploatacją amerykańską i wzajemnymi próbami spychania na siebie ciężarów zbrojeniowych sztuczny „blok płatniczy“ zamienia się w arenę walki wszystkich przeciw wszystkim, co tylko pogłębia istniejące rozbieżności i dysproporcje.

W EUP powstała grupa „chronicznych wierzycieli" — z Belgią na czele oraz „chronicznych dłużników" (strefa szterlingowa, Francja itd.). „Chroniczni dłużnicy" przystępują do przymusowej redukcji importu i często po prostu zawieszania wypłat. Wierzyciele zaś, nie mogąc zrealizować należności tak jakby chcieli, odmawiają udzielania dalszego kredytu. W rezultacie kasy EUP wysychają z dużą szybkością, a poziom wymiany międzymarshallowskiej zaczyna się od stycznia br. kurczyć. Zapasy gotówkowe EUP spadły do końca maja br. o prawie 200 mln. dolarów. (wobec początkowych 350 mln. dolarów) i, co gorsza, możliwości kredytowania, ustalone statutowo, zostały w zasadzie wyczerpane (EUP 31 maja należało się od członków 1050 mln. dolarów, podczas gdy ze swej strony winna była innym 1180 mln. dolarów). Ograniczenia importowe zaś wprowadzone już w br., zmniejszają wymianę międzymarshallowską o ponad 1 mild. dolarów w skali rocznej. Fiasko EUP stwierdził otwarcie jeden z jej organizatorów, holenderski minister spraw zagranicznych, Stikker, 9.IV br., żądając zarazem „reorganizacji Unii" i „większego zainteresowania USA jej losami". Jednakże Amerykanie odrzucili stanowczo prośbę marshallowców o zasilenie Unii dodatkowymi 270 mln. dolarów w roku gospodarczym 1952/53. Niemniej nie pozwolili oni na rozwiązanie EUP, co otwarcie zaproponowała Belgia, a po cichu Anglia. 7 czerwca, „pod wpływem USA" — jak dyskretnie pisze N. Y. Herald Tribune — ministrowie finansów uchwalili przedłużenie bytu Unii na dalszy rok, do 30 czerwca 1953. Decyzja jest wynikiem serii dwustronnych układów sprowadzających się po prostu do odroczenia spłaty poszczególnych długów oraz zmiany polegającej, jak już wspomniano wyżej, na dalszej militaryzacji handlu międzymarshallowskiego. Namiestnikiem amerykańskim w EUP został przy tym — rzecz charakterystyczna — przedstawiciel Trizonii, Hans Karl von Mangoldt, nowy prezes rady dyrektorów Unii.

Wszystkie te zmiany akcentują jeszcze dobitniej militarystyczny charakter EUP. Zarazem muszą one pogłębić strukturalny kryzys Unii i samej wymiany międzymarshallowskiej.

Krzysztof Wolicki

DYSKUSJA O LITERATURZE DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Problemy rozwojowe radzieckiej literatury dla dzieci i młodzieży, dziedziny literatury pięknej, która stanowi potężny czynnik wychowania młodego pokolenia w duchu komunizmu — żywo interesują ogół czytelników i pisarzy, wychowawców i krytyków literackich.

Rozmach wydawniczy w tej dziedzinie ilustruje wysokość globalnego nakładu książek młodzieżowych, wydanych po Październiku: przeszło 1 miliard egzemplarzy. W r. ub. nakład książek dla dzieci i młodzieży osiągnął blisko 82 mil. egz. (1882 tytułów). Według planu wydawniczego Państwowego Wydawnictwa Literatury dla Dzieci (Dietgiz) — tylko to jedno popularne wydawnictwo ma w najbliższych latach wypuszczać na rynek księgarski pół miliona egzemplarzy dziennie.

Poczytność poszczególnych pisarzy dobrze znanych również i naszej młodzieży, ilustrują liczby: utwory S. Marszaka osiągnęły łączny nakład przeszło 23,8 mil. egz., książki wybitnej poetki A. Barto — 19,7 mil. egz., K. Czukowskiego — 19 mil. egz., S. Michałkowa — 18,6 mil. egz. Utwory A. Gajdara, pisarza tak popularnego i poza granicami Związku Radzieckiego, wyszły w łącznym nakładzie 12,3 mil. egz.

Zagadnienia literatury dla dzieci i młodzieży są stale omawiane w prasie partyjnej i literackiej, pedagogicznej i codziennej. Szczególne ożywienie wniosło do literatury dziecięcej i młodzieżowej XIII Plenum Zarządu Głównego Związku Pisarzy Radzieckich (styczeń 1950 r.) i jego uchwały w sprawie dalszego rozwoju tej literatury (Czytelników Twórczości informowaliśmy o tym w n-rze 9/50: Na widnokręgu. Radziecka literatura dla dzieci i młodzieży).

W ciągu dwulecia po XIII Plenum szeregi piszących dla dzieci i młodzieży znacznie wzrosły. W tej dziedzinie pracuje obecnie przeszło 250 pisarzy. Miarą rozwoju literatury dziecięcej i młodzieżowej jest fakt, że wśród tegorocznych laureatów Nagród Stalinowskich znaleźli się 3 pisarze młodzieżowi: W. Bielajew (trylogia Stara twierdza) M. Nosow (opowieść Mitia Malejew w szkole i w domu) i W. Osjejewa (opowieść Wasiek Trubaczow i jego koledzy).

W trosce o właściwy poziom literatury dla dzieci i młodzieży pisarze korzystają z pomocy uczonych, pedagogów i działaczy oświatowych. W lutym br. odbyła się w Moskwie wspólna sesja naukowa Akademii Nauk Pedagogicznych i Ministerstwa Oświaty Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Rad — z udziałem pisarzy. Tematem sesji było omówienie wymagań stawianych przez pedagogikę literaturze dla dzieci i młodzieży. Referat zasadniczy wygłosiła L. Dubrowina, wiceminister oświaty RFSRR.

Ta sesja naukowa postawiła w sposób zasadniczy postulat powiązania twórczości dla dzieci i młodzieży z naukowymi potrzebami i wymaganiami pedagogiki. W tym też kierunku rozwijała się dyskusja, jaka toczyła się na łamach prasy literackiej i pedagogicznej już od zimy br. Dyskusja osiągnęła punkt kulminacyjny w okresie przygotowawczym do wszechzwiązkowej konferencji w sprawie literatury dla dzieci i młodzieży — zwołanej wspólnie przez Związek Pisarzy Radzieckich ZSRR, Centralny Komitet Komsomołu i Ministerstwo Oświaty RFSRR. Konferencja odbyła się w Moskwie w dniach od 14 do 17 kwietnia 1952 r. z udziałem 350 delegatów z całego Związku Radzieckiego.

Sprawa oparcia literatury młodzieżowej na naukowych podstawach psychologii dziecięcej i pedagogiki — jest węzłowym zagadnieniem teoretycznym i twórczym w całokształcie spraw tej literatury. Przede wszystkim wiąże się ta sprawa z potrzebą pełnego opracowania podstawowych zasad teorii literatury dziecięcej i młodzieżowej, z zagadnieniem bohatera, jego wieku i znaczenia ideowo-wychowawczego, ze sprawą właściwego wprowadzenia i ujmowania udziału dorosłych — w galerii postaci literatury dla dzieci i młodzieży.

Na łamach Litieraturnej Gaziety właśnie od tego ostatniego zagadnienia rozpoczęła się w lutym br. dyskusja o literaturze dla dzieci. Zdaniem wybitnej pisarki młodzieżowej M. Prileżajewej (Szczęście dokonywania wielkich odkryć, Litieraturnaja Gazieta Nr 17) — od umiejętności wprowadzenia w świat dziecięcy postaci osób dorosłych zależy poznawcze i wychowawcze znaczenie książki. Analizując liczne utwory radzieckiej literatury dziecięcej, które ukazały się ostatnio Prileżajewa doszła do wniosku, że często postacie osób dorosłych są nieciekawe, stanowią „dydaktyczne schematy przeważnie prawią morały, a to ich moralizowanie jest nudne...“ Wielu, biorących później udział w omawianej dyskusji, podkreślało papierowość i sza-

blonowość postaci dorosłych, które niejednokrotnie są przeidealizowane, pozbawione rumieńców życia.

„Brak umiejętności wprowadzenia w świat dziecięcy dorosłego człowieka, żywego i zajmującego — czytamy w artykule Prileżajewej — człowieka przynoszącego ze sobą cząsteczkę tego wielkiego świata, w jakim on żyje, stanowi duże niedociągnięcie w naszej literaturze dziecięcej". Ten wniosek wypływa konsekwentnie z wysuniętej przez autorkę artykułu przesłanki o naukowej i pedagogicznej konieczności odtwarzania w prozie dla dzieci — współczesnej rzeczywistości, świata dorosłych. Każda bowiem nowa książka przynosi dziecku odkrycie tej rzeczywistości, objawienie niesfałszowanej prawdy o niej.

Zagadnienie teoretycznych podstaw współpracy autorów książek dla dzieci z pedagogami szerzej omówił znany pisarz L. Kassil w artykule Wiek i postępowanie bohatera (Litieraturnaja Gazieta Nr 41 z kwietnia br.). Punktem wyjściowym — wspólnym dla pisarzy i dla pedagogów — jest ta niezbita prawda, że „...u podstaw systemu wychowania komunistycznego leży idea wychowania dzieci na ludzi szczęśliwych". Pisarz i pedagog znają i głoszą tę zasadniczą doktrynę wychowania komunistycznego, że „...ludzie w naszym ustroju powinni i mogą być szczęśliwi, lecz szczęście to wiąże się z walką o dobro całej olbrzymiej gromady ludzkiej, a poza tym szczęściem nie ma innego szczęścia".

Tą prawdą pulsuje wewnętrzna poezja pracy wychowawcy z uczniem w szkole — pisarza z czytelnikiem jego książki. Tylko z tych zasadniczych pozycji ideowo-wychowawczych — wywodzi Kassil — można i należy przystępować do oceny utworu literackiego dla dzieci. To jedna strona zagadnienia.

Jednocześnie pisarza obowiązują te prawa i reguły, które rządzą całą literaturą i sztuką radziecką. W tym właśnie tkwi siła radzieckiej literatury dla dzieci i młodzieży, że — dbając o specyficzne potrzeby swoich młodocianych czytelników zgodnie z wymaganiami pedagogiki, zachowując ścisłą i silną więź ze szkołą i organizacjami młodzieżowymi — płynie jednocześnie we wspólnym, wartkim nurcie życia wraz z całą literaturą radziecką.

Między szkołą radziecką a ideałami literatury nie zachodzi żadna sprzeczność; rozdźwięki i rozbieżności istniejące w ustroju kapitalistycznym zlikwidowała radziecka rzeczywistość, zniósł ustrój socjalistyczny. „Po raz pierwszy w historii ludzkości — pisze Kassil — wszystko, czego uczy się dziecko w domu, w przedszkolu, w szkole, całkowicie zgadza się, stapia z regułami postępowania społecznego, utożsamia z prawami rewolucyjnej dyscypliny".

Te właśnie zasady postępowania socjalistycznego stanowiły tworzywo poetyckie w poezji dla dzieci u Majakowskiego, w utworach Gajdara. Tam zabrzmiały one w tonach lirycznych, wzniosłych, pełnych męskiego patosu, osiągnęły olbrzymią skalę uogólnień i rozmach obrazów poetyckich. Majakowski w poezji i Gajdar w prozie — po raz pierwszy w radzieckiej literaturze dziecięcej zastosowali ten przedziwny stop poetycki, jaki teraźniejszą rzeczywistość, sprawy powszednie przepaja romantyką rewolucyjną; jest to stop wewnętrznego rytmu poetyckiego z komunistycznym systemem pedagogicznym. Kassil wyjaśnia to tym, że ci wielcy pisarze głęboko wniknęli w specyfikę literatury dla dzieci i młodzieży.

Zagadnienia specyficznej odrębności literatury dziecięcej wielokrotnie wy-

suwano w omawianej dyskusji. Zdaniem Agnieszki Barto (W e s o ł e i p o w a ż n e, Litieraturnaja Gazieta Nr 42) specyfika literatury dziecięcej polega przede wszystkim na tym, że „... w książce dla dziecka myśl, obraz — muszą być szczególnie jasne i konkretne, że język powinien być krystalicznie czysty, ścisły".

Jedną z podstawowych cech specyficznych literatury dziecięcej jest konieczność uwzględniania właściwości wieku czytelnika: wymaga to od pisarza głębokiego, wnikliwego przestudiowania rozwojowych faz psychiki i umysłowości dziecięcej. Słaba znajomość psychologii dziecka naraża autora utworu na to, że — jak się wyraża Barto — „książka pozbawiona będzie adresu", nie trafi do właściwych rąk.

W dalszym ciągu swoich wywodów Barto powołuje się jednak na wypowiedź A. Makarenki, opartą na obserwacji szybkiego rozwoju psychicznego i umysłowego u dzieci: (cytuję za autorką artykułu) „...Książka nie może ściśle przestrzegać rozwojowego kompleksu wieku czytelniczego, lecz powinna zawsze nieco wyprzedzać ten kompleks, musi wznosić dziecko na takie wyżyny, do jakich jeszcze nie dotarło". Makarenko wywodził, że słaba jest taka książka, która interesuje tylko czytelników w ściśle określonym wieku. Według relacji Agnieszki Barto ta myśl znakomitego pisarza-pedagoga znajduje gorące poparcie u pisarzy i pedagogów radzieckich. Poetka wypowiada pogląd, że literatura dla dzieci — podobnie jak pedagogika — musi rozwijać osobowość dziecka, wznosić je na wyższy poziom, wyprzedzając nieco osiągnięty już przez czytelnika, właściwy jego wiekowi stopień rozwojowy.

Autorka artykułu zastrzega się jednak: „...Bynajmniej nie jestem zwolenniczką „udoroślenia" książki dla dzieci. Ale w pewnym stopniu można i należy liczyć na właściwą umysłowi dziecięcemu zdolność do szybkiego opanowywania rzeczy nowych". Przez rzeczy „nowe" Barto rozumie wprowadzane do uworu literackiego słowa, wyobrażenia i pojęcia dotychczas dziecku nie znane.

Zagadnienie swoistych właściwości związanych z wiekiem młodocianych czytelników — zdaniem wielu autorów artykułów dyskusyjnych — wymaga naukowego opracowania. Zagadnienie to było też omawiane na Konferencji kwietniowej poświęconej literaturze dla dzieci i młodzieży. L. Dubrowina w artykule O l i t e r a t u r z e d l a d z i e c i opublikowanym w Prawdzie w dniu otwarcia konferencji (14.IV br.) pisała: „Uwzględnić wszystkie odrębności właściwe poszczególnym grupom czytelniczym — od wieku przedszkolnego do starszych roczników szkolnych — można jedynie na podstawie głębokiej znajomości życia, na gruncie znajomości radzieckiej pedagogiki. Z faktu — o którym pisarz zawsze musi pamiętać — że doświadczenie życiowe dziecka różni się od doświadczenia życiowego ludzi dorosłych, że psychika dziecka, jego sposób odczuwania i pojmowania — również są inne, bynajmniej nie wynika konieczność dostosowywania się, „zniżania" do dziecka. Nie na tym — wywodzi Dubrowina — polega „tajemnica" pisania książki dla dzieci, lecz na tym, by — mówiąc słowami Gorkiego — pisać o tym samym (co dla dorosłych — J. S.), lecz inaczej..."

Inny aspekt zagadnienia podkreślił A. Surkow w swoim referacie zasadniczym na Konferencji (R a d z i e c k a l i t e r a t u r a d l a d z i e c i i j e j z a d a n i a). Właśnie to uwzględnianie specyfiki literatury dziecięcej i młodzieżowej nakłada na autorów książek szczególne obowiązki twórcze. „Literatura dla dzieci—mówił Sur-

kow — zarówno pod względem treści, jak i pod względem formy artystycznej, jasnego wyrażania myśli i uczuć — powinna być nie mniej doskonała niż literatura dla dorosłych. Pisarze tworzący dla dzieci i młodzieży muszą uwzględniać specyfikę wypływającą z wieku swoich czytelników, muszą zaspokajać ich swoiste potrzeby, lecz z tych odmiennych właściwości nie wolno czynić parawanu ukrywającego niepoważny stosunek do czytelnika".

Doskonale napisane książki dla młodzieży interesują nie tylko czytelnika w tym wieku, dla którego są przeznaczone, „Weźcie — mówi Surkow — najlepsze utwory Marszaka czy Barto, Michałkowa lub Gajdara, najlepsze stronice książek Prileżajewej, Osjejewej, Musatowa, Nosowa, weźcie takie książki jak Synpułku Katajewa, Słońce na stepie Pawlenki, Odkrycie świata Smirnowa, a stanie się oczywiste, iż wybitne utwory przeznaczone dla dzieci z jednakowym zainteresowaniem czytają ludzie w najróżniejszym wieku. I biada tym pisarzom, którzy zatraciwszy własny styl uważają za konieczne przykucnąć, by porozmawiać z malutkim czytelnikiem".

Sztuka rozmawiania z młodym czytelnikiem za pomocą obrazów i postaci kondensuje się w umiejętności stworzenia postaci pozytywnego bohatera utworu młodzieżowego. Surkow w omawianym referacie poruszył to zagadnienie mimochodem — przy omawianiu znaczenia śmiałego wprowadzania osób dorosłych do galerii bohaterów w utworach młodzieżowych. W szczególności Surkow zatrzymał się nad sprawą odtworzenia w książkach dla dzieci życia i działalności klasyków marksizmu-leninizmu: Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina, nad zagadnieniem opracowania dla młodzieży bohaterskiej biografii najlepszych przedstawicieli starej gwardii bolszewickiej i wybitnych działaczy współczesnych, nad potrzebą stworzenia literackich portretów budowniczych komunizmu — pracowników nauki i techniki, przemysłu i rolnictwa.

Po referacie Surkowa na Konferencji kwietniowej wygłoszono następujące referaty: Dubrowina — Radziecka szkoła i literatura dla dzieci, Iljina — Tematyka organizacji pionierskiej w literaturze dla dzieci, Pisarżewski — Beletrystyka naukowa i literatura popularno-naukowa dla dzieci, Michałkow — Literatura dla najmniejszych, Musatów — Tematyka pracy w literaturze dla dzieci, oraz Katajew — Dramaturgia dla dzieci. Trwająca trzy dni ożywiona dyskusja nad referatami dotyczyła przeważnie zagadnień tematycznych, wydawniczo-organizacyjnych; były też omawiane sprawy krytyki i teorii literatury dla dzieci.

Z zagadnień teoretycznych poruszonych w dyskusji przed i pokonferencyjnej pragnę wymienić jeszcze sprawę bohatera utworu dla dzieci i młodzieży. Młodociani czytelnicy żarliwie poszukują w książkach wzorów do naśladowania. Serdecznie przywiązują się do postaci pozytywnego bohatera — podobnego do tych, jakich na każdym kroku wysuwa bohaterska rzeczywistość radziecka. Niektórzy dyskutanci, na przykład prof. L. Timofiejew — w przemówieniu na wspomnianej sesji naukowej Akademii Nauk Pedagogicznych — wypowiadali pogląd, że „najbardziej „wpływowym" bohaterem w książce dla dzieci bywa człowiek dorosły..." Dlatego — zdaniem prof. Timofiejewa — „pozytywny bohater książki

dla dzieci powinien być wzięty z tego świata, gdzie istnieją cele, ku jakim ma zmierzać dziecko i gdzie te cele w praktyce się urzeczywistniają..."

Z tym poglądem polemizuje Kassil w cytowanym wyżej artykule Wiek i postępowanie bohatera. Nie pomniejszając znaczenia dobroczynnego wpływu i godnego naśladownictwa przykładu bohaterskich czynów ludzi dorosłych — Kassil jednak uważa, że „...żaden przykład dorosłego nie może być tak poglądowy i przekonywający dla dziecka jak przykład jego rówieśnika". Młodociany bohater nie może jednak przybrać nienaturalnych i nieprawdopodobnych wymiarów—„...charakter i czyny malutkiego bohatera powinny być naświetlone przede wszystkim w powiązaniu z bohaterskimi czynami, pracą, działalnością dorosłych postaci książki. Wówczas postać bohatera-rówieśnika osiąga słuszną, właściwą i prawdziwą tendencję wychowawczą".

Nie mniej ważnym warunkiem pedagogicznym jest odtwarzanie prawdziwych postaci bohaterów — zarówno młodziutkich jak i dorosłych — bez retuszowania błędów i pomyłek. „Jeśli opowieść — konkluduje Kassil — uskrzydla wielka idea znajdująca swój wyraz w silnych postaciach, to światło i cienie ułożą się właściwie, a czytelnik wyczuje sens czynów bohatera i sam potrafi je słusznie ocenić".

Szczególnie ostro zarysowuje się problem bohatera w dramaturgii dla dzieci. Temu zagadnieniu również poświęcono w omawianej dyskusji wiele miejsca i uwagi. Teatr dla dzieci stanowi w Związku Radzieckim bardzo ważny czynnik wychowawczy i artystyczny: w ZSRR istnieje przeszło 30 teatrów dla dzieci, ponadto setki teatrów urządza często poranki dla dzieci. Obliczono, że teatry radzieckie dają rocznie dziesiątki tysięcy przedstawień dla dzieci. W tej sytuacji problem repertuaru dla dzieci i młodzieży nabiera szczególnej wagi.

W n-rze 46 Litieraturnej Gaziety ukazał się artykuł A. Aleksina U wagi o teatrze dla dzieci. Zdaniem autora artykułu rozwój dramaturgii dla dzieci hamują pewne skostniałe poglądy niektórych krytyków i pedagogów — w rodzaju powiedzionka: „Nie wolno stawiać dorosłych przed sądem dzieci!" ...„Ale dzieci nie można oszukać! — polemizuje Aleksin z takim pojmowaniem zadań wychowawczych dramaturgii i w ogóle literatury dla dzieci. — One dobrze wiedzą, że dorośli bywają nie tylko dobrzy, lecz i źli. A dzieci kochają i cenią bynajmniej nie aniołkowatych i karmelkowych moralizatorów, lecz tylko ludzi zajmujących, obdarzonych własnym, silnym charakterem".

W wygłoszonym na Konferencji referacie o dramaturgii dla dzieci Katajew omówił przede wszystkim zagadnienia repertuarowe teatru dla dzieci, konieczności jego urozmaicenia i rozwijania we wszystkich gatunkach scenicznych. Tezy referatu rozwinął Katajew w artykule O dramaturgii dla dzieci zamieszczonym w czerwcowym numerze miesięcznika Nowyj Mir.

Dyskusja o literaturze dla dzieci i młodzieży trwa. Przyczynkiem do niej są pojawiające się często artykuły i prace poruszające poszczególne zagadnienia. Sprawę tradycji Majakowskiego w twórczości dla dzieci, zagadnienie jego wpływu na poetów radzieckich, piszących dla dzieci (Marszak, Michałkow, Barto i inni) omówił S. Majew w artykule: Majakowski i radziecka literatura dla dzieci (Zwiezda Nr 5/52). Pozostaje to w związku z poruszoną w omawianej dyskusji potrzebą stworzenia

wyczerpującego podręcznika historii rosyjskiej literatury dziecięcej. Pisarz K. Czukowski na łamach Litieraturnej Gaziety (Nr 63/52) jeszcze raz wraca do tej sprawy przy sposobności krytycznego omówienia podręcznika A. Babuszkinej Historia rosyjskiej literatury dla dzieci.

Józef Spinc

KULTURA CIŚNIĘTA W BŁOTO

Stary Wirgiński dwór Tylerów jeszcze spał.

Ale z czeladnej buchały światła i przenikliwe śpiewania. Niska ogromna izba, zakopcona do czarności, tonęła w złocistych blaskach; na kominie buzował tęgi ogień, smoliste szczapy hikorowego drzewa trzaskały wesoło iskrami aż na półkolistą ławę pełną ciemnych postaci kobiecych, pęków kukurydzianych kolb i suchego postuku łuskanego ziarna.

Zacna stara Harriet była jednym uśmiechem. W białym czepeczku z niebieskimi szlarkami, w rogowych okularach na grubym nosie, ciągnęła rozgęganym głosem jedną z niezliczonych swych *Spirituals*, głęboki zaś chór głosów kobiecych powtarzał sennie co chwila:

— *Swing Low, Swing Low, Sweet Chariot!*

Jakieś dziecko kwiliło w sąsiedniej izbie, przeciągle ziewały psy, pozwijane w kłębki przed ogniem i raz po raz ktoś podnosił kolbę kukurydzy wypadłą na podłogę.

— Dallulah, ziarno ci umyka — ostrzegała Harriet, nie przestając śpiewać. Murzyn o posrebrzonej siwizną głowie, w grubej, aksamitnej kamizeli i boso, zwalił naręcze drzew pod komin i przysiadł na ceglanym trzonie.

Dwór, którego zręby, sczerniałe z biegiem pokoleń, stawiał pradziad obecnego właściciela i założyciel możnego domu Tylerów z Poplar Hall, towarzysz walk Jakóba II, a potem egzul, płk. James Symington Syler, wznosił się na wyniosłym wzgórzu u południowego krańca żyznej doliny Shenandoah, wijącej się słonecznymi skręty między łagodnymi zboczami Gór Błękitnych i wyniosłym pasmem Alleganów. Bity gościniec prowadził do pobliskiego Christianburgu, stolicy hrabstwa, przywróconej później do dawnej świetności sumptem Johna D. Rockefellera...

Nie jest to fragment nowej powieści Margaret Mitchel. To reymontowskie Nil desperandum, z nieznaczną tylko zmianą kolorytu. Realia są te same, pańszczyznę jedynie zastępuje niewolnictwo. A opis taki lub łudząco podobny znaleźć można na kartach setek ukazujących się bieżąco książek amerykańskich. Literatura USA tęskni do rezydencji plantatorskich sprzed stu lat, jak szlachta i burżuazja polska epoki porozbiorowej a zwłaszcza Dwudziestolecia lubowała się w przyzywaniu widm jaśniepańskich siedzib obszarniczych feudalnej Rzeczypospolitej. „Mary zjawione krzyczały z kraju przeszłości" — mówił pogromca zjadaczy chleba —przez innych wytwarzanego. Mary krzyczą na pobojowisku kultury amerykańskiej, mary wyczarowane przez tych, co w ucieczce w przeszłość widzą jedyną osłonę przed rzeczywistością dzisiejszego dnia.

Literatura jest odbiciem epoki, ale też i czynnikiem epokę każdą kształtującym. Burżuazyjna literatura Stanów Zjednoczonych, a przynajmniej ten jej odłam, który nie tylko nazwę, ale i poziom pewien zachował, uchyla się od wypełnienia swej roli, od spojrzenia w głąb, w treść, w istotę rzeczywistości, odczytania dążeń przewodnich czasu, przeszycia ostrzem morderczej satyry tego, co nosi już stygmat śmierci, przytknięcia żagwi bezlitosnej krytyki do

zmurszałych podwalin wczorajszego świata i wskazania dróg w przyszłości. Literatura burżuazji USA, wierna jest swej bazie i wraz z nią upada. Czuje swą niemoc, ale nie sięga po lek. Nie czerpie ze źródeł życia, przyczyny i motoru wszelkiej sztuki twórczej i nieprzemijającej, sztuki, która zmienia i poszerza świat przez artystę zastany. Nie dostrzega i ujrzeć nie chce prawdy o człowieku, gloryfikuje peryferie ludzkiego bytu, jej oko, jak oko muchy, widzi rzeczywistość rozbitą na cząstki, złożoną z kawałków bez kształtu i sensu — i taką ukazuje czytelnikowi, wołając z tryumfem: „Patrzcie, co za plugastwo!"

Niegdyś była młoda, płonął w niej zapał szlachetnych serc. Kiedy Edmund Burke w swych słynnych Uwagach dorabiał nadbudowę ideologiczną dla pierwszego w dziejach kordonu sanitarnego wokół demokracji i miotał błoto na Rewolucję Francuską, zza Atlantyku rozebrzmiał na cały świat i zgniótł wrzaskliwego trybuna wstecznictwa głos niestrudzonego szermierza wolności — Tomasz Paine wiekopomnym traktatem O Prawach Człowieka rzucił tyranom w twarz wspaniałą apologię demokracji i groźną zapowiedź, że „tego płomienia nic stłumić nie zdoła".

Później, gdy drapieżny, okrutny i rozbuchany kapitalizm pławił się w nieznanej dziejom potędze i nurzał w bogactwach, osiągnąwszy szczyty powodzenia, Mark Twain uderzał weń zabójczym sztychem, zdzierał szminkę i ukazywał szpetną nagość molocha w nielitościwym zwierciadle Złotego Wieku. Olbrzym słowa, Walt Whitman, genialnym wejrzeniem przenikał aż poza dziewiątą zasłonę szychu, zdzierał siedem pieczęci obłudy i wybiegając na stulecie naprzód, wieścił zagładę nowoczesnej Niniwy. A w mieście skąd wzięło początek Święto Robotnicze i gdzie błękit jeziora Michigan barwił się płynącą po społu krwią zwierząt rzeźnych i krwią mordowanych na ulicach robotników, młody dziennikarz Eugene Field obwołał się Dantem Chicago, „bardem schabu i słoniny" i w odach podniosłych oraz smętnych elegiach sławił królów wieprzowych w sposób bardziej zabójczy niż najzjadliwsza satyra.

Lecz Whitman zamilkł na wieki, szpadę Twaina stępił majątek żony, a młody bard, syt sławy, ale nie schabu, stał się wiernym kochankiem opiewanej tłustości.

Tragedia amerykańska

„Wiedza będzie ciśnięta w błoto, zdeptana racicami bydlęcej tłuszczy!" — grzmiał Burke z nienawistnym spojrzeniem wbitym w rewolucyjny lud. Nie przewidział zapewne, że półtora wieku później w Camp Detrick, stanu Maryland, 4.000 „uczonych" pod wodzą gen. Waitta i „doradcy bakteriologicznego" George W. Mercka mozolić się będzie nad znalezieniem sposobów skutecznego zasnucia kuli ziemskiej czarnym całunem zarazy. Że drugie tyle, pod wodzą gen. Grovessa i doradcy atomowego Vannevar Buscha będzie wysilać swe mózgi — których sprawność jest dziełem wielu ludzkich pokoleń — nad znalezieniem metody wysadzenia w powietrze zakażonej przez ich kolegów ludzkości. Dostojny płaszcz nauki właśni jej adepci przerobili w kapturzaste, maskaradowe domino z ponurej groteski, ośmiu tysiącami racic rozbestwionej tłuszczy wdeptując w błoto godność wiedzy i godność człowieka. Jakiegoż jeszcze świadectwa potrzeba „kulturze" kraju, gdzie taka rzecz się stała?

Materialne podstawy kultury amerykańskiej są bez reszty przedmiotem niczym nieograniczonej i niekontrolowanej własności Morganów, Mellonów, Rockefellerów, Fordów, Du Pontów. Oni więc sami, lub przez swych zaufańców,

decydują o kulturalnym obliczu kraju. Niegdyś — farmer, sklepikarz, właściciel fabryczki płacąc podatki zależał od siebie i państwa. Dzisiaj podatki płaci tak samo, tylko znacznie wyższe, ale wraz z państwem zależy całkowicie od wielkich central finansowych, wielkich trustów, które jednym pociągnięciem pióra mogą skazać na śmierć cywilną — a nieraz i fizyczną — każdego obywatela; państwo zaś uczyniły narzędziem władzy górnego tysiąca, czy dziesięciu tysięcy. Ford czy Carnegie tworzą Fundacje Pokoju, aby planować pokój zgodny z ich wolą. Górnych dziesięć tysięcy buduje szkoły, wznosi uniwersytety, a filozofia życia, jakiej każą nauczać sprowadza się do jednej niezmiernie prostej, a straszliwej formuły: ubóstwo jest złem największym, bogactwo — najwyższym dobrem. Z tej bazy wyrasta prawo, które służy wyłącznie ochronie własności, nie może więc chronić człowieka; wyrasta moralność zysku — uświęcającego wszelkie środki; nauka— podporządkowana celom robienia majątku; a wreszcie sztuka, której zadaniem jest rozbicie i faszyzacja społeczeństwa, pomoc w trzymaniu go w ryzach. I to właśnie jest istotą i kształtem Tragedii Amerykańskiej, której obraz groźny i wierny dał największy prozaik Stanów Zjednoczonych, Teodor Dreiser.

*

Wieczne pióra wciąż jeszcze były nowością, pierwsze samochody nadal budziły sensację, car Mikołaj zwoływał do Hagi międzynarodową konferencję Pokoju, a Paryż przygotowywał się do rozpoczęcia stulecia przeglądem cywilizacji kapitalistycznej na Wystawie Światowej. Świat wydawał się młody. Ale kapitalizm dawno już stracił puszek niewinności. Ba, minął nawet jego wiek złoty, nadciągał wiek klęski. Ludzkość wkraczała w epokę czerwoną dziejów, szła rewolucja proletariatu niosąc Ziemi nowy ustrój i kształt. Na polu kultury kapitalizm mobilizował dla obrony ciemnotę, terror i fałsz.

Prof. James Burgess publikował swe tezy o „wyższości Nordyków", Josiah Strong głosił z kazalnicy „rozszerzony obowiązek narodowy", ławica małych literackich kiplingów płynęła śladami wielkiego Rudyarda. Dyrygentem koncertu sztuki stawała się „wielka pałka" Teodora Roosevelta, a kijem tym zaganiano opornych do dźwigania „brzemienia Białego Człowieka" z Białego Domu, poszukującego terenów ekspansji dla firmy Morgan Partners oraz jej monopolistycznych pobratymców. „*Was fuer Plunder!*" — wołał gen. Bluecher podziwiając widok Londynu z kopuły św. Pawła. Zachwycone tą gotowością ataku na konkurencyjny imperializm brytyjski, nowojorskie Stowarzyszenie Pokoju i Instytut Carnegie wybiły wspaniały medal dedykowany *Defensori Pacis* — Wilhelmowi II. Było to w roku 1913, w przededniu pierwszej rzezi światowej.

*

„Im bardziej — mówił Marks — pogłębia się sprzeczność między rosnącymi siłami produkcji, a istniejącym ustrojem społecznym, tym większa hipokryzja przepaja ideologię klasy rządzącej. Ponadto, im wyraziściej życie ujawnia kłamliwy charakter tej ideologii, tym język, jakim posługuje się klasa panująca, staje się wznioślejszy i cnotliwszy."

Każde przemówienie, wygłoszone publicznie w USA, jest tego dobitną ilustracją. Wilson nawoływał do „wojny dla skończenia z wojną" a Bernard Baruch poucza, że „należy przestać mówić o zimnej wojnie i zacząć wzywać do zdobywania pokoju". Carnegie po społu

z kajzerem zdobywali pokój na równinach Flandrii. Baruch po społu z Trumanem czyni to na polach Korei. Przy pomocy czołgów, samolotów i much zdobywają wolność narodów azjatyckich, przy pomocy ustaw wyjątkowych — wolność i lojalność własnego narodu.

Darwinowska walka o byt i wzajemne pożeranie się rywali tworzą *credo* kapitalizmu w życiu publicznym i prywatnym. W ostrym świetle prawdziwej sztuki ukazuje się cała nieludzkość i ohyda tego mechanizmu, wyłaniają się posępne zarysy dreiserowskiej Tragedii. Toteż kapitalizm nie znosi jasnego światła dnia, woli fałszywy, sztuczny blask kinkietów, zwodniczy płomień błędnych ogników. Kapitalizm łaknie własnej apoteozy, żąda opiewania i umacniania swej władzy. Sztuka burżuazyjna nie będzie już odtąd tylko rozrywką, stanie się narzędziem w walce klasowej. Trzeba zasłonić obraz tragedii społecznej, tragedia może być tylko indywidualna, może być co najwyżej przywilejem jednostki. Należy rozbić spójnię między ludźmi, poczucie solidarności wynaturzyć w instynkty ludobójcze, godność ludzką w rasizm, miłość — w rozbój seksualny.

*

Bohaterem literatury USA jest dzisiaj bankier, generał, prostytutka i pierwowzór naszego bikiniarza—tramp, alfons i zbir w jednej osobie. John Steinbeck, Ernest Hemmingway, James Cain grzebią w śmietnikach i gloryfikują odpadki życia. Cain upatruje szczytowe wzniesienie uczuć ludzkich w morderstwach dokonywanych pośród seksualnych spazmów (powieści *The Postman Always Rings Twice* i *Butterfly*). Steinbeck (*Cannery Row*) każe swym dziewkom i ich oblubieńcom, w przerwach między sesjami pijackimi wzruszać się pięknem erotyków sanskryckich (*sic!*) Prof. Allan Nevins domaga się „naprawienia krzywdy historycznej" wyrządzonej przez pomniejszanie postaci „bohaterów naszego rozwoju materialnego — Rockefellerów, dos Passos stara się zatrzeć pamięć o tym, że w jego twórczości był niegdyś błysk gniewu i postępowej myśli, dając opluty doszczętnie konterfekt rooseveltowskiego New Dealu. Hemmingway opiewa „bohaterski" zgon pułkownika okupacyjnych wojsk USA w ramionach włoskiej hrabianki — dzielny żołnierz wolał śmierć niż dezercję z pola bitew miłosnych. Autor nie wyjaśnia niestety, czyja wolność została za cenę tej krwi zdobyta. James Jones w bestsellerze Stąd do Wieczności przeplata pornografię hymnami na cześć militaryzmu. George Orwell tworzy w zachwyceniu wizję świata w roku 1984, kiedy to wreszcie zaniknie wszelka moralność i człowiek, który — zdaniem Orwella — zawsze był świnią, będzie tą świnią otwarcie, jawnie i na stałe. Aby umysły wyższe nie były pokrzywdzone istnieje i działa szereg „hermetycznych" poetów, od T. S. Elliota, apostoła jakiejś szczególnej „kultury zachodniej" i taniego rasizmu, do Ezry Pounda, faszysty skazanego za zdradę na wieloletnie więzienie, obecnie zaś odznaczonego wysoką nagrodą literacką. Zresztą, wszystkie te „dzieła" są nagradzane, reklamowane w kosztownych ogłoszeniach i nie mniej kosztownych recenzjach oraz sprzedawane w wielkich ilościach egzemplarzy. A równocześnie z bibliotek szkolnych i publicznych usuwa się książki Twaina, Fasta i innych pisarzy demokratycznych i postępowych.

I równocześnie tłumaczy się książki SS-owców, jak Taniec Śmierci Ericha Kenna, Wielkość i Upadek Hermanna Goeringa Willi Frischauera i inne śmie-

cie, produkowane masowo w celu rehabilitacji Hitlera i hitleryzmu. Równocześnie Hollywood lansuje film Lis Pustyni — dań złożona pamięci Rommla — który jest tylko pierwszym z całego cyklu filmów, malujących urok, wdzięk, atrakcyjność, wzniosłość i szereg innych zalet faszyzmu i faszystów.

*

Obłudzie w życiu publicznym towarzyszy cynizm za kulisami. Redakcja firmy Macfadden, wielkiego koncernu czasopism, rozesłała okólnik do literatów, zachęcając do pisania „ostrych, soczystych" opowiadań miłosnych.

„Czego chce przeciętna kobieta? Miłości i podniety. Dajcie jej małżeństwo i uwiedzenie. Dajcie zgwałconego Kopciuszka. Dajcie miłość i zbrodnię. Nałóg, przybrane dziecko i porzucenie. Spędzenie płodu i seksualną oziębłość. Morderstwo i obłęd. Romantykę, medycynę, natchnienie, kłopoty domowe, zgorszenie, wstrząs psychiczny, skandal i wodewil.

Każdy mężczyzna i kobieta mający przygodę miłosną muszą być przyciągani do siebie z taką siłą, aby ziemia przestawała się obracać. To nie żarty!"

I nie są żartem wyniki takiej „edukacji sentymentalnej". Macfadden specjalizuje się w wydawnictwach kobiecych. Publikacje dla mężczyzn nie przekraczają pół miliona nakładu. Natomiast miesięczniki dla kobiet — Przygody prawdziwe, Romanse prawdziwe, Magazyn opowieści prawdziwych, Miłość i Romans — zdarzenia prawdziwe oraz ilustracje Photoplay — mają nakład przeszło pięciomilionowy. A więc „przeciętna kobieta" amerykańska, która studia tej pornograficznej makulatury rozpoczyna, skoro tylko odrzuci smoczek i nauczy się sylabizować, urabia swoje pojęcia o życiu i poglądy na miłość i inne sprawy na podstawie „romansów i przygód prawdziwych" skomponowanych według wyłuszczonej powyżej recepty.

Wyniki są druzgocące. Wychowawcy milczą, bo mają giętkie karki. Macfadden jest kółkiem wielkiego koncernu pod firmą „USA" i radzi sobie z nimi w sposób, który najlepiej ilustruje młodzieńcza „przygoda prawdziwa" znanego publicysty Johna Gunthera. Jako uczeń jednej ze szkół w Chicago Gunther prowadził gazetkę szkolną. Drukowano ją u pewnego małego drukarza nieopodal szkoły. Pewnego razu „redaktora" wezwał do siebie dyrektor: gazetkę trzeba będzie odtąd drukować w wielkich zakładach drukarskich w śródmieściu. Właściciele należą do machiny partyjnej, która właśnie objęła władzę w mieście. Zarobek na gazetce wynosi parę dolarów, ale wielkie zakłady nie gardzą żadnym zyskiem. A poza tym chodzi o monopol. I dyrektor otrzymał odpowiednie „sugestie". Gunther, idąc w ślady nauczyciela, pogodził się z losem — pisarze burżuazyjni karki mają tak giętkie jak wychowawcy.

W Ameryce — a zresztą nie tylko w Ameryce — nazywają to „umiejętnością życia" i stawiają w rzędzie cnót naczelnych, odrzucając jako brzydkie oszczerstwo wszelką wzmiankę o oportunizmie.

W przygodzie młodocianego Gunthera odbija się jak świat w kropli wody całe zagadnienie wolności prasy w USA. Latem 1951 pewien dziennikarz amerykański zebrał ogromny materiał i napisał broszurę o monopolizacji „wolnej prasy" Stanów. Broszurę zacytowano w debatach ONZ. Z gwałtowną repliką wystąpiła pani Roosevelt: przecież sam fakt ogłoszenia broszury świadczy o

wolności. Dziennikarz spotkał nazajutrz swą pogromczynię, i zapytał, co sądzić o sytuacji, w której wszystkie drukarnie i wszystkie środki rozpowszechniania zależą od małej garstki wydawców, zależnych z kolei od garstki bankierów i całe to towarzystwo odmawia druku broszury? „Ha, nikt ich nie może zmusić!" — orzekła bojowniczka wolności... monopolu. W jej przekonaniu na tym właśnie wolność prasy polega.

Za podszeptem serca

Narzędzia i środki upowszechniania kultury i jej owoców nie leżą w ręku współtwórców kultury — uczonych, pisarzy, wychowawców. Nie oni orzekają, czy książka jest dobra, a film na poziomie, nie oni ustalają kryteria wartości, nie oni oddzielają ziarno od plew i szkodliwych chwastów. Czynią to przedsiębiorcy „robiący" w kulturze. I swoją miarę piękna przykładają do wypuszczanych przez siebie na rynek „towarów". A także swoją miarę zysku. A miara ta jest zglajchszaltowana jednolicie, jak cała mentalność „górnych dziesięciu tysięcy".

Ale na tym nie koniec. Górnych dziesięć tysięcy, mimo calową grubość naskórka wyczuwa trafnie i wie znakomicie, co za spustoszenie powstaje w umysłach społeczeństwa wziętego we dwa ognie — deprawacji i ogłupiania. Jaki skutek wywiera bezustanne bombardowanie szmirą: w książce, gazecie, z ekranu, przez radio. Obręcz nędzy, niedożywienia, ciemnoty skuwa wolę Murzynów i znacznych odłamów innych „niższych" ras — Meksykanów, Włochów, Polaków... A gdzie tę śrubę dalej zaciskać byłoby niebezpiecznie — wolę osłabia i umysł zaciemnia potężne działanie głupoty i brudu. Dla utrwalenia ciągłości działania powstają cykle, serie, odcinki, całe mechanizmy powiązanych ze sobą, zazębiających się filmów, audycyj, reportaży, omówień, całe piramidy wydawniczo-sceniczne, z ilustracją muzyczną, kreskową, obrazkową, barwną, wieloplanową, wieloznaczeniową — i bardzo jednoznaczną.

Wyczerpane bezustannym ciągiem niezdrowych podniet, spadających na nie masowo a chaotycznie, społeczeństwo wyradza się w chore, bezwolne, skłonne do histerii zbiorowisko ludzkie, dające sobą powodować bez większego oporu. I o to właśnie chodzi. Co prawda powstaje zarazem błędne koło, gdyż zbiorowisko staje się niezdolne do systematycznego ogólnego wysiłku, staje się nieodporne na wszelkie trudności i może się załamać pod byle uderzeniem. Ale kapitalizm uważa to za zło mniejsze i mniej dla siebie niebezpieczne.

Ale i to nie jest wszystko. Górnych dziesięć tysięcy całą swoją zaciekłą nienawiść klasową i cały strach ginącej klasy skupiło na Związku Radzieckim, jako na szczytowym uosobieniu nowego świata, nowych stosunków międzyludzkich. A więc wszystko, co wymierzone jest przeciw ZSRR, co w sposób bliższy lub dalszy jest wrogie, stanowi przedmiot uznania, pielęgnacji, forsownego szerzenia i najwyższej reklamy. Wszystko, co bezpośrednio, a choćby najbardziej pośrednio przybiera postawę przyjazną i pozytywną wobec Związku Rad, socjalizmu i postępu — jest przedmiotem najdzikszej nagonki i zwalczania.

W lutym 1952 na uniwersytecie w Chicago przeprowadzono znamienną ankietę: studentom kazano się wypowiedzieć o propozycjach kontroli energii atomowej, nie mówiąc im jednak, które wnioski objęte są planem radzieckim, które zaś amerykańskim. Wyniki były rewelacyjne. 6% studentów skrytykowało wszystkie propozycje, 24% uchyliło się od wyboru, 6,3%

zaaprobowało plan USA, przy czym odgadli autorstwo, 63,7% wypowiedziało się za planem radzieckim. Zwraca uwagę, że tylko 10% zidentyfikowało propozycje amerykańskie i że wśród zwolenników propozycji radzieckich większość była przekonana, iż ze względu na swe zalety muszą to być wnioski USA. Wyniki tej ankiety wywołały poważne reperkursje zagranicą; w Stanach Zjednoczonych ogłosiło je tylko małe pisemko Chicago Maroon i przeszły bez wrażenia. Po prostu dlatego, że publiczne ich omawianie byłoby wcale nie na rękę czynnikom rządzącym. Wyniki te świadczą, że nawet ta nikła popularność, jaką się cieszy polityka USA opiera się na niepewnym, grząskim i obosiecznym fundamencie fałszu i niewiedzy. Fakt ten nie był rewelacją ani dla rządu, ani dla kół miarodajnych, czyli amerykańskich monopoli. Ankieta ujawniła, jak daleko posunęła się ignorancja i utwierdziła Trumanów i Macfaddenów w przeświadczeniu żywionym od dawna, że prawda byłaby dla nich zabójcza. Rozpatrując rzecz z tego punktu widzenia przyznać trzeba, że monopole miały swoistą rację, kiedy rękami Sądu Najwyższego złamały konstytucję i odrzucając wolność prasy, zgromadzeń i słowa, skazały 11 przywódców komunistycznych za propagowanie pokoju i zwalczanie faszyzmu. Sąd Najwyższy w sposób nader wykrętny uzasadniał w motywach swego orzeczenia istnienie „niebezpieczeństwa rzeczywistego i bezpośredniego" imputując Partii Komunistycznej agitowanie za obaleniem rządu przemocą. Komuniści takiej agitacji nie uprawiają, wystarczy jednak, że mówią prawdę, wystarczy, by prawda ta doszła do wiadomości ogółu, aby rząd, ustrój i monopole znalazły się w rzeczywistym niebezpieczeństwie.

Fatamorgana kultury

Jaki jest zasięg tego procesu, który jest niewątpliwie procesem ostatecznego rozkładu społeczeństwa burżuazyjnego. Oczywiście najbardziej mu uległy te warstwy, które najbardziej są wystawione na atak i działanie produktów gnilnych, które pod marką kultury i w barwnym opanowaniu rozpowszechnia mechaniczny producent: cała wielka i drobna burżuazja z wyjątkiem tych kół inteligencji, których organizm zdołał oprzeć się zakażeniu i wytworzyć odtrutkę; część farmerów tworzących masowego odbiorcę; wreszcie arystokracja robotnicza, którą kapitalizm dzięki hasłom reformistycznym zdołał przeciągnąć na swoją stronę. W sumie jest to znaczny bardzo odsetek ludności i tym się tłumaczą wysokie nakłady, popularność audycyj i filmów.

Natomiast szerokie koła klasy robotniczej, proletariat rolny i niezamożni farmerzy wykazują najmniejszą chłonność i podatność. Toteż przeciwko nim, a zwłaszcza przeciw ich dzieciom kieruje się główny napór groszowych wydawnictw, filmu i radia. Trudno przecenić doniosłość tej bitwy. Jej wyniki mogą znacznie przyśpieszyć lub poważnie opóźnić rozwój świadomości społecznej. Dzieci USA dojrzewają wcześnie, wcześnie też wyrabiają w sobie mocne poczucie rzeczywistości i duży zmysł krytyczny połączony z pewną przymieszką cynizmu. Cechy te będą dla nich zapewne pancerzem ochronnym w tej walce.

W prasie naszej publikuje się często co barwniejsze kwiatki z oślej łąki amerykańskiej. Podany przez postępowy miesięcznik Masses and Mainstream program telewizyjny doczekał się nawet obszernych komentarzy. Dla czytelnika polskiego jest to materiał do rubryki *camera obscura*. W Ameryce

jest to raczej *camera tragica*, jedno z naczelnych zagadnień społecznych. To już nie kwiatki, to perz uporczywy i groźny, który wytrzebić mogą tylko głębokosiężne pługi, dżungla przedhistoryczna, której krzewieniem troglodyta kultury oznajmia swój powrót.

Cały świat wie o Szekspirze w obrazkach, o niebosiężnej głupocie filmowych wersji Dickensa i Walter Scotta. Ale to tylko jeden humorystyczny aspekt zagadnienia. Aspektem tragicznym jest odcięcie Ameryki od arcydzieł wszechświatowej literatury i rozpaczliwy zanik czytelnictwa.

Biblioteka Kongresu w Waszyngtonie jest największą w świecie. Liczy ponad 8 milionów tomów. W salach jest przestronnie. Nie tylko z powodu wygodnych urządzeń. Z biblioteki korzysta coraz mniej osób — uczeni, intelektualiści. Tak jest w stolicy kraju. Zajrzyjmy na prowincję. Z dala od wielkomiejskich ośrodków biblioteki składają się z paruset tomów ckliwych powieści dziewiętnastowiecznych z dodatkiem równie bezwartościowej produkcji sprzed kilku i kilkunastu lat.

Burżuazyjni ekonomiści USA nazywają gospodarkę kraju *„our waste economy"*. *Waste* znaczy „zużycie", „odpadki". Produkcja amerykańska jest obliczona na szybkie zużycie towarów, na masową wytwórczość tandety, która szybko idzie na śmietnik. Książka w tym organizmie jest takim samym towarem jak szklanka czy tuzin guzików, a raczej papieros i kieliszek wódki. Ma dostarczyć rozrywki i dreszczu podniety nie zaś zwiększyć wiedzę o świecie, poszerzyć zdolności poznawcze. Toteż z powodzeniem wypiera ją gazeta z bogatym działem sensacyjnych wiadomości i artykułów, a jeszcze skuteczniej czyni to magazyn — zbiór chaotycznych i nikomu na nic niezdatnych wiadomości o tym, ilu ludzi zmieścić się może w grobowcu Tutenkamena.

Kto nie był w Ameryce, ten nie poznał siódmego kręgu piekieł torturowanej sztuki. Kontynent obu Ameryk ma ok. 30.000 kin na z górą 20.000.000 miejsc, z czego dwie trzecie w Stanach Zjednoczonych. A trzeba pamiętać, że cała ludność USA ogląda produkcję Hollywood co najmniej dwa razy na tydzień, Europę zachodnią zalewa potok filmów amerykańskich. Jest to jednak „korona stworzenia", wieniec arcydzieł w porównaniu z tym, co stanowi powszednią odżywkę widza po tamtej stronie Atlantyku. Wyjątek stanowi New York, gdzie można zobaczyć filmy o pewnym poziomie, czasem nawet dobre. Rzecz znamienna — idą one przeważnie w niewielkich kinach o charakterze ekskluzywnym.

Literatura i prasa, teatr i film, radio i szkoła, zdobywają swe złote ostrogi w ataku na spojenia wiążące naród, w szarży na myśl społeczną, na ideały pracy pokojowej. Wielbią minione czasy, kiedy wszechwładzy klas panujących nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo, gloryfikują faszyzm, którego zadaniem jest stan ten przywrócić. Głoszą ewangelię poddania się patriarchalnej woli kapitalizmu, beznadziejność walki — z wyjątkiem walki o nowe rynki zbytu. Jednostkę ludzką usiłują rozbić na ułamki ukazując jej świat w postaci zatomizowanej kałuży, lub jako pozbawioną mięsa i krwi fatamorganę.

Kapitalizm nie jest fatamorganą. Ucisk jego kleszczy jest bolesny i rzeczywisty. A środki znieczulają na krótką metę. Pozostaje po nich uczucie mdłości i niesmaku. I pozostają ślady ukłuć, po których naród amerykański pozna, kto ułożył scenariusz tragicznej epoki jego dziejów, kto cisnął w błoto jego kulturę.

Julian Stawiński

KSIĄŻKI NADESŁANE

PROZA

Raul Larra — Spotkanie nocą. Przekł. z hiszp. Kazimierza Zawanowskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 103 i 3 nlb.

Hans Marchwitza — Pierwsze kroki i inne opowiadania. Przekł. z niem. Marii Wisłowskiej. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 151 i 3 nlb.

Pierre Marivaux — Kariera wieśniaka. Przekł. Jarosława Iwaszkiewicza. Wstęp Macieja Żurowskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 417 i 1 nlb.

Zsigmond Méricz — Krewni. Przekł. z węg. Emmy Juhász. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 285 i 2 nlb.

Jan Neruda — Wybór opowiadań. Przekł. z czesk. Marii Erhardtowej. Wstęp Andrzeja Sieczkowskiego. Ilustr. Marka Rudnickiego. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 173 i 3 nlb.

Jerzy Piórkowski — Płomień nieustający. Rys. Krzysztofa Henisza. Cykl: Książka nowego czytelnika. „Czytelnik", Warszawa 1952. str. 171 i 1 nlb.

Bolesław Prus — Sieroca dola. Tekst na podst. „Pism" B. Prusa pod red. Z. Szweykowskiego, tom IV, „Książka i Wiedza", 1950. Oprac. Leon Joachimowicz. Mała Biblioteczka „Książki i Wiedzy", Nr 39. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 110.

Sewer (Ignacy Maciejowski) — Przybłędy. Głodowa pożyczka. Wstęp Stanisława Frybesa. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 129 i 3 nlb.

Theun de Vries — Ziemia macocha. Przekł. z niem. Janiny Mareckiej i Marii Wołczackiej. Z oryg. holend. sprawdził Ralf Dzierżawski. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 476 i 3 nlb.

POEZJA I DRAMAT

Sandor Gergely — Sprawa Pawła Eszteraga. Sztuka w 7 obrazach. Przekł. z niem. Ryszarda Ordyńskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 95 i 1 nlb.

Maria Konopnicka — Z łąk i pól. Przerywniki Marka Rudnickiego. Cykl: Książka nowego czytelnika. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 45 i 3 nlb.

Anatolij Surow — Świt nad Moskwą. Sztuka w 4 aktach, 10 obrazach. Przekł. z ros. R. Bielickiego. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 136.

Eugeniusz Szwarc — Człowiek i cień. Bajka dla dorosłych w 3 aktach. Przekł. z ros. Jerzego Pomianowskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 112 i 2 nlb.

Wiersze o Bolesławie Bierucie. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 32. 3 nlb. i 1 portret.

Witold Wirpsza — Pisane w kraju, 1950 — 1951. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 58 i 2 nlb.

III HISTORIA LITERATURY I HISTORIA

Stanisław Łempicki — Renesans i humanizm w Polsce. Materiały do studiów. Słowo wstępne Kazimierza Budzyka. Wykaz osób i miejscowości dr. Karola Lewickiego. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. VI, 474 i 1 nlb.

Prof. A. I. Mołok — Dni czerwcowe 1848 r. w Paryżu. Przekł. z ros. E. Woyzbun. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 140 i 2 nlb.

PUBLICYSTYKA

Jerzy Andrzejewski — Partią i twórczość pisarza. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 153 i 2 nlb.

Jan Cathala — Zdrajcy pokoju. Przekł. z franc. Andrzeja Jeżewskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 217 i 3 nlb:

D. Kraminow — „Psychologiczna wojna" Wall Street. Przekł. z ros. S. Bortnowskiej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 40.

Oświata i kultura w nowych Chinach. Przekł. z ang. Jerzego Wierzchowskiego. Cykl: Chiny Ludowe, Nr 4. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 66 i 2 nlb.

Marian Podkowiński — Za amerykańskim kordonem. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 225 i 2 nlb.

Stanisław Szenic — Generałowie i Hitler. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 151 i 1 nlb.

Mieczysław Tomala — Upadek gospodarczy krajów Europy Zachodniej. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 115 i 3 nlb.

Bolesław Wójcicki — Prawda o Katyniu. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 188 i 2 nlb.

SATYRA

Demian Biedny — Znajome twarze. Przekł. z ros. Roberta Stillera. Ilustr. Borisa Jefimowa. Biblioteka ‚Szpilek", pod red. Antoniego Marianowicza, Nr 23. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 147 i 1 nlb.

SPIS TREŚCI

Str.

Państwowe Nagrody Literackie w dziale literatury 3
Orędzie Światowej Rady Pokoju 6
Henryk Hubert — Lenino 8
Wiktor Woroszylski — Miasto w nocy 15
Wanda Karczewska — List z Łodzi 18
Stanisław Zieliński — Rodacy 20
Roman Bratny — Sześć godzin ciemności 86
Stefan Żółkiewski — O sonetach Mickiewicza 122
IV ROZSZERZONE PLENUM ZG ZLP: Głosy w dyskusji 136
Adam Ważyk — Uwagi o kryteriach poezji 153
Rezolucja
Papusza — Ziemio moja jestem córką twoją — przeł. Jerzy Ficowski 168
Nazim Hikmet — Wstąpienie sułtana na tron; Prehistoria; Prometeusz, nasze, fajki, róża, słowik itp.; W sprawie dwudziestego wieku; Wróg — przeł. Małgorzata Łabęcka-Koecherowa 171
Ananiasz Zajączkowski — Awicenna jako poeta 175
Z SEKCJI ZLP: Grzegorz Lasota — Salvatore zdążył... 179
WŚRÓD KSIĄŻEK: Hieronim Michalski — Władysław Broniewski „Nadzieja"; Salomon Łastik — Albin Bobruk „Matka i syn" 184
TEATR: Zygmunt Greń — Na scenach wrocławskich 201
NA WIDNOKRĘGU: Krzysztof Wolicki, Józef Spinc, Julian Stawiński 205
KSIĄŻKI NADESŁANE 223

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"
Redaktor Naczelny: Adam Ważyk
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 734-65, centr. 7-52-50/52, wewnętrzny 2
Administracja: Wiejska 12, tel. 7-52-50
Cena zeszytu zł 5.—. Prenumerata kwartalna zł 15.—, półroczna — zł 30.—.
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Od dnia 16. V. 1952 r. indywidualne zamówienia i wpłaty na prenumeratę pism przyjmować będą tylko urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy i miejscy. W związku z tym bezpośrednich zamówień i wpłat do PPK „Ruch" kierować nie należy. Prenumerata zbiorowa, tzw. zakładowa, pozostaje jak dotychczas, tzn. zamówienia i wpłaty kierowane są bezpośrednio do PPK „Ruch".